



**DANIELLE
STEEL**

Cudze grzechy



WSZYSTKO DLA PAŃ

Steel Danielle

Cudze grzechy

Porywająca opowieść o miłości na tle dramatycznych wydarzeń Jeszcze wczoraj błyszcząca wśród nowojorskiej elity. Dziś cieplarniany świat pięknej córki bankiera wali się w gruzy. Luksus, pozycja, bezpieczeństwo - wszystko to znika bezpowrotnie wraz ze śmiercią ojca, pasażera tragicznego rejsu "Titanica". Mijają miesiące i życie Annabelle znów nabiera blasku. Lecz szczęście nie trwa długo. Spada kolejny cios. Skrzywdzona niesłusznym podejrzeniem, skazana na wzgardę i potępienie, Annabelle opuszcza Nowy Jork, by nieść pomoc rannym na froncie... Od olśniewających sal balowych Manhattanu, przez pola bitewne Francji, po sale wykładowe Nicei i Paryża - ból i radość, rozpacz i odwaga towarzyszą niezwyklej kobiecie, która mierzy się z wyzwaniami losu z niezachwianą wiarą w ludzi i nadzieją na szczęście...

Rozdział 1

Annabelle Worthington kochała książki, były jej pasją, a biblioteka ojca stała się miejscem magicznym. Zaglądała tu najczęściej jak mogła, a dziś, czternastego kwietnia 1912 roku, poświęciła na lekturę cały ranek. Zamknęła książkę i podeszła do okna, które wychodziło na wielki ogród. W połowie kwietnia pachniało już wiosną, ogrodnicy posadzili kwiaty i wszystko wyglądało pięknie. Na pewno będą tym zachwyceni, pomyślała o rodzicach; spodziewała się ich powrotu za kilka dni. Dom, a właściwie pałac, w którym Annabelle mieszkała z nimi i ze starszym bratem Robertem, znajdował się na północnym krańcu Piątej Alei w Nowym Jorku. Worthingtonów, jak i Sinclairów - rodzinę matki - łączyło bliskie pokrewieństwo z Vanderbiltami i Astorami, a także większością liczących się nowojorskich rodzin. Ojciec Annabelle, Arthur, był właścicielem i dyrektorem najbardziej renomowanego banku w mieście. Pochodził z bankierskiej rodziny; Worthingtonowie, podobnie jak rodzina matki z Bostonu, od pokoleń stanowili elitę nowojorskiej finansjery. Robert, choć miał dopiero dwadzieścia cztery lata, trzeci rok pracował u ojca i naturalną kolejną rzeczą zastąpi go kiedyś na stanowisku dyrektora. Przeszłość, tak przewidywalna i spokojna, dawała poczucie bezpieczeństwa na przyszłość. Annabelle potrafiła docenić ciepłą atmosferę domu rodzinnego, w której mogła dorastać.

Małżeństwo rodziców było udane, a ona i Robert dobrze się rozumieli. Ich życia nigdy nie zakłócał żaden niepokój. Jeśli napotykali jakieś problemy, zawsze umieli szybko je rozwiązać. Annabelle wychowała się pod złotym kloszem - szczęśliwe dziecko, otoczone czułą opieką najbliższych.

Ostatnie miesiące były dla niej pełne wrażeń. W grudniu, tuż przed Bożym Narodzeniem, po raz pierwszy zaprezentowała się w towarzystwie podczas wspaniałego balu, jaki wydali dla niej rodzice. Debiut Annabelle, jak wszyscy zgodnie twierdzili, był nad wyraz udany, a o jego oprawie mówiono z podziwem w całym mieście. Jej matka, Consuela, uwielbiała wydawać przyjęcia. Goście mogli spacerować po bajkowo urządzonej ogrodzie, pokrytym dachem i ogrzany. Sala balowa w domu olśniewała wystrojem. Grał zespół najlepszych muzyków. Na bal przyszło czterysta osób, a bohaterka wieczoru wyglądała w swojej sukni zjawiskowo jak księżniczka.

Po matce Annabelle odziedziczyła szczupłą sylwetkę, jedwabiste, jasne włosy i wielkie błękitne oczy. Miała regularne rysy, małe dłonie i stopy. Gdy była dzieckiem, ojciec mawiał często, że wygląda jak porcelanowa laleczka. W wieku osiemnastu lat wiele panien mogłoby jej pozazdrościć idealnej figury i naturalnego wdzięku. Uroda i sposób bycia Annabelle potwierdzały, że płynie w jej żyłach najczystsza błękitna krew.

Po balu rodzina spędziła w domu miłe święta, będąc ciągle pod wrażeniem udanego debiutu. Nie brakowało zaproszeń na spotkania towarzyskie, rauty czy tańce. Przez całe to zamieszanie, te przyjęcia i wieczorne wyjścia w zwiewnych sukniach w środku zimy, w pierwszym tygodniu stycznia Annabelle zapadła na ciężką gripę i lekarz obawiał się, że może dojść do zapalenia płuc. Na szczęście młody i silny organizm zwalczył chorobę, ale jeszcze długo była osłabiona i gorączkowała. Worthingtonowie od dawna planowali wizytę u przyjaciół w Europie, jednak lekarz rodzinny zdecydował, że Annabelle ze względu na stan zdrowia nie powinna jechać. Tak więc w połowie lutego tylko rodzice i brat popłynęli „Mauretanią”. Consuela chciała zostać, ale Annabelle przekonała ją w końcu, że nie ma powodu do obaw. Nie chciała, by mama rezygnowała z podróży, na którą tak się cieszyła. Wszystkim było przykro, Annabelle musiała jednak przyznać, że choć czuje się dużo lepiej, to nie na tyle, by wybierać się w dwumiesięczną zagraniczną podróż. Wyjechali więc, mając jej zapewnienie, że zajmie się domem i ze wszystkim sobie poradzi. Ufali jej całkowicie. Nie musieli się martwić, że zachowa się nieodpowiedzialnie pod ich nieobecność. Gdy odprowadzała ich do doku Cunarda, nadrabiała miną, starając się zachować pogodny nastrój, ale w domu doskwierała jej sa-

motność. Wypełniała sobie czas czytaniem i praktycznymi zajęciami, które, jak wiedziała, sprawią przyjemność mamie. Dziergała na szydełku serwetki i sama zadbała o idealny stan najładniejszej bielizny pościelowej i obrusów. Nie czuła się dość dobrze, by wybierać się na wizyty, ale często odwiedzała ją najlepsza przyjaciółka, Hortensja. Przyjaźniły się od dziecka i obie debiutowały w tym samym roku. Hortie miała już kawalera. Annabelle założyła się z nią, że James oświadczy się jeszcze przed Wielkanocą. Jak się okazało, miała rację - przed tygodniem Hortie i James ogłosili oficjalnie swoje zaręczyny. Annabelle nie mogła się już doczekać, by powiedzieć o tym mamie; wrócić siedemnastego kwietnia, po czterodniowej podróży nowym transatlantykiem, który wypływał z Southampton. Dwa samotne, wypełnione tęsknotą miesiące dłużyły jej się nieznośnie, ale pozwoliły też całkowicie odzyskać zdrowie i czytać do woli. Każdą wolną chwilę spędzała w bibliotece ojca. Najbardziej lubiła biografie sławnych ludzi i rozprawy naukowe. Nie interesowały jej romantyczne powieści, którymi zaczytywały się matka i Hortensja - Annabelle podawała w wątpliwość wartość takiej literatury. Była ciekawa świata, który wciąż się zmieniał wraz z postępem cywilizacyjnym. Zawsze miała mnóstwo tematów do dyskusji z bratem i nawet on przyznawał, że często zaskakuje go, gdy mówi o czymś z imponującą znajomością rzeczy. Robert miał głowę do interesów i wielkie poczucie odpowiedzialności, uwielbiał towarzystwo, przyjęcia i spotkania z przyjaciółmi; Annabelle, która na pierwszy rzut oka zdawała się płochym podlotkiem, była nad wiek poważna. Czuła wciąż głód wiedzy, jej pasją były książki i nauki ścisłe. Biblioteka ojca, gdzie spędzała mnóstwo czasu, stała się jej ulubionym pokojem w domu.

Wieczorem czternastego kwietnia czytała do późna w łóżku, a następnego ranka spała wyjątkowo długo. Gdy wstała, umyła zęby i wyszczotkowała włosy, włożyła szlafrok i powoli zeszła na śniadanie. Dom wydał jej się dziwnie cichy; nie widziała nikogo ze służby. Zaszła do pokoju kredensowego i zobaczyła kilka osób pochylonych nad gazetą, którą szybko złożyli. Blanche, długoletnia gospodyni, płakała. Poczciwa kobieta miała miękkie serce i każda smutna historia o cierpiącym zwierzęciu czy dziecku doprowadzała ją do łez. Teraz też przeczytała coś, co ją wzruszyło. Annabelle uśmiechnęła się i przywitała ze wszystkimi, a wtedy William, kamerdyner, rozplakał się i wyszedł z pokoju.

- Na Boga, co się stało? - Spojrzała zdumiona na Blanche i pokojówki. One też miały łzy w oczach. - Co się dzieje? - Głos jej drżał. - Blanche, daj mi gazetę. - Gospodyni wahała się, ale młoda pani już chwyciła dziennik.

Parowiec transatlantycki, najbardziej luksusowy statek pasażerski świata, cud techniki „Titanic” zatonął, krzyczał tytuł na pierwszej stronie. Czytała bardziej ze zdumieniem niż z przerażeniem. Podano niewiele szczegółów, tyle tylko, że „Titanic” zatonął w nocy; gdy zaczął nabierać wody, pasażerów rozmieszczono w szalupach, a na miejsce katastrofy pospieszyła „Carpathia”, statek linii Cunarda. Nie napisano nic o liczbie ofiar czy ocalałych, ale wydawało się oczywiste, że w przypadku nowoczesnej jednostki, o najwyższym stopniu bezpieczeństwa, pasażerów ewakuowano w porę i wszyscy się uratowali. Ogromny statek uderzył w górę lodową i choć był uważany za niezatopialny, poszedł na dno kilka godzin później. Niemożliwe stało się faktem.

Annabelle natychmiast zaczęła działać. Poleciała Blanche, żeby szofer podjechał pod dom. Chciała jechać do biura linii White Star, żeby dowiedzieć się czegoś o rodzinie. Nie przyszło jej nawet do głowy, że setki innych osób zrobią to samo. Popędziła na górę, na chybił trafił wyciągnęła z szafy prostą sukienkę z szarej wełny, włożyła pończochy i buty, złapała płaszcz, torebkę i zbiegła na dół, nie tracąc czasu na upinanie fryzury. Z rozwianymi włosami, trzaskając drzwiami, wypadła na podjazd. W domu panowała grobowa cisza, jakby wszyscy już obchodzili żałobę. Gdy Thomas, szofer ojca, wiozł ją do siedziby White Star na Broadwayu, Annabelle zmagiła się w milczeniu z ogarniającym ją przerażeniem.

Kiedy zobaczyła gazeciarza, który wykrzykiwał najnowsze wiadomości, wymachując dziennikiem, kazała Thomasowi zatrzymać się i kupić gazetę. Pisano, że liczba ofiar jest nieznana, a „Carpathia” podaje przez radio listę ocalałych. Annabelle czytała ze łzami w oczach. Jak to się mogło stać?

Największy, najbardziej nowoczesny transatlantyk. To był jego dziewiczy rejs. Jak to możliwe, że taki statek zatonął? I co się stało z jej rodzicami, bratem i setkami innych ludzi, którzy nim płynęli?

Przed biurem White Star kłębił się tłum. Jak zdoła przepchnąć się do wejścia? Barczysty szofer torował jej drogę, ale i tak dostała się do środka dopiero po godzinie. Powiedziała urzędnikowi, że jej brat i ro-

dzice byli pasażerami pierwszej klasy. Roztrzęsiony młody kancelista zapisał jej nazwisko, inni pracownicy biura wyszli na zewnątrz, by wywiesić listy z nazwiskami uratowanych. Rozdawali też kopie list. Przesyłał je na bieżąco radiooperator „Carpathii”, któremu asystował operator z „Titanica”, ocalały z katastrofy. Na górze list wypisano grubymi literami, że spis wciąż jest niekompletny, by dać nadzieję tym, którzy nie mogli odnaleźć nazwisk swoich bliskich.

Annabelle trzymała listę w drżących dłoniach, ledwie mogła czytać przez łzy. W końcu, prawie na samym dole, dostrzegła pojedyncze nazwisko. Consuela Worthington, pasażerka pierwszej klasy. Ojca i brata nie było. Żeby się uspokoić, powtarzała sobie, że lista jest niekompletna. W ogóle zdumiewająco krótka.

- Kiedy będziecie coś wiedzieć o pozostałych? - zapytała urzędnika.

- Mamy nadzieję, że najdalej w ciągu kilku godzin - mówił głośno, by usłyszała go przez krzyki ludzi za jej plecami. Tłum gęstniał, zapełniał cały plac i cisnął się do drzwi biura. Wokół panowały chaos i panika, przerażenie i rozpacz.

- Przecież wciąż jeszcze przyplływają szalupy z ludźmi. - Annabelle pokrzepiała się nadzieją. Matka żyje, choć Bóg jeden wie, w jakim jest stanie. Ojciec i Robert też na pewno przeżyli.

- Ostatnich wzięto na pokład o wpół do dziewiątej rano. - Urzędnik spuścił wzrok. Mówiono mu o ciałach unoszących się w wodzie, o pasażerach błagających o ratunek przed śmiercią, ale nie do niego należało przekazywanie takich koszmarnych wieści i nie miał odwagi powiedzieć ludziom wprost, że ofiary liczone są w setkach. Na razie lista rozbitków zawierała sześćset nazwisk, ale z „Carpathii” nadeszła informacja, że na pokładzie znajduje się ponad siedemset osób, tyle że niektóre pozostają wciąż anonimowe. Jeśli rzeczywiście tak było, znaczy to, że ponad tysiąc pasażerów i członków załogi straciło życie. On sam nie chciał w to uwierzyć. - Powinniśmy znać resztę nazwisk za kilka godzin - powiedział ze współczuciem.

- Dawaj, muszę sprawdzić! - wrzasnął jakiś zdesperowany mężczyzna; zagroził, że go uderzy, jeśli nie dostanie listy.

Urzędnik podał mu ją natychmiast. Ludzie byli rozgorączkowani, wystraszeni, emocje wymykały się spod kontroli, nie wytrzymywali napięcia w oczekiwaniu na informacje i słowa otuchy. W końcu Annabelle za namową Thomasa wróciła do samochodu. Szofer zaproponował, że

zawiezie ją do domu, ale wolała zostać na miejscu i sprawdzić spis, gdy tylko zostanie uzupełniony.

Siedziała z zamkniętymi oczami, myśląc o ojcu i bracie; zaklinała ich, by żyli, i dziękowała Bogu, że na liście znalazło się chociaż nazwisko matki. Od rana nic nie jadła i nie piła. Co godzinę udawała się z Thomasem do biura, żeby spytać, czy wiadomo już coś więcej. O piątej po południu powiedziano im, że lista ocalałych jest kompletna, tylko kilkorga dzieci nie udało się jeszcze zidentyfikować. Wszyscy wzięci na pokład przez „Carpathię” znajdowali się na liście.

- Czy żaden inny statek nie ratował rozbitków? - zapytał ktoś. Urzędnik w milczeniu pokręcił głową. Choć na miejscu były

inne jednostki, tylko na pokładzie „Carpathii” znalazły się żywe osoby, w większości z łodzi ratunkowych i te, które udało się wyciągnąć z wody. Zanim nadeszła pomoc, jedynie nieliczni zdołali przeżyć w lodowatym Atlantyku.

Annabelle jeszcze raz sprawdziła listę. Na „Titanicu” było tysiąc trzysta szesnastu pasażerów i osiemset dziewięćdziesięciu jeden członków załogi. Uratowano siedemset jedenaście osób. Znow dostrzegła nazwisko matki, ale żadnych innych Worthingtonów - ani Arthura, ani Roberta; mogła się tylko modlić, żeby to okazało się pomyłką. Może ich przeoczono albo stracili przytomność i nie byli w stanie podać nazwisk. Poinformowano, że „Carpathia” ma zawinąć do Nowego Jorku za trzy dni, osiemnastego kwietnia. Annabelle nie chciała wierzyć, że jej brat i ojciec nie żyją. To po prostu niemożliwe.

Kiedy wróciła do domu, Hortie już na nią czekała. Jej matka też przyszła pocieszyć Annabelle i zaproponowała, by Hortie została na całe trzy dni, aż do powrotu pani Worthington. Pierwszej nocy Annabelle nie zmrużyła oka. Przyjaciółki niewiele rozmawiały; trzymały się za ręce i płakały. Hortie próbowała dodawać jej otuchy, ale żadne słowa nie mogły złagodzić bólu. Cały świat był wstrząśnięty informacją o zatonięciu „Titanica”. Ogrom tragedii nie mieścił się ludziom w głowach.

- Dzięki Bogu, że nie wybrałaś się w tę podróż - szepnęła Hortie, gdy wieczorem leżały w łóżku. Annabelle tylko skinęła głową. Dręczyło ją poczucie winy, że została w domu, że namawiała rodzinę do wyjazdu. Zastanawiała się, czy będąc z nimi, mogłaby w czymkolwiek pomóc. Może zdołałyby uratować chociaż jedną z osób jej najbliższych albo kogoś innego.

Przez kolejne trzy dni dziewczęta snuły się niczym duchy po domu, w którym życie zamarło; panował żalobny nastrój, wszyscy płakali. Annabelle nie mogła jeść ani spać. Hortie była jedyną osobą, którą chciała widzieć i z którą chciała rozmawiać. Uległa jej namowom i wybrały się na spacer, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Towarzyszył im James, narzeczony Hortie; był wstrząśnięty tym, co się stało i szczerze współczuł Annabelle. Całe miasto i cały świat nie mówiły o niczym innym, jak tylko o „Titanicu”.

Z „Carpathii” docierało niewiele informacji; przysłano potwierdzenie, że „Titanic” rzeczywiście zatonął i że lista ocalałych jest kompletna i ostateczna. Nie wpisano na nią tylko kilkorga małych dzieci; te miały zostać zidentyfikowane przez krewnych w porcie, jeśli pochodziły z Ameryki. Jeśli nie, miały być przewiezione do Cherbourga i Southampton, gdzie zapewne czekały ich zrozpaczone rodziny. Na pokładzie „Carpathii” była szóstka malców, do których nie przyznawał się nikt z ocalałych. Obcy ludzie opiekowali się nimi w zastępstwie rodziców. Ale, jak zapewniano, wszyscy chorzy czy ranni znaleźli się na liście. Annabelle nie wierzyła w to, na pewno zaszła jakaś pomyłka, myślała sobie, gdy wieczorem osiemnastego kwietnia Thomas wiózł ją do doku linii Cunarda. Hortie nie towarzyszyła przyjaciółce, spotkanie matki i córki to była tylko ich chwila, nie chciała się narzucać. Annabelle poszła więc sama na pirs 54.

„Carpathia” wpłynęła do portu za pomocą holowników po dziewiątej wieczorem. Annabelle, stojąc w tłumie, wpatrywała się w statek, a serce łomotało jej jak oszalałe. Ludzie byli zdezorientowani -jednostka, zamiast do wyznaczonego pirsu, kierowała się w stronę doku White Star i pirsów 59 i 60. Tam powoli opuszczono szalupy z „Titanica” - tylko tyle po nim pozostało - by zwrócić je liniom White Star. Fotografowie i reporterzy stłoczeni we flotylii łódek usiłowali robić zdjęcia szalup i pasażerów „Titanica”, stojących przy re-lingu, wrzeszczeli na siebie, bili się o najlepsze miejsca i ujęcia, podczas gdy krewni rozbitków czekali w pełnym napięcia milczeniu na tych pierwszych, którzy zejną z pokładu. Wszystko to nadawało pełnej dramatyzmu scenie groteskowy charakter.

Statek przyplłynął powoli do swojego doku i pirsu 54, dokerzy Cunarda szybko uwiązali cumy. I wreszcie opuszczono trap. W rozdzierającej serce, pełnej szacunku ciszy rozbitkowie z „Titanica” jako pierwsi wyszli na brzeg. Pasażerowie „Carpathii” obejmowali

ich i ściskali im ręce. Był płacz, padało niewiele słów, gdy jeden po drugim ocaleni schodzili ze statku - z twarzami mokrymi od łez, niektórzy wciąż w szoku po tym, co przeżyli tamtej strasznej nocy. Nieprędko zapomną rozpaczliwe krzyki i jęki ludzi skazanych na straszną śmierć, daremne błagania umierających o ratunek. Ci, którzy siedzieli w szalupach, bali się wyciągać nieszczęśników w obawie, że przewrócą łódzie i zginie jeszcze więcej osób. Patrzyli bezradnie, jak martwe ciała unoszące się na falach pochłania morze.

Z pokładu „Carpathii” schodziły matki z małymi dziećmi, kobiety w sukniach balowych, które miały na sobie tragicznego wieczoru. Nawet nie pomyślały, by się przebrać; przez ostatnie trzy dni na statku siedziały skulone w salonach i jadalniach, udostępnionych rozbitkom. Pasażerowie i załoga „Carpathii” robili co w ich mocy, żeby dać ofiarom katastrofy poczucie bezpieczeństwa, lecz rozbitkowie nie potrafili wyjść z szoku.

Annabelle wstrzymywała oddech, póki nie ujrzała matki wchodzącej na trap. Consuela miała kamienną twarz i szła z podniesioną głową - pełna godności w swojej żałobie. Annabelle wyczytała prawdę z jej oczu. Mamie nikt nie towarzyszył. Wypatrywała znajomych postaci za plecami matki, ale Consuela była sama w tym tłumie cudem ocalałych, głównie kobiet i nielicznych mężczyzn, którzy sprawiali wrażenie jakby zawstydzonych, gdy schodzili na brzeg. Flesze błyskały bez ustanku, reporterzy starali się uwiecznić tyle powitań, ile zdołali. I nagle matka stanęła tuż przed nią, a Annabelle wzięła ją w ramiona i uściskała tak mocno, że przez chwilę nie mogły oddychać. Obie szlochały, tuląc się do siebie. Objęła matkę ramieniem i ruszyły powoli do samochodu. Padał deszcz, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Consuela była ubrana w za dużą suknię z szorstkiej wełny, wizytowe pantofle i wciąż nosiła brylantowy naszyjnik i kolczyki -z balu, który odbywał się w noc katastrofy. Nie miała płaszcza, Thomas pobiegł więc do auta po koc, żeby ją okryć.

Ledwie oddaliły się od trapu, Annabelle zadała pytanie, które musiała zadać.

Właściwie знаła już odpowiedź, ale nie mogła znieść niepewności.

- Robert i papa... ? - szepnęła. Consuela pokręciła tylko głową i rozplakała się.

Annabelle objęła ją i poprowadziła do auta. Matka nagle wydała jej się taka krucha, o wiele starsza. W wieku czterdziestu trzech lat została wdową i wyglądała jak staruszka, gdy Thomas

pomagał jej wsiąść do samochodu i otulał puszystym kocem. Consuela spojrziała na niego i podziękowała cicho przez łzy. W drodze powrotnej matka i córka tuliły się do siebie w milczeniu. Consuela nie odezwała się więcej, dopóki nie dojechali do domu.

Cała służba czekała we frontowym holu, żeby powitać panią. Każdy chciał ją uściskać, pocieszyć, wyrazić swój żal. Po godzinie na drzwiach zawisł czarny wieniec. Tej nocy pojawiło się wiele takich w Nowym Jorku, gdy było już wiadomo, kto nie powrócił z tej podróży.

Annabelle pomogła Blanche wykąpać matkę i ubrać w koszulę nocną. Gospodyni opiekowała się panią jak małym dzieckiem. Zajmowała się nią, kiedy Consuela była panienką, potem gdy wyszła za mąż, asystowała przy narodzinach Roberta i Annabelle. A teraz przyszło do tego. Co chwila ocierając oczy, Blanche poprawiała poduszki za plecami pani, gdy położyły ją już do łóżka. Przyniosła tacę z herbatą, owsianką, grzanką, rosółem i ulubionymi ciastkami Consueli, ale ta nie wzięła nic do ust. Siedziała tylko, patrząc na gospodynię i córkę, niezdolna wypowiedzieć słowa.

Tej nocy Annabelle spała w jej łóżku i w końcu Consuela, drżąc, opowiedziała jej, co się stało. Była w szalupie numer cztery, ze swoją kuzynką Madeleine Astor, której mąż też zginął. Łódź, zapełniona tylko w połowie, mogła zabrać jeszcze parę osób, ale Arthur i Robert nie chcieli wsiąść. Zostali na pokładzie, żeby ratować innych, przede wszystkim kobiety i dzieci.

- Zapłacili za to życiem - powiedziała Consuela z rozpaczą. Do szalupy wsiadło wielu znajomych: Widenersowie, Thayerowie i Lucille Carter. Ale Robert i Arthur uparli się pomagać w ewakuacji. Consuela opowiadała też o Thomasie Andrewsie, jednym z bohaterów tej strasznej nocy, i zapewniła Annabelle, że jej ojciec i brat zachowali się równie dzielnie. Teraz jednak marna to była pociecha.

Rozmawiały wiele godzin. Consuela przeżywała na nowo ostatnie chwile na statku, a jej córka słuchała, trzymając ją w ramionach i płacząc. Dopiero gdy świt zaczął zaglądać do okien, matka zasnęła.

Rozdział 2

Tego tygodnia w Nowym Jorku i innych miastach odbyły się setki pogrzebów. Gazety pełne były przejmujących historii i dramatycznych opowieści. Pojawiły się bulwersujące informacje: z powodu paniki i złej organizacji w szalupach pozostało sporo niewykorzystanych miejsc; mówiono też, że łodzie przysługiwały tylko pasażerom pierwszej klasy. Nie do końca zostało wyjaśnione, dlaczego „Tiranie” poszedł na dno. Gdy uderzył w górę lodową, wciąż można było go uratować przed zatonięciem. Z konsternacją przyjęto wiadomość, iż statek, mimo ostrzeżeń, że na trasie znajdują się góry lodowe, nie zmniejszył szybkości i nie zboczył z kursu. Szczęście, że na „Carpat-hii” odebrano przez radio rozpaczliwe wołanie o pomoc - gdyby nie to, być może nikt by nie przeżył. Kapitan statku stał się bohaterem. Doktor stwierdził, że stan zdrowia Consueli jest zdumiewająco dobry. Była jednak w depresji. Wydawało się, iż uszła z niej cała chęć do życia, na Annabelle spadł więc obowiązek urządzenia pogrzebu ojca i brata. Uroczysta msza żałobna odbyła się w ulubionym kościele ojca, Świętej Trójcy. Zmarłych żegnały setki ludzi. Obie trumny były puste. Z tysiąca pięciuset siedemnastu ofiar odnaleziono ledwie pięćdziesiąt jeden ciał. Pozostałe spoczęły cicho w morskim grobie.

Po pogrzebie przyszło do domu kilkuset gości, na poczęstunek. Niektóre stypy bywały niemal pogodne, ale nie ta. Robert miał ledwie dwadzieścia cztery lata, a ojciec czterdzieści sześć - obaj w kwiecie wieku i zginęli tak tragicznie, bezsensownie. Annabelle i Consuelę spowijała posępna czerń, od stóp do głów. Ile z mojej matki pozostało w tym milczącym cieniu, zastanawiała się Annabelle, patrząc na

złamaną cierpieniem kobietę. Zdawało się, że jej dusza umarła wraz z mężem i synem. Annabelle poważnie niepokoiła się o Consuełę.

Z tym większą ulgą przyjęła słowa mamy, która dwa tygodnie po pogrzebie oznajmiła przy śniadaniu:

- Chcę wrócić do pracy w szpitalu, oczywiście jako wolontariuszka. Dobrze mi zrobi taka odmiana, zajmę się chorymi.

Annabelle doskonale ją rozumiała.

- Jesteś pewna, że masz na to dość sił? - zapytała, spoglądając na nią z troską. Obawiała się o jej zdrowie, żeby się nie przeziębiła, choć był początek maja i zrobiło się już dość ciepło.

- Nic mi nie będzie. - Consuela uśmiechnęła się smutno. Czowała się na tyle dobrze, na ile mogła się czuć, przeżywając wielką tragedię.

Po południu matka i córka, ubrane w czarne suknie i białe szpitalne fartuchy, pojechały do Szpitala Świętego Wincentego, gdzie Consuela od lat pomagała przy chorych. Annabelle towarzyszyła jej, odkąd skończyła piętnaście lat. Opiekowały się ubogimi pacjentami, przeważnie z ranami i urazami. Consuela miała dobre serce i życzliwe podejście do chorych, Annabelle od zawsze fascynował medyczny aspekt ich pracy i sięgała często po książki specjalistyczne, dotyczące różnych schorzeń i sposobów ich leczenia. Bogatsza o tę wiedzę, znała procedury stosowane w szpitalu. Otwarta rana nie budziła w niej obrzydzenia, nie mdlała na widok krwi, w przeciwieństwie do Hortie, która zasłabła, gdy jeden jedyny raz przyszła z nią do szpitala. Im trudniejszy przypadek, tym ciekawszy jej się wydawał. Consuela wolała podawać posiłki, Annabelle asystowała pielęgniarce i jeśli dostała zgodę, zmieniała opatrunki, oczyszczała rany. Pacjenci twierdzili, że ma wyjątkowo delikatny dotyk.

Wieczorem wróciły do domu wykończone, ale nie zamierzały rezygnować z pracy i pod koniec tygodnia znów poszły do szpitala. Pozwalało im to przynajmniej przez chwilę nie myśleć o ojcu

1 Robercie. Ta wiosna miała być najbardziej ekscytującym okresem w życiu Annabelle, a zmieniła się nagle w czas samotności i żałoby. Przez rok nie mogły przyjmować zaproszeń i to bardzo martwiło Consuełę. Zdawała sobie sprawę, że gdy Annabelle będzie siedzieć w domu okutana w ponurą czerń, inne młode kobiety, które właśnie weszły w dorosły świat, zdążą się zaręczyć. Bała się, że rodzinna

tragedia zaważy na przyszłości córki. Nic jednak nie mogły na to poradzić. Sądząc po zachowaniu Annabelle, dziewczyna raczej nie myślała o tym, co ją omija. Wstrząśnięta stratą ojca i brata, nie zaprzętała sobie głowy niczym innym, nie odczuwała braku życia towarzyskiego.

Hortie często przychodziła z wizytą, a w połowie maja wraz z przyjaciółką po cichu świętowała jej dziewiętnaste urodziny. Podczas urodzinowego lunchu Consuela, bardzo przygnębiona, napomknęła, że ona sama wyszła za mąż, mając osiemnaście lat, tuż po debiucie, a w wieku Annabelle urodziła już Roberta. Myśl o synu znów doprowadziła ją do łez, zostawiła więc dziewczęta w ogrodzie i poszła na górę, by się położyć.

- Bardzo mi żal twojej mamy - powiedziała Hortie. - I ciebie też. Współczuję wam z całego serca, Belle. Nie wiem, jak ja bym to zniosła. - Ciągłe pełna obaw, że mówiąc o swoim szczęściu, może dotknąć przyjaciółkę, dopiero po dwóch godzinach przyznała się, że ustalili już z Jamesem datę ślubu na listopad i planują huczne wesele. Annabelle była zachwycona nowiną. - Tobie naprawdę nie przeszkadza, że nie możesz bywać? - Hortie załamałaby się, gdyby musiała tkwić w domu przez cały rok, podziwiała więc Annabelle, że tak dzielnie to znosi.

- Nie, nie przeszkadza mi. A dopóki mamie chce się pracować w szpitalu, i ja mam zajęcie. - Przez ten krótki miesiąc od śmierci ojca i brata, Annabelle jakby przybyło lat, wydożała.

- Faj, nie mów mi o szpitalu. - Hortie przewróciła oczami. - Niedobrze mi się robi. - Ale wiedziała, że ta praca pasjonuje przyjaciółkę. - Wybieracie się w tym roku do Newport? - Worthingtonowie mieli piękny letni dom na Rhode Island, po sąsiedzku z Astorami.

- Mama mówi, że tak. Może mogłybyśmy pojechać wcześniej, jeszcze w czerwcu, zanim zacznie się sezon. Na pewno dobrze by jej to zrobiło. - Teraz myślała tylko o matce, nic więcej się nie liczyło. Tymczasem Hortie planowała wesele, wybierała się na przyjęcia, i miała narzeczonego, w którym była zakochana do szaleństwa. Podobnie mogło wyglądać jej życie, ale los chciał inaczej. Świat Annabelle zmienił się na zawsze.

- Przynajmniej będziemy razem w Newport - powiedziała radośnie Hortie. Obie uwielbiały spacerować po plaży i pływać, kiedy tylko matki im na to pozwalały.

Przez chwilę rozmawiały jeszcze o planowanym weselu, potem Hortie wyszła. Dla Annabelle były to wyjątkowo smutne i ciche urodziny.

Jak należało się spodziewać, przez kilka tygodni po pogrzebie Consuela i Annabelle przyjmowały wizyty kondolencyjne. Zjawili się koledzy Roberta, kilka starszych wdów, dwóch pracowników banku Arthura, których dobrze znały, i trzeci, którego Consuela spotkała kilka razy i bardzo polubiła. Josiah Millbank, spokojny, o miłym obejściu, miał trzydzieści osiem lat i cieszył się szacunkiem w banku. Opowiedział Consueli kilka historyjek o Arthurze, których wcześniej nie słyszała i które szczerze ją rozbawiły. Nie spodziewała się, że ta wizyta sprawi jej tyle przyjemności. Rozmawiali już prawie godzinę, gdy wróciła Annabelle po przejażdżce z Hortie. Pamiętała, że spotkali się już kiedyś, ale nie znała go zbyt dobrze. Należał raczej do pokolenia ojca niż jej, był czternaście lat starszy od Roberta, więc choć widzieli się kilka razy na przyjęciach, nie mieli ze sobą nic wspólnego. Ale, podobnie jak matkę, Annabelle ujęła życzliwość Josiaha i dobre maniery, gdy również jej złożył kondolencje.

Pan Millbank wspomniał, że jak co roku wybiera się w lipcu do Newport, gdzie miał niewielki, ale wygodny dom. Pochodził z Bostonu, z rodziny równie szanowanej jak Worthingtonowie i bodaj jeszcze zamożniejszej, żył jednak skromnie i nigdy nie afiszował się majątkiem. Obiecał, że odwiedzi obie panie w Newport, na co Consuela przystała z radością. Gdy wyszedł, Annabelle zauważyła piękny bukiet białego bzu, który służąca wstawiła do wazonu.

- To naprawdę uroczy człowiek - mówiła Consuela, patrząc z podziwem na kwiaty.
- Twój ojciec bardzo go lubił i teraz rozumiem, dlaczego. Ciekawe, czemu nigdy się nie ożenił.

- Niektórzy się nie żenią, i tyle. Nie każdy musi mieć żonę czy męża - odparła z uśmiechem Annabelle. Pomyślała nawet, iż wcale niewykluczone, że i ona dołączy do takich osób. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby teraz zostawić mamę i, założywszy rodzinę, wyprowadzić się z domu. A zresztą brak męża nie wydawał jej się końcem świata. Dla Hortie staropanieństwo byłoby wielką tragedią - ale nie dla niej. Consuela, kompletnie rozbita, potrzebowała wsparcia, Annabelle czuła się odpowiedzialna za nią i nie żałowała ani przez chwilę, że poświęca matce tak dużo czasu. Opieka nad Consuela nadawała jej życiu sens.

Ale matka jak zwykle trafnie odczytała jej myśli.

- Jeśli próbujesz mi powiedzieć, że nie chcesz wychodzić za męża, to natychmiast wybij to sobie z głowy. Odbędziemy roczną żałobę, jak należy, a potem znajdziemy ci męża. Ojciec na pewno tego by sobie życzył.

Annabelle spojrzała jej w oczy.

- Papa nie chciałby, żebym zostawiła mamę samą. Consuela pokręciła głową.

- Nonsens, i dobrze o tym wiesz. Doskonale potrafię sama się o siebie zatroszczyć.

- Ale mówiąc to, miała oczy pełne łez.

- Daj spokój, nie martw się na zapas - stwierdziła Annabelle pojednawczo i wyszła, by poprosić służącą o zanieśnięcie tacy z podwieczorkiem do sypialni matki. Kiedy wróciła, otoczyła matkę ramieniem, zaprowadziła do sypialni na drzemkę i ułożyła na łóżku.

- Jesteś dla mnie o wiele za dobra, moja kochana - powiedziała Consuela, trochę zawstydzona.

- Nic podobnego - odparła pogodnie Annabelle. Była ostatnim promieniem słońca, jaki pozostał w tym domu. Każda spędzona z nią chwila przynosiła radość matce. Zostały same i nie miały nikogo prócz siebie.

Przykryła Consuelę lekkim szalem i zeszła na dół, żeby poczytać w ogrodzie.

Miała nadzieję, że jutro mama poczuje się lepiej i pójdą do szpitala. Praca tam była antidotum na ból i smutek.

Annabelle nie mogła się doczekać wyjazdu na wakacje. Była przekonana, że zmiana otoczenia dobrze im zrobi.

Rozdział 3

Wyjechały do Newport już w czerwcu. O tej porze roku było tam pięknie. Służba, jak zawsze, wcześniej przygotowała dom na ich przyjazd. Zwykle sezon wakacyjny obfitował w imprezy towarzyskie, ale w tym roku wiele się zmieniło. Oczywiście przyjmowały wizyty, ale dwa miesiące po śmierci w rodzinie nie mogły pozwolić sobie na żadne wyjścia. Na drzwiach, tak jak w Nowym Jorku, zawieszono czarne żałobne wstęgi.

W podobnej sytuacji było kilka rodzin, w tym Astorowie. Madeleine Astor, która w katastrofie „Titanica” straciła męża Johna Jacoba, w sierpniu spodziewała się dziecka. Morska tragedia wstrząsnęła środowiskiem nowojorskiej arystokracji. Na statku znajdowało się wiele osób z towarzystwa. Opowieści o nieudolnie prowadzonej ewakuacji zbulwersowały opinię publiczną. Mówiono też, że zginęli prawie wszyscy pasażerowie trzeciej klasy. Zostało wszczęte śledztwo w tej sprawie.

W czerwcu Newport wyglądało jak wymarłe, ale na początku lipca bostończycy i nowojorczyki zaczęli zjeżdżać do swoich „chatek” - tak nazywano domy, które gdzie indziej uznano by za pałace. Standardowa chatka miała salę balową, kryształowe żyrandole, marmurowe podłogi, bezcenne antyczne meble i była otoczona ogrodem z wyjściem na plażę. Sezonową społeczność stanowiła śmietanka towarzyska Wschodniego Wybrzeża. Worthingtonowie czuli się tu wspaniale. Ich chatka należała do najbardziej okazałych.

Annabelle przestała się nudzić, gdy tylko zjawiła się Hortie. Wymykały się razem nad morze, chodziły na spacer, urządzały pikniki na trawniku w ogrodzie, a narzeczony Hortie, James, często przyłączał

się do nich. Czasem przyprowadzał nawet znajomych. Annabelle bawiła się świetnie podczas tych wizyt, a dopóki nie chodziła na przyjęcia, Consuela nie miała nic przeciwko spotkaniom z młodymi ludźmi. Uważała, że dziewczynie należy się trochę rozrywki, a poza tym liczyła po cichu, iż któryś z przyjaciół Jamesa czy dawnych kolegów Roberta zainteresuje się Annabelle. Ciągłe martwiła się, że rok żałoby bardzo zaważy na przyszłości córki. Od świątecznego sezonu, kiedy jej rówieśnice zadebiutowały w towarzystwie, już sześć zdążyło się zaręczyć. Po tych dwóch miesiącach Annabelle wydawała się starsza i bardziej dojrzała niż dziewczęta w jej wieku. To mogło odstraszyć młodych mężczyzn, a Consuela ponad wszystko pragnęła wydać córkę za mąż. Annabelle wciąż zdawała się tym nie przejmować - z radością spotykała się z Hortie i przyjmowała gości, ale z żadnym młodzieńcem nie nawiązała bliższej znajomości.

Josiah Millbank, który odwiedzał je często, zawsze przynosił kwiaty albo jakiś drobny upominek, owoce czy, słodczyce i rozmawiali godzinami z Consuelą spędzali zwykle czas, siedząc w bujanych fotelach na werandzie, sami lub w towarzystwie Annabelle.

- Chyba mu się podobasz - powiedziała, uśmiechając się do matki.

- Nie bądź niemądra. - Consuela zaczerwieniła się. Nie w głowie jej byli zalotnicy, wiedziała, że pozostanie wierna na zawsze Arthurowi. Małżeństwa pragnęła dla Annabelle. - Po prostu sympatyczny człowiek okazuje nam wiele serdeczności - dodała stanowczo. - A zresztą, jest młodszy ode mnie i jeśli już kimś się interesuje, to raczej tobą. - Choć musiała przyznać, że nic o tym nie świadczyło. Josiah równie chętnie rozmawiał z nią, jak i z Annabelle, nigdy też nie pozwalał sobie na flirt. Był po prostu miły.

- Wcale o mnie nie zabiega. A między wami jest tylko pięć lat różnicy. Myślę, że to bardzo przyzwoity człowiek. I ma dość lat, by być moim ojcem.

- Wiele dziewcząt wychodzi za mężczyzn w jego wieku. Na litość boską, nie jest taki stary. O ile dobrze pamiętam, ma trzydzieści osiem lat.

- Mimo wszystko lepiej pasuje do ciebie - stwierdziła z rozbawieniem Annabelle. Był gorący, słoneczny dzień i dziewczęta chciały pójść popływać; miały trochę czasu tylko dla siebie, bo później James zapowie-

dział się z wizytą. Wieczorem u Schuylerów urządzano huczne przyjęcie, na które wybierali się Hortie i James. Annabelle oczywiście nie mogła pójść. Nie przyszłoby jej nawet do głowy prosić o pozwolenie, nie chciała denerwować matki.

Ale tego wieczoru, siedząc na werandzie, słyszały muzykę i gwar dochodzące z oddali. Były nawet fajerwerki; Consuela wiedziała, że to przyjęcie z okazji zaręczyn jednej z córek państwa Schuyler i serce bolało ją na myśl, co traci Annabelle.

Kiedy późnym wieczorem zjawił się Millbank i przyniósł im po kawałku tortu z przyjęcia, były bardzo zaskoczone takim miłym gestem. Josiah tym razem nie zabawił długo; wyjaśnił, że spieszy się, bo w domu czeka na niego gość, ale obiecał, że wkrótce znów do nich zajrzy. Nawet Annabelle wzruszyła jego serdeczność. Nie żywiła do Josiaha żadnych romantycznych uczuć; czuła się trochę tak, jakby zastępował jej zmarłego brata. Lubiała z nim rozmawiać, a on żartował sobie z niej tak samo, jak kiedyś Robert, za którym tak bardzo tęskniła.

- Ciekawe, czemu nie zabrał swojego gościa na przyjęcie - zastanawiała się głośno Consuela, gdy odnosiły szklanki i dzbanek po lemoniadzie do pokoju kredensowego.

- Może to ktoś nieodpowiedni - zażartowała Annabelle. - Kobieta, z którą nie może się pokazać. Może ma kochankę - dodała ze śmiechem. Nawet mama się roześmiała. Biorąc pod uwagę doskonale wychowanie i maniery Josiaha, wydawało się to nieprawdopodobne. Zresztą, gdyby tak było, w ogóle nie wspomniałby o swoim gościu.

- To twoje pomysły są nieodpowiednie - skarciła córkę. Gawędziły wesoło, wchodząc na górę. Jak to miło ze strony Josiaha, że pomyślał o nich i przyniósł tort z przyjęcia. Annabelle chyba po raz pierwszy żałowała, że nie może bywać poza domem. Na przyjęciu byli wszyscy jej przyjaciele, a sądząc z odgłosów i fajerwerków, bawiono się świetnie. Musiała jednak pogodzić się z faktem, że czeka ją bardzo spokojne lato, gdy jedyną rozrywkę będą stanowić wizyty Hortie, Jamesa i innych znajomych.

Josiah pojawił się już następnego dnia. Consuela zaprosiła go na piknik razem z Annabelle i Hortie. Najwyraźniej czuł się zupełnie swobodnie w towarzystwie obu dziewcząt, choć Hortie chichotała i czasem mówiła różne niemądre rzeczy.

Powiedział, że ma przyrodnią siostrę w ich wieku, z drugiego małżeństwa ojca, który młodo został wdowcem.

Annabelle nie potrafiła sobie wyobrazić Hortie jako mężatki, a przecież miała nią zostać już za cztery miesiące. Była taka dziecinna - ale szalała za Jamesem, i często, kiedy były same, robiła pikantne aluzje na temat nocy poślubnej i miesiąca miodowego, na co Annabelle wznosiła oczy do góry. Na szczęście nie powiedziała nic przy Josiahu, który wspomniał, że jego przyrodnia siostra wyszła za mąż w kwietniu i właśnie spodziewa się dziecka. Wydawał się doskonale obeznany z życiem, marzeniami i zainteresowaniami młodych dziewcząt i rozmowa z nim sprawiała im obu ogromną przyjemność.

Wspomniał również o swoim gościu. Okazało się, że to jego kolega z Harvardu, który odwiedzał go każdego lata. Był to ponoć pracowity, spokojny młody człowiek, unikający balów i przyjęć.

Josiah został do późnego popołudnia, a gdy Hortie wyszła, odprowadził Annabelle do domu. Matka siedziała na werandzie, gawędząc z przyjaciółką. Wyglądało na to, że miło spędza czas. Odwiedzało je mnóstwo osób, wokół czuło się tętniące życie i Annabelle, której wesoła atmosfera Newport szczególnie odpowiadała, z niechęcią myślała o powrocie do Nowego Jorku, gdzie jedyną rozrywką był szpital. Gdy opowiedziała Josiahowi o tym, jak bardzo lubi opiekować się chorymi, zaczął sobie z niej żartować.

- Zapewne chce pani zostać pielęgniarką, kiedy pani dorośnie - stwierdził, doskonale wiedząc, że nic takiego nigdy nie nastąpi. Annabelle mogła być tylko wolontariuszką, co nie przeszkadzało jej pochłaniać medycznych lektur. Była to jej prawdziwa pasja.

- Prawdę mówiąc - odparła poważnie, nie bała się rozmawiać z nim szczerze - wolałabym być lekarzem. - Czuła, że może mu powiedzieć wszystko, a on jej nie wyśmiej. W ciągu ostatnich miesięcy stał się jej prawdziwym przyjacielem. Tym razem jednak zrobił zdziwioną minę. Zaskoczyła go. Była o wiele poważniejszą osobą, niż sądził, a wyraz jej twarzy mówił, że wcale nie żartowała.

- Ma pani wielkie ambicje - odparł, poważniejąc. - Ale czy to się pani uda?

- Gdyby tylko to było możliwe... Mama nigdy mi na to nie pozwoli. Czytam każdą książkę o medycynie i anatomii, jaka wpadnie mi w ręce. Nie rozumiem wszystkiego, co jest w nich napisane, ale dowiedziałam się wielu interesujących rzeczy. Uważam, że medycyna jest fascynująca, a obecnie jest o wiele więcej kobiet lekarzy niż dawniej. - Kobiety przyjmowano na studia medyczne już od sześćdziesiąt-

sięciu lat, ale i tak Josiah nie mógł sobie wyobrazić Annabelle w roli lekarki i podejrzewał, że jej matka rzeczywiście do tego nie dopuści. Consuela pragnęła dla córki tradycyjnego życia - męża i dzieci - stąd huczny debiut, jaki dla niej urządziła.

- Ja nigdy nie chciałem być lekarzem - wyznał. - Kiedy miałem jakieś dziesięć, dwanaście lat, chciałem pracować w cyrku. - Annabelle roześmiała się, słysząc to zabawne wyznanie. - Byłem zachwycony zwierzętami, poza tym zawsze chciałem być magikiem i umieć sprawić, by moja praca domowa rozplynęła się w powietrzu. Nie byłem zbyt pilnym uczniem.

- Chyba panu nie wierzę. Przecież wstąpił pan na Uniwersytet Harvarda - powiedziała, śmiejąc się z niego. - Ale życie w cyrku na pewno byłoby wesołe. Czemu pan z tego zrezygnował?

- Bo pani ojciec zaproponował mi pracę, choć oczywiście nastąpiło to nieco później. Nie wiem, może po prostu zabrakło mi odwagi. Nigdy nie byłem tak ambitny, jak pani. Zniechęciłaby mnie już sama myśl o latach spędzonych na nauce. Jestem zbyt leniwy na lekarza.

- Nie wierzę w to - odparła uprzejmie. - A ja bym to właśnie uwielbiała - dodała z błyszczącymi oczami.

- Kto wie, być może któregoś dnia wykorzystają pani w pracy wolontariuszki to, czego nauczyła się pani z książek. To bardzo szlachetne zajęcie. - I rzeczywiście podziwiał ją za to.

- Nie pozwalają nam robić zbyt wiele - odparła ze zniechęceniem.

- A co więcej chciałyby pani robić? - zapytał.

- Doskonale radzę sobie z igłą, wszyscy to mówią. Chciałabym kiedyś spróbować pozszywać jakąś ranę. Jestem pewna, że umiałabym to zrobić.

Josiah zrobił przerażoną minę, ale po chwili roześmiał się.

- W takim razie lepiej, żebyś się nie skaleczył przy pani, bo ani się obejrzę, a wyciągnie pani z kieszeni igłę i tamborek!

- To by dopiero była zabawa - przyznała, uśmiechając się łobuzersko.

- Ktoś będzie musiał zapewnić pani zajęcie, panno Worthington, bo czuję, że zacznie pani psocić.

- Takie medyczne psoty bardzo by mi odpowiadały. Niech pan tylko pomyśli; gdybyśmy nie byli tym, kim jesteśmy, mogłabym pójść na medycynę i robić to, co lubię. Czy to nie denerwujące? - Wyglądała

jednocześnie jak dziecko i kobieta i Josiah bez zastanowienia uściskał ją tak, jak uściskałby młodszą siostrę, bo była dla niego jak młodszą siostrą, tak jak on był dla niej niemal starszym bratem. Przyjaźń, która ich połączyła, stawała się coraz mocniejsza.

- Gdyby nie była pani tym, kim jest, nie byłoby pani stać na medyczne studia - stwierdził praktycznie. Przytaknęła mu.

- To prawda. Ale wystarczyłoby, gdybym była mężczyzną. Robert mógłby iść na medycynę, gdyby tylko chciał, i rodzice by mu pozwolili. Czasami bardzo ciężko być kobietą. Jest tyle rzeczy, których nie wolno nam robić i które są uważane za niewłaściwe. To okropnie nudne - wyznała, kopiąc kamyk czubkiem buta. Josiah się roześmiał.

- Proszę mi nie mówić, że jest pani jedną z tych kobiet, które walczą o równouprawnienie. - Nie wyglądała mu na sufrażystkę i zdziwiłby się, gdyby przyznała się do takich myśli.

- Nie. Jestem całkowicie zadowolona z obecnego stanu rzeczy. Żałuję tylko, że nie mogę zostać lekarką.

- No cóż, ja chciałbym być królem Anglii, a to też nigdy nie nastąpi. Pewne sprawy są po prostu poza naszym zasięgiem, Annabelle, i musimy się z tym pogodzić. Pani i tak ma dobre życie.

- To prawda - przyznała. - I kocham moją mamę. Nie zrobiłabym niczego, co sprawiłoby jej przykrość, a to z pewnością byłaby dla niej tragedia.

- Oczywiście.

- Tyle przeszła w tym roku, a ja chcę tylko, żeby była szczęśliwa.

- I jest szczęśliwa, dzięki pani - powiedział z przekonaniem. - Widzę to. Jest pani wspaniałą córką i uroczą osobą.

- Nic podobnego - rzuciła Hortie, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Wróciła, bo umówiły się z Annabelle na pływanie. - Kiedyś pokroiła żabę. Przeczytała w książce, jak to zrobić, najbardziej obrzydliwa rzecz, jaką widziałam w życiu. Belle z całą pewnością nie jest uroczą osobą. - Wszyscy troje roześmieli się.

- Czy to prawda? - zapytał Josiah. Czuł, że coraz lepiej poznaje Annabelle. Pod wieloma względami była rzeczywiście niezwykłą młodą damą.

- Tak, to prawda - odparła dumnie Annabelle. - Zrobiłam to dokładnie tak, jak opisano w książce. To było fascynujące. Chciałabym

kiedyś przeprowadzić sekcję zwłok. Prawdziwego człowieka, wie pan, tak jak to robią w szkołach medycznych.

- O Boże - rzuciła Hortie z taką miną, jakby miała zaraz zemdleć. Josiah był zdumiony, ale i ubawiony.

- Lepiej idźcie panie popływać - powiedział i wygonił je z werandy, a sam wrócił pożegnać się z Consuelą.

- O czym tak żywo rozprawialiście? - spytała go, zaciekawiona.

- O tym, co zwykle: przyjęciach, debiutach, zaręczynach, ślubach - odparł, nie chcąc zdradzić Annabelle. Wiedział, że przeżyłaby wstrząs na wieść, iż Annabelle ma ochotę kroić zwłoki. Idąc do swojej „chatki”, wciąż śmiał się do siebie.

Annabelle Worthington z pewnością nie przypominała typowej dziesięcioletki. Podchodząc pod dom, pomachał do swojego współlokatora, który wracał właśnie z innej wizyty. Henry Orson był jednym z jego najstarszych przyjaciół, w dodatku człowiekiem rzetelnym i szanowanym. Josiah z przyjemnością spędzał z nim co roku lato w Newport. Obydwaj byli przystojni, bogaci i uważano ich za świetne partie. Dwa lata temu Henry zaręczył się i przeżył ogromne rozczarowanie, kiedy narzeczona zakochała się w młodszym mężczyźnie, właściwie chłopaku w jej wieku. Od tamtej pory nie związał się z nikim na poważnie, dzięki czemu wszystkie matki w Newport robiły sobie nadzieje - podobnie zresztą, jak w wypadku Josiaha.

- Jak się udał lunch? - zapytał Josiah.

- Nuda - wyznał szczerze Henry. Prawdę mówiąc, większość spotkań towarzyskich wydawała mu się nudna. Wolał rozmawiać o interesach z poważnymi mężczyznami, niż flirtować z dziewczętami. - A twój?

- Byłem na pikniku z młodą damą, która marzy o przeprowadzeniu sekcji zwłok - odparł Josiah z uśmiechem. Henry roześmiał się głośno. Był ubawiony i zaciekawiony.

- O Boże - powiedział, udając przerażenie. - To jakaś niebezpieczna osoba! Trzymaj się od niej z daleka!

- Bez obaw - odparł Josiah, gdy razem wchodzili do domu. - Będę uważał.

Przez resztę popołudnia grali w karty, rozprawiając o kondycji świata finansów, co stanowiło pasję Henry'ego. Ten temat nudził panie, ale bardzo zajmował mężczyzn, szczególnie że Henry miał ogromną wiedzę i czynił trafne spostrzeżenia. Josiah zawsze chętnie

z nim dyskutował. Kilka lat temu wystarał mu się o posadę w banku ojca Annabelle, gdzie Henry zaskarbił sobie szacunek kolegów i przełożonych. Choć nie tak towarzyski jak Josiah, równie szybko robił karierę. Nie miał nigdy okazji poznać Annabelle ani Consueli, Josiah zaproponował więc, że przedstawi go któregoś dnia podczas pobytu w Newport. Ale Henry pokręcił głową, ze skupieniem patrząc w karty.

- Dziękuję bardzo, jeśli ta pannica ma zamiar pokroić mnie na kawałki - powiedział ponuro, wykładając zwycięską kartę.

- Do licha - mruknął Josiah, złożył swój wachlarzyk kart i uśmiechnął się do przyjaciela. - Nie obawiaj się. To jeszcze dziecko.

Rozdział 4

Przez cały lipiec i sierpień Josiah często odwiedzał panie Worthington i w końcu tak jak obiecał, przedstawił im Orsona. Henry złożył Consueli kondolencje, a potem nauczył Annabelle kilku nowych gier karcianych, co sprawiło jej ogromną przyjemność, szczególnie gdy ograła go kilka razy z rzędu. Cieszyła się z towarzystwa przyjaciół i choć odsunięta od głównego nurtu życia towarzyskiego, w Newport czuła się o wiele mniej samotna niż w Nowym Jorku. Życie znów wydawało się normalne, mimo braku ojca i brata, których i tak praca często zatrzymywała w mieście.

Gdy pod koniec sierpnia opuszczały Newport, Annabelle była zdrowa, opalona i szczęśliwa, a jej matka wyglądała znacznie lepiej. Mimo tragicznych wydarzeń wiosny lato okazało się przyjemne i spokojne.

Po powrocie do Nowego Jorku znów chodziła z matką do szpitala, a dodatkowo z własnej inicjatywy jeden dzień w tygodniu pracowała w szpitalu ortopedycznym. Przeprowadzano tam fascynujące zabiegi. Opowiedziała o tym Josiahowi, kiedy przyszedł na podwieczorek do ich nowojorskiego domu.

- Ale nie kroilaś jeszcze zwłok, co? - zapytał z udawanym niepokojem. Pobyt w Newport tak bardzo zbliżył ich do siebie, że porzucili konwenanse i przeszli na ty. Annabelle roześmiała się.

- Nie, przynoszę tylko posiłki i wodę pacjentom, ale jedna z pielęgniarek powiedziała, że może któregoś dnia pozwolą mi popatrzeć na operację.

- Doprawdy, niezwykła z ciebie dziewczyna - odparł Josiah życzliwie.

Pod koniec miesiąca Consuela wreszcie znalazła dość odwagi, by uporządkować rzeczy męża i syna. Wraz z Annabelle schowały część z nich, większość ubrań oddały biednym, ale gabinet Arthura i sypialnię Roberta pozostawiły nietknięte. Żadna z nich nie dałaby rady opróżnić tych pokoi, zresztą po co? W domu było dość miejsca.

We wrześniu widywały Josiaha dość rzadko. Był bardzo zajęty w banku, gdzie nadal jeszcze porządkowano sprawy majątku Arthura. Choć pan Worthington nie spodziewał się rychłej śmierci, pozostawił interesy w idealnym porządku.

Annabelle i jej matka mogły żyć spokojnie do końca swoich dni za to, co im zostawił, a i tak pozostałby spory majątek, który Annabelle mogłaby kiedyś przekazać dzieciom - choć to była akurat ostatnia z jej trosk.

Hortie też pojawiała się rzadko. Do ślubu zostało ledwie sześć tygodni i Hortie miała mnóstwo spraw do załatwienia: przymiarki sukni, zamówienie wyprawy ślubnej, meblowanie domu, który jej ojciec ofiarował młodej parze. Na miesiąc miodowy wybierali się do Europy i mieli tam bawić aż do Bożego Narodzenia. Annabelle wiedziała, że będzie za nią tęsknić - a właściwie już tęskniła. Było dla niej oczywiste, że po ślubie nic nie będzie takie samo. Tak było z wszystkimi innymi przyjaciółkami, które powychodziły za mąż.

Josiah złożył im wizytę dopiero na początku października. Annabelle była akurat w szpitalu ortopedycznym, a Consuela siedziała w ogrodzie z filiżanką herbaty, rozkoszując się słonecznym popołudniem. Zaskoczył ją widok gościa, ale jak zawsze przywitała go z radością.

- Nie widziałyśmy pana od wieków. Jak się pan miewa?

- Świetnie, dziękuję. - Uśmiechnął się. - Byłem w Bostonie przez kilka tygodni.

Musiałem zająć się sprawami rodzinnymi. A co panie porabiały?

- U nas wszystko w porządku. Annabelle pracuje w szpitalu, przynajmniej ma co robić. Poza tym nie ma tu wielu zajęć. - Do końca żałoby zostało jeszcze sześć miesięcy i Consuela wiedziała, że Annabelle jest ciężko, choć nigdy się nie skarżyła. Nie wychodziła ze znajomymi już od pół roku, a dziesięcioletka ma prawo się nudzić, siedząc w domu. Tęskniła za ludźmi, ale Consuela nie mogła nic na to poradzić.

- Wiem, że czas żałoby musi się paniom dłużyć - powiedział cicho Josiah, siadając z nią w ogrodzie. Poczęstowała go herbatą, ale odmówił.

- Mnie to nie przeszkadza, ale martwię się o Annabelle - przyznała. - Będzie miała prawie dwadzieścia lat, gdy znowu zaczniesz bywać. To niesprawiedliwe. - To, co spotkało Consuelę, też było niesprawiedliwe. Niestety, w życiu tak czasem bywa. - Nic jej nie będzie - zapewnił ją Josiah. - Annabelle to osoba, która potrafi wynieść pożytek z każdej sytuacji. Ani razu nie powiedziała mi, że ciąży jej zamknięcie.

Consuela skinęła głową.

- Wiem. To kochana dziewczyna. Przykro mi, że jej pan nie zastał. Ona też będzie zawiedziona, ale w poniedziałki po południu zawsze pracuje w szpitalu.

Josiah pokiwał głową. Przez chwilę patrzył zamyślony w przestrzeń, w końcu spojrzął na Consuelę zaskakująco poważnie.

- Nie przyszedłem zobaczyć się z Annabelle. Przyszedłem do pani, by omówić z nią pewną ważną sprawę. - Był rzeczowy i oficjalny, jakby przyszedł z jakąś misją z banku.

- Czy to ma związek z majątkiem Arthura? Nie mógłby pan tego załatwić z prawnikami? Nie mam głowy do interesów, to Arthur zajmował się wszystkim. Dla mnie to czarna magia.

- Nie, nie, nie o to chodzi. Bank załatwia te sprawy z radcami prawnymi, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ta sprawa jest natury osobistej. Być może poruszam ją przedwcześnie, ale chciałem omówić to z panią i mam nadzieję, że zachowa pani dyskrecję. - Consuela nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, o czym mówi i dlaczego Annabelle nie może być obecna przy tej rozmowie. Przez chwilę bała się, że córka miała rację i że Josiah zaleca się do niej. Miała nadzieję, że tak nie jest. Lubiła go, ale gdyby okazało się, że jest zakochany, musiałaby odmówić. Nie czuła żadnej romantycznej skłonności ani do niego, ani do kogokolwiek innego. Ten rozdział życia był już dla niej zamknięty.

- Chciałem porozmawiać z panią o Annabelle - powiedział Josiah, rozwiewając jej wątpliwości. Choć wiekiem zbliżony bardziej do Consueli niż do jej córki, nie czuł do niej nic prócz głębokiego szacunku, podziwu i gorącej przyjaźni. Po prostu lubił spędzać z nią czas i był jej wdzięczny za gościnność. - Wiem, że jeszcze przez sześć miesięcy obowiązuje panię żałoba i że pani martwi się o córkę. To wielka szkoda, że straciła cały rok od swojego debiutu i wszystkie okazje na zamążpójście, które mogły się nadarzyć. Długo biłem

się z myślami, czy powinienem odkrywać przed panią swoje uczucia. Annabelle jest bardzo młoda i z początku szczerze wierzyłem, że byłaby najszcześniejsza z kimś w jej wieku. Ale już tak nie uważam. -Umilkł na chwilę, dobierając słowa. - Annabelle to wyjątkowa młoda kobieta, inteligentna, myśląca, spragniona wiedzy i dojrzała ponad wiek. Nie mam pojęcia, co pani o tym pomyśli, ale chciałbym dostać pani pozwolenie, by prosić ją o rękę, gdy skończy się czas żałoby. Nie wiem, czy zostanę przyjęty, ale jestem pełen nadziei. Jeśli oboje zachowamy to w sekrecie, da jej to sześć miesięcy, by mogła do mnie przywyknąć. Jeśli otrzymam pani zgodę, zamierzam panie często odwiedzać, ale najpierw chciałem to z panią omówić.

Consuela milczała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. Ten człowiek był odpowiedzią na jej modlitwy, spełnieniem marzeń. Martwiła się nieustannie, że życie omija Annabelle przez rok żałoby i obawiała się, że córka może zostać starą panną. Choć Josiah był dziewiętnaście lat starszy od Annabelle, uważała, że jest idealnym kandydatem na męża.

Pochodził z doskonałej rodziny, był wykształcony, dobrze wychowany, uroczy, przystojny i miał świetną posadę w banku Arthura. Latem widziała, że oboje zaprzyjaźnili się, co według niej stanowiło o wiele lepszy fundament małżeństwa niż naiwne dziewczęce zadurzenie, które zwykle nie trwa długo. Tak samo zaczął się jej związek z mężem. Arthur był przyjacielem rodziny i któregoś dnia poprosił jej ojca o pozwolenie, by się o nią starać. Zawsze byli przyjaciółmi, nie tylko mężem i żoną. Consuela nie mogła sobie wyobrazić lepszego adoratora dla córki i podobnie jak Josiah uważała, że będzie jej lepiej ze starszym, dojrzałym mężem.

- Mam nadzieję, że nie jest pani zgorszona czy zagniewana - dodał niepewnie Josiah, ale Consuela pochyliła się i uściskała go jak syna.

- Ależ skąd! Jestem zachwycona. Uważam, że pan i Annabelle jesteście dla siebie stworzeni. - Ten rok nie poszedł jednak na marne, pomyślała. To doskonała okazja, by poznali się bliżej, bez obecności pustogłowych młodzieńców, którzy mogli zawrócić Annabelle w głowie na balach i przyjęciach. Josiah był solidnym człowiekiem o ustalonej pozycji i byłby wspaniałym mężem dla każdej kobiety -w szczególności dla jej córki. A Annabelle najwyraźniej nie stroniła od jego towarzystwa, przeciwnie, bardzo go lubiła. - Czy ona domy-

śla się pańskich intencji? - zapytała wprost. Nie miała pojęcia, czy Josiah zalecał się już do jej córki, czy ją całował lub choćby napomykał, jakie ma wobec niej zamiary. Annabelle nigdy jej o tym nie wspomniała i Consuela podejrzewała, że córka nie wie nic o planach Josiaha.

- Nie mówiłem jej o niczym - wyznał szczerze. - Chciałem najpierw porozmawiać z panią, choć przyznam, że myślałem o tym przez całe lato. Uważałem jednak, że to za wcześnie, a przez ostatnie tygodnie byłem nieobecny. Nie, Annabelle niczego nie podejrzewa. Chciałbym poczekać z rozmową do zakończenia żałoby.

Myślałem, że porozmawiam z nią o tym w maju. - W połowie maja Annabelle skończy dwadzieścia lat, on sam będzie już miał trzydzieści dziewięć. W jej oczach mógł być niemal staruszką i obawiał się, że dziewczynie może nie odpowiadać taka różnica wieku, ale miał nadzieję, że Annabelle nie zwraca na to uwagi. Co prawda nie flirtowała z nim, ale czuł, że są naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Podobnie jak Consuela uważał, że to doskonała podstawa udanego małżeństwa.

On też znalazł się w zupełnie nowej sytuacji. Nigdy dotąd nie oświadczył się nikomu, ale miał nadzieję, że nie jest za późno. Ostatnio chodziło mu nawet po głowie, że chciałby mieć z nią dzieci. Wydawała mu się idealną towarzyszką życia.

- Gdybym sama miała wybierać, nie znalazłabym dla niej lepszego kandydata - powiedziała zadowolona Consuela, dzwoniąc po kamerdynera. Gdy zjawił się William, poprosiła o szampana. Josiah był zdumiony. Nie spodziewał się, że pójdzie mu tak łatwo.

- Nie jestem pewien, czy mamy co świętować. Trzeba poczekać do maja i zapytać o to Annabelle. Może nie uzna tego za tak wspaniały pomysł. Jest bardzo młoda, a ja jestem od niej o wiele starszy.

- Chyba jest zbyt rozsądna, by się tym przejmować - odparła Consuela.

Kamerdyner wrócił i podał im kieliszki. Arthur miał świetnie zaopatrzoną piwniczkę z winami, szampan był z doskonałego rocznika. - A poza tym lubi pana. Będziecie wspaniałą parą.

- Ja też tak uważam - odparł Josiah uszczęśliwiony. Miał ochotę oświadczyć się Annabelle jeszcze tego popołudnia, ale byłoby nie na miejscu proponować jej małżeństwo tak krótko po śmierci ojca i brata. - Mam nadzieję, że się zgodzi.

- To już zależy od pana - przypomniała Consuela. - Ma pan całe sześć miesięcy na zdobycie jej serca i uzyskanie zgody.

- I to tak, by nie zorientowała się, co planuję - powiedział.
- Mógłby pan czasem delikatnie jej o tym napomknąć - odparła jak przysłała teściowa. Josiah roześmiał się.
- Jest na to zbyt bystra. Gdy zacznę napomykać, równie dobrze mogę spytać ją wprost. A ja nie chcę jej spłoszyć, oświadczając się przedwcześnie.
- Chyba nie będzie pan miał trudności z przekonaniem jej - stwierdziła Consuela, uśmiechając się do niego promiennie jak słońce tego ciepłego jesiennego popołudnia. Dzięki Josiahowi to był wspaniały dzień. Żałowała tylko, że nie może podzielić się radością z mężem. Przypuszczała, że i on byłby zadowolony. Gawędzili o planach Josiaha, gdy do ogrodu weszła Annabelle, ubrana w szpitalny fartuch. Na białym płótnie widać było plamy krwi. Consuela skrzywiła się z niezadowoleniem.
- Zdejmij to natychmiast - zbesztła córkę - i idź umyć ręce. Na litość boską, Annabelle, przynosisz do domu mikroby. - Wygoniła ją niecierpliwym gestem. Annabelle wróciła pięć minut później, bez fartucha, w surowej czarnej sukni. Wyglądała jak młoda zakonnica, ale nawet czarny strój nie potrafił przesłonić radości tryskającej z całej jej postaci, tym bardziej że na widok Josiaha jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Była w doskonałym nastroju.
- Miałam wspaniały dzień - oznajmiła i nagle zauważyła kieliszki. Zawsze dostrzegła wszystko. - Dlaczego pijecie szampana? Co świętujecie?
- Josiah przyszedł pochwalić się, że dostał awans - skłamała gładko Consuela. - Powierzono mu mnóstwo nowych rachunków i pomyślałam, że powinniśmy mu pogratulować. Napijesz się z nami? - Annabelle skinęła głową, uwielbiała szampana. Poszła po kieliszek dla siebie i wzniosła toast, gratulując Josiahowi awansu, choć nie uważała bankowości za szczególnie ciekawe zajęcie. Nieraz przysłuchiwała się rozmowom ojca i Roberta o pracy i zawsze ją to nudziło. Nauki przyrodnicze zajmowały ją o wiele bardziej.
- Co robiłaś dziś w szpitalu? - zapytał cicho Josiah. Nagle poczuł, jakby już była jego żoną i ogarnęła go dziwna fala czułości, której nie mógł pokazać.
- Mnóstwo interesujących rzeczy - odparła, uśmiechając się do niego radośnie. Wypiła łyk szampana, nie wiedząc, że wznosi toast za

przyszłe zaręczyny, ale Josiah i Consuela pomyśleli o tym i uśmiechnęli się jednocześnie. Tego popołudnia zostali dwójką spiskowców. -Lekarz pozwolił mi patrzeć, jak zszywa paskudną ranę.

- Jeśli zaczniesz o tym opowiadać, zrobi mi się niedobrze -ostrzegła ją matka.

Annabelle roześmiała się. - Któregoś dnia będziesz musiała dać sobie z tym spokój

- stwierdziła Consuela zagadkowo. - Zostaniesz stateczną mężatką i nie będziesz mogła włóczyć się po szpitalach i patrzeć na rany.

- Mamo, przecież robisz to samo - przypomniała Annabelle z uśmiechem.

- Nic podobnego. Podaję posiłki pacjentom w o wiele bardziej cywilizowanym szpitalu; nie miałam na to czasu, kiedy byłaś malutka. Będziesz mogła wrócić do tego, kiedy przyjdzie czas.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym przestać to robić, gdy wyjdę za mąż -

stwierdziła nadąsana Annabelle. - Wiele kobiet nie przestaje pracować w szpitalu, choć mają dzieci. Poza tym może nigdy nie wyjdę za mąż. Kto to wie?

- Nie chcę tego słuchać! - odparła matka ze zmarszczonymi brwiami, spoglądając na Josiaha. Nie mogła się doczekać, kiedy się pobiorą i będą mieć dzieci.

Annabelle, cierpliwa i pełna miłości, będzie na pewno świetną matką i wspaniałą żoną dla Josiaha.

Zmieniłi temat i zaczęli rozmawiać o weselu Hortie, do którego pozostało już kilka tygodni. Hortie była tak zajęta, że Annabelle prawie jej nie widywała. Josiah wspomniał, że wybiera się na wesele, a Annabelle stwierdziła z żalem, że też by tam chciała być, ale nie może.

- Nie widzę przeszkód co do tego, żebyś poszła na ślub - powiedziała Consuela dobrotliwie. Jej słowa zdumiały Annabelle. - Nigdzie nie jest napisane, że nie wolno nam chodzić do kościoła; prawdę mówiąc, powinniśmy nawet chodzić tam częściej. Nie musisz iść na wesele, wrócisz do domu po nabożeństwie. A przynajmniej zobaczysz, jak Hortie wychodzi za mąż. To przecież twoja najlepsza przyjaciółka.

- Z przyjemnością będę paniom towarzyszył - zaoferował się natychmiast Josiah, spoglądając na swoją przyszłą żonę, która nie miała pojęcia, co chodzi mu po głowie. Byłaby to pierwsza okazja pokazania się z nią publicznie i ta perspektywa ogromnie mu się spodobała.

- Chyba nie powinnam iść - odparła cicho Consuela. Nie była jeszcze gotowa, by pokazywać się w towarzystwie. - Byłoby jednak wspaniale, gdyby dotrzymał pan towarzystwa Annabelle.

- A ty chciałabyś? - zapytał Josiah. Annabelle uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Bardzo. - Wiedziała, że w kościele będą wszyscy jej znajomi. Hortie pragnęła, by została jej druzną, ale ze względu na żałobę Annabelle musiała odmówić. W ten sposób mogła przynajmniej być na ślubie, a towarzystwo Josiaha gwarantowało dobrą zabawę - trochę tak, jakby szła z Robertem. Brat często zabierał ją na przyjęcia, choć przed debiutem bywała tylko na tych mniej licznych. Żałowała, że nie będzie na weselu, ale trudno - Hortie urządzała gigantyczne przyjęcie.

Zaproszono osiemset osób i zanosilo się na to, że większość się zjawi.

- Trzeba znaleźć ci jakąś kreację - oznajmiła matka. Annabelle musiała być ubrana w czarną suknię, a nie miała nic odpowiedniego na tę okazję.

- Tak się cieszę! - pisnęła Annabelle, klaszcząc w dłonie. Wyglądała jak dziecko. Consuela i Josiah patrzyli na nią z uśmiechem.

- Od tej pory czeka nas już tylko sama radość - powiedziała matka, posyłając jej spojrzenie pełne miłości. Josiah zdjął jej kamień z serca, zdradzając swoje plany. Annabelle uściskała go serdecznie, co sprawiło mu wyjątkową przyjemność.

- Dziękuję, że mnie zabierzesz - powiedziała radośnie.

- Człowiek musi się czasem poświęcać - zażartował. - Jakoś to przeżyję. - Nie mógł się już doczekać, kiedy minie następne pół roku. Przy odrobinie szczęścia będą wtedy planować własne wesele. Consuela pomyślała o tym samym. Z uśmiechem spojrzeli sobie w oczy nad głową Annabelle. Dziewczyna jeszcze o tym nie wie, ale jej przyszłość jest już zapewniona. A tylko tego pragnęła matka od chwili jej narodzin.

Rozdział 5

Ubierając się na ślub przyjaciółki, Annabelle była przejęta niemal tak samo jak Hortie. Matka zadzwoniła do swojej krawcowej, która w rekordowym czasie uszyła piękną suknię z czarnej tafty. Stanik i rąbek spódnicy były obszyte czarnym aksamitem. Strój uzupełniał czarny aksamitny żakiet i kapelusz, jedno i drugie wykończone sobolami -jasne futro łagodziło nieco surowość kreacji i rozjaśniało twarz dziewczyny. Annabelle wyglądała jak rosyjska księżniczka. Naginając nieco zasady zakazujące noszenia biżuterii podczas żałoby, matka pożyczyła jej parę brylantowych kolczyków. Annabelle prezentowała się wspaniale, kiedy Josiah po nią przyszedł. On też wyglądał doskonale we fraku i eleganckim cylindrze, robionym na zamówienie w Paryżu. Stanowili przepiękną parę i Consuela miała mokre oczy, gdy na nich patrzyła. Żałowała tylko, że Arthur nie może tego zobaczyć. No, ale gdyby mógł, może wcale by do tego nie doszło. Przecież Josiah zaczął składać im wizyty, chcąc wyrazić swoje współczucie. Przeznaczenia chodzą czasem niezwykle krętymi ścieżkami.

Consuela uparła się, by wzięli samochód i szofera, pojechali więc na ślub nieskazitelnie utrzymaną hispano-suizą. Auto było ozdobą kolekcji jej zmarłego męża i używano go tylko przy wyjątkowych okazjach. Dla Consueli była to jednak wyjątkowa i ważna okazja. Jej przyszły zięć po raz pierwszy pokazywał się dziś publicznie z jej jedyną córką. Cóż mogło być ważniejszego, jeśli nie liczyć dnia ich przyszłego ślubu?

Patrzyła z miłością, jak wychodzą, a potem wróciła do sypialni, pogrążona we własnych myślach. Przypomniała sobie swoje pierwsze

wyjście z Arthurem, już po oświadczeniach. Poszli na debiutancki bal jej przyjaciółki. Była wtedy o rok młodsza niż jej córka teraz.

Samochód zawiózł ich do kościoła Świętego Tomasza przy Piątej Alei. Szofer wypuścił najpierw Josiaha, który odwrócił się i pomógł Annabelle wysiąść z auta. Włosy miała ściągnięte do tyłu pod czarnym kapeluszem, a jej twarz ocieniała mała woalka. Nie ustępowała elegancją paryskim damom, a czarna suknia dodawała jej powagi. Josiah chyba nigdy nie był tak dumny.

- Jak na kogoś, kto chciałby szorować podłogi w szpitalu i kroić zwłoki, wyglądasz całkiem ładnie - powiedział żartobliwie, a Annabelle roześmiała się, co tylko dodało jej urody. Kolczyki matki błysnęły spod cieniutkiej woalki. Wyglądała elegancko, zmysłowo i romantycznie. Josiah był nią oczarowany nie tylko jako kobietą, którą miał nadzieję poślubić. Wydawało mu się, że ujrzał ją dziś po raz pierwszy. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak jest piękna, bo ona sama niezbyt przejmowała się własnym wyglądem, a z powodu żaloby nigdy się nie stroiła i nie robiła makijażu. Dziś zauważył, że matka pozwoliła jej nawet użyć szminki. Przed rokiem był na jej balu debiutanckim, ale nawet wtedy nie wyglądała tak ładnie. Od tamtej pory z podlotka stała się kobietą.

Lokaj we fraku zaprowadził ich do ławki blisko ołtarza, po stronie panny młodej. Spodziewano się ich i Josiah zauważył, że goście patrzą na nich z podziwem. Stanowili imponującą parę. Annabelle nie zwracała na to najmniejszej uwagi, olśniona morzem białych orchidei, zamówionych przez matkę Hortie. Oglądała już suknię ślubną przyjaciółki i wiedziała, że Hortie, ze swoją świetną figurą, będzie w niej wyglądać bosko. Głęboko wydekoltowaną kreację uszyto z białej satyny pokrytej koronką, do tego długi tren. Szesnaście druzhen w jasnoszarych satynowych sukniach trzymało w dłoniach maleńkie białe orchidee, Hortie miała nieść ogromną kulę konwalii. To był naprawdę wyjątkowo elegancki ślub. Gdy usiedli, Annabelle rozejrzała się dookoła. Znała wszystkich gości, siedzących w ławkach przed i za nimi. Josiah też miał tu wielu znajomych. Ludzie uśmiechali się i machali dyskretnie na powitanie, przyglądając się z ciekawością nowej parze. On sam uważał, że w całym kościele nie ma piękniejszej kobiety od jego towarzyszki, włącznie z panną młodą, która ruszyła właśnie do ołtarza przy dźwiękach marsza weselnego z *Lohengrina*.

Wszystkie oczy skierowały się na Hortie, idący u jej boku ojciec był dumny jak paw. Annabelle zdała sobie sprawę, że gdy ona będzie brała ślub, nie będzie miała nikogo, kto poprowadziłby ją do ołtarza. Nie miała już ani ojca, ani brata. Na tę myśl łzy napłynęły jej do oczu. Josiah delikatnie pogłaskał ją po ręce. Domyślił się, co wywołało te łzy. Czuł, że zna ją coraz lepiej i choć znalazł się w jej życiu niedawno, zaczynał już ją kochać. To, że siedzi u jej boku w kościele, sprawiało mu ogromną radość.

Wszystko odbyło się bez najmniejszych potknięć. Po ceremonii państwo młodzi odeszli od ołtarza przy dźwiękach marsza Mendelssohna, a wszyscy goście witali ich serdecznymi uśmiechami. Szesnastcie par druhen i družbów ruszyło z powagą za nimi. Przodem szedł pięcioletni chłopiec, który podawał obrączkę panu młodemu, i wystrojona w organdynową sukienkę trzyletnia dziewczynka, która z przejęcia zapomniała sypać płatki róż i tylko ścisnęła je w rączce.

W zatłoczonym przedsionku kościoła Annabelle i Josiah przywitani się ze znajomymi. Złożyli życzenia młodej parze, pogratulowali rodzicom obydwójga. W godzinę po ceremonii goście udali się na przyjęcie weselne. Annabelle żałowała, że nie może iść z nimi. Wiedziała, że przyjęcie będzie trwało do białego rana, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Josiah odwiózł ją i odprowadził do domu, a ona podziękowała mu za to, że zabrał ją ze sobą.

- Było wspaniale - powiedziała zachwycona. Cieszyło ją, że choć na chwilę mogła spotkać się z przyjaciółmi i poznać kilku znajomych Josiaha, którzy choć oczywiście sporo starsi od niej, wydawali się bardzo mili.

- Też tak sądzę - przyznał Josiah i mówił to szczerze. Był dumny, że mógł pokazać się z tak piękną młodą kobietą.

Annabelle zdjęła kapelusz, pocałowała Josiaha w policzek i zaczęła się żegnać. Bez woalki wyglądała jeszcze piękniej.

- Pospiesz się, bo spóźnisz się na przyjęcie.

- Nie spiesz mi się - odparł wesoło. - Już zapowiedziałem, że nie przyjdę. - Uśmiechnął się.

- Naprawdę? Dlaczego? To będzie wesele roku. - Rodzice Hortie niemal zrujnowali się na ten bal i nie chciała, by Josiah przegapił tak świetną zabawę. Nie przyszło jej do głowy, że się tam nie wybierał.

- Byłem już na niejednym „weselu roku” - odparł ze śmiechem. - Co roku jest ich kilka. Czułbym się tam źle, wiedząc, że ty

nie możesz iść na przyjęcie. To by było nie w porządku. Ślub był piękny, spotkaliśmy mnóstwo znajomych. Ja na przyjęcia chodzę bez przerwy. Może zamiast tego zejdziemy do kuchni i ugotujemy sobie coś dobrego? Robię świetne kanapki, a moje omlety są zabójcze. -Żadne z nich nie jadło jeszcze kolacji. Służba miała już wolne, a Consuela była u siebie i pewnie spała.

- Może jednak powinieneś pójść na wesele? - nalegała Annabelle. Czuła się winna, przez nią zrezygnował z zabawy.

- Byłoby dziwne, gdybym się zjawił, skoro już odrzuciłem zaproszenie. - Znow się roześmiał. - Pomyśleliby, że zwariowałem, i pewnie nie miałbym gdzie usiąść.

Sprawdźmy lepiej, co jest w lodówce, a olśnię cię umiejętnościami kulinarnymi.

- W tym stroju? - Popatrzyła na elegancki frak, piękne spinki do kołnierzyka i mankietów, wysadzone brylantami.

- Zdejmę marynarkę, jeśli cię to nie zgorszy. - Pod spodem nosił tradycyjną białą muszkę i kamizelkę z guzikami z macicy perłowej, zamówioną w Paryżu wraz z cylindrem. Wyglądał w tym stroju wyjątkowo przystojnie.

- Nie, nie zgorszy. Ja też zdejmę żakiet, jeśli pozwolisz - odparła i rozpięła aksamitną kurteczkę, obramowaną sobolami. Spod żakietu wyłoniły się kremowe ramiona i kształtny biust, na który Josiah zerknął dyskretnie.

- Piękna suknia - stwierdził, uśmiechając się z podziwem.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparła wstydliwie. Ten wieczór nagle wydał jej się bardzo dorosły. Jak dotąd tylko na balu debiutanckim miała okazję zaprezentować się w pełnej gali.

Zaprowadziła go na dół, do kuchni, i zapaliła światło. Wszystko jak zwykle było nieskazitelnie czyste i w idealnym porządku. W lodówce były jajka, masło, gotowane warzywa, pół indyka i szynka. Annabelle wystawiła wszystko na kuchenny stół. W spizarnce znalazła sałatę i kilka świeżych warzyw.

Położyła na stole nakrycia, a Josiah zabrał się do przygotowania kolacji. Ukroił kilka cieniutkich plasterów indyka i szynki, zrobił sałatkę i usmażył na patelni doskonały omlet z serem. Posiłek był pyszny. Siedząc przy kuchennym stole, jedli ze smakiem i rozmawiali o ślubie. Josiah zdradził jej kilka ploteczek o ludziach, jakich poznała tego wieczoru, a ona opowiedziała mu o swoich przyjaciółach.

Rozmowa toczyła się jeszcze długo po posiłku. Annabelle nie miała klucza do

piwniczki z winami, ale Josiah stwierdził, że zadowoli się szklanką mleka. Był to najmiłszy wieczór, jaki Annabelle spędziła od lat.

Rozmawiali też o planach na święta. Josiah powiedział, że Święto Dziękczynienia spędzi z rodziną w Bostonie, ale na Boże Narodzenie wraca do Nowego Jorku. Annabelle postanowiła spytać matkę, czy nie mogłyby zaprosić go na Wigilię. Wiedziała, że będą to dla nich trudne święta. Ciężko było uwierzyć, że ledwie rok po debiucie jej życie zmieniło się tak bardzo. Zwierzyła się Josiahowi ze swoich myśli.

- W życiu nigdy nic nie wiadomo - odparł cicho. - Trzeba być wdzięcznym za to, co się ma, dopóki się to ma. Los jest nieprzewidywalny, czasami nie zdajemy sobie sprawy z jego błogosławieństw, póki ich nie utracimy.

Annabelle skinęła głową i spojrzała na niego smutno.

- Ja wiedziałam, że jesteście szczęśliwi. Mama też. Docenialiśmy to, co mamy. Zawsze byłam wdzięczna za rodziców i brata. Po prostu trudno mi uwierzyć, że nie ma już ani Roberta, ani papy - powiedziała cicho.

Josiah delikatnie położył dłoń na jej dłoni.

- Czasami los zabiera z naszego życia jednych, a kiedy się tego najmniej spodziewamy, daruje nam innych. Musisz po prostu wierzyć, że od tej pory wszystko już będzie dobrze. Twoje życie dopiero się zaczyna.

Skinęła głową.

- Ale dla mamy się skończyło. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdoła dojść do siebie.

- Tego wiedzieć nie możesz - odparł łagodnie. - Może i jej jeszcze się przydarzy coś dobrego.

- Mam nadzieję - westchnęła Annabelle. Naprawdę to był uroczy wieczór. Josiah pomógł jej wstawić naczynia do zlewu, a ona spojrzała na niego z uśmiechem. Czowała, że ich przyjaźń zacieśniła się dziś jeszcze bardziej. - Jesteś niezłym kucharzem.

- Poczekaj z opiniami, aż spróbujesz mojego sufletu. Jestem też mistrzem nadzienia do świątecznego indyka - stwierdził z dumą.

- Kiedy się nauczyłeś gotować? - spytała rozbawiona. Żaden z mężczyzn w jej rodzinie nie gotował. Nie była nawet pewna, czy w ogóle wiedzieli, gdzie jest kuchnia.

Josiah roześmiał się.

- Jeśli człowiek jest kawalerem tak długo jak ja, ma dwa wyjścia: umrzeć z głodu lub nauczyć się przygotowywać jedzenie. Można codziennie jadać na mieście, ale w końcu robi się to męczące. Często wolę zostać w domu i coś ugotować.

- To tak jak ja, przynajmniej jeśli chodzi o zostawanie w domu. Kucharka ze mnie raczej marna.

- Nie musisz tego umieć - przypomniał. Zrobiła zawstydzoną minę. Całe życie była obsługiwana przez innych. Ale przecież on też.

- Chyba jednak powinnam się nauczyć. Wezmę się do tego. -Podziwiła jego zręczność i swobodę w kuchni.

- Chętnie pokażę ci parę sztuczek - zaproponował. Annabelle spodobał się ten pomysł.

- To będzie świetna zabawa - odparła entuzjastycznie. W jego towarzystwie zawsze dobrze się bawiła.

- Podejź do tego jak do nauki, to ci ułatwi sprawę. - Annabelle ze śmiechem pogasiła lampy i zaprowadziła go na górę. Znaleźli się znowu w głównym holu, pod kryształowym żyrandolem. Josiah niósł frak, rękawiczki i cylinder leżały na stoliku. Ubrał się we frak, włożył rękawiczki i kapelusz, i znów był elegancki. Nikt by nawet nie podejrzewał, że przed chwilą gotował.

- Wygląda pan olśniewająco, panie Millbank. I spędziłam z panem bardzo miły wieczór.

- Ja też. - Pocałował ją delikatnie w policzek. Nie chciał jej poganiać. Mimo błogosławieństwa matki mieli przed sobą kilka miesięcy, by poznać się bliżej jako przyjaciele. - Do zobaczenia wkrótce. Dziękuję, że poszłaś ze mną na ślub Hortie. Takie uroczystości potrafią być piekielnie nudne, chyba że jest się w miłym towarzystwie.

- Masz rację - przyznała. - A najmilej było plotkować o tym w kuchni - dodała z figlarnym uśmiechem.

- Dobranoc, Annabelle - powiedział, otwierając drzwi. Odwrócił się w progu, by spojrzeć na nią jeszcze raz. Wzięła zakiet z krzesła, włożyła kapelusz na bakier i ruszyła po schodach na piętro z uśmiechem i szerokim ziewnięciem. Była wdzięczna losowi za takiego przyjaciela jak Josiah.

Rozdział 6

Za namową Annabelle Consuela z radością zaprosiła Josiaha na kolację wigilijną. Ze strony Annabelle nie był to romantyczny gest. Josiah był dla nich tak uprzejmy, że chciała po prostu odwdziżyć mu się, skoro święta spędzał sam. Do kolacji świątecznej siadały zawsze w formalnych strojach i tym razem również ubrały się w wieczorowe suknie. Josiah przyjechał w doskonale skrojonym fraku, perfekcyjnie wykrochmalonej koszuli i kamizelce, z perłowymi i diamentowymi spinkami do mankietów i kołnierzyka, które niegdyś należały do jego dziadka. Przyniósł też prezenty, co bardzo wzruszyło obie gospodynie.

Annabelle podarowała mu kaszmirowy szalik i książkę kucharską, która miała być żartem, ale bardzo przypadła mu do gustu. Sama poczuła się trochę niezręcznie, gdy okazało się, że kupił jej złotą bransoletkę od Tiffany'ego, a matce piękny czarny szal z jedwabiu.

Spędzili wspólnie uroczy wieczór, a po kolacji zasiedli przy kominku. Josiah pił brandy, a panie ajerkoniak na rumie, według receptury Arthura, i podziwiali choinkę ubraną przez Consuelę i Annabelle. Święta w tym roku były trudne z oczywistych powodów. Josiah z rozmysłem unikał tematu przesłuchań toczących się w sprawie „Titanica”. Wiedział, że nie chciały o tym słyszeć, gdyż nie mogło to już niczego zmienić.

Annabelle powiedziała, że Hortie tego popołudnia wróciła z podróży poślubnej i natychmiast pochwaliła się, że jest przy nadziei. Miała już pewność i choć oboje z Jamesem byli podekscytowani, perspektywa zostania matką trochę ją przerażała. Dopiero co wyszła za mąż, a już pod koniec sierpnia, jeśli dobrze obliczyła, na świat

przyjdzie dziecko. Mówiła, że zostało poczęte w Paryżu i śmiała się jak mała dziewczynka, robiąc pikantne uwagi na temat swojego pożycia małżeńskiego. Annabelle nie miała ochoty tego słuchać. Hortie twierdziła, że seks to wspaniała sprawa i że James jest niesamowity w łóżku - wprawdzie nie miała skali porównawczej, ale nigdy tak dobrze się nie bawiła. Tego wszystkiego Annabelle oczywiście nie przekazała matce i Josiahowi. Powiedziała tylko, że Hortie spodziewa się dziecka i że jest bardzo szczęśliwa. Consuela miała nadzieję, że na przyszłe święta Annabelle i Josiah obwieszczą taką samą nowinę, jeśli oczywiście do tej pory zostaną małżeństwem, o co modliła się gorąco. Nie ma sensu przedłużać narzeczeństwa, gdy zaręczyny zostaną ogłoszone.

Przed wyjściem Josiah zapowiedział, że na Nowy Rok wyjeżdża z Henrym Orsonem na narty do Vermont. Zażartował, że na całe szczęście oprócz niego został jeszcze jeden stary kawaler, z którym można się zabawić. Ich coroczne wypady na narty do Woodstock stały się tradycją, a w tym roku Josiah nie mógł się doczekać, by wypróbować nową skocznię, którą zbudowano na trasie narciarskiej. Spytał Annabelle, czy umie jeździć na nartach i chodzić w rakietach śnieżnych. Odparła, że nie, ale chętnie spróbuje. Josiah wymienił ukradkowe spojrzenie z Consuelą i obiecał, że kiedyś ją nauczy. Zaproponował, by w przyszłym roku wybrali się do Vermont we trójkę, i dodał, że w Woodstock urządzone są wspaniałe kuligi. Oczywiście Annabelle pojaśniały, pomysł przypadł jej do gustu. Josiah pożegnał się krótko po północy, dziękując za prezenty i przepyszną kolację. Gdy młodzi żegnali się, Consuela zniknęła tajemniczo. Annabelle podziękowała jeszcze raz za bransoletkę, którą była zachwycona i którą miała już na ręce.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparł ciepło Josiah. - Wiem, że teraz nie możesz nosić biżuterii i jeśli twoja mama będzie miała obiekcje, włóż ją później. - Nie chciał obrazić Consueli, ale pragnął podarować Annabelle coś, czym mogłaby się cieszyć przez długi czas. Nie mógł też kupić zbyt drogiego prezentu, bo dziewczyna mogłaby zacząć podejrzewać, co zamierza. Uznał, że prosta złota bransoletka będzie w sam raz, zresztą Annabelle najwyraźniej była nią zachwycona.

- Miłego szusowania na nartach - powiedziała, odprowadzając go do drzwi. Narzucił na garnitur doskonale skrojony czarny płaszcz

i biały jedwabny szalik, a głowę nakrył homburgiem. Jak zawsze był bardzo elegancki, a Annabelle wyglądała młodo i ślicznie w prostej czarnej wieczorowej sukni.

- Zadzwońię po powrocie - obiecał. - Będę zaraz po Nowym Roku. - Na pożegnanie ucałował ją w policzek.

Annabelle znalazła matkę w bibliotece, przeglądającą jakąś książkę.

- Co tu robisz, mamó? - spytała zdziwiona. Consuela nie była zapaloną czytelniczką. Spojrzała na córkę z łagodnym uśmiechem.

- Pomyślałam, że ty i Josiah chcecie być przez chwilę sami, żeby się pożegnać. - Jej znaczące spojrzenie lekko zirytowało Annabelle.

- Ja i Josiah? Nie żartuj. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Co za niemądre pomysły przychodzą ci do głowy. To by wszystko popsuło, a ja bardzo sobie cenię tę przyjaźń.

- A gdyby on pragnął czegoś więcej? - spytała zagadkowo Consuela. Annabelle zmarszczyła brwi.

- Nie chce. I ja też nie. Podoba nam się to, co jest. To, że Hortie wyszła za mąż i spodziewa się dziecka, nie znaczy, że ja też muszę to robić. Przez cztery miesiące nie mogę nawet wychodzić z domu, przez jakiś czas nie poznam nikogo nowego, a kto wie, czy w ogóle spotkam kogoś, kto mi się spodoba i za kogo będę chciała wyjść. -Z westchnieniem objęła matkę. - Czy chcesz się mnie pozbyć z domu? - zapytała łagodnie.

- Oczywiście że nie, pragnę tylko, żebyś była szczęśliwa. Nic nie daje kobiecie większego szczęścia niż mąż i dziecko. Zapytaj o to Hortie. Na pewno nie może się doczekać, by wziąć w ramiona swoje maleństwo.

- Tak, słuchając tego co mówi, wiem, chyba jest szczęśliwa -przyznała Annabelle ze wstydliwym uśmiechem. - Próbowała opowiadać mi o swoim miesiącu miodowym, o tym, jak miło spędzali czas. - Głównie w łóżku, pomyślała, ale tego nie powiedziała matce i sama wolałaby o tym nie wiedzieć.

- Kiedy będzie rodzić?

- Chyba pod koniec sierpnia. Nie jest pewna. Mówi tylko, że to się stało w Paryżu. James też jest zachwycony i chce, żeby to był chłopiec.

- Wszyscy mężczyźni wolą syna, a potem zakochują się w córkach. Tak też było z twoim ojcem, kiedy cię tylko zobaczył. - Obie

uśmiechnęły się na wspomnienie Arthura. Obecność Josiaha pomogła im odpędzić smutek tych pierwszych świąt bez niego i bez Roberta. Kiedy Arthur żył, wszystko wydawało się prostsze i przyjemniejsze.

Zrobiło się późno, poszły więc na górę do swoich pokojów. Następnego dnia rano wymieniły się prezentami. Consuela kupiła córce wspaniałe futro, Annabelle sprawiła matce parę szafirowych kolczyków od Cartiera. Próbowiła jej dać taki prezent, jaki dałby jej ojciec, tyle że skromniejszy. Zawsze kupował wspaniałe podarki dla całej rodziny i w tym roku Annabelle chciała choć w niewielkiej mierze wynagrodzić matce to, co straciły, mimo że nic nie mogło tego zastąpić. Ale matkę wzruszył jej gest, a piękny prezent się podobał. Natychmiast też włożyła kolczyki.

Zeszły razem na dół i zjadły świąteczne śniadanie przygotowane przez Blanche. W nocy padał śnieg i ogród przykryty był białym puchem. Po śniadaniu ubrały się i wyszły na spacer do parku. Niełatwo było wypełnić ten dzień. Straciły połowę rodziny, a w ten świąteczny czas nieobecność Arthura i Roberta szczególnie dawała się im we znaki.

Ostatecznie jednak dzień okazał się mniej bolesny, niż się obawiały. Tak się go bały, że wynajdowały sobie różne zajęcia. Zjadły razem lunch, całe popołudnie grały w karty, a po kolacji, zmęczone, wczesnie położyły się spać. Najważniejsze, że jakoś to przetrwały. Rozbierając się do snu, Annabelle przyłapała się na tym, że myśli o Josiahu w Vermoncie. Zastanawiała się, czy on i Henry dotarli bezpiecznie na miejsce i czy dobrze się bawią. Chętnie pojechałaby z nim kiedyś na narty, tak jak proponował. Miała nadzieję, że może zrobi to w przyszłym roku, jeśli tylko zdoła namówić matkę na wyjazd.

Kolejne dni były łatwiejsze. Annabelle spędziła trochę czasu z Hortie, ale przyjaciółka mogła teraz rozmawiać wyłącznie o dziecku, podobnie jak pół roku temu nie miała innego tematu prócz ślubu. Bo też właściwie nic innego nie zajmowało jej czasu i umysłu. Gdy Consuela pogratulowała jej spodziewanego potomka, Hortie przez pół godziny swiergotała o Paryżu i ubraniach, które sobie tam kupiła, a których i tak wkrótce nie będzie mogła nosić. Powiedziała, że latem pojedą do Newport i że nie ma nic przeciwko temu, by urodzić dziecko właśnie tam. I tak zamierzała rodzić w domu, czy to w Newport, czy w Nowym Jorku. Słuchając ich rozmowy, Annabelle poczuła się pozostawiona trochę na uboczu. Nie miała nic do powiedzenia

na ten temat. W ciągu jednej nocy Hortie przemieniła się w mężatkę i matkę. Ale Annabelle i tak kochała przyjaciółkę, nawet jeśli zrobiła się nudna. Hortie przywiozła jej z Paryża różowy sweter z perłowymi guzikami i koronkowym kołnierzykiem. Annabelle nie mogła się już doczekać, kiedy będzie mogła go włożyć.

- Nie chciałam ci kupować czarnego - stwierdziła przepaszająco Hortie. - Masz dość ponurych ubrań, a ten sweter będziesz mogła nosić już niedługo. Mam nadzieję, że ci się podoba.

- Jest śliczny! - zapewniła ją Annabelle i mówiła to szczerze. Błady delikatny róż doskonale pasował do jej jasnej cery i włosów.

W ciągu poświęconego tygodnia przyjaciółki kilka razy jadły razem lunch. Czują się bardzo dorosłe w restauracjach hoteli Astor Court i St. Regis. Hortie poważnie traktowała swój nowy status ma-trony. Stroiła się, nosiła biżuterię, którą dał jej James, i wyglądała bardzo dostojnie. Annabelle wkładała nowe futro podarowane jej przez matkę i czuła się trochę jak dziewczynka, która bawi się w przebieranki. Nosiła też bransoletkę od Josiaha.

- Skąd to masz? - zapytała Hortie, która zauważyła ją natychmiast. - Bardzo mi się podoba.

- Mnie też - przyznała Annabelle. - Dostałam ją od Josiaha Millbanka na Gwiazdkę. To miło z jego strony, prawda? Mamie dał szal.

- Oboje wyglądaliście wspaniale na moim ślubie. - Nagle oczy Hortie błysnęły jak dwie gwiazdy, coś jej przyszło do głowy. - Co o nim myślisz?

- W jakim sensie? - Annabelle nie zrozumiała, o co chodzi.

- No wiesz, jako o kandydacie na męża. Annabelle wybuchnęła śmiechem.

- Nie wygłupiaj się, Hortie. Jest dwa razy starszy ode mnie. Mówisz jak moja mama. Mam wrażenie, że wydałaby mnie za mleczarza, bylebym tylko wyszła za męża.

- A przystojny ten mleczarz? - Roześmiała się Hortie.

- Nie. Ma ze sto lat i zepsute zęby.

- Ale dlaczego nie Josiah? Podobasz mu się i ciągle się koło ciebie kręci.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi i oboje nas cieszy taki stan rzeczy. Romans na siłę by wszystko popsuł.

- To piękna bransoletka jak na prezent dla „tylko przyjaciółki”.

- Ależ to tylko prezent, a nie oświadczyzny. Josiah spędził u nas Wigilię. Tak nam było smutno w tym roku - dodała, zmieniając temat.

- Wiem - powiedziała Hortie ze współczuciem, zapominając na chwilę o Josiahu. - Przykro mi, Belle. - Annabelle skinęła tylko głową. By nie podtrzymywać smutnego nastroju, zajęły się innymi tematami, głównie garderobą. Hortie wręcz nie potrafiła sobie wyobrazić, co będzie nosić, kiedy urośnie jej brzuch. Zamierzała wybrać się do krawcowej matki, by naradzić się z nią co do garderoby w ciągu następnych kilku tygodni. Suknie już robią się za ciasne w talii, gorset przysparza jej istnych katuszy. Przysięgała, że jej piersi zrobiły się dwa razy większe.

- Może urodzisz bliźnięta - zażartowała Annabelle.

- Czy to nie byłoby zabawne? - odparła Hortie ze śmiechem. Nie myślała o tym, z czym wiąże się ciąża i połóg, i wszystko jak na razie było dla niej radosną przygodą.

Nie była tak zachwycona dwa tygodnie później, kiedy zaczęła mieć mdłości. Przez kolejne dwa miesiące prawie nie ruszała się z łóżka, dopiero w połowie marca znów poczuła się znośnie. Póki nie mogła wychodzić, Annabelle odwiedzała ją w domu. Od Bożego Narodzenia Hortie nie pojawiła się na żadnym przyjęciu i ciąża nie wydawała jej się już tak ekscytująca jak na początku. Czula się gruba, przez większość czasu było jej niedobrze i wciąż narzekała. Annabelle współczuła przyjaciółce i przynosiła jej kwiaty, książki i czasopisma. Zabawianie Hortie stało się jej główną misją. W końcu, na początku kwietnia, Hortie wstała z łóżka. Była już w piątym miesiącu i ciąża stała się widoczna. Wszystkie kobiety w rodzinie twierdziły zgodnie, że to tylko jedno dziecko, ale Hortie była coraz grubsza i jej matka upierała się, że to na pewno chłopiec.

Był to zresztą jedyny temat, jaki mógł ją rozerwać, przez większość czasu leżała i marudziła. Narzekała, że czuje się jak wieloryb i że James prawie wcale się z nią nie kocha, co było dla niej bardzo przykre. Niemal co wieczór wychodził z kolegami, obiecywał tylko, że gdy dziecko się urodzi, nadrobią to i wszędzie będą chodzić razem. Matka przypominała jej jednak, że po porodzie karmi się dziecko piersią, a nawet jeśli nie, i tak ma się pełne ręce roboty. Cała ta dorosłość nie była aż tak zabawna. Annabelle wysłuchiwała jęków przyjaciółki z anielską cierpliwością i nieraz tuliła ją, gdy Hortie zbierało się na płacz.

W kwietniu, w rocznicę śmierci Arthura i Roberta, Consuela zamówiła mszę w kościele Świętej Trójcy, a po mszy wydała uroczysty lunch w domu. Zjawili się wszyscy przyjaciele Arthura i kilka osób z dalszej rodziny, włącznie z Madeleine Astor, której zmarły mąż był kuzynem Consueli. Przyszedł także Josiah i kilku pracowników banku, a wśród nich Henry Orson.

W ciągu ostatnich miesięcy Josiah bywał częstym gościem w domu, zawsze pomocny, miły, przynosił ze sobą uśmiech i drobne upominki. Ku radości Annabelle podarował jej całą serię podręczników medycyny i *Anatomię Graya*. Poza Hortie był teraz jej najlepszym przyjacielem, a o wiele ciekawszym towarzyszem, ponieważ nie był w ciąży i nie użalał się bez przerwy nad sobą. Annabelle zawsze miło spędzała z nim czas. Kilkakrotnie zaprosił ją na kolację do restauracji, a gdy minęła rocznica śmierci Arthura i Roberta, Annabelle nie mogła się doczekać, kiedy zacznie zabierać ją na przyjęcia. Od ponad roku nie była na żadnym, nie licząc ślubu Hortie. Zanim zatonął „Titanic”, rodzice i brat przez dwa miesiące byli w podróży, przed ich wyjazdem była chora, nie bywała więc na salonach od piętnastu miesięcy. Dla dziewczyny w jej wieku to bardzo długo. W maju miała skończyć dopiero dwadzieścia lat.

Dwa tygodnie po rocznicy Josiah zaprosił ją na wyjątkowo elegancką kolację w restauracji Delmonico, w której Annabelle jeszcze dotąd nie była. Kupiła na tę okazję nową suknię i poprosiła matkę, by ułożyła jej włosy. Consuela podejrzewała, co się święci, i miała nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Josiah przyjechał po Annabelle o siódmej, tym razem własnym samochodem. Gdy ujrzał ją w nowej sukni, aż gwizdnął z podziwu. Delikatny jedwab w kolorze kości słoniowej odsłaniał ramiona, lekko tylko zakryte białym szalem. Kreacja stanowiła zaskakujący kontrast do ponurej czerni, w którą Annabelle ubierała się przez tyle miesięcy. Consuela nadal nosiła żałobę, twierdząc, że nie czuje się jeszcze gotowa, by ją zrzucić. Annabelle bała się, że nie nastąpi to nigdy, ale sama z radością schowała głęboko swoje czarne suknie. Był już najwyższy czas.

Dotarli do restauracji o siódmej trzydzieści i usiedli przy zacisznym stoliku w rogu. Tak miło było znaleźć się wśród ludzi i jeść kolację z Josiahem. Poczuli się bardzo dorośle - jeszcze bardziej niż podczas spotkań z Hortie - gdy usiadła naprzeciw niego i zdjęła szal.

Na ręce miała bransoletkę, którą dostała od niego na Gwiazdkę. Nigdy jej nie zdejmowała.

Kelner zapytał, czy będzie piła koktajl. Odmówiła trochę nerwowo. Consuela ostrzegła ją, by nie piła za dużo - najwyżej trochę wina do posiłku. Powiedziała, że Annabelle nie zrobi dobrego wrażenia, jeśli się upije. Dziewczyna roześmiała się i zapewniła matkę, że może się nie martwić. Ale gdy Josiah zamówił szkoekę z wodą sodową, zdziwiła się. Nigdy przedtem nie widziała, by pił mocny alkohol, i przyszło jej do głowy, że może i on jest zdenerwowany, choć naprawdę nie wiedziała, dlaczego - byli tak dobrymi przyjaciółmi.

- Czy masz ochotę na szampana? - zapytał, kiedy przyniesiono mu whisky.

- Nie, dziękuję - odparła Annabelle z nerwowym śmiechem. - Mama przestrzegła mnie, żebym się nie upiła i nie narobiła ci wstydu. - On też się roześmiał, mogli przecież powiedzieć sobie wszystko. Rozmowa toczyła się na najróżniejsze tematy i świetnie się czuli w swoim towarzystwie. Na kolację zamówili specjalność restauracji: słynnego homara Newburg.

Przy deserze Josiah zamówił szampana. Kelner przyniósł butelkę do stolika i otworzył ją przy nich. Annabelle z uśmiechem upiła łyżeczek. Do kolacji wypiła tylko kieliszek wina, nie musiała się więc martwić, że spełnią się obawy mamy.

- Pyszny - stwierdziła. Josiah zamówił wyjątkowo dobry gatunek. Sam wypił o wiele więcej niż ona, ale też nie przesadził. Chciał być całkowicie trzeźwy, gdy powie to, co miał do powiedzenia. Zwlekał długo, ale w końcu nadszedł właściwy dzień. Czując łaskotanie w żołądku, uśmiechnął się do Annabelle i uniósł kieliszek.

- Za panią, panno Worthington. Za wspaniałą przyjaciółkę, którą zesłał mi los - wzniosł toast.

- I za pana - odparła z uśmiechem, upijając kolejny łyżeczek. Widział, że nie odgaduje tego, o co miał zamiar poprosić. Była wcieleniem niewinności.

- Uwielbiam być z tobą, Annabelle - powiedział i mówił to szczerze.

- Ja też - przyznała. - Zawsze świetnie się bawimy. - Zaczęła coś mówić o medycznych książkach, które jej podarował, ale zdziwiła się, gdy przerwał jej delikatnie. Zwykle pozwalał jej paplać godzinami o tym, czego dowiedziała się z podręczników;

- Chcę ci coś powiedzieć. - Spojrzała na niego, zaskoczona, zastanawiając się, o co mu chodzi. Miała nadzieję, że to nic złego. -Długo na to czekałem. Uznałem, że nie wolno mi poruszać tego tematu przed kwietniem, ze względu na żałobę. Ale teraz już mogę, w końcu więc zebrałem się na odwagę.

- Czy coś świętujemy? - zapytała naiwnie. Choć nie wypięła wiele, trochę szumiało jej w głowie.

- Mam nadzieję - odparł - ale to zależy od ciebie. To ty zdecydujesz. Annabelle, już od zeszłego lata chciałem ci powiedzieć, że cię kocham. Nie chciałem burzyć naszej przyjaźni ani przestraszyć cię, ale gdzieś po drodze zakochałem się w tobie. Myślę, że stanowimy doskonałą parę. Nie chcę być wiecznym kawalerem, ale do tej pory nie spotkałem kobiety, z którą pragnąłbym założyć rodzinę. Nie potrafię sobie wyobrazić lepszej wróżby dla małżeństwa niż serdeczna przyjaźń, taka jak nasza. Uczyń mi ten honor i zostań moją żoną, jeśli mnie zechcesz, oczywiście. Widział, że oczy Annabelle robią się coraz bardziej okrągłe, a usta otwierają się ze zdumienia.

- Mówisz to poważnie? - zapytała, gdy wreszcie mogła coś powiedzieć. Skinął głową.

- Jak najbardziej. Wiem, że to dla ciebie zaskoczenie, i oczywiście możesz się nad tym zastanowić, jeśli chcesz. Ale wiedz, że kocham cię od dawna.

- Czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej? - Sama nie wiedziała, czy jest szczęśliwa, czy zła. Przede wszystkim jednak była zdumiona.

- Sądziłem, że powinienem poczekać, aż skończy się żałoba. -Annabelle skinęła głową. Było to i logiczne i stosowne, Josiah zawsze postępował jak należy. Była to jedna z cech, które w nim lubiła.

Nadal patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Rozgniewałem cię? - zapytał z niepewną miną, ale ona pokręciła głową. Gdy podniosła znów oczy, zobaczył łzy.

- Nie, oczywiście, że nie. Jestem wzruszona - odparła, sięgając po jego dłoń.

- Wiem, że jestem o wiele starszy od ciebie. Mógłbym być twoim ojcem. Ale nie chcę nim być. Chcę być twoim mężem i przyrzekam, że zawsze będę się tobą opiekował.

Wierzyła mu, nie miała powodu nie wierzyć. Nagle coś przyszło jej do głowy.

- Czy mama o tym wie? - To by wyjaśniało jej dyskretne sugestie na temat Josiaha, które Annabelle tak lekceważyła.

- W październiku zapytałem ją o pozwolenie starania się o ciebie, a ona zgodziła się. I chyba głęboko wierzy, że tak byłoby najlepiej dla nas obojga.

- Ja też w to wierzę - odparła Annabelle ze wstydliwym uśmiechem. - Ale nigdy nie spodziewałam się, że to nastąpi. Myślałam, że jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Bo jesteśmy - odparł. - I jeśli się zgodzisz, zostaniemy nimi zawsze. Mąż i żona powinni być również najlepszymi przyjaciółmi. Chcę mieć z tobą dzieci i spędzić resztę życia u twojego boku. I zawsze, zawsze będę twoim przyjacielem.

- Ja też - odparła ze łzami w oczach. Myśl o tym, że mogliby mieć ze sobą dzieci, trochę ją speszyła, ale i wzruszyła. Słuchając go, starała się nie myśleć o tym wszystkim, o czym mówiła Hortie, relacjonując przeżycia miesiąca miodowego. To, co łączyło ją i Josiaha, wydawało się o wiele czystsze. Nie chciała tego zepsuć. Hortie zawsze była trochę postrzelona, a teraz, kiedy odkryła miłość cielesną, stała się jeszcze gorsza. Hamował ją tylko fakt, że z dnia na dzień była coraz grubsza.

- Potrzebujesz trochę czasu, żeby to przemyśleć? Wiem, że to niespodzianka.

Długo gryzłem się w język. - Roześmiał się. - To dlatego zamówiłem szkocką i butelkę dobrego wina, a teraz szampana. Twoja mama mnie powinna ostrzec, żebym się nie upił. Musiałem nabrać odwagi, nie wiedziałem, czy powiesz tak, czy mnie spolicz-kujesz.

- Tylko taki mam wybór? - zapytała, sięgając po jego drugą dłoń. - Powiedzieć tak albo cię spoliczkować?

- Można to tak ująć. - Uśmiechnął się, ściskając jej dłonie.

- A zatem sprawa jest prosta. Wybieram to pierwsze. Gdybym cię uderzyła, zrobiłby się skandal. Mogliby nas wyrzucić z restauracji i potem nie byłbyś już chyba moim przyjacielem.

- Ależ byłbym. - Nagle dotarło do niego, że na swój nieśmiały sposób powiedziała mu „tak”. - Mówisz poważnie? Zgadzasz się?

- Z całego serca. Nigdy nie myślałam o nas w ten sposób, a kiedy mama coś o tym wspominała, sądziłam, że zwariowała. Teraz jednak

przyznaję, że nie chciałabym poślubić nikogo innego. No, może Hor-tie, ale ona potrafi być strasznie marudna. Jeśli więc mam brać ślub z przyjacielem, wybieram ciebie. - Oboje roześmiali się serdecznie.

- Mówiłem ci już, że cię kocham? - zapytał.

- Zdaje się, że tak, ale zawsze możesz to powtórzyć - odparła z uroczym uśmiechem.

- Kocham cię, Annabelle.

- Ja ciebie też, Josiahu. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo. A to chyba najlepszy sposób, by zachować naszą przyjaźń na zawsze. - Jej oczy napęłniły się łzami, a wargi zaczęły drżeć.

- Co się stało? - szepnął.

- Szkoda, że nie mogę o tym powiedzieć papie i Robertowi. To najważniejsza chwila w moim życiu, a ja nie mam się komu pochwalić. Mama już o wszystkim wie. No i kto poprowadzi mnie do ołtarza? - Łzy płynęły już po jej policzkach.

- Coś wymyślimy - powiedział, łagodnie ocierając jej łzy. - Nie płacz, skarbie. Wszystko będzie dobrze.

- Wiem - odparła. I naprawdę była absolutnie pewna, że nie mogła trafić lepiej. Nagle wszystko wydało jej się oczywistą kolejną rzeczą, choć do tej pory nie przyszło jej to do głowy. Ale teraz on poprosił ją o rękę, a ona godziła się na to z własnej woli. Teraz wszystko miało sens. - Kiedy weźmiemy ślub?

- Nie wiem. To zależy od ciebie. Od dzisiaj jestem na twoje rozkazy. Możemy się pobrać, gdy tylko zechcesz.

- Może więc w Newport, tego lata? - spytała zamyślona. - W ogrodzie. To mniej oficjalnie niż w kościele. - I nie będzie musiała przejść sama przez całą nawę, co tak bardzo ją przerażało. Nie miała wuja, który mógłby oddać ją mężowi, nikogo, kto zastąpiłby ojca czy brata. - Pomyślałam, że ślub powinien być skromny, wielkie przyjęcie wydamy później. Skoro nie ma papę i Roberta, jakoś nie bawi mnie huczne wesele. Poza tym mogłoby być zbyt bolesne dla mamy. Co powiesz na sierpień?

- Wspaniały pomysł - odparł, rozpromieniony. Wszystko szło o wiele lepiej, niż planował i niż ośmielał się marzyć. - Czy to dość czasu, żebyście zdążyły wszystko zorganizować?

- O tak. Nie chcę wielkiego przyjęcia, takiego jakie miała Hortie. Nie chcę też innej drużyny poza nią, a ona będzie w dziewiątym miesiącu ciąży.

- Będzie raczej honorową matroną niż druhną- zażartował. Oboje wiedzieli, że Hortie nie pokaże się publicznie w takim stanie.

- Mówi, że może urodzi dziecko w Newport - dodała Annabelle.

- Może nawet na naszym weselu. - Josiah roześmiał się. Miał przeczucie, że u boku Annabelle nigdy nie będzie się nudził.

- A czy będę mogła dalej pracować jako wolontariuszka w szpitalu? - zapytała z niepokojem.

- Będziesz mogła robić, co tylko zechcesz - zapewnił ją solennie.

- Mama mówi, że muszę z tym skończyć, kiedy wyjdę za mąż.

- Jeśli chodzi o mnie, wcale możesz nie rezygnować, poza krótkim czasem, kiedy będziesz przy nadziei. Wtedy chyba dobrze byłoby zrobić sobie przerwę. - Annabelle ucieszyły te jego rozsądne słowa. Wierzyła, że Josiah nie zamknie jej w domu, ale też że zawsze będzie ją chronił. Zapowiadał się na idealnego męża i właściwie nie rozumiała, dlaczego sama na to nie wpadła.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali o swoich planach. Matka Josia-ha nie żyła od lat, ojciec ożenił się drugi raz z kobietą, za którą Josiah nie przepadał. Uważał jednak, że powinien ich zaprosić, podobnie jak swoją przyrodnią siostrę z mężem. Miał też dwóch wujów i brata ekscentryka, mieszkającego w Chicago, który i tak pewnie nie zechce przyjechać. Z jego strony nie spodziewali się więc tłumu rodziny.

Annabelle z bliskich krewnych miała tylko matkę, a prócz niej kilkoro dalszych kuzynów. Powiedziała, że chciałaby zmieścić się poniżej setki gości, może nawet pięćdziesiątki. Później, jesienią, Consuela mogłaby im urządzić większe przyjęcie w mieście. Josiahowi bardzo spodobał się pomysł skromnego ślubu - uroczystości przeznaczonej tylko dla nich i dla najbliższych, a nie spędu dla połowy miasta. Nigdy nie pragnął wielkiego wesela; prawdę mówiąc, do tej pory nie pragnął żadnego.

- A dokąd chciałabyś pojechać w podróż poślubną? - zapytał. Sierpień był już niedługo.

- Gdziekolwiek, bylebyśmy nie musieli płynąć statkiem. Nie zrobię tego mamie i sama chyba też nie chcę.

- Coś wymyślimy. Może pojedziemy do Kalifornii albo w Góry Skaliste. Albo do Kanady, a może nawet tylko do Maine. W Nowej Anglii jest bardzo pięknie o tej porze roku.

- Nieważne, dokąd pojedziemy - odparła szczerze. - Bylebym tylko była z tobą. - A on czuł dokładnie to samo.

W końcu skinął na kelnera i zapłacił rachunek. Wszystko poszło doskonale. Josiah przeprosił tylko Annabelle, że nie ma dla niej jeszcze pierścionka zaręczynowego, ale tak się denerwował tym, czy zostanie przyjęty, że nie chciał zapeszyć sprawy. Gdy odwiózł ją do domu, Consuela jeszcze nie spała. Była zbyt zdenerwowana, by pójść do łóżka. Spojrzała na nich wyczekująco, gdy tylko weszli za próg i gdy zobaczyła ich rozpromienione miny.

- Czyżbym miała zięcia? - zapytała ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Będzie go pani miała w sierpniu - odparł dumnie Josiah, obejmując ramieniem swoją narzeczoną.

- Pobierzemy się w Newport - dodała Annabelle z uśmiechem.

- O Boże, ślub w Newport w sierpniu to tylko trzy miesiące na przygotowania. Chyba nie mówicie poważnie?

- Myślimy o skromnej uroczystości, mamó - wyjaśniła Annabelle. Consuela zrozumiała i sama przyjęła tę decyzję z ulgą.

- Będzie, jak zechcecie - odparła łagodnie.

- Chcemy zaprosić pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób, najwyżej sto, jeśli nie da się inaczej. I pobierzemy się w ogrodzie.

- Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem - powiedziała mężnie Consuela, choć już miała ochotę dzwonić do kwiaciarni i restauracji. Podeszła do Josiaha, by go uściskać, ucałowała też córkę. - Tak się cieszę, moi drodzy. Jestem pewna, że będziecie bardzo szczęśliwi.

- My też - odparli jednocześnie i wszyscy troje roześmieli się. Consuela uparła się, by posłać po szampana, i Annabelle przypomniała sobie tamten październikowy dzień, gdy wróciła do domu ze szpitala i zastała matkę i Josiaha pijących szampana w ogrodzie.

- Naprawdę dostałeś wtedy awans? - zapytała, gdy Consuela napełniała kieliszki.

- Nie, dostałem ciebie, a raczej pozwolenie twojej mamy.

- Och, wy zdrajcy. - Annabelle się roześmiała.

- Obyście byli tak szczęśliwi, jak ja z Arthurem, obyście żyli długo i zdrowo, i mieli gromadkę dzieci - wzniosła toast Consuela. Annabelle i Josiah unieśli kieliszki i wypili po łyku szampana. Córka gorąco uściskała matkę. Wiedziała, że dla niej prócz radości chwila ta niesie smutek. Po ich ślubie Consuela zostanie całkiem sama w wielkim domu.

- Kocham cię, mamó - powiedziała, nie wypuszczając jej z objęć.

- I ja cię kocham, skarbie. Cieszę się twoim szczęściem i wiem, że gdziekolwiek są teraz twój ojciec i brat, też się cieszą.
Obie otarły oczy, a Josiah odchrząknął i odwrócił głowę, by nie zobaczyły, że i on płacze. Wiedział, że to najszczęśliwszy wieczór w jego życiu.

Rozdział 7

Przez następnych kilka tygodni Consueli nie zabrakło pracy. Musiała zamówić obiad i kwiaty w Newport, porozmawiać z pastorem, wynająć muzyków.

Zdecydowała już, że otworzy letni dom w czerwcu. Ojciec Josiaha zgodził się wziąć na siebie przedślubną kolację, którą zamierzał wydać w newporckim Country Club.

Trzeba też było zamówić zaproszenia, Annabelle potrzebowała sukni i wyprawy ślubnej. Tysiące drobiazgów wymagało uwagi i wszystko było męczące, ale Consuela od dawna nie czuła się tak szczęśliwa. Żałowała tylko, że Annabelle nie może dzielić radości z ojcem i bratem, i by jej to wynagrodzić, starała się urządzić wszystko jak najpiękniej.

Zaręczyny ogłoszono w „New York Herald” na dzień przed urodzinami Annabelle, a w dniu urodzin Josiah ofiarował jej pierścionek zaręczynowy - dziesięciokaratowy brylant, który należał niegdyś do jego matki. Wyglądał bajecznie na dłoni Annabelle. Josiah uznał, że pierścionek po matce będzie lepszy od nowego, a i Annabelle była nim zachwycona.

Obie z Consuelą długo szukały odpowiedniej sukni i czystym przypadkiem pierwszego lipca znalazły idealną w firmie B. Altma-na. Wąską suknię z francuskiej koronki uszyto według projektu Pa-tou. Była ona na tyle prosta, by nie wyglądać niestosownie w Newport. Miała też długi, elegancki tren i welon, który wyglądał jak biała chmurka. Annabelle wyglądała w niej wprost cudownie.

Kiedy poprosiła Hortie, by została honorową matroną*, przyjaciółka krzyknęła przerażona:

*** W tradycji anglosaskiej zamiast lub oprócz starszej drużny pannie młodej może asystować kobieta zamężna, tak zwana „matron of honor” (przyp. tłum.).**

- Czyś ty zwariowała? Nie możesz wychodzić za mąż, póki nie urodzę. Jeśli twoja mama zamawia namiot, niech zamówi drugi dla mnie, bo nic innego na siebie nie włożę.

- To nieważne, jak będziesz wyglądać ani co powiedzą ludzie - nalegała Annabelle.

- Chcę po prostu, żebyś była przy mnie. - I ja, i Consuelę bolało to ogromnie, ale zdecydowały, że do ołtarza pójdzie sama.

- W ogóle nie powinnam się pokazywać, od kiedy noszę dziecko. Wszystkie stare plotkary z Newport będą o tym gadać przez całe lata. - Annabelle też zdawała sobie z tego sprawę, a Hortie była bliska płaczu.

- Nie przejmuj się. Kocham cię, choćbyś nie wiem, jak wyglądała. Nie chcemy dłużej czekać, a sierpień to doskonały termin - błagała.

- Nienawidzę cię. No cóż, jeśli będę dużo pływać, może urodzę dziecko wcześniej. Ale i tak będę gruba. - Kiedy jednak Hortie zrozumiała, że Annabelle nie da się namówić na przesunięcie ślubu, poddała się i obiecała, że przyjdzie, choćby nie wiem co. Data ślubu pokrywała się mniej więcej z przewidywanym terminem porodu, ale gdy Annabelle stwierdziła, że dziecko może też urodzić się później, Hortie omal jej nie uderzyła. Chciała, by urodziło się wcześniej. Czuła się gruba, brzydka i była już zmęczona.

Wprawdzie Josiah miał piękny letni dom w Newport, który odziedziczył po matce, ale jego mieszkanie w Nowym Jorku było stanowczo za małe dla rodziny z dziećmi - bo przecież będą mieli dzieci. Narzeczeni postanowili, że poszukają większego po powrocie z Wyoming, gdzie ostatecznie zdecydowali się spędzić miesiąc miodowy. Teraz mieli zbyt wiele na głowie, by zajmować się szukaniem domu, i na razie mieszkanie Josiaha musiało im wystarczyć. Poza tym znajdowało się blisko rezydencji Consueli, co odpowiadało Annabelle. Smuciło ją, że musi się wyprowadzić i zostawić matkę. Wiedziała aż za dobrze, jaka będzie samotna. Na razie Consuela była zbyt zajęta, by odczuwać samotność. Dwukrotnie odwiedziła Newport, by zaplanować ślub i wydać dyspozycje ogrodnikowi. Znalazła namiot weselny odpowiednich rozmiarów, jaki pozostał po którymś zeszłorocznym ślubie. Ku zdumieniu Annabelle i Josiaha już pod koniec czerwca wszystko było gotowe i zaplanowane. Consuela była wręcz wzorem sprawnego działania.

Pocziwy Josiah nie okazywał ani śladu wątpliwości czy zdenerwowania, choć tak długo czekał z ożenkiem. Gdy już się zdecydował, był gotów i spokojnie oczekiwał przyszłości. Bardziej niż jego narzeczona.

Gdy ich zaręczyny zostały ogłoszone w prasie, posypały się zaproszenia.

Narzeczeni wychodzili niemal co wieczór. Byli wspaniałą parą i tylko dwie znajome Consueli rzuciły niemiłe uwagi, że Josiah jest za stary dla Annabelle.

Consuela zapewniła je jednak, że to nic nie szkodzi. Jej kuzyn, John Jacob Astor, będąc po czterdziestce, poślubił osiemnastoletnią Madeleine. A Josiah codziennie udawał, że będzie idealnym mężem. Annabelle mogła nawet pracować w szpitalu aż do końca lipca. Potem miała zrobić przerwę do jesieni.

Jedynym, czego chciała Consuela - i co powtarzała bez końca - były wnuki i to jak najszybciej. Annabelle słyszała to tak często, że miała ochotę krzyknąć.

A i Hortie nie mogła przestać mówić o niespodziankach, jakie czekają Annabelle w małżeńskiej alkowie, i zapewniać ją, jak wspaniałą sprawą jest seks. Annabelle denerwowały te nieproszone rady. Hortie zaś była coraz bardziej pękata i Annabelle w głębi serca miała nadzieję, że gdy ona będzie się spodziewać dziecka, nie roztyje się tak bardzo. Gdy pewnego dnia powiedziała o tym Josiahowi, roześmiał się.

- Będiesz piękna, kiedy to się stanie, i nasze dzieci też będą piękne. - Ucałował ją czule. Czekali ich wiele radości, a przez najbliższe dwa miesiące mieli być tacy zajęci.

Wydawało się, że wszyscy znajomi Josiaha chcą uczcić ich zaręczyny. Cóż, stary przyjaciel żenił się nareszcie w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Henry Orson, który miał być jego drużbą, urządził mu tak udany wieczór kawalerski, że jego uczestnicy mieli kaca przez trzy dni. Josiah przyznał, że zabawa była świetna, ale nie wdawał się w szczegóły, a Annabelle go nie wypytywała. Cieszyła się, że jej narzeczony tak dobrze się bawił.

Consuela wyjechała do Newport już w czerwcu, a Annabelle dołączyła do niej w połowie lipca. Josiah przyjechał pod koniec miesiąca i zamieszkał w swoim domu. Henry dotrzymywał mu towarzysztwa, by zapewnić wsparcie przyjacielowi, który na szczęście wcale tego nie potrzebował. Henry miał też pozostać w domu, kiedy państwo młodzi wyjadą w podróż poślubną. Josiah wziął w tym

roku dodatkowe trzy tygodnie urlopu, by spędzić jak najwięcej czasu z młodą żoną. Zarząd banku był bardzo wyrozumiały, tym bardziej że młodą żoną była córka Arthura Worthingtona.

Annabelle polubiła Henry'ego. Był bystry, dowcipny, uprzejmy i trochę nieśmiały, ale gdy się spotkali z Josiahem, jego błyskotliwy dowcip aż iskrzył. Dla niej zawsze uprzedzająco miły, dla Josiaha był odpowiednikiem Hortie - bratnią duszą i najlepszym przyjacielem. Annabelle podziwiała go i zastanawiała się, z którą ze swoich młodych przyjaciółek go wyswatać. Przedstawiła go już kilku pannom. Henry stwierdził, że dwie z nich nawet mu się spodobały, i choć na razie nie wyszło z tego nic poważnego, Annabelle nie traciła nadziei.

Hortie i James też zdążyli zjechać na lato do Newport. Byli niemal pewni, że dziecko urodzi się właśnie tutaj. Mimo swojego stanu Hortie codziennie odwiedzała Annabelle, uznawszy, że dość już na-siedziała się w domu w Nowym Jorku.

Annabelle pomagała mamie, jak tylko mogła, ale Consuela zapewniała, że da sobie radę ze wszystkim. Przyjazd do Newport nie oznaczał końca przyjęć, a Astorowie wydali nawet ogromny bankiet z tańcami na cześć narzeczonych. Consuela narzekała, że przez całe życie nie chodziła spać tak późno, ale z radością brała udział we wszystkich balach.

Liczba gości weselnych przekroczyła już setkę i zbliżała się do stu dwudziestu. Za każdym razem, gdy ktoś urządzał przyjęcie na ich cześć, trzeba go było dopisać do listy. Narzeczeni bawili się świetnie, a któregoś dnia przy lunchu Josiah rzucił z przekąsem, że gdyby o tym wiedział, ożeniłby się lata temu.

- Całe szczęście, że tego nie zrobiłeś - przypomniała mu Annabelle - bo wtedy nie żeniłbyś się ze mną.

- Masz rację - roześmiał się. Jedli śniadanie na trawie, a wkrótce przyłączyła się Hortie, tak gruba, że człapała jak kaczka. Annabelle nie potrafiła ukryć uśmiechu. Trudno było uwierzyć, że może być jeszcze większa, a przecież do porodu został jeszcze prawie miesiąc. Wyglądała, jakby miała pęknąć. Obaj, Josiah i Henry, pomogli jej usiąść na trawie, a do wstawania przydałby się chyba dźwig.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziała, bo cała trójka śmiała się z niej dobrodusznie. - Od miesiący nie widziałam własnych stóp. - Wyglądała jak słoń i twierdziła stanowczo, że tak się czuje.

- W co ty się ubierzesz na ślub? - zapytała z troską Annabelle. Nie potrafiła sobie wyobrazić tak ogromnej sukni.

- Czy ja wiem? Może owinę się narzutą na łożko.

- Mówię poważnie. Czy masz coś, w co się zmieścisz? Musisz coś wymyślić.

- Nie martw się, nie zamierzam się wykręcać - zapewniła ją Hor-tie. - Nie opuściłabym ślubu za skarby świata. - Krawcowa matki uszyła dla niej rodzaj wielkiego, bładoniebieskiego namiotu, do którego zamówiła błękitne pantofle. Nie była to suknia odpowiednia dla honorowej matrony i wcale jej się nie podobała, ale nie miała niczego innego.

Consuela wybrała dla siebie suknię i kapelusz w kolorze szmaragdowej zieleni, chciała bowiem włożyć do kompletu szmaragdy, które dostała niegdyś od Arthura. W tym kolorze było jej świetnie i Annabelle wiedziała, że matka będzie wyglądać pięknie.

W końcu nadszedł ów wielki dzień. Ojciec i macocha Josiaha, a także jego siostra przyrodnia z mężem i dzieckiem przyjechali z Bostonu kilka dni wcześniej.

Annabelle bardzo ich polubiła, a kolacja przedślubna była udana. Consuela też znalazła wspólny język z rodziną Josiaha i zaprosiła ich na lunch dzień przed ślubem. Wyglądało na to, że udało się skojarzyć wspaniałą parę, miały się połączyć dwie szanowane rodziny i dwoje ludzi, których wszyscy kochali. Jak przewidywał Josiah, jego brat George nie zdecydował się na przyjazd, gdyż wolał wziąć udział w turnieju golfowym. Po prostu taki był i Josiah nie czuł się dotknięty. Gdyby przyjechał, byłby z nim tylko kłopot, tak więc jego nieobecność została przyjęta z ulgą. Rodzina Josiaha nie była tak normalna, zrównoważona i zżyta jak rodzina Annabelle, a macocha wręcz działała Josiahowi na nerwy. Miała wysoki, piskliwy głos i narzekała przy każdej okazji.

W dniu ślubu Consuela zjadła późne śniadanie z krewnymi Josia-ha, bez pary młodej. Annabelle, zgodnie ze zwyczajem, nie chciała widzieć narzeczonego przed ślubem, Josiah i Henry zostali więc w domu, usiłując się jakoś ochłodzić. Dzień był wyjątkowo upalny i Consuela martwiła się, że kwiaty powiędną, a tort rozpuści się, zanim zacznie się ceremonia. Nabożeństwo w ogrodzie zaplanowano na siódmą wieczór, do kolacji goście mieli zasiąść o dziewiątej. Było też oczywiste, że zabawa potrwa do późna.

Ostatecznie zaproszono sto czterdzieści osób, niemal po tyle samo ze strony panny i pana młodego.

Hortie zjawiała się zgodnie z obietnicą. Jakimś cudem jeszcze nie urodziła, ale wyglądała, jakby miała nie dotrwać ślubu. Lojalnie ostrzegła Annabelle, że już od dwóch dni ma skurcze i modli się, by wody nie odeszły jej przy ołtarzu. Już sam wygląd był dla niej upokorzeniem. Wiedziała, że wszyscy będą zgorszeni, widząc ją na weselu, i zapewne uznają to za skandal, ale przecież nie mogła zawieść przyjaciółki. Annabelle mówiła, że tak bardzo jej brakuje ojca i brata, nie mogło więc w tym dniu zabraknąć u jej boku najlepszej przyjaciółki.

Blanche przyjechała z nimi do Newport, bo i ona chciała być na ślubie. Przez całe popołudnie krzątała się po sypialni Annabelle i zajmowała nią jak dzieckiem. A gdy nadeszła pora, obie z Consuelą pomogły jej ubrać się w suknię i pozapinać maleńkie guziczki. We wspaniałej, prostej sukni z wciętą talią wyglądała przepięknie. Gdy Consuela przypięła do włosów córki stroik i ułożyła fałdy welonu, obie z Blanche cofnęły się o kilka kroków i rozplakały, patrząc na nią. Annabelle była najpiękniejszą panną młodą, jaką widziały.

- Boże - szepnęła Consuela do córki - jesteś taka piękna. -1 Annabelle poczuła się najszcześniejszą kobietą na świecie. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie pokaże się Josiahowi. Wszystkie trzy żałowały, że nie ma przy niej jej ojca. Consuela wiedziała, że nie posiadałby się z radości, prowadząc ją do ołtarza. Córka zawsze była jego dumą.

Służąca i matka pomogły jej zejść po schodach, niosąc za nią tren. Jedna z pokojówek podała jej ogromny bukiet konwalii i w końcu wymknęły się z domu bocznymi drzwiami. Goście byli już na miejscach, Josiah i Henry stali przy ołtarzu, a obok nich stała Hortie, jak unoszący się nad ziemią wielki błękitny balon. Wprawdzie na jej widok rozległo się kilka zgorszonych ochów szacownych wdów zaproszonych na uroczystość, ale wszyscy wiedzieli, że to będzie nietypowa uroczystość. Pan młody, stary kawaler, był niemal o dwadzieścia lat starszy od narzeczonej, której rodzina zaledwie rok wcześniej przeżyła wielką tragedię. Na pewne odstępstwa od konwenansu trzeba było po prostu przymknąć oczy. Consuela, do ostatniej chwili towarzysząca córce, spojrzała na nią z miłością i uściskała serdecznie.

- Bądź szczęśliwa, mój skarbie... Papa i ja bardzo cię kochamy. - Po tych słowach, tłumiąc łzy, pospieszyła na swoje miejsce w pierwszym rzędzie krzesel, ustawionych w ogrodzie.

Gdy zajęła miejsce, muzycy zagrali marsz weselny Wagnera -ten sam, który grano na ślubie Hortie. Nadeszła oczekiwana chwila. Panna młoda szła ku ołtarzowi. Consuela spojrzała na Josiaha, a on odpowiedział jej uśmiechem serdecznego porozumienia. Była całkowicie pewna, że to odpowiedni kandydat na męża jej córki. Arthur też by tak uważał.

Na znak pastora goście wstali i wszystkie głowy obróciły się do tyłu. Na widok Annabelle rozległo się westchnienie zachwytu. Powoli, odmierzoną krokiem, prześlizgnęła panna młoda, z twarzą osłoniętą welonem i wielkim bukietem konwalii w dłoniach, ruszyła alejką między krzesłami - całkiem sama. Nikt nie prowadził jej do ołtarza, nie chronił, nie oddawał jej ręki mężczyźnie, którego miała poślubić. Szła ku niemu z dumnie uniesioną głową, śmiało i pewnie. Skoro nie ma przy niej ojca, który oddałby ją Josiahowi, oddawała mu się sama, z błogosławieństwem matki.

Gdy stanęła przed Josiahem i pastorem, Hortie i Henry usunęli się na bok. Państwo młodzi spojrzeli sobie w oczy. Josiah ujął i uścisnął jej dłoń, by powiedzieć jej, jaka była dzielna.

Pastor odwrócił się do zgromadzonych i rozpoczął uroczystość. Gdy spytał, kto oddaje tę kobietę mężowi, matka odparła głośno z pierwszego rzędu: „Ja!”, by tradycji stało się zadość. W wyznaczonym momencie Josiah unióś welon Annabelle i spojrzał jej w oczy. Wypowiedzieli słowa przysięgi, a potem Josiah wsunął jej na serdeczny palec cieniutką obrączkę z brylantami, a ona prostą, złotą na jego palec. Zostali ogłoszeni mężem i żoną, pocałowali się i ruszyli z powrotem alejką między gośćmi. Po twarzy Consueli płynęły łzy, gdy tak samo jak jej córka szła samotnie alejką za Henrym i Hortie, uwieszoną na jego ramieniu. Ani Henry, ani nikt z obecnych nie widział jeszcze, by kobieta w tak zaawansowanej ciąży pokazywała się publicznie, ale przyjaciółka Annabelle postanowiła bawić się równie dobrze jak wszyscy i była zachwycona sytuacją. Szybko odnalazła w tłumie Jamesa, a później para młoda, Consuela i ojciec Josiaha stanęli rzędem, by odbierać życzenia i witać przybyłych.

Pół godziny później goście spacerowali po ogrodzie, popijając szampana. Wszyscy twierdzili zgodnie, że był to piękny i wzruszający ślub.

Henry dopchał się do pary młodej, by ucałować Annabelle i pogratulować młodemu żonkosowi.

- Udało ci się - powiedział ze śmiechem do Annabelle. - Okiełznałaś go, choć mówili, że to niemożliwe.

- Ty będziesz następny - zażartowała, całując go w policzek. - Teraz musimy znaleźć kogoś dla ciebie.

- Chyba nie jestem na to gotów - wyznał Henry. - Wolę trzymać się przy was i rozkoszować się urokami małżeństwa za waszym pośrednictwem. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że będę wam się plątał pod nogami? - Nie zabrzmiało to jak żart, Annabelle zapewniła go więc, że zawsze będzie mile widziany w ich domu. Wiedziała, jak bliska przyjaźń łączy go z Josiahem, w ich życiu musiało się znaleźć miejsce dla starych przyjaciół.

Państwo młodzi powitali gości i tuż po dziewiątej zaprosili ich na kolację. Annabelle i Consuela starannie rozplanowały miejsca przy stołach, pilnując, by wszystkie ważne osoby z Newport miały odpowiednio godne miejsca. Consuela siedziała z rodziną Josiaha, przy stoliku państwa młodych posadzono Henry'ego, jedną z koleżanek Annabelle, Jamesa i Hortie, i trzy inne zaprzyjaźnione młode pary. Większość gości weselnych Annabelle i Josiah naprawdę chcieli widzieć, niewiele osób zaproszono wyłącznie z obowiązku. Znalazło się wśród nich kilku panów z banku Arthura, z którymi pracował Josiah i których musiał zaprosić. Pierwszy taniec Josiah zatańczył z Annabelle - był to walc angielski, który oboje często tańczyli. Byli świetnymi tancerzami, wyglądali na parkiecie olśniewająco. Potem ojciec Josiaha zatańczył z panną młodą, a Josiah poprosił do tańca Consuele. Po tych oficjalnych tańcach reszta towarzystwa z ochotą wyszła na parkiet. Tańczono między daniami wystawnego posiłku, zamówionego przez Consuele, rozmawiano, śmiano się, bawiono w najlepsze i chwalono kuchnię, co nieczęsto zdarza się na weselach. O północy nowożeńcy pokroili tort, zatańczyli jeszcze kilka razy i w końcu pożegnali się ze wszystkimi, by pojechać do hotelu New Cliff, gdzie mieli spędzić noc. Reszta towarzystwa zaczęła się rozchodzić około drugiej nad ranem, winszując Consueli wspaniałego przyjęcia, które tak dobrze się udało.

Annabelle i Josiah podziękowali jej już wcześniej. Obiecali zajrzeć do niej rano, przed wyjazdem do Wyoming. W hotelu czekały już na nich spakowane bagaże. Ostatni pożegnał ich Henry, życząc wszystkiego najlepszego; ucałował Annabelle i uścisnął dłoń Josia-

ha. Przyjaciele spojrzeli sobie w oczy. Henry był Josiahowi bliższy niż brat.

W samochodzie Josiah pochylił się, by pocałować żonę.

- Dziękuję ci za najpiękniejszy wieczór życia - powiedział wzruszony. Annabelle po raz pierwszy poznała dotyk jego ust, z niepokojem pomyślała o tym, co czeka ją ciągu najbliższych kilku godzin. Czy będzie tak, jak opowiadała jej Hortie? Przez okno dostrzegła w tłumie pękata przyjaciółkę, machającą im na pożegnanie. Przez jakiś czas siedzieli w salonie apartamentu hotelowego, nadal w ślubnych strojach, rozmawiając o weselu, o znajomych i o tym, jak wspaniale spisała się Consuela. Nawet brak ojca i brata, bolesny dla Annabelle, teraz, gdy miała u boku Josiaha, stał się do zniesienia. Wiedziała, że mąż będzie ją kochał i chronił, póki śmierć ich nie rozłączy. Nie pragnęła niczego więcej.

Była już trzecia w nocy, gdy oboje rozeszli się do osobnych łazienek. Josiah włożył białą jedwabną piżamę, którą ktoś dał mu w prezencie na tę okazję, a Annabelle koszulę nocną z delikatnego szyfonu, ze stanikiem wyszywanym maleńkimi perełkami, i zwiewny pe-niuar. Zaśmiała się jak mała dziewczynka, kładąc się do łóżka u boku męża. Josiah domyślał się, jak jest zdenerwowana, poza tym oboje byli zmęczeni.

- Nie martw się, kochanie - szepnął. - Mamy mnóstwo czasu. - I ku zdumieniu i zachwytowi Annabelle wziął ją w ramiona i tulił jak najcenniejszy skarb, aż usnęła spokojnie, by we śnie jeszcze raz przeżywać piękny dzień.

Rozdział 8

Zgodnie z obietnicą Annabelle i Josiah, wyjeżdżając z miasta, wpadli do Consueli, by się pożegnać. Hispano-suiza, prowadzona przez Thomasa, miała ich zawieźć do Nowego Jorku na wieczorny pociąg. Pierwsza część podróży prowadziła do Chicago, skąd mieli jechać dalej koleją na zachód, do Wyoming, na ranczo, gdzie Josiah spędził kiedyś wakacje i którym był zachwycony. Zamierzali jeździć konno, łowić ryby i urządzać piesze wycieczki w góry Grand Teton. Josiah zapewniał, że jest tam piękniej niż w Alpach Szwajcarskich - no i nie musieli płynąć statkiem. Mieli tam zostać prawie trzy tygodnie. Po powrocie do Nowego Jorku chcieli poszukać nowego domu, na tyle dużego, by pomieścić ich i dzieci, których bardzo pragnęli. Consuela żywiła nadzieję, że Annabelle tak jak Hortie wróci z podróży poślubnej w błogosławionym stanie.

Rankiem badawczo przyjrzała się córce, szukając w niej zmian, jakichś oznak kobiecej dojrzałości w oczach, ale zobaczyła tylko rozpromienioną twarz dziecka, które zawsze tak bardzo kochała. Nic się nie zmieniło. Była zadowolona, że córka tak dobrze odnalazła się w nowej roli. Nie zauważyła niechęci, zdumienia czy przerażenia, jakie czasem malują się na twarzach młodych mężatek po nocy poślubnej. Annabelle była szczęśliwa jak zwykle i nadal traktowała Josiaha jak starego przyjaciela, a nie nową miłość.

Kiedy przyjechali się pożegnać, Consuela jadła lunch z ojcem i macochą Josiaha. Wszyscy byli w doskonałych humorach, rozmawiali o wczorajszym przyjęciu. Jeszcze raz uściskała mocno Annabelle, razem z Josiahem podziękowała jego ojcu za kolację przedślubną i młodzi odjechali do Nowego Jorku.

Annabelle chętnie pożegnałaby się z Hortie, ale James przysłał Consueli wiadomość, że żona właśnie rodzi. Poród zaczął się w nocy, tuż po przyjęciu. Matka Hortie i lekarz byli przy niej, James jadł lunch z przyjaciółmi. Annabelle miała nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Hortie bała się, że dziecko jest za duże i że poród będzie trudny, tym bardziej że jedna z ich koleżanek, która debiutowała razem z nimi, zmarła z powodu komplikacji poporodowych parę miesięcy wcześniej. Wszyscy wiedzą, że poród to poważna sprawa. Takie rzeczy zawsze się zdarzały i czasem nie można było nic na to poradzić; częste były też poporodowe infekcje, niemal zawsze zabójcze dla matki. Annabelle zmówiła więc cichą modlitwę za Hortie, zastanawiając się, czy jej matka miała rację, wróżąc jej chłopca. Kto wie, może i ona wróci z miodowego miesiąca przy nadziei, z dzieckiem poczętym w dzikich ostępach Wyoming?

Była wdzięczna Josiahowi, że ostatniej nocy potraktował ją z taką wyrozumiałością i szacunkiem. Miłość cielesna była dla niej wielką niewiadomą i po tak pełnym wrażeń dniu byłoby tego chyba za wiele - choć oczywiście chętnie poddałaby się jego woli, gdyby nalegał. Cieszyła się jednak, że nie nalegał. Był idealnym, dobrym i wyrozumiałym mężem, i tak jak obiecał, jej najlepszym przyjacielem. Spoglądała na niego z miłością, gdy gawędzili wesoło w drodze do Nowego Jorku. Wspominali wesele, potem Josiah opowiadał jej o Wyoming, obiecał nawet, że nauczy ją łowić ryby. Miesiąc miodowy zapowiadał się cudownie.

Dojechali do Nowego Jorku o piątej, w samą porę, by zdążyć na pociąg o szóstej, i rozgościli się w największym przedziale pierwszej klasy. Annabelle aż klasnęła w dłonie na widok tych luksusów.

- Jak pięknie! Jeszcze nie wyjechaliśmy, a ja już świetnie się bawię! - zawołała, a on roześmiał się radośnie, widząc ten entuzjazm.

- Zachowujesz się jak dziewczynka i za to cię kocham. - Objął ją i pocałował.

Następny dzień mieli spędzić w Chicago, a wieczorem wsiąść w kolejny pociąg, jadący na zachód. Josiah obiecał, że pokaże jej miasto, wynajął też apartament w hotelu Palmer House, żeby mogli wygodnie odpocząć. Myślał o wszystkim, chciał, by jego młoda żona była szczęśliwa. Zasługiwała na to po tym, co wycierpiała, a on przysiągł sobie, że nigdy jej nie zawiedzie, i zamierzał dotrzymać przyrzeczenia.

O szóstej wieczór, gdy pociąg Josiaha i Annabelle opuszczał stację, dziecko Hortie jeszcze się nie urodziło. Hortie była drobna, a dziecko duże, toteż krzyczała i wiała się w bólach. Jamesa, który po lunchu wrócił do domu, jej krzyki tak wytrąciły z równowagi, że nalał sobie mocnego drinka i znów wyszedł - zjeść kolację z przyjaciółmi. Współczuł Hortie, że musi przez to przechodzić, ale przecież nic nie mógł na to poradzić. Taka już dola kobiet. Zresztą doktor, jej matka i dwie położne zrobią na pewno, co trzeba.

Gdy o drugiej w nocy wrócił pijany do domu, zdumiał się, że dziecko nadal nie przyszło na świat. Zbyt zamroczony, nie dostrzegł przerażenia na twarzy teściowej. Hortie była już tak słaba, że jej krzyki przycichły i po domu niósł się tylko żalony, niemal zwierzęcy skowyt. James położył się spać w pokoju gościnnym, jak najdalej od sypialni, w której rodziła jego żona, i przykrył głowę poduszką. O piątej rano obudziło go głośne pukanie do drzwi. To teściowa, która przyszła powiedzieć, że właśnie urodził mu się syn, ważący cztery

1 pół kilograma. Dziecko dosłownie zmasakrowało Hortie, ale o tym już nie wspomniała. Gdyby był trzeźwy, może sam by się tego domyślił. Podziękował jej za wiadomość i wrócił do łóżka, obiecując, że odwiedzi Hortie i syna rano, kiedy się obudzi. I tak nie mógłby zobaczyć żony, bo doktor zakładał jej szwy na pęknięcia spowodowane porodem.

Hortie rodziła przez dwadzieścia sześć godzin i teraz szlochała, gdy doktor zszywał ją uważnie. W końcu zlitowano się nad nią i podano jej chloroform. Ten wyjątkowo trudny poród mogła przypłacić życiem, wciąż istniało ryzyko infekcji, więc niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Dziecko natomiast czuło się dobrze, choć pierwsze spotkanie Hortie z macierzyństwem było ciężką próbą, o której jej matka miała opowiadać szeptem przyjaciółkom jeszcze przez miesiące. Publicznie można było jednak powiedzieć tylko tyle, że przyszedł na świat syn i że matka i dziecko czują się dobrze. O reszcie rozmawiało się w gronie kobiecym, za zamkniętymi drzwiami, starannie ukrywając przed mężczyznami męczarnie porodu i zagrożenia.

Consuela dowiedziała się o wszystkim od matki Hortie następnego dnia.

Współczuła dziewczynie, tym bardziej że sama urodziła Roberta bez kłopotu. Z Annabelle było trudniej, ustawiła się nóżkami do przodu, ale jakimś cudem obie to przeżyły. Consuela miała tylko nadzieję, że Annabelle nie będzie się tak męczyć jak jej przyjaciółka.

Teraz robiono wszystko, by nie wdała się infekcja; po trudnym porodzie często nie udawało się tego uniknąć.

Zaproponowała, że odwiedzi Hortie, ale jej matka przyznała, że dziewczyna nie czuje się na siłach, by przyjmować gości, i pewnie potrwa to jeszcze długo. Lekarz chciał zatrzymać ją w łóżku przez miesiąc. Mówiła też, że gdy James wpadł na kilka minut, by zobaczyć dziecko i żonę, uróżowali jej policzki i uczesali włosy, ale nie na wiele się to zdało, bo i tak nie mogła przestać płakać. James zresztą ledwie na nią spojrział, zachwycony dzieckiem. Consuela myślała

O Arthurze, zawsze czułam po porodach, wyjątkowo delikatnym jak na tak młodego człowieka. Miała przecucie, że Josiah będzie taki sam, ale James był jeszcze prawie chłopcem i nie rozumiał, czym jest rodzenie dzieci. Już na weselu Annabelle mówił, że ma nadzieję na następne i to szybko. Hortie roześmiała się tylko i wzniosła oczy do góry. Consueli było jej naprawdę żal. Po południu posłała jej kosz owoców i bukiet kwiatów i pomodliła się o szybkie wyzdrowienie. Cóż więcej mogła zrobić? Hortie była w dobrych rękach, ale Consuela zdawała sobie sprawę, że po tym doświadczeniu nie będzie już tą samą beztroską trzpiotką co przedtem. Przeszła swój chrzest bojowy.

Hortie wstała z łóżka już po trzech tygodniach. Dziecko rozwijało się doskonale, zatrudniono do niego mamkę, a Hortie bandażowano piersi, by zatrzymać mleko. Młoda mama czuła się jeszcze trochę niepewnie, wstając, ale wyglądała dobrze. Była młoda i zdrowa, szczęśliwie uniknęła infekcji - niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Consuela odwiedziła ją kilka razy. James wprost pękał z dumy, że urodziła mu tak wielkiego syna, któremu dali na imię Charles. Trzy tygodnie po jego narodzinach odwiedziono Hortie do Nowego Jorku, by ostatecznie doszła do siebie w domu. Consuela wyjechała z Newport tego samego dnia.

W Nowym Jorku w pełni odczuła swoją samotność. Dom był cichy jak grobowiec po wyjeździe Annabelle, zawsze pełnej życia

i radości, troskliwej i pomysłowej w wynajdywaniu rozrywek dla matki.

Świadomość, że od tej pory będzie sama w wielkim domu, przygniotła ją jak głaz.

Na szczęście młoda para już za dwa dni miała wrócić z podróży poślubnej.

Consuela przypadkiem spotkała Henry'ego Orsona, on też wydawał się smutny.

Josiah i Annabelle

wnosili tyle radości w życie swoich bliskich, że ich nieobecność odczuli wszyscy. Zarówno Consuela, jak i Hortie i Henry nie mogli się już doczekać ich powrotu. Ale w końcu się doczekali. Annabelle postanowiła, że odwiedzi matkę od razu, w drodze ze stacji. Consuelę naprawdę ucieszył widok córki - zdrowej, szczęśliwej i opalanej. Josiah też wyglądał świetnie. Oboje przekomarzali się jak para uczniów, śmiali się i żartowali ze wszystkiego. Annabelle powiedziała, że Josiah nauczył jałowic ryby i że całkiem sama złapała ogromnego pstrąga. Josiah był z tego bardzo dumny. Jeździli konno, wędrowali po górach i cieszyli się każdym dniem pobytu na ranczu. Annabelle sprawiała wrażenie dziecka, które wróciło z udanych wakacji. Trudno było uwierzyć, że jest dorosłą kobietą i mężatką. Consuela nie dostrzegła w jej twarzy subtelnych oznak, że naprawdę stała się kobietą. Nie wiedziała też, czy poczęli dziecko, ale nie chciała pytać. Annabelle, ta sama dobra, kochająca i szczęśliwa dziewczyna, jaką była przed wyjazdem, zapytała, jak się miewa Hortie, a Consuela zapewniła ją, że całkiem dobrze. Nie chciała straszyć córki opowieściami o porodzie, które zresztą nie byłyby odpowiednie dla uszu Josiaha, powiedziała więc tylko, że wszystko jest w porządku, że urodził się chłopiec i dostał na imię Charles. Resztę zostawiła Hortie, miała jednak nadzieję, że przyjaciółka oszczędzi jej zwierzeń, które wystraszyłyby każdą młodą kobietę. Nie było sensu straszyć Annabelle.

Młodzi zostali godzinę. Annabelle obiecała, że następnego dnia wpadnie na lunch, wieczorem mieli zjeść kolację we troje. W końcu pojechali do siebie. Ich widok sprawił Consueli ogromną radość, ale potem dom wydał jej się jeszcze bardziej pusty. Ostatnio nawet jadła mniej, bo samotne siedzenie przy wielkim stole ją przygnębiało.

Zgodnie z obietnicą następnego dnia Annabelle przyjechała, by zjeść z matką lunch. Miała na sobie jedną z kreacji z wyprawy - bardzo dorosłe wyglądającą garsonkę z granatowej wełny - ale w oczach Consueli wciąż była dzieckiem. Dorosłe życie i obrączka na palcu zupełnie jej nie zmieniły. Annabelle pytała, co matka porabiała przez ten czas, Consuela opowiedziała więc, że dłużej niż zwykle została w Newport, korzystając z wyjątkowo ładnego września, a w najbliższym czasie planowała wrócić do swojego wolontariatu w szpitalu. Spodziewała się, że Annabelle przyłączy się do niej jak dawniej albo wróci do szpitala ortopedycznego, ale ku jej zdumieniu córka oznaj-

miła, że zamierza zgłosić się do pomocy w szpitalu na Ellis Island. Twierdziła, że praca tam będzie dla niej interesująca i rozwijająca. Szpital miał ogromne braki w personelu i Annabelle liczyła na to, że pozwolą jej częściej pomagać przy zabiegach, a nie tylko obserwować je czy podawać posiłki. Słowa córki zaniepokoiły Consuelę.

- Leżą tam często chorzy zakaźnie, przywożą choroby z innych krajów. Warunki są straszne. Myślę, że to bardzo niemądry pomysł. Znowu złapiesz grypę albo coś gorszego. Nie chcę, żebyś to robiła. - Annabelle była jednak mężatką i to Josiah decydował, co jej wolno, a czego nie. - Czy twój mąż w ogóle wie o twoich planach? - Annabelle skinęła z uśmiechem głową. Josiah podchodził do tych spraw rozsądnie, zawsze rozumiał jej medyczną pasję i całkowicie pochwalał pracę wolontariuszki. Oczywiście, że o wszystkim mu powiedziała.

- Nie widzi w tym nic złego.

- No cóż, ja jestem innego zdania. - Consuela zmarszczyła brwi, zdenerwowana.

- Nie zapominaj, że najcięższą grypę złapałam w salach balowych, w eleganckim towarzystwie, a nie pracując z biednymi.

- To tylko jeszcze jeden powód, żeby tego nie robić - odparła stanowczo Consuela.

- Jeśli taką chorobą można się zarazić wśród zdrowych, zadbanych ludzi, wyobraź sobie, czym grozi ci praca z ludźmi, którzy żyją w niehigienicznych warunkach, wśród Bóg wie jakich zarazków. Poza tym jeśli zajdziesz w ciążę, co mam nadzieję wkrótce nastąpi, trudno o gorszy pomysł. Narazisz i siebie, i dziecko. Czy Josiah o tym pomyślał?

W oczach córki dostrzegła jakiś dziwny wyraz, ale wrażenie to zniknęło błyskawicznie.

- Nie spieszmy się z zakładaniem rodziny, mamó. Chcemy się najpierw trochę zabawić. - Coś takiego Consuela usłyszała z jej ust po raz pierwszy i to ją zaskoczyło. Była ciekawa, czy córka stosuje którąś z nowych - a może starych jak świat - metod zapobiegania ciąży, ale nie śmiała o to pytać. Przy okazji uzyskała odpowiedź na pytanie, czy Annabelle wróciła z podróży poślubnej w ciążę.

Najwidoczniej nie. - Po prostu czuję się za młoda - mówiła Annabelle. - A poza tym dobrze się bawimy, nie mając na głowie dziecka. Chcemy pojechać w przyszłym roku do Kalifornii. Josiah mówi, że San Francisco jest piękne. I chce mi pokazać Wielki Kanion. Gdybym była przy nadziei, nie mogłabym tam jechać.

- Wielki Kanion mógłby poczekać - stwierdziła Consueta z zawiedzioną miną. - Przykro mi to słyszeć. Z utęsknieniem czekam na wnuki - dodała ze smutkiem. W jej życiu, prócz wizyt Annabelle, nie było teraz niczego, co przynosiłoby jej radość. Wnuki wypełniłyby tę pustkę.

- Będziesz je miała - zapewniła ją Annabelle. - Ale jeszcze nie teraz. Nie spiesz się. Jak mówi Josiah, mamy mnóstwo czasu. - Przez cały miesiąc miodowy powtarzał to nie raz, a ona nie miała innego wyjścia, jak tylko zgodzić się z nim. W końcu był jej mężem i musiała mu być posłuszna.

- Mimo to nie podoba mi się pomysł pracy na Ellis Island. Myślałam, że lubisz to, co robisz. - Zdaniem Consueli nawet praca w szpitalu ortopedycznym była przesadą, a szpital na Ellis Island był wręcz nie do pomyslenia.

- A ja uważam, że praca na Ellis Island będzie ciekawsza i da mi więcej okazji do podnoszenia własnych umiejętności - odparła Annabelle.

- Jakich umiejętności? Co jeszcze ukrywasz przede mną? - Matka nie kryła zdumienia.

Annabelle zawsze ją zaskakiwała, szczególnie gdy chodziło o medycynę. Była jej pasją, nawet jeśli nigdy nie mogłaby wykorzystać swojej wiedzy.

- Nic, mam - odparła Annabelle ze smutkiem. - Chciałabym tylko lepiej pomagać ludziom i sądzę, że potrafiłabym zrobić więcej niż to, na co mi pozwalają w szpitalach w mieście.

Matka nie wiedziała o jej marzeniach. Skoro nigdy nie miały się spełnić, nie chciała jej o nich mówić i denerwować jej. Ale jako wolontariuszka mogła zbliżyć się do wymarzonego zajęcia na tyle, na ile się dało. Wierzyła, że w przeładowanym i pozbawionym wykwalifikowanego personelu szpitalu na Ellis Island będzie miała na to szansę. To Henry Orson podsunął jej tę myśl. Znał jednego z tamtejszych lekarzy i obiecał ją przedstawić. A ponieważ był to pomysł Henry'ego, Josiah zaaprobował plan.

Po lunchu z matką Annabelle poszła odwiedzić Hortie. Przyjaciółka wciąż polegiwała w łóżku, ale wstawała coraz częściej. Annabelle przeraził jej wymizerowany wygląd. Chłopiec był duży i śliczny, ale Hortie sprawiała wrażenie, jakby przeszła przez piekło, i w dodatku twierdziła, że tak właśnie było.

- To było straszne - przyznała szczerze, a jej oczy mówiły więcej niż słowa. - Nikt mi nigdy nie powiedział, że tak będzie. Myślałam, że umieram, a mama mówiła, że niewiele mi brakowało. James jak najszybciej chce mieć następne dziecko. Chce założyć dynastię, czy co? Ja ciągle jeszcze nie mogę siedzieć, miałam wielkie szczęście, że nie wdała się infekcja. Umarłabym pewnie, jak Aimee Jackson w zeszłym roku.

Annabelle zastanawiała się, czy urodzenie dziecka jest warte takiej męczarni. Chłopiec był uroczy, ale jego przyjście na świat mogło zabić Hortie. Była przerażona, gdy przyjaciółka opowiedziała jej, jak wyglądał poród.

- Krzyczałam przez całe dwadzieścia sześć godzin i wcale nie jestem pewna, czy chcę to powtórzyć. A gdybym miała bliźniaki? Wolałabym się zabić, niż znów przez to przechodzić. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła urodzić dwójkę za jednym zamachem! - A przecież jeszcze pół roku temu uważała urodzenie bliźniąt za zabawny pomysł. Macierzyństwo okazało się bardzo poważną sprawą, a jej opowieści były tak przerażające, że Annabelle dziękowała Bogu, iż nie jest w ciąży. - A co u ciebie? - zapytała Hortie z psotnym błyskiem w oku. Nagle znów zaczęła przypominać sobie. - Jak się udał miesiąc miodowy? Czyż seks nie jest cudowny? Szkoda tylko, że zawsze kończy się dzieckiem, choć pewnie można tego uniknąć przy odrobinie szczęścia. Jesteś już w ciąży?

- Nie - odparła pospiesznie Annabelle. - Nie jestem. I nie spieszy nam się. Słuchając twoich opowieści, zastanawiam się, czy w ogóle tego pragnę.

- Mama twierdzi, że nie powinnam o tym opowiadać kobietom, które jeszcze nie rodziły. - Hortie spojrzała na nią z miną winowajcy. - Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam.

- Daj spokój - odparła wesoło Annabelle. - Po prostu cieszę się, że jeszcze nie zaszłam w ciążę. - Nie miała zamiaru zwierzać się na temat swojego pożycia intymnego. Hortie opadła z westchnieniem na poduszki, gdy mamka przyniosła chłopca, by pokazać gościowi, jaki jest tłuściutki i śliczny. Istotnie, był uroczym dzidziusiem i spał słodko w ramionach niani.

- No cóż, chyba był tego wart - powiedziała Hortie bez przekonania, gdy mamka wyszła z dzieckiem. Sama niezbyt chętnie brała je na ręce. Macierzyństwo nadal ją przerażało, a poza tym nie wybaczyła jeszcze synowi cierpień, jakich jej przysporzył. Wiedziała,

że zapamięta je bardzo, bardzo długo. - Moja mama twierdzi, że w końcu zapomnę. Ale ja nie jestem taka pewna. To było naprawdę straszne - powtórzyła. - Biedny James nie ma pojęcia, a mnie nie wolno mu o niczym powiedzieć. Mężczyźni nie powinni domyślać się takich rzeczy. - Annabelle wydało się to dziwne. Gdyby Hortie umarła, i tak by się dowiedział. Ale poza ostatecznymi przypadkami poród miał pozostać tajemnicą i wszyscy musieli udawać, że to nic trudnego ani straszego.

- Nie rozumiem, dlaczego nie może o tym wiedzieć. Ja bym powiedziała Josiahowi. Mogę mu mówić wszystko. I chyba martwiłby się, gdybym tego nie zrobiła.

- Niektórzy mężczyźni tacy są, ale nie James. To straszny dzieciak. Josiah jest o wiele starszy, jest dla ciebie jak ojciec. Mów, dobrze się bawiliście?

- Cudownie - odparła z uśmiechem Annabelle. - Nauczyłam się łowić ryby i codziennie jeździliśmy konno. - Uwielbiała te przejażdżki u stóp gór, po ukwieconych łąkach.

- Czego jeszcze się nauczyłaś? - zapytała Hortie, spoglądając na nią z ukosa, ale Annabelle zignorowała zaczepkę. - Ja w Paryżu nauczyłam się od Jamesa kilku ciekawych rzeczy. - Wszyscy wiedzieli, że James chodził do domów publicznych, przynajmniej przed ślubem. Całe miasto o tym szeptało. Zapewne nauczył się tam różnych sztuczek, i choć Hortie najwyraźniej to nie przeszkadzało, Annabelle nie chciała o nich wiedzieć. Stanowczo wołała takiego męża, jak Josiah, nawet jeśli jeszcze przez jakiś czas nie będą mieli dzieci. Zresztą i tak najpierw muszą poszukać domu, bo jego mieszkanie jest za małe.

Hortie nie osiągnęła niczego swoimi pytaniami i nieprzyzwoitymi aluzjami. W końcu zmęczyła się i Annabelle poszła do domu. Miło było zobaczyć przyjaciółkę, dziecko było śliczne, ale opowieść o porodzie wstrząsnęła nią do głębi. Chciała zostać matką, ale nie miała ochoty przechodzić przez to wszystko. Chętnie wzięłaby małego Charlesa na ręce, ale Hortie nie zaproponowała jej tego, a i sama jakoś nie wykazywała ochoty, by go utulić. To chyba zrozumiało po tym, ile wycierpiała. Annabelle zastanawiała się, ile czasu potrzeba, by w kobiecie rozwinął się instynkt macierzyński, tak jak potrzeba było czasu, by przywyknąć do bycia żoną i mężem. Ani ona, ani Josiah nie zdążyli jeszcze do końca oswoić się ze sobą.

Rozdział 9

Gdy w listopadzie nowojorski sezon towarzyski rozkręcił się na dobre, Hortie była już na nogach i Josiah z Annabelle często spotykali ją i Jamesa na przyjęciach.

Hortie była w świetnym humorze - synek miał już prawie trzy miesiące, opiekowała się nim niania, a ona znów mogła bywać.

Annabelle i Josiaha zapraszano dosłownie wszędzie. Z dnia na dzień stali się najpopularniejszą parą w Nowym Jorku. Wyglądali razem olśniewająco. Nadal byli tą samą dwójką przyjaciół, którzy dobrze się czują we własnym towarzystwie. Żartowali z siebie i szukali okazji do zabawy, co nie przeszkadzało im prowadzić długich, poważnych dyskusji o polityce i innych sprawach, często z Henrym, który chętnie wpadał na kolacje. Rozprawiali o książkach, wspólnych zainteresowaniach, a pogawędki z Henrym zawsze sprawiały im przyjemność. Czasem we trójkę grali w karty, świetnie się przy tym bawiąc.

Przynajmniej dwa razy w tygodniu jedli kolację z Consuelą. Annabelle starała się spędzać z nią jak najwięcej czasu, bo wiedziała, jak samotna jest teraz matka, choć nigdy się nie skarżyła. Consuela z kolei nie wypytywała Annabelle o wnuki, ale bardzo ich pragnęła. Nie mogła nie zauważyć, że jej córka traktuje męża tak, jak niegdyś traktowała brata. Pod pewnymi względami po prostu jeszcze nie dorosła, ale Josiah, zachwycony tą niedojrzałością, traktował żonę jak dziecko.

Zgodnie z obietnicą Henry przedstawił ją lekarzowi szpitala na Ellis Island i Annabelle zaczęła pracę. Spędzała tam długie, męczące godziny, często przy chorych dzieciach. Matka miała rację, choć

Annabelle nie chciała się przyznać: wielu emigrantów przywoziło ze swoich krajów ciężkie choroby zakaźne, a przypadki zarażenia personelu były bardzo częste. Ale praca fascynowała i cieszyła Annabelle. Dziękowała za to Henry'emu przy każdej okazji, a i Josiah był dumny ze swojej żony, choć rzadko zdradzała mu szczegóły pracy. Wiedział jednak, że jest oddana szpitalowi i chorym imigrantom. Annabelle jeździła na Ellis Island trzy razy w tygodniu, zostawała w szpitalu na cały dzień i wracała do domu późnym wieczorem.

Pracowała w budynku szpitalnym położonym po południowej stronie wyspy. Czasami posyłano ją do Wielkiej Sali w głównym budynku. Tę część szpitala szesnaście lat wcześniej zniszczył pożar, została jednak odbudowana trzy lata później. W Wielkiej Sali przetrzymywano imigrantów w okratowanych boksach, przesłuchiwano ich i sprawdzano, czy mają odpowiednie dokumenty. Większość z nich stanowili robotnicy, wielu przyjeżdżało z żonami i małymi dziećmi. Na niektórych czekały w Ameryce narzeczone, których nigdy nie widzieli na oczy albo zaledwie je znali. Annabelle często pomagała przy przesłuchaniach. Mniej więcej dwa procent przyjezdnych odsyłano, we łzach i rozpaczycy wracali do krajów, z których przybyli. Z obawy przed deportacją wielu z nich kłamało podczas wywiadu. Annabelle, która żałowała ich serdecznie, czasem zapisywała wymijające albo nieprawdziwe odpowiedzi. Nie miała serca skazywać ich na deportację.

Na Ellis Island co miesiąc przyjeżdżało pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Gdyby Consuela ich widziała, jeszcze bardziej niepokoiłaby się o córkę. Wielu wycierpiało niewyobrażalne trudy, niektórzy byli chorzy i tych umieszczano w szpitalu. Szczęśliwcy, którzy mieli papiery w porządku i dwadzieścia pięć dolarów w kieszeni, opuszczali Ellis Island po kilku godzinach, ale tych, którzy nie przeszli kontroli paszportowej, odsyłano do dormitoriów, a potem do domu. Kwarantanna dla chorych trwała długie miesiące, a czasem lata.

Szpital miał niewielki personel, lekarze i pielęgniarki byli przepracowani, a to oznaczało, że wolontariuszom zlecano zadania, których gdzie indziej Annabelle nie miałaby okazji wykonywać. Pomagała przy porodach, zajmowała się chorymi dziećmi, asystowała przy badaniach wykrywających jaglicę, na którą cierpiało wielu imigrantów. Niektórzy próbowali ukrywać choroby ze strachu przed deportacją. Trzy budynki przeznaczono dla chorych zakaźnie, a niektórzy z nich mieli już nigdy nie opuścić Ellis Island. Na oddziały odry,

szkarlatyny i dyfterytu Annabelle nie mogła wchodzić, ale poza tym zajmowała się praktycznie wszystkim. Lekarze, z którymi pracowała, podziwiali jej intuicję przy stawianiu diagnozy. Jak na kogoś bez wykształcenia medycznego wykazywała ogromną wiedzę i świetne podejście do pacjentów, którzy lubili ją i ufali jej całkowicie. W ciągu dnia pracy odwiedzała ich setki, sama zajmując się mniej poważnymi dolegliwościami lub asystując lekarzom i pielęgniarkom przy cięższych zabiegach.

Jednym z najbardziej przygnębiających miejsc był oddział gruźliczy; Consuela umarłaby, wiedząc, że Annabelle często zgłasza się tam do pomocy. Nie mówiła o tym ani matce, ani nawet Josiahowi, ale właśnie najcięższe przypadki były dla niej najbardziej interesujące i tu uczyła się najwięcej o opiece i leczeniu ciężko chorych ludzi.

Kiedyś wróciła do domu późno i zastała Henry'ego i Josiaha, rozmawiających w kuchni. Josiah uściskał ją gorąco, ale skarcił za późny powrót. Była zmęczona, trudno jej było się oderwać od małych pacjentów na dziecięcym oddziale gruźliczym, gdzie przepracowała cały dzień. Josiah i Henry przygotowywali kolację, rozmawiając z ożywieniem o sprawach banku. Josiah zawołał ją i podał jej talerz zupy. Przyjęła posiłek z wdzięcznością, bo nadal była przemarznięta po powrocie promem z wyspy.

Rozmowa przy stole toczyła się żywo jak zawsze, gdy spotkali się we trójkę; Annabelle z przyjemnością rozmawiała o czymś innym niż chorzy. Uwielbiali bez końca omawiać stare i nowe tematy, kłócić się o politykę, kwestionować zasady społeczne, które od wieków rządziły w ich świecie. Trojgu inteligentnych ludzi, w dodatku przyjaciół, czas upływał przyjemnie. Annabelle zżyła się z Henrym niemal równie mocno jak Josiah - on też zastępował jej zmarłego brata.

Zbyt zmęczona, żeby siedzieć długo, pożegnała się i poszła do sypialni, Josiah i Henry zostali przy stole, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Annabelle wykapała się, przebrała w nocną koszulę i położyła z ulgą, myśląc o wszystkim, co robiła tego dnia na Ellis Island. Spała już od dawna, gdy Henry wyszedł. Obudziła się, kiedy Josiah pojawił się w sypialni, i spojrzała na niego sennie, gdy wsunął się pod kołdrę obok niej. Przytuliła się do męża. Po kilku minutach była już zupełnie przytomna; zdążyła się wyspać przez tych kilka godzin.

- Przepraszam, że byłam taka zmęczona - powiedziała, rozkoszując się ciepłem jego ciała. Uwielbiała spać z nim i tulić się do niego.

Lubiła w nim wszystko i miała nadzieję, że i on kocha ją równie mocno, choć czasem nie była tego pewna. Mężczyźni i ich dziwactwa stanowili dla niej ziemię nieznaną. Mąż to jednak ktoś inny niż ojciec czy brat. Stosunki z mężem pełne są subtelności, czasem ogromnie skomplikowanych.

- Daj spokój - szepnął wesoło. - Straszne z nas gaduły, a ty miałaś ciężki dzień. - Wiedział, że żona pracuje dla potrzebujących, że ma dobre serce i jest pozbawiona egoizmu. Za to naprawdę ją kochał.

Zapanowało niezręczne milczenie. Annabelle wahała się, chciała go o coś zapytać. Zawsze z oporami poruszała ten temat.

- Czy myślisz, że... może moglibyśmy... niedługo założyć rodzinę...? - szepnęła. Josiah milczał przez długą chwilę, ale poczuła, że zeszywniał. Już kiedyś zapytała go o to i wtedy też mu się to nie spodobało. W niektórych sprawach Josiah nie lubił być poganiany, i to była właśnie taka sprawa.

- Mamy mnóstwo czasu, Annabelle. Jesteśmy małżeństwem zaledwie od trzech miesięcy. Ludzie muszą się do siebie przyzwyczaić. Mówiłem ci to kiedyś. Daj mi czas i nie nalegaj.

- Nie nalegam, tylko pytam. - Nie spieszyło jej się do tego, co przeżyła Hortie, ale pragnęła urodzić mu dziecko i była skłonna znieść wszystkie cierpienia.

- Nie pytaj, wszystko przyjdzie samo. Musimy się lepiej poznać. - Powiedział to bardzo oficjalnym tonem, a ona nie chciała się z nim kłócić ani rozdrażnić go. Zawsze był dla niej uprzejmy i miły, ale gdy go zirytowała, odsuwał się i traktował ją ozięble, czasem przez wiele dni.

- Przepraszam. Więcej o tym nie wspomnę - szepnęła jak skarcone dziecko.

- Bardzo proszę - odparł lodowato i odwrócił się plecami. Ciepły i kochający, w innych okolicznościach źle reagował na tę sprawę. Po chwili wstał i wyszedł bez słowa. Annabelle czekała długo, ale zasnęła, nim wrócił. Rano, gdy się obudziła, był już ubrany. Prawie zawsze tak to się kończyło. Annabelle przypomniała sobie, co jej powiedział - żeby nie nalegała, bo go to drażni - i postanowiła nie poruszać więcej tematu.

W następnym tygodniu wybrała się z wizytą do Hortie i zastała ją we łzach.

Przyjaciółka podejrzewała, że znów jest przy nadziei.

Dziecko miało się urodzić jedenaście miesięcy po Charlesie, w lipcu. James był zachwycony, przeczuwał, że będzie to kolejny chłopiec, ale Hortie, mając w pamięci koszmar pierwszego porodu, była przerażona. Leżała na łóżku i zalewała się łzami. Annabelle chciała ją pocieszyć, ale przyszedł jej do głowy tylko frazes, że za drugim razem nie będzie tak źle. Hortie nie dała się przekonać.

- Nie chcę znów wyglądać jak krowa! - zawodziła. - James nie zbliżył się do mnie ani razu przez całą ciążę. Moje życie jest skończone, tym razem naprawdę umrę! - dodała żałośnie. - Przecież tak niewiele brakowało.

- Nie umrzesz - powiedziała stanowczo Annabelle, sama chcąc w to wierzyć. - Masz znakomitego lekarza, czuwa nad tobą mama. Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało. - Obie wiedziały, ile kobiet umiera przy porodzie i tuż po nim, mimo najlepszej opieki. - Nie może być gorzej niż ostatnio - zapewniała, ale Hortie nadal była niepocieszona.

- Przecież ja nawet nie lubię dzieci! - wyznała. - Myślałam, że mały będzie taki słodki jak wielka lalka, ale on tylko je, robi kupy i wrzeszczy. Chwała Bogu, że go nie niańczy. Dla czegoś takiego mam ryzykować życie? Z jakiej racji?

- Z takiej, że jesteś mężatką i że taka jest rola kobiet! - powiedziała surowo jej matka, która właśnie weszła do pokoju. Spojrzała na córkę z dezaprobatą. - Powinnaś dziękować Bogu, że możesz rodzić dzieci i uszczęśliwić męża. - Wszyscy wiedzieli, że mężowie porzucają kobiety, które nie mogą zająć w ciążę, i znajdują sobie takie, które mogą rodzić. Słuchając tej rozmowy, Annabelle była wdzięczna, że ona i Josiah nie mają podobnych problemów. Co prawda synek Hortie nie wydawał się jej wcale odpychający jak jego własnej matce, ale to Hortie już w lipcu miała urodzić drugie dziecko po niecałych dwóch latach małżeństwa, a ona, Annabelle, wciąż nie zaznała radości macierzyństwa.

- Jesteś zepsutą, samolubną dziewczyną - stwierdziła matka Hortie i wyszła z pokoju, nie okazując cienia współczucia, choć przecież była świadkiem męczarni córki. Twierdziła, że sama wycierpiała więcej: jej dzieci rodziły się równie duże, dwoje z nich przyszło na świat martwych, w dodatku przeżyła kilka poronień, Hortie więc nie ma na co narzekać.

- Tylko do tego się nadajemy? Do rozmnażania? - powiedziała gniewnie Hortie do przyjaciółki, gdy matka zniknęła za drzwiami. -

I dlaczego mężczyznom jest tak łatwo? Mają z tego tylko przyjemność, a my znosimy udręki i wykonujemy całą robotę. Tyjemy, brzyd-niemy, wymiotujemy miesiącami, a potem ryzykujemy życie przy porodzie. A oni? Robią nam to znowu i uciekają z koleżkami, żeby się zabawić. - Annabelle podobnie jak Hortie słyszała plotki, krążące po mieście o Jamesie. Ponoć zabawiał się trochę zbyt swawolnie i miał inne kobiety na boku. No cóż, żadne małżeństwo nie jest doskonałe. Josiah przeciągał moment powiększenia rodziny, ale przynajmniej była pewna, że jej nie zdradza. Nie. Prawdę mówiąc, jedynym idealnym małżeństwem, jakie знаła, było małżeństwo jej rodziców, ale ojciec nie żył, a mama została wdową w wieku czterdziestu czterech lat. Może życie rzeczywiście nas nie rozpieszcza. Przez kilka godzin słuchała pomstowania i płaczów Hortie, w końcu wróciła do domu, do Josiaha, szczęśliwa, że ich życie jest prostsze, choć mąż nadal traktował ją chłodno. Wieczorem wyszedł na kolację z Henrym do Metropolitan Club, twierdząc, że ma z nim do omówienia jakieś interesy. Annabelle została w domu postudiować książki medyczne. Nazajutrz znów wybierała się na Ellis Island, chciała więc przeczytać wszystko na temat chorób zakaźnych, w szczególności gruźlicy. Spała już, gdy Josiah wrócił do domu, ale gdy przebudziła się w nocy, stwierdziła, że trzyma ją w ramionach. Uśmiechnęła się i spokojnie usnęła z powrotem. Znow wszystko było dobrze.

Rozdział 10

Josiah nie był szczególnie zżyty ze swoją rodziną. Oboje z Annabelle spędzili Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie z Consuelą. Zaprosili również Henry'ego, który jak zawsze okazał się przemiłym, czarującym i wesołym gościem.

Hortie uspokoiła się w końcu i oswoiła z myślą o kolejnym dziecku. Nie była zachwycona, ale nie miała wyboru. Chciała przecież mieć więcej dzieci, tylko nie była na to jeszcze gotowa. Miała jednak nadzieję, że tym razem będzie łatwiej, zresztą nawet mniej męczyły ją mdłości.

Annabelle wciąż z poświęceniem pracowała w szpitalu, mimo nieustających obiekcji Consueli. Matka przestała ją już pytać

O wnuki - przyjęła w końcu do wiadomości, że nie doczeka się ich w najbliższym czasie, i choć bardzo ich pragnęła, nie chciała się wtrącać w sprawy małżeńskie.

W kwietniu minęły dwa lata od zatonięcia „Titanica”. Annabelle

1 Consuela zdumiewało, że czas mija tak szybko, bo choć z jednej strony wydawało się, że tragedia wydarzyła się zaledwie wczoraj, z drugiej - zmian było tyle, iż miało się wrażenie, że minęły wieki. W rocznicę śmierci Arthura i Roberta poszły do kościoła na mszę zamówioną w ich intencji. Consuela czuła się bardzo samotna, ale przywykła do zmian, jakie zaszły w jej życiu i była zadowolona, że Josiah i Annabelle spędzają z nią tyle czasu. Poświęcali jej niemal każdą wolną chwilę.

W maju Annabelle skończyła dwadzieścia jeden lat. Consuela wydała na jej część skromną kolację i zaprosiła kilkoro przyjaciół. Przyszli James i Hortie, a także kilka innych młodych par i oczywiście

Henry Orson ze śliczną dziewczyną, którą niedawno poznał. Annabelle miała nadzieję, że tym razem coś z tego wyjdzie.

Przyjęcie udało się nadzwyczajnie. Consuela wynajęła kilku muzyków i po kolacji nastąpiły tańce. Tego wieczoru, gdy kładli się spać, Annabelle, korzystając z dobrego humoru męża, znów zadała mu fatalne pytanie. Nie wspominała o tym od miesięcy. Na urodziny dostała od niego prześliczną brylantową bransoletkę, której zazdrościły jej wszystkie przyjaciółki, ale ona chciała czegoś więcej, czegoś o wiele ważniejszego.

- Josiah... kiedy zamierzasz mieć dzieci? - szepnęła, gdy leżeli już w łóżku. Mówiąc to, patrzyła w sufit, jakby to, że na niego nie patrzy, mogło ułatwić szczerą odpowiedź. Miała dość niedomówień. Nie chciała wprawiać go w zakłopotanie, ale po dziewięciu miesiącach małżeństwa Josiah nie mógł powtarzać w nieskończoność, że „nie muszą się spieszyć” i że „mają czas”. Ile tego czasu miało jeszcze upłynąć?

- Nie wiem - przyznał szczerze, z nieszczęśliwą miną. Dostrzegła ból w jego oczach, kiedy odwróciła się, by na niego spojrzeć. - Nie wiem, co ci powiedzieć. - Był bliski łez i Annabelle zlekła się nagle tego, co usłyszy. - Potrzebuję czasu. - Pokiwała głową i delikatnie dotknęła jego policzka.

- Oczywiście. Kocham cię - szepnęła. Nie rozumiała tylu rzeczy i nie miała kogo zapytać. - Czy chodzi o coś we mnie, co mogłabym zmienić? Josiah spojrzał na nią i pokręcił głową.

- To nie twoja wina. To ja. Postaram się, naprawdę - odparł z oczami pełnymi łez i wziął ją w ramiona. Nigdy jeszcze nie byli tak blisko. Annabelle czuła, że wreszcie wpuszczają za mur, którym się otoczył.

Tuląc się do niego, odpowiedziała jego własnymi słowami:

- Mamy czas. - Ale gdy to powiedziała, po jego policzku spłynęła łza.

W czerwcu Consuela wyjechała do Newport. Nie mając wiele do roboty w Nowym Jorku, lubiła tam być przed rozpoczęciem sezonu. Annabelle obiecała, że dołączy do niej w lipcu, a Josiah pod koniec miesiąca.

Consueli nie było już w mieście, kiedy uwagę wszystkich przykuły wiadomości z Europy. Dwudziestego ósmego czerwca 1914

roku serbski nacjonalista Gawiło Princip zastrzelił arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, dziedzica Austro-Węgier, i jego żonę Zofię, podczas ich oficjalnej wizyty w Sarajewie. Princip był członkiem Czarnej Ręki, siejącej postrach organizacji terrorystycznej, zwalczającej austro-węgierskie rządy na Bałkanach. Arcyksiążę i jego żona zginęli od dwóch pojedynczych strzałów w głowę, oddanych z bliskiej odległości. Szokujące wieści odbiły się echem w całym świecie. Konsekwencje tego wydarzenia niemal natychmiast wstrząsnęły Europą w posadach, a Amerykę wprawiły w osłupienie.

Austria uznała serbski rząd za odpowiedzialny za morderstwo i poprosiła o wsparcie Niemcy. Po kilku tygodniach mało skutecznych zabiegów dyplomatycznych dwudziestego ósmego lipca Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii i rozpoczęły ostrzał Belgradu. Dwa dni później Rosja ogłosiła mobilizację i zaczęła przygotowywać się do wojny. Francja, związana z Rosją traktatem, poczuła się zobowiązana wesprzeć sojusznika. Domek z kart, jakim był pokój w Europie, zawalił się niemal z dnia na dzień. Dwie kule, które zabiły arcyksięcia i jego żonę, błyskawicznie wciągnęły wszystkie europejskie państwa w wojnę. Trzeciego sierpnia, mimo protestów Belgii jako państwa neutralnego, wojska niemieckie przemaszerowały przez jej terytorium, by zaatakować Francję. W ciągu kilku dni Rosja, Anglia i Francja sprzymierzyły się i wypowiedziały wojnę Niemcom i Austro-Węgrom. Do szóstego sierpnia wszystkie liczące się kraje europejskie znalazły się w stanie wojny, a w nowojorskich salonach nie mówiło się o niczym innym.

Annabelle odłożyła wyjazd do Newport, śledząc rozwój wydarzeń. Chciała zostać w domu, przy Josiahu. To nie była ich wojna, choć brali w niej udział europejscy sojusznicy. Stany Zjednoczone nie miały zamiaru się w nią angażować, a Josiah zapewnił żonę, że nawet jeśli w jakimś momencie dadzą się wciągnąć w ten konflikt, Annabelle nie powinna się czegokolwiek obawiać, skoro wyszła za „staruszką”. Nie ma najmniejszych obaw, w wieku czterdziestu jeden lat nie zostanie wysłany na wojnę. Zresztą prezydent Wilson zapewniał obywateli amerykańskich, że ma szczerzy zamiar trzymać się od wszystkiego z daleka. Ale to jej nie uspokoiło.

Ostatecznie pojechała do Newport z Josiahem pod koniec lipca, dwa tygodnie później niż planowała. Przez ten czas była jak zwykle zajęta pracą na Ellis Island. Wielu imigrantów bało się o bezpieczeństwo

swoich rodzin. Wojna, która szalała w ich ojczyznach, nie oszczędzi ich bliskich i zatrzyma wielu z tych, którzy mieli dołączyć do nich w Stanach. Wielu synów, braci i kuzynów zostało już wcielonych do wojska.

Przed swoim wyjazdem Annabelle i Josiah prowadzili z Henrym niekończące się dyskusje o sytuacji w Europie, najczęściej podczas późnych kolacji w ogrodzie. Nawet odcięte od wielkiej polityki Newport żyło tym, co się stało w Europie. Chyba po raz pierwszy życie towarzyskie zeszło na drugi plan wobec wieści o wydarzeniach wojennych.

Podczas kolacji z okazji pierwszej rocznicy ślubu Consuela zauważyła, że Josiah i Annabelle są ze sobą bliżej niż zwykle, choć oboje wyjątkowo poważni, ale nie dziwiła się temu, biorąc pod uwagę europejską zawieruchę. Henry też przyjechał z Nowego Jorku, by uczcić ich rocznicę.

Hortie urodziła już drugie dziecko. Przyszło na świat z dwutygodniowym opóźnieniem, pierwszego sierpnia - tym razem była to dziewczynka, która pojawiła się w wyniku długiego i męczącego porodu, ale nie tak ciężkiego jak poprzedni. Louise - bo tak dostała na imię — ważyła niecałe cztery kilo. Hortie nie mogła przyjść na kolację rocznicową Annabelle i Josiaha, nadal bowiem leżała w łóżku, obsługiwana przez matkę i niańkę. Zjawił się za to James. I tego lata nie opuścił żadnego przyjęcia, czy to w Newport, czy w Nowym Jorku, z Hortie czy bez niej.

Wieści z Europy sprawiły, że sierpień w Newport był spokojniejszy niż zwykle. Nowiny o wojnie jak chmura zawisły nad głowami, wszyscy też rozmawiali o sytuacji aliantów po drugiej stronie Atlantyku i martwili się o przyjaciół.

Annabelle i Josiah dyskutowali o tym często podczas spokojnych, sierpniowych dni po wyjeździe Henry'ego. Consuela, choć dostrzegała łączące ich pełne miłości porozumienie, zauważyła, że są o wiele poważniejsi niż w pierwszych miesiącach małżeństwa. Smuciło ją, że nie zamierzają powiększyć rodziny i że Annabelle nigdy o tym nie wspomina. Raz, widząc dziwny smutek w oczach córki, pomyślała, że może coś jest nie w porządku, ale Annabelle nie zwierzała się jej i wydawała się bardziej niż kiedykolwiek oddana mężowi. Consuela wierzyła, że są idealnie dobraną parą i z przyjemnością spędzała czas z nimi i ich przyjaciółmi. Miała tylko nadzieję, że któregoś dnia doczeka się wnuka - oby jak najszybciej.

Młodzi małżonkowie wrócili do Nowego Jorku na początku września; Josiah do swoich obowiązków w banku, Annabelle do swoich na Ellis Island. Coraz bardziej poświęcała się tej pracy, była ogromnie lubiana i szanowana przez ludzi, którymi się opiekowała - Polaków, Niemców czy Irlandczyków. Consuela martwiła się o jej zdrowie. Wiedziała, że gruźlica szerzy się wśród imigrantów jak pożar, nie wiedziała tylko, że Annabelle przebywa wśród nich bez cienia lęku. Tej jesieni pracowała w szpitalu jeszcze dłużej, mimo ostrzeżeń i wymówek matki. Josiah też pracował intensywnie w banku przy operacjach. Rząd Stanów Zjednoczonych, jako siła neutralna, choć pełen zrozumienia, odmówił aliantom oficjalnego wsparcia finansowego działań wojennych w Europie. Prywatni przedsiębiorcy i anonimowi posiadacze znacznych majątków zaoferowali więc pomoc na własną rękę. Wysyłali pieniądze i zaopatrzenie nie tylko aliantom, ale również ich przeciwnikom. Mogło to wywołać niemałe poruszenie, tak więc obsługa transferów wymagała najwyższej dyskrecji. Wiele z tych operacji przechodziło przez ręce Josiaha, który dzielił się z Annabelle swoimi obawami. Gnębiło go, że niektórzy ważni klienci banku wysyłają surowce i pieniądze do Niemiec, przez wzgląd na swoje powiązania w tym kraju. Nie podobało mu się też, że mimo woli gra po obu stronach, ale musiał wypełniać zlecenia klientów. Powszechnie wiedziano o transakcjach tego rodzaju i, by zatrzymać napływ pomocy do Niemiec, Wielka Brytania zaczęła minować Morze Północne. Niemcy w odwecie grozili zatopieniem każdego statku należącego do Wielkiej Brytanii i jej sojuszników, a niemieckie U-Booty patrolowały Atlantyk, czając się w jego głębinach. Mimo to na Ellis Island zjawiało się wciąż wielu imigrantów, szukających lepszego życia w Stanach. Ludzie, których teraz widywała, znajdowali się w o wiele gorszym stanie niż przedtem. W ich ojczyznach życie stało się nie do zniesienia, całowali więc amerykańską ziemię, wysiadając ze statków. Cieszyli się z każdego przejawu dobroci, ze wszystkiego, co dla nich robiła. Annabelle próbowała wyjaśniać matce, jak bardzo jest potrzebna imigrantom, ale na próżno. Consuela była święcie przekonana, że jej córka ryzykuje życie za każdym razem, kiedy wchodzi do szpitala, i właściwie się nie myliła, choć Annabelle nigdy nie przyznałaby tego głośno. Tylko Josiah rozumiał ją i wspierał w jej pracy.

Kupiła sobie nowy komplet podręczników i studiowała je każdego wieczoru przed snem, w czasie gdy Josiah musiał pracować do późna albo wychodził z kolegami do klubów, w których nie mogły bywać kobiety. Nigdy nie miała nic przeciwko temu, by wychodził bez niej. Mówiła, że daje jej to więcej czasu na naukę i czytanie.

Widziała już kilka operacji chirurgicznych i sumiennie czytała wszystko, co wpadło jej w ręce na temat chorób zakaźnych, nękających pacjentów. Wielu z imigrantów - szczególnie ci w podeszłym wieku - umierało po męczącej podróży i od chorób, które przywozili ze sobą. Reszta lekarzy uważała Annabelle za nieoficjalną pielęgniarkę, która często okazywała się równie kompetentna jak oni - a czasem nawet bardziej. Miała ogromną intuicję i jeszcze większy talent do stawiania diagnoz, czasem podsunęta przez nią w porę uwaga ratowała komuś życie. Josiah powtarzał często, że jest święta, ale ona zbywała to jako miłą, lecz niezasłużoną pochwałę. Pracowała ciężko, a jej matka myślała czasem, że próbuje wypełnić pustkę, której nie wypełniało dziecko. Fakt, że córka nie ma dzieci, przygnębiał Consuełę bardziej niż samą Annabelle, która przestała już w ogóle o tym wspominać.

Tego roku Henry znów spędził z nimi Boże Narodzenie u Consue-li. We czwórkę zjedli cichą kolację wigilijną. Były to trzecie święta bez Arthura i Roberta, w takich dniach ich nieobecność stawała się szczególnie bolesna. Było jasne, że po śmierci męża i syna Consuela straciła wiele ze swojej żywotności. Jak zwykle była wdzięczna za czas, który z nią spędzali i interesowała się wydarzeniami na świecie, ale odnosiło się wrażenie, że po tragedii „Titanica” nie obchodzi jej już, co się z nią stanie. Chyba tylko Henry potrafił jeszcze sprowokować ją do śmiechu. Nie doszła do siebie po podwójnym ciosie. Chciała żyć jeszcze tylko tak długo, by zobaczyć dzieci Annabelle. Coraz bardziej martwiła się i przypuszczała, że jej córka nie jest w stanie zająć w ciążę. Ale nic nie wskazywało na to, by Josiah odsuwał się od niej.

Również przy Wigilii rozmowa zeszła na temat wojny. Wieści docierające z Europy nie były dobre. Stawało się coraz bardziej prawdopodobne, że Stany Zjednoczone, choćby z samego poczucia braterstwa z aliantami, przyłączą się do wojny, posyłając na śmierć wielu młodych Amerykanów. Prezydent Wilson zapewniał stanowczo, że nie zaangażuje się w konflikt, ale Josiah zaczynał w to wątpić.

Dwa dni po świętach Annabelle wpadła do matki z wizytą i zdziwiła się, gdy kamerdyner powiedział, że pani jest na górze i leży

w łóżku. Consuela leżała wstrząsana dreszczami, blada, z jaskrawymi wypiekami na policzkach. Blanche przyniosła jej właśnie filiżankę herbaty, ale chora nie chciała pić. Gdy Annabelle dotknęła jej czoła wprawną ręką, stwierdziła, że matka ma wysoką gorączkę.

- Co się stało? - spytała zatroskana. Nie miała wątpliwości, że to grypa, nie śmiała myśleć o niczym gorszym. Stało się to, czego Consuela tak bardzo obawiała się dla córki. Annabelle była młoda i odporna, zdrowie Consueli natomiast, szczególnie przez ostatnie lata, coraz bardziej podupadało. Nieprzemijający smutek zniszczył resztki młodości i podkopał jej siły. - Od jak dawna chorujesz? - Annabelle widziała ją zaledwie przed dwoma dniami i zauważyła, że matka nie czuje się dobrze. To Consuela uznała, że za parę dni choroba przejdzie i zakazała Blanche martwić córkę.

- Od wczoraj - odparła z uśmiechem. - To nic poważnego. Chyba przeziębiam się w ogrodzie. - Annabelle pomyślała, że to coś o wiele gorszego niż przeziębienie. Blanche też się martwiła.

- Wezwałaś lekarza? - zapytała Annabelle i zmarszczyła brwi, gdy matka pokręciła głową. - Chyba powinnaś. - Consuela dostała ataku kaszlu i Annabelle zauważyła, że jej oczy są szkliste.

- Nie chciałam mu zawracać głowy zaraz po świętach. Ma ważniejsze sprawy.

- Nie bądź niemądra, mamó - zbesztala ją łagodnie Annabelle. Wyszła z pokoju, by zadzwonić po doktora. Po kilku minutach była z powrotem przy łóżku matki.

Uśmiechała się, udając spokojniejszą, niż była naprawdę. - Powiedział, że zaraz przyjdzie. - Tym razem matka nie próbowała sprzeciwić się wizycie lekarza i to też było niezwykle. Musiała się czuć bardzo chora. I choć na Ellis Island Annabelle tak sprawnie opiekowała się pacjentami, przy własnej matce czuła się bezradna i przerażona. Nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała matkę tak chorą, nie słyszała też ostatnio o epidemii grypy. Potwierdził to lekarz.

- Nie mam pojęcia, jak to złapała - powiedział skonsternowany. - Odwiedziłem przez święta kilku pacjentów z grypą, ale były to głównie starsze osoby, słabego zdrowia. Pani matka jest jeszcze młoda i silna - zapewnił. Był pewien, że Consuela poczuje się lepiej za kilka dni. Zostawił buteleczkę laudanum, by lepiej sypiała, i aspirynę na gorączkę.

Przed szóstą wieczór matce tak się pogorszyło, że Annabelle postanowiła zostać na noc. Zadzwoiła do Josiaha, by go o tym zawiadomić, a on zmartwił się i zapytał, czy może pomóc w jakikolwiek sposób. Zapewniła go, że niczego jej nie trzeba, i wróciła do matki, która słuchała rozmowy.

- Jesteś z nim szczęśliwa? - zapytała słabym głosem. Annabelle pomyślała, że to dziwne pytanie.

- Oczywiście, mamo. - Uśmiechnęła się i usiadła na krześle przy łóżku. Wzięła matkę za rękę i trzymała jej dłoń, tak jak niegdyś matka siadywała przy jej łóżeczku. - Bardzo go kocham - zapewniła. - To cudowny człowiek.

- Tak mi przykro, że nie macie dziecka. A może już go oczekujesz? Annabelle pokręciła głową i znów uciekła się do oficjalnego wytłumaczenia:

- Mamy czas. - Consuela obawiała się, że córka jest bezpłodna. Uważała, że byłoby tragedią, gdyby nigdy nie mieli dzieci; Annabelle myślała tak samo, choć nigdy nie przyznałaby się do tego matce. - Teraz martwmy się o twoje zdrowie - powiedziała, by zmienić temat. Consuela skinęła głową i chwilę później zasnęła. Annabelle siedziała przy niej i patrzyła czule jak na dziecko. Gorączka wzrosła w ciągu następnych godzin. O północy Annabelle zaczęła chłodzić czoło matki mokrymi kompresami, przygotowywanymi przez Blanche. Miała do dyspozycji o wiele więcej środków niż na Ellis Island, ale nic nie pomagało. Przez całą noc czuwała przy łóżku chorej, mając nadzieję, że gorączka spadnie do rana, ale tak się nie stało.

Doktor odwiedzał je rano i wieczorem przez następne trzy dni, ale Consueli wciąż się pogarszało. Od dawna nie widział tak ciężkiego przypadku grypy, o wiele cięższej od tej, na którą Annabelle zachorowała trzy lata wcześniej.

Któregoś popołudnia Josiah przyszedł posiedzieć z teściową, by Annabelle mogła przespać się kilka godzin w swojej dawnej sypialni. Specjalnie zwolnił się z pracy. Consuela obudziła się i spojrzała na niego jasnymi, przytomnymi oczami.

Wydawała się o wiele trzeźwiejsza niż poprzedniego dnia, nabrał więc nadziei, że jej się poprawia. Wiedział, jak bardzo żona martwi się o matkę. Consuela była wprawdzie bardzo chora, a zdarzało się, że ludzie umierali na grypę, tym razem jednak nie było ku temu powodu, skoro miała tak dobrą opiekę. Annabelle nie odstępowała jej ani na chwilę, nie licząc półgo-

dzinnych drzemek od czasu do czasu, a wówczas przy chorej siedzieli Blanche lub Josiah. Consuela ani przez chwilę nie pozostawała sama, lekarz przychodził dwa razy dziennie.

- Annabelle bardzo cię kocha - powiedziała Consuela łagodnie słabym głosem, uśmiechając się do niego. Była śmiertelnie blada.

- Ja też bardzo ją kocham - zapewnił. - To niezwykła kobieta i cudowna żona. - Consuela skinęła głową, jego słowa sprawiały jej wyraźną przyjemność. Często miała wrażenie, że Josiah traktował Annabelle jak młodszą siostrę czy córkę, a nie jak żonę i dorosłą kobietę. Może po prostu wynikało to z tego, że była o tyle młodsza. - Musi mama odpoczywać, żeby wyzdrowieć - upomniał łagodnie Josiah, ale teściowa odwróciła wzrok, jakby było jej wszystko jedno. Po chwili znów przenikliwie spojrzała mu w oczy.

- Josiahu, jeśli cokolwiek mi się stanie, chcę, żebyś się nią dobrze opiekował. Ma tylko ciebie. I mam nadzieję, że kiedyś będziecie mieli dzieci.

- Ja też - odparł cicho. - Annabelle będzie wspaniałą matką. Ale proszę tak nie mówić, przecież mama wyzdrowieje. - Consuela najwyraźniej nie była tego pewna i nagle zrozumiał, że ona sądzi, iż umiera, a może po prostu się boi.

- Dobrze się nią opiekuj - powtórzyła. Powieki jej opadły i znowu zasnęła.

Obudziła się, gdy godzinę później Annabelle wróciła do sypialni i sprawdziła jej temperaturę. Ze zgrozą stwierdziła, że gorączka wzrosła, i dyskretnie dała o tym znać Josiahowi. Consuela otworzyła oczy.

- Mamo, lepiej się czujesz? - zapytała z pogodnym uśmiechem, ale Consuela pokręciła głową i Annabelle pomyślała z lękiem, że matka skapitulowała przed chorobą. Jak do tej pory nie pomagało nic, co dla niej robili.

Josiah wrócił do siebie, prosząc Annabelle, by zadzwoniła do niego wieczorem, gdyby czegoś potrzebowała i Annabelle obiecała, że tak zrobi. Gdy wychodził z domu Worthingtonów, prześladowały go słowa Consueli. Miał szczerzy zamiar opiekować się Annabelle i dobrze wiedział, że prócz matki jego żona miała na świecie tylko jego. Chwilami ciężko mu było udźwignąć tę świadomość, a byłoby jeszcze ciężiej, gdyby jej matka umarła.

W Nowy Rok doktor powiedział, że Consuela ma zapalenie płuc. Obawiał się tego od początku. Była wprawdzie zdrową osobą

w kwiecie wieku, ale zapalenie płuc jest niebezpieczną chorobą, a doktor czuł, że chorej nie zależy na życiu - i wszyscy wiedzieli dlaczego. Zdawała się gasnąć w oczach, a oni nie mogli wygrać tej walki sami. Potrzebowali jej pomocy, choć nawet wtedy szczęśliwe zakończenie nie było pewne. Przerazona Annabelle nie odstępowała łóżka matki. Ożywiła się tylko wtedy, gdy Consuela nie spała - próbowała namawiać ją do picia i jedzenia i powtarzała, że choroba wkrótce minie. Ale chora nie reagowała na te zapewnienia; jadła ledwie tyle, by utrzymać się przy życiu, i nikła w oczach, pożerana gorączką. Z dnia na dzień była coraz bardziej wyniszczona, gorączka nie słabła. Blanche, równie zrozpaczona jak Annabelle, przysyłała tace z posiłkami do pokoju chorej, kucharka próbowała wymyślać potrawy, które Consuela miałaby ochotę zjeść. Wszyscy byli przerażeni. Szóstego stycznia Consuela poddała się ostatecznie. Zasnęła wczesnym wieczorem po długim, trudnym dniu. Trzymała Annabelle za rękę, wcześniej, po południu, rozmawiały trochę. Przed zaśnięciem uśmiechnęła się i powiedziała córce, że ją kocha. O ósmej wieczór Annabelle, która drzemała w fotelu przy łóżku, ocknęła się nagle, wyczuwając jakąś zmianę. Spojrzała na gładką, pogodną twarz matki i zauważyła natychmiast, że chora nie oddycha. Krzyknęła cicho, przestraszona. Po raz pierwszy od dwóch tygodni twarz matki była chłodna - wręcz nienaturalnie. Gorączka opuściła ją, zabierając ze sobą życie. Annabelle potrząsała nią, próbując ją obudzić, ale szybko zrozumiała, że to na nic. Uklękła przy łóżku, obejmując ramionami ciało bez życia i wybuchnęła płaczem. Było to ostatnie pożegnanie, które nie było jej dane, gdy zginęli ojciec i brat. Długo szlochała, niepokieszona. Blanche zastała ją tak jakiś czas później i też wybuchnęła płaczem. Poglaskała delikatnie włosy Consueli, wyprowadziła Annabelle i posłała Thomasa po Josiaha. Kilka chwil później Josiah był już na miejscu i robił wszystko, by pocieszyć żonę. Wiedział doskonale, jaka to dla niej strata i jak bardzo kochała matkę. Wieczorem przyszedł doktor, by wypisać akt zgonu, rano zjawił się pracownik zakładu pogrzebowego, by przygotować zmarłą. Ciało wystawiono w sali balowej, przystrojonej morzem kwiatów. Annabelle długo stała przy trumnie, trzymając Josiaha za rękę. Przez cały następny dzień zjawiali się przyjaciele z kondolencjami, ze zdumieniem przeczytawszy w gazecie wiadomość o śmierci

Consueli Worthington. Dom znów pogrążył się w żałobie, tak jak po tragedii sprzed niemal trzech lat. Annabelle została sierotą, a Josiah był jedynym człowiekiem, jaki pozostał jej na tym świecie - tak jak przepowiedziała mu to jej matka. Lgnęła do niego rozpaczliwie przez następne dni jak tonący rozbitek. Podczas uroczystości pogrzebowej w kościele Świętego Tomasza ani na chwilę nie puszczała jego ręki, a on przez cały czas obejmował ją ramieniem. Był wierny swojemu przyrzeczeniu. Nie odstępował jej ani na krok, nawet sypiał z nią w wąskim łóżku w jej dawnym pokoju. Annabelle nie chciała wracać do jego mieszkania i nalegała, by zostali w jej rodzinnym domu, a nawet na całkowitą przeprowadzkę do domu jej rodziców. Rezydencja była okazała, ale Josiah czuł, że zawsze już będzie pełna ponurych wspomnień i że pobyt w niej byłby zbyt bolesny dla Annabelle. Na razie jednak spełniał życzenia żony, dla której strata była niemal nie do udźwignięcia. Henry często im towarzyszył i jego obecność również stanowiła dla niej dużą pociechę. Wpadał z wizytą, kiedy tylko mógł, do późna w nocy przesiadywali z Josiahem w bibliotece, prowadząc cichą rozmowę albo grając w karty, gdy Annabelle leżała w łóżku, pogrążona w rozpacz.

Dopiero po miesiącu zdecydowała się opuścić rezydencję. Nie tknęła niczego w sypialni matki, wszystkie rzeczy Consueli pozostały na miejscu. Josiah załatwił z bankiem sprawy majątkowe. Cała fortuna rodziców należała teraz do Annabelle, łącznie z częścią, która przypadłaby Robertowi. Była bardzo bogatą kobietą, ale to nie stanowiło żadnej pociechy. Było jej wszystko jedno.

W marcu, choć z wielkim bólem, Josiah musiał przedstawić jej ofertę kupna domu, złożoną przez znajomą rodzinę. Annabelle nie chciała o tym słyszeć, ale Josiah wyjaśnił jej, że jego zdaniem nigdy nie byłaby tu szczęśliwa. Straciła wszystkich najbliższych i dom mógł jej się wydawać pełny duchów ludzi, których kochała. A oferta była dobra, prawdopodobnie najlepsza ze wszystkich, jakie uzyskaliby, decydując się na zwłokę w sprzedaży.

- Ale gdzie będziemy mieszkać? - zapytała. - Twoje mieszkanie będzie dla nas za małe, kiedy rodzina się powiększy, a ja nie chcę innego domu. - Miała szczerą ochotę odrzucić ofertę, ale uznawała też racje Josiaha. Owszem, potrzebowali domu, ale i nie zrobili nic w tym kierunku, skoro Josiah nie był jeszcze gotów na dzieci. Tyle tylko że w tym domu z każdego kąta wyglądałyby ku niej duchy

rodziców i brata. Nawet gdyby zapelnili go dziećmi, nigdy nie wymazaliby do końca żałoby, jaką tu przeżyła, i wspomnień tych, których straciła.

Długo rozmawiała o tym z Hortie, która nosiła już trzecią ciążę i znów czuła się okropnie. Narzekała, że James zrobił z niej fabrykę dzieci, ale jej problemy wydawały się teraz nieważne w porównaniu z tym, co przeżywała Annabelle, starała się więc udzielić przyjaciółce możliwie sensownej rady. Uważała, że Josiah ma rację; Annabelle powinna sprzedać rezydencję Worthingtonów i kupić nowy dom, w którym nie będzie złych i smutnych wspomnień.

Annabelle krajało się serce, ale po dwóch tygodniach zgodziła się na sprzedaż. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby oddać obcym dom, w którym spędziła szczęśliwe dzieciństwo, ale teraz był on pełen smutku i wspomnień żałoby. Josiah obiecał, że wszystkim się zajmie i że kupią dom albo nawet wybudują nowy - takie przedsięwzięcie na pewno dałoby im wiele radości. Wszelkie zgrzyty w ich pożyciu małżeńskim zeszyły na dalszy plan na czas żałoby. Annabelle nie gryzła się już brakiem dzieci. Nie była w nastroju, by o tym myśleć, pogrążona w smutku.

Przez cały kwiecień pakowała rzeczy w domu i odsyłała je do przechowalni.

Wszystko, na czym jej nie zależało, co nie miało dla niej wartości, szło na aukcję.

Służba, Josiah i Henry pomagali jej niezmiernie. Od śmierci matki nie pojechała na Ellis Island. Bardzo brakowało jej pracy w szpitalu, ale była teraz zbyt zajęta opróżnianiem domu rodziców. Ostatnia partia mebli znalazła się w magazynie w maju, w drugą rocznicę jej zaręczyn. Dom miała przekazać nowym właścicielom w czerwcu, a potem postanowiła wyjechać do domu w Newport, który uparła się zatrzymać. Oboje z Josiahem chcieli spędzić tam lato.

Sześć dni po zamknięciu nowojorskiego domu Niemcy zatopili „Lusitanię”, zabijając tysiąc sto dziewięćdziesiąt osiem osób. Ta potworna tragedia wstrząsnęła światem i przywołała na nowo wspomnienia o „Titanicu”. Zginął kolejny z kuzynów matki, Alfred Gwyn-ne Vanderbilt, który został na pokładzie, by pomagać innym, tak jak Arthur i Robert na „Titanicu”. I tak jak oni stracił życie, gdy statek wyleciał w powietrze i zatonął w ciągu niecałych dwudziestu minut.

Dwa tygodnie później Włochy przystąpiły do wojny po stronie aliantów. W gazetach pojawiały się straszliwe doniesienia o gazach bojo-

wych, używanych na froncie, i obrażeniach, jakie powodowały u żołnierzy. Całą Europę ogarnęła pożoga, która zdawała się odzwierciedlać rozpacz i ból w jej duszy.

Resztę maja spędziła w mieszkaniu Josiaha, a w czerwcu wyjechała do Newport. Zabrała ze sobą Blanche i tych służących, którzy pozostali przy niej po śmierci matki. Pod koniec lata większość z nich miała odejść. Blanche i William chcieli zostać w Newport.

Josiah obiecał przyjechać tam w połowie czerwca. Zamierzał wziąć w tym roku dłuższy niż zwykle urlop, wiedząc, że Annabelle go potrzebuje. Gdy wyjeżdżała z miasta, wyglądała na załamana. Nowojorski dom, który tak bardzo kochała, był już w obcych rękach. Jej życie znów zmieniło się radykalnie.

W Newport Annabelle spotykała się czasem z Hortie, która też przyjechała wcześniej z dziećmi, nianią i matką. Choć dopiero w szóstym miesiącu, znów była ogromna, a Annabelle miała dla niej zbyt mało cierpliwości, by spędzać z nią wiele czasu. Od śmierci Consueli snuła się smutna i niespokojna, pobyt w Newport bez matki nie był łatwy. Przypomniało jej się lato po zatonięciu „Titanica”, z ulgą więc przyjęła przyjazd Josiaha.

Mieszkali w domu matki i sypiali w dawnym pokoju Annabelle. Chodzili na długie spacery nad morzem. Josiah był niemal tak samo zamyślony i milczący jak ona, ale Annabelle nie próbowała dowiadywać się, co jest tego przyczyną. Czasami tak się działo - wydawał się bez humoru, a nawet przybity. Oboje zresztą byli przygnębieni. Gdy chcąc go rozweselić, zapytała, kiedy odwiedzi ich Henry, odpowiedział wymijająco, że nie wie.

Był już w Newport od tygodnia, gdy siedząc z nią wieczorem przy kominku powiedział, że musi z nią porozmawiać. Uśmiechnęła się, ciekawa, co takiego chce jej powiedzieć. Ostatnio rozmawiali głównie o wojnie, ale tym razem Josiah westchnął głęboko, a gdy odwrócił się ku niej, ujrzała w jego oczach łzy.

- Czy wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona. Ale on pokręcił tylko powoli głową. Serce zadrżało w piersi Annabelle, gdy usłyszała jego słowa:

- Nie, nic nie jest w porządku.

Rozdział 1 1

Żadne wydarzenie w życiu Annabelle nie przygotowało jej na to, co Josiah miał do powiedzenia. Jego wyznanie było dla niej równie silnym wstrząsem, jak widok nagłówka o zatonięciu „Titanica”. Każde słowo spadało na nią jak bomba. Z początku nie wiedział, od czego zacząć, wyciągnęła więc rękę i ujęła jego dłoń.

- Co się dzieje? - zapytała łagodnie. Nie potrafiła wyobrazić sobie problemu, który mógłby go doprowadzić do takiego stanu. Wyglądał na załamane. W końcu westchnął głęboko.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Annabelle - zaczął. Uścisnął jej dłoń. Wiedział, że jest taka niewinna i że trudno będzie jej to pojąć. Chciał jej o wszystkim powiedzieć pół roku wcześniej, ale uznał, że lepiej poczekać, aż miną święta, a potem rozchorowała się jej matka. Po śmierci Consueli nie mógł powiedzieć jej nic. Annabelle była tak przybita, że nie zniosłaby kolejnego ciosu, tym gorszego, że zadane jego ręką. Teraz, prawie pół roku po pogrzebie matki, sprzedaż domu nie była dla niej przyjemnym przeżyciem. Ale on nie mógł czekać dłużej. Musiał jej to powiedzieć. Nie potrafił żyć w kłamstwie, doprowadzało go to do obłędu.

- Co się stało? - powtórzyła. Łzy napłynęły jej do oczu, zanim zdążyła je powstrzymać. - Czy zrobiłam coś, co cię rozgniewało?

Josiah żarliwie pokręcił głową.

- Nie. Jesteś dla mnie cudowną, wspaniałą, oddaną żoną. To nie ty robisz coś złego, Annabelle, to ja... i to od samego początku. Myślałem, że będę umiał być dla ciebie dobrym mężem, że zdołam zapewnić ci dobre życie. Chciałem, żebyś... - próbował powiedzieć coś więcej, ale ona przerwała mu w nadziei, że powstrzyma nowy ka-

taklizm. Ale powódź wzbierała i nawet on nie mógł tego zatamować. Trzeba było stawić jej czoła.

- Przecież jesteś dobrym mężem i zapewnisz mi dobre życie... -W jej głosie zabrzmiało błaganie, które raniło Josiahowi serce.

- Nie, wcale nie jestem. Zaslugujesz na coś, czego nie mogę ci dać. Myślałem, że dam radę... z początku byłem nawet tego pewny, bo w przeciwnym wypadku nie zrobiłbym ci tego. Ale nie dałem. Zaslugujesz na męża, który spełni twoje najgorętsze pragnienia i z którym będziesz miała dzieci.

- Nie spieszy nam się, sam ciągle powtarzasz, że mamy czas.

- Ale nie mamy - powiedział zdecydowanie, zaciskając surowo usta. To było o wiele trudniejsze, niż się obawiał, a najgorsze, że naprawdę ją kochał, chociaż teraz wiedział już, że nie ma do niej prawa i że nigdy go nie miał. Czuł się winny, że łamie obietnicę daną jej matce - tę, że będzie się o nią troszczył - ale biedna Consuela nie mogłaby sobie nawet wyobrazić, w jakiej był sytuacji. - Jesteśmy już prawie dwa lata po ślubie. Nigdy się z tobą nie kochałem. Wymyślałem tysiące wykrętów, zbywałem cię. - Istotnie, raz czy dwa Annabelle przyszło do głowy, że mąż ma z tym jakiś problem, o którym wstydzi się jej powiedzieć, ale czuła, że to raczej sprawa emocji, kwestia nastawienia, którą z czasem rozwiąże. Po prawie dwóch latach małżeństwa nadal była dziewicą. Nigdy nie przyznała się do tego nikomu, ani matce, ani Hortie. Za bardzo się wstydziła i bała, że to ona robi coś niewłaściwego albo nie jest atrakcyjna dla Josiaha. Próbowwała wszystkiego, co jej przyszło do głowy, od nowych fryzur po inny styl ubierania; kupowała coraz to nowe uwodzicielskie koszule nocne, w końcu zrezygnowała i z tego. Uznała, że Josiah po prostu się boi i że to się w końcu wydarzy, kiedy nadejdzie pora, a on będzie gotów. Gnębiło ją to, co teraz próbowała bagatelizować.

- Naprawdę wierzyłem, że się z tobą, że zdołam być dla ciebie prawdziwym mężczyzną. Ale nie potrafię. Za każdym razem, gdy o nas myślałem, wiedziałem, że to byłoby oszustwo, a nie mogłem pozwolić, byś oddała mi cnotę za kłamstwo.

- To nie jest kłamstwo - powiedziała zdecydowana walczyć o swoje życie i małżeństwo. Ale ta bitwa była przegrana, zanim jeszcze się zaczęła. Nie mogła jej wygrać. - Łączy nas miłość, a to najważniejsze, nawet jeśli nigdy nie będziesz się ze mną kochał. W życiu są

ważniejsze rzeczy. - Uśmiechnął się, widząc, jaka jest naiwna. Wiele osób obu płci nie zgodziłoby się z nią, on sam do nich należał. Po prostu nie wiedziała, że może być inaczej, i gdyby z nim została, nigdy by się nie dowiedziała.

- Zaslugujesz na coś lepszego niż to, co ja mogę ci dać, Annabelle. Być może trudno będzie ci to zrozumieć, ale chcę być z tobą szczerzy. - Od początku powinien być z nią szczerzy, ale trudno, stało się. Teraz musi naprawić błąd. Ta rozmowa odbierze jej niewinność i być może na zawsze zniszczy wiarę w mężczyzn. Ale nie miał wyboru. Myślał o tym długo i czekał dłużej, niż należało, dla dobra ich obojga. To już koniec, kochał ją, ale całe to małżeństwo było oszustwem. Patrzyła na niego zdumionymi oczami, ścisnęła jego dłoń coraz mocniej, przygotowując się na to, co miał jej powiedzieć. Drżała, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Widział, jak dreszcz przechodzi jej ramiona, gdy tak czekała w napięciu.

- Nie chcę się kochać z kobietami - wyznał ochryplym głosem. - Pociągają mnie mężczyźni. Myślałem, że zdołam być dla ciebie przyzwoitym mężem, że będę postępował wbrew swojej naturze, ale nie umiem. Jestem kimś innym. To dlatego nie żeniłem się wcześniej. Kocham cię z całej duszy, kocham w tobie wszystko, ale nie tak. - Postanowił zadać ostateczny cios. - Henry i ja jesteśmy w sobie zakochani od wczesnej młodości. - Przez chwilę myślał, że Annabelle zemdleje. Ale ona była twardsza, niż się spodziewał, i nie poddała się słabości, która ogarnęła ją nagłą falą.

- Henry? - zdołała wydobyć zduszony pisk. Henry, ich nieodłączny towarzysz, którego uważała za najbliższego przyjaciela? Zdradził ją jak najgorszy wróg i miał tę część jej męża, której ona nigdy nie poznała. A Josiah nie był od niego lepszy.

- Tak. Zrozumiał to, gdy powiedziałem mu, że chcę się z tobą ożenić i mieć z tobą dzieci. Szczerze cię pokochałem i było mi cię żal, kiedy zginął twój ojciec. Pragnąłem być dla ciebie ojcem, bratem, przyjacielem. I mężem, ale okazało się, że tym nie mogę dla ciebie być. Nie potrafiłem się zmusić, by głębiej brnąć w kłamstwo. Nie umiałem postąpić wbrew naturze. Wszystko we mnie sprzeciwiało się temu.

Annabelle kiwała w milczeniu głową, próbując ogarnąć to, co powiedział. Całe ich małżeństwo - ślub, miesiąc miodowy, obietnice,

które sobie składali, dwa przeżyte wspólnie lata - wszystko było jednym wielkim oszustwem.

- Myślałem, że zdołam prowadzić podwójne życie, ale myliłem się. I nie chcę tego robić, skoro ty ciągle pytasz tak delikatnie, dlaczego nic między nami nie zaszło. Teraz to tym bardziej niemożliwe. Pół roku temu dowiedziałem się o czymś, co zmienia wszystko, i cieszę się, że nigdy nie zdołałem przewyciężyć oporów. Mam syfilis. Za żadne skarby nie mógłbym cię teraz dotknąć ani tym bardziej dać ci dzieci, których tak pragniesz. Nie chcę narażać twojego życia. Za bardzo cię kocham. - Dwie samotne łzy spłynęły mu z policzków.

Annabelle zarzuciła mu rękę na szyję i wtuliła twarz w gors jego koszuli, szlochając histerycznie. Ta wiadomość była gorsza od poprzedniej.

- To niemożliwe... - Uniosła mokrą od łez twarz, by na niego spojrzeć. W jej oczach nie zmienił się, ale nie wiedziała, jak rozpoznać objawy. Zresztą teraz jeszcze ich nie było. Z czasem jednak muszą się pojawić. Jego los był przypieczętowany, podobnie jak los Henry'ego. Odkryli to wspólnie i przynajmniej mogli się pocieszać myślą, że żaden z nich nie przeżyje drugiego. Kochali się od dwudziestu lat, przez całe dorosłe życie, i ta miłość miała z nimi odejść do grobu. - Czy jesteś pewien?

- Całkowicie. Gdy tylko się o tym dowiedziałem, zrozumiałem, że muszę z tobą szczerze porozmawiać, ale wtedy zachorowała twoja mama... Nie miałem serca dokładać ci trosk. Ale teraz musimy z tym coś zrobić. To nie może trwać w nieskończoność.

- Nie chcę niczego robić - powiedziała stanowczo Annabelle, puszczając jego dłonie i ocierając łzy. - Chcę być twoją żoną do końca.

- Nie pozwolę na to. Henry i ja chcemy wyjechać razem i cieszyć się czasem, jaki nam pozostał.

Annabelle zrozumiała, że Josiah nie chce spędzić swoich ostatnich dni z nią, że chce być z mężczyzną, którego kochał. Nikt nigdy nie odrzucił jej tak okrutnie.

- Odbyłem poufną rozmowę z moim adwokatem - podjął Josiah. - Już przygotował nasz rozwód. Załatwimy to tak dyskretnie, jak się da. Gdyby ktokolwiek pytał, możesz mówić, że byłem złym mężem i że lepiej ci beze mnie.

- Ale ja nie chcę żyć bez ciebie - wyszłochowała, znów lgnąc do niego. Nie chciała się rozwodzić i nigdy w życiu nie wystąpiłaby

o rozwód. Josiah wiedział o tym, jeśli więc chciał ją uwolnić, to on musiał się z nią rozwieść. Jedyną podstawą do uzyskania rozwodu było jednak cudzołóstwo, zatem gdyby to on wystąpił o rozwód, ludzie myśleliby, że to Annabelle była mu niewierna. - Czy nie możemy pozostać małżeństwem? - zapytała, ale on pokręcił głową. Był zdecydowany i nic nie mogło go odwieść od jego postanowienia. Zrozumiała, że nic nie wskóra, chociaż Josiah był człowiekiem łatwym we współżyciu, z wyjątkiem napadów melancholii i uporu, który, jak twierdził, odziedziczył po ojcu.

.- Nie możemy pozostać mężem i żoną, Annabelle - powiedział łagodnie. - Moglibyśmy spróbować unieważnić małżeństwo, ale wówczas musielibyśmy podać przyczynę, co byłoby żenujące dla nas obojga. Zresztą nie jestem pewien, czy po dwóch latach byłoby to możliwe. O wiele prościej i szybciej będzie wziąć rozwód. Chcę, żebyś była wolna i żebyś jak najprędzej rozpoczęła nowe życie. Jestem ci winien przynajmniej tyle. Znajdziesz innego mężczyznę, weźmiesz z nim ślub i będziesz żyła tak, jak na to zasługujesz. Potrzebujesz prawdziwego męża i prawdziwego małżeństwa. A nie oszustwa.

- Ale ja nie chcę nowego życia ani innego męża - wyszlochała.

- Chcesz mieć dzieci, a ja mogę dogorywać latami. Nie chcę, żebyś była do mnie uwiązana i marnowała życie Bóg wie jak długo. - Starał się skłonić ją, by z niego zrezygnowała i puściła go wolno - ale ona nie chciała, żeby odchodził, chciała tylko jego. Kochała go równie mocno, jak na początku. Nie była na niego zła - choć to, co powiedział, złamało jej serce, nie pragnęła rozwodu.

- Musisz mnie usłuchać - nalegał Josiah. - Wiem, że tak trzeba. Popełniłem straszliwy błąd i oboje musimy go naprawić. Moglibyśmy się rozwieść w Kentucky, ale byłoby to pokrętne rozwiązanie. Przeprowadzimy to w Nowym Jorku, skoro oboje tam mieszkamy. Nikt nie pozna szczegółów. Rozprawa odbędzie się przy drzwiach zamkniętych, a ja będę dyskretny. - Gwałtownie zaczerpnął powietrza. - Jutro wracam do miasta, żeby spotkać się z adwokatem. Potem Henry i ja wyjedziemy. Zamierzamy na jakiś czas zamieszkać w Meksyku.

- Woleliby pojechać do Europy, ale to nie byłoby rozsądne ani praktyczne, zdecydowali się więc na Meksyk. Tam nie spotkają znajomych i będą mogli zniknąć po cichu na czas, jaki im jeszcze pozostał.

- Kiedy wrócisz? - zapytała Annabelle słabym głosem. Traciła ostatnią bliską istotę.

- Nieprędko - odparł bardziej surowo, niż zamierzał. - Nigdy.

Nie chciał tego mówić, ale Annabelle musiała pogodzić się z faktem, że między nimi wszystko skończone. Koniec czegoś, co nie powinno się zacząć, musiał nastąpić możliwie szybko. Wydawało mu się, że w ten sposób zada jej mniejszy ból. Ale wyraz twarzy Annabelle powiedział mu, że się myli. Wyglądała na zdruzgotaną. Najbardziej przeraziła ją wiadomość, że Josiah opuszcza ją już wkrótce.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak przetrwa bez niego. Gdy Josiah odejdzie, zostanie sama na świecie. On miał Henry'ego - zawsze, jak się okazało - a ona nikogo. Ani rodziców, ani brata, a teraz nawet męża.

- Czemu nie możemy pozostać małżeństwem? - zapytała tonem zrozpaczonego dziecka. - Przecież nic się nie zmieni.

- Owszem, zmieni się. Teraz ty też znasz prawdę. Muszę cię uwolnić, Annabelle. Zmarnowałem ci dwa lata życia. - Zrobił coś o wiele gorszego: zmarnował całe jej życie. Teraz nie pozostało jej nic prócz pieniędzy. Nie miała też domu w mieście i musiałaby przenieść się do hotelu. Skoro się rozwodzili, nie mogła przecież dalej mieszkać u niego. Ale pomyślał i o tym. - Możesz zostać w mieszkaniu, dopóki nie zdecydujesz, co chcesz robić dalej. Wyjeżdżam za kilka dni. - Zaplanowali z Henrym wszystko.

- Żałuję, że sprzedałam dom - powiedziała, ale oboje wiedzieli, że to była dobra decyzja. Dom był dla niej za duży i nie mogła mieszkać w nim sama, szczególnie jako kobieta niezamężna. Potrzebowała czegoś łatwiejszego w utrzymaniu. Josiah był pewien, że Annabelle niedługo znów wyjdzie za mąż. Była piękną dziewczyną, miała dwadzieścia dwa lata i wciąż była niewinna jak przed ślubem. Nie zniszczył przynajmniej tego, choć ona miała wrażenie, że przez ostatnią godzinę postarzała się o dziesięć lat.

Wstał i wziął ją w ramiona. Uściskał ją, ale nie pocałował. Oszustwo, którego ofiarą padła z jego winy, skończyło się. Nie był już jej mężem - właściwie nigdy nim się nie stał, przez cały czas należał do Henry'ego. Wszyscy troje zapłacili wysoką cenę za to, że próbował być kimś, kim nie był. Kochał ją, ale nie tak, jak powinien kochać mąż. Dla niego było to smutne odkrycie, cóż dopiero dla niej. Nie było już żadnej nadziei, a on poczuł ulgę, że nigdy się do niej nie zbliżył. Nie wybaczyłby sobie, gdyby i ją zaraził syfilisem. To, co jej zrobił, było wystarczająco złe: przez cały czas okłamywał ją,

a co gorsza - okłamywał samego siebie. Kochał ją, ale jego przysięga małżeńska nie znaczyła nic.

Odprowadził ją do sypialni, ale nie chciał z nią zostać tej nocy. Powiedział, że teraz to nie byłoby już właściwe. Spał w pokoju gościnnym na dole, a ona w samotności szlochała całą noc. Nad ranem zeszła po cichu na dół i próbowała położyć się przy nim, ale nie pozwolił na to. Odesłał ją z powrotem do jej sypialni - czuł się jak potwór, i kiedy odeszła, rozplakał się. Serce mu się krajało, że ją porzuci, ale nie miał wyboru. Widział, jak bardzo ją gnębiło to, że nigdy nie doszło między nimi do zbliżenia i tym bardziej nie chciał jej mieć przy sobie teraz, kiedy był już pewien, że kiła zniszczy go i że w końcu umrze. Nie miał prawa jej na to skazywać i zamierzał aż do końca trzymać się z dala od niej. Choroba rozwijała się szybko, Henry zaczynał mieć pierwsze objawy. Obaj poddawali się kuracji arseniko-wej, ale to nie pomagało. Chcieli być już jak najdalej od Nowego Jorku i wszystkich, których znali, by czekać na to, co musiało nadejść. To ostatnia chwila, by opuścić Annabelle i pozwolić jej rozpocząć nowe życie. Z czasem, kiedy przywyknie do tej myśli, zrozumie, że miał rację.

Gdy odjeżdżał następnego dnia, stała zapłakana na frontowym ganku. W żałobie, którą nosiła po matce, wyglądała jak postać z greckiej tragedii. Josiah przez całą drogę do Nowego Jorku czuł się fatalnie i co chwilę ocierał łzy. Gdyby zabił ją własnymi rękami, pewnie nie czułby się gorzej.

Rozdział 12

Po wyjeździe Josiaha Annabelle nie widywała się z nikim. Blanche wiedziała, że wydarzyło się coś strasznego, ale nie śmiała o nic pytać. Annabelle siedziała w swoim pokoju, tam też kazała przynosić sobie posiłki, które i tak ledwie tykała. Raz dziennie wychodziła na spacer po plaży, ale nie spotykała się i nie rozmawiała z nikim. Któregoś popołudnia wpadła Hortie, ale Annabelle nie chciała jej przyjąć. Kazała Blanche powiedzieć, że jest chora. Nie miała ochoty widzieć się z najbliższą przyjaciółką i za bardzo wstydziła się powiedzieć jej, że się rozwodzi, nawet jeśli nie ponosiła żadnej winy. Nie mogła powiedzieć, dlaczego się rozwodzą. Prawda była nie do pomyślenia, zresztą Annabelle musiała chronić Josiaha. Za każdym razem, gdy pomyślała, że więcej go nie zobaczy, była przerażona.

Kiedy ludzie dowiedzą się o rozwodzie, nikt nie uwierzy w jej niewinność, wszyscy w Nowym Jorku i w Newport będą zgorszeni. Zastanawiała się, ile czasu potrzeba, by wiadomość obiegła miasto. Była w żałobie, nie spodziewano się widywać jej na salonach, ale wszyscy musieli uznać za dziwne, że Josiah nie pokazuje się w towarzystwie. Blanche podejrzewała, że coś się stało, choć sądziła, że to tylko kłótnia małżeńska i nie przypuszczała, że sprawa skończy się rozwodem. Razem z kamerdynerem uznali, że pewnie pan ma romans, ale żadne z nich nie wpadło na to, że to romans z Henrym -i że małżeństwo Annabelle jest skończone. Próbowwała pocieszać młodą panią, że wszystko będzie dobrze, ale Annabelle wybuchała tylko płaczem i kręciła głową. Nic już nie miało być dobrze. W lipcu odwiedził ją adwokat. Josiah już jakiś czas temu zrezygnował z pracy w banku i wyjechał do Meksyku. Dwa tygodnie wcześniej

Henry także się zwolnił, rzekomo z powodu choroby w rodzinie. Nikomu nie przyszło do głowy łączenie obu tych wydarzeń, ale odejście dwóch dobrych fachowców było dla banku wielką stratą.

Przed wyjazdem Josiah przysłał Annabelle list, w którym jeszcze raz przeproszał za swoją niewybaczalną perfidię i zdradę. Pisał, że do końca życia będzie dźwigał brzemień tej winy, i zapewniał, że jego miłość do niej była naprawdę szczerą. Złożył już pozew rozwodowy w Nowym Jorku i teraz adwokat przywiózł jej papiery. Jedynym zarzutem, jaki pojawił się w dokumentach, była jej niewierność, co wstrząsnęło Annabelle. Wiedziała, że tak będzie, ale widok tego oskarżenia na papierze był gorszy. No cóż, zapowiedziała Josiahowi, że nie wystąpi o rozwód, nie miał więc innego wyjścia.

- Wszyscy będą myśleli, że go zdradziłam - powiedziała, patrząc na adwokata z rozpaczą. Najwyraźniej dotąd miała nadzieję, że Josiah tak nie napisze, ale on załatwił sprawę w jedyny możliwy sposób.

Adwokat pokręcił głową.

- Nikt nigdy nie zobaczy tych dokumentów - zapewnił ją. - Nie było innego wyjścia, skoro pani nie chciała wystąpić o rozwód. - Ale jak miała to zrobić, skoro go kochała?

Jak się okazało, Josiah i jego adwokat przeliczyli się, wierząc w dyskrecję wymiaru sprawiedliwości. Jeden z urzędników sądowych sprzedał kopię orzeczenia rozwodu dziennikarzom i w sierpniu gazety podały do wiadomości publicznej, że Josiah Millbank rozwiódł się z żoną z powodu niewierności małżonki. Artykuł za jednym ciosem zrujnował jej życie i reputację. Z dnia na dzień stała się pariasem.

Przebywała jeszcze w Newport, kiedy dowiedziała się o tym od pracowników banku ojca. Wieść rozniosła się jak pożar. Wszyscy mówili tylko o ich rozwodzie. Annabelle potrzebowała całych dwóch tygodni, by zebrać się na odwagę i pójść porozmawiać o tym z Hortie, ale gdy wybrała się z wizytą, czekał ją kolejny wstrząs. Zamiast pozwolić jej pobeć prosto do pokoju Hortie, która jak zwykle polegiwała w łóżku, lokaj wprowadził ją do bawialni. W drzwiach minęła ją matka Hortie, nie zaszczycając jej ani słowem, mierząc tylko potępiającym spojrzeniem. Minęło kolejne dziesięć minut, nim zjawiała się Hortie, jeszcze grubsza niż wtedy, gdy Annabelle widziała ją ostatnim razem. Była bardzo zdenerwowana i nie usiadła. Stała w drzwiach, patrząc z zażenowaniem na przyjaciółkę. Gdy do oczu

Annabelle napłynęły łzy, Hortie odwróciła się, udając, że tego nie widzi.

- Pewnie słyszałaś już nowinę. Wszyscy słyszeli - powiedziała Annabelle żałośnie, dyskretnie wydmuchując nos w koronkową chusteczkę po matce. Miała też ze sobą jej parasolkę. Przyszła tu z domu pieszo, dzień był wyjątkowo upalny.

- Nie miałam pojęcia, że masz kogoś innego - powiedziała Hortie zdławionym głosem. Nie podeszła do przyjaciółki, nie wykonała żadnego gestu, nie powiedziała nic, by ją pocieszyć. Stała jak posąg w drugim końcu pokoju.

- Nikogo nie ma i nigdy nie było - powiedziała stanowczo Annabelle. -

Cudzołóstwo to jedyna podstawa do rozwodu. Josiah chciał się rozwieść, ja nie.

Uważał, że tak będzie lepiej... bo nie mógł... nie chciał... - Jej słowa przeszły w

zduşony szloch. Nie miała pojęcia, jak to wyjaśnić, bo to, co się stało, było

zupełnie nieprawdopodobne, i nie potrafiła o tym opowiedzieć nawet najlepszej

przyjaciółce. Nie chciała go zdradzić, choć on zdradził ją tak straszliwie. Nie po-

trafiła mu tego zrobić. Gdyby komukolwiek wyjawiała, że zostawił ją dla

mężczyzny i przyznała się Hortie, że nadal jest dziewicą, byłby stracony. Siedziała

więc tylko w fotelu i płakała. - Nie wiem, co robić - powiedziała żałośnie. -

Chciałabym umrzeć.

Hortie wzięła jej rozpacz za objaw poczucia winy. Jej matka powiedziała, że

Annabelle zasłużyła na wszystko, co zrobił Josiah, że człowiek o jego zasadach

nigdy nie rozwiódłby się z żoną bez powodu i że Hortie może być pewna, iż

cokolwiek zrobiła Annabelle, musiało być niewybaczalne. Inaczej Josiah

pozostałby jej mężem. A skoro rozwiódł się z nią jak z cudzołożnicą, to widocznie

nią była. Matka mówiła też, że bardzo jej żal Josiaha i ani trochę Annabelle, która

dostała to, na co zasłużyła. James zaś zapowiedział Hortie jasno i wyraźnie, że

zabrania jej raz na zawsze wszelkich kontaktów z Annabelle. Nie chciał, by miała

zły wpływ na jego żonę.

- Bardzo mi przykro, że do tego doszło - powiedziała Hortie żałowana. -

Popełniłaś błąd i pewnie teraz żałujesz. - Próbowała być dla niej wyrozumiała, ale

w głębi duszy zgadzała się z matką. Josiah był zbyt dobrym człowiekiem, by

rozwozić się bez ważnych powodów. Annabelle musiała zrobić coś odrażającego,

skoro rozstał się z nią, rzucił pracę i wyjechał z miasta. Hortie nigdy by nie

przypuszczała, że Annabelle jest zdolna do czegoś takiego, co tylko

dowodziło, że nigdy nie pozna się do końca nawet najlepszych przyjaciół. Ogromnie się na niej zawiodła. Matka i James mieli rację.

- Nie popełniłam żadnego błędu - wyszlochała Annabelle. Szlochając jak porzucone dziecko, wstrząśnięta tym, że Hortie nie ma dla niej dobrego słowa, wyniosła i zimna, jakby wszystkie lata przyjaźni przestały nagle istnieć.

- Chyba nie chcę wiedzieć, co zaszło - powiedziała Hortie, sięgając do klamki. - Przykro mi, musisz już iść. James zabronił mi się z tobą widywać. Żegnaj, Annabelle, muszę się położyć, bo nie czuję się dobrze. - To powiedziawszy, wyszła z bawialni i zamknęła za sobą drzwi. Annabelle siedziała przez chwilę, patrząc za nią. Trzęsąc się od stóp do głów, wstała i wybiegła z domu. Biegła tak całą drogę do siebie. Przemknęło jej przez głowę, że lepiej będzie rzucić się do morza i odebrać sobie życie, ale nie miała na to dość odwagi. A naprawdę tego chciała - wtedy zobaczyłaby rodziców i Roberta, była tego pewna. Nie mogła uwierzyć, że Hortie też ją porzuciła i że nigdy jej już nie zobaczy. Nagle zdała sobie sprawę, że wszyscy, których знаła, zrobią to samo. Kiedy żałoba się skończy i będzie mogła wychodzić, wszystkie drzwi w Newport i Nowym Jorku zatrzasną się jej przed nosem.

Wpadła do domu i popędziła na górę, do swojego pokoju. Rzuciła się na łóżko, zbyt wzburzona, by płakać. Leżała tak, gdy Blanche bez pytania weszła do pokoju i przemówiła łagodnie.

- Wiem, że pani nie zrobiła tego, co mówią, panienko Annabelle. Widywałam panią prawie codziennie, przez całe pani życie. Wiem, że była pani dobrą żoną. Nie mam pojęcia, co między wami zaszło, ale wiem, że nie ma w tym pani winy. - Podeszła, objęła Annabelle, i zapłakały razem. Annabelle nie mogła jej powiedzieć, co naprawdę było przyczyną rozwodu, ale Blanche wiedziała, że jej panienka nie byłaby zdolna zrobić tego, o co ją oskarżano. Gdy tak płakały i tuliły się do siebie, Annabelle mocniej niż kiedykolwiek zatęskniła za matką. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak będzie teraz wyglądać jej życie. Sądząc, że ratuje ją od gorszego losu, Josiah na zawsze napiętnował ją jako cudzołżnicę.

W ostatnim tygodniu sierpnia, gdy letni sezon dobiegał już końca, poczuła w całej pełni, co to znaczy. Gdy kilka razy wyszła do sklepu i na pocztę, ludzie, których spotykała po drodze, odwracali głowy i nie chcieli z nią rozmawiać. Mężczyźni gromili ją spojrze-

niami pełnymi potępienia, a kobiety patrzyły, jakby była powietrzem. Naprawdę stała się pariasem. Ostrzegala Josiaha, że tak się stanie, ale on nie słuchał. Uwolnił ją od miłości i poczucia winy, ale robiąc to, nieświadomie wydał na nią dożywotni wyrok, skazując na ludzką pogardę i potępienie. Została wygnana ze swojego świata. Zrozumiała, że jej życie w Newport i Nowym Jorku jest skończone, że nigdy już nie będzie miała wstępu do szanowanych domów. Na zawsze pozostanie cudzołożnicą, z którą rozwiódł się Josiah Millbank. Równie dobrze mógł ją powiesić własnymi rękami. Przyzwoita kobieta, którą zawsze była, umarła dla świata.

Rozdział 13

Annabelle wróciła do Nowego Jorku w pierwszym tygodniu września, zostawiając Blanche, Williama i kilkoro innych służących w domu w Newport. Zabrała ze sobą tylko Thomasa, miała zamiar sprzedać wszystkie samochody ojca z wyjątkiem jednego.

Zamieszkała w mieszkaniu Josiaha. Wiedziała, że musi poszukać domu, ale nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Nie spodziewała się powrotu Josiaha w najbliższym czasie - jeśli w ogóle się go spodziewała. Zapowiedział, że usuwa się z Henrym w cień na wiele miesięcy albo nawet i dłużej, i nie miała od niego żadnych wieści od czasu, gdy wyjechał do Meksyku. Opuścił ją na dobre, a wszyscy inni odwrócili się od niej. No cóż, Josiah myślał, że wyświadcza jej przysługę.

Wróciła do pracy na Ellis Island, cały czas próbując wymyślić, co ma robić dalej. Imigranci wciąż napływali z Europy, choć Brytyjczycy minowali Atlantyck, a Niemcy zatapiaли statki. Któregoś dnia rozmawiając z pewną Francuzką o jej doświadczeniach, Annabelle zrozumiała, co musi zrobić. To jedyne rozwiązanie, jakie przyszło jej do głowy, z pewnością o wiele bardziej sensowne niż pobyt w Nowym Jorku i znoszenie ostracyzmu znajomych. Było jej wszystko jedno, czy zginie, przeprawiając się przez Atlantyck, czy już w Europie. Prawdę mówiąc, z ulgą uwolniłaby się od losu, jaki bezwiednie zgotował jej Josiah.

Porozmawiała z kilkoma osobami ze szpitala o tym, co planuje. Lekarz, dla którego pracowała, dał jej list, zaświadczaający o jej umiejętnościach, by mogła wykorzystać je we Francji. Opowiedział jej o szpitalu w opactwie Asnieres-sur-Oise niedaleko Paryża, prowadzonym wyłącznie przez kobiety. Założyła go rok wcześniej pewna

Szkotka, doktor Elsie Inglis, która próbowała przeprowadzić podobne przedsięwzięcie w Anglii, ale spotkała się z odmową. Rząd francuski przyjął ją z otwartymi ramionami, zajęła się więc osobiście organizacją szpitala w opactwie, obsadzając go żeńskim personelem - zarówno pielęgniarkami, jak i lekarkami, oraz zaledwie kilku lekarzami płci męskiej. Zaprzyjaźniony doktor z Ellis Island gorąco polecił Annabelle tę placówkę.

Elsie Inglis była wolnomyślicielką i sufrażystką, absolwentką medycyny w Edynburskiej Szkole Medycznej dla Kobiet. Założyła też własną szkołę medyczną i kształciła studentki w Nowym Szpitalu Kobięcym. Lekarz, który polecił Annabelle jej szpital, był pewien, że każda placówka założona przez pannę Inglis jest nienagannie prowadzona na najwyższym medycznym poziomie. Szpital Abbaye de Royaumont działał już w grudniu 1914 roku, kilka miesięcy po wybuchu wojny. Jak słyszał doktor, wykonywano tam świetną robotę, lecząc rannych żołnierzy, dowożonych z polowych szpitali na froncie. Wszystko, co Annabelle usłyszała, umocniło ją w przekonaniu, że właśnie tam chce pojechać i że ze wszelkim prawdopodobieństwem zostanie tam przyjęta z otwartymi ramionami. Nie obchodziło jej, czy będzie prowadzić ambulans, czy pracować w szpitalu. Mogła robić wszystko, do czegokolwiek byłaby potrzebna.

Teraz nie miała już powodu, by zostać w Ameryce. Nie miała domu, rodziny, męża ani nawet przyjaciółki, która stwierdziła, że nie może się z nią więcej spotykać. Przyjaciele jej rodziców i Josiaha byliby zapewne jeszcze bardziej zbulwersowani. Skoro Josiah wyjechał, wszyscy uznali, że złamała mu serce. Została zhańbiona, a nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, co zaszło naprawdę. Miała wszelkie powody, by wyjechać, i ani jednego, by zostać.

Przez kilka następnych dni była zajęta pakowaniem rzeczy, które chciała oddać na przechowanie, i wyrabianiem nowego paszportu. Nie podróżowała od sześciu lat. Opłaciła rejs do Francji na pokładzie „Saxonii” i zaopatrzyła się w solidne ubrania, by nosić je, gdy już dopłynie na miejsce. Nie potrzebowała świecidełek ani eleganckich strojów. Całą biżuterię, swoją i matki, zostawiła w sejfie w banku i wydała finansowe dyspozycje, by mieć z czego żyć w Europie. Zabierała ze sobą wszystkie swoje książki, zakładając, że mogą jej się przydać. Nikomu nie powiedziała o tym, co zamierza. Pod koniec września pojechała do Newport, by pożegnać się z Blanche i resztą

służby. W domu zostało ich pięcioro, by przez zimę zajmować się domem i ogrodem - pięć osób wystarczało w zupełności, by zadbać o letnią „chatkę”. Annabelle powiedziała Blanche, że wyjeżdża i że może nie wrócić przez długi czas.

Staruszka płakała nad wszystkim, co się stało: nad losem młodej pani i strasznymi przygodami, które mogą ją spotkać we Francji. Mogła przecież nie przeżyć podróży ze względu na angielskie miny

i niemieckie łodzie podwodne, grasujące po oceanie. Ale Blanche rozumiała, że Annabelle jest wszystko jedno. Nie miała nic do stracenia, nie miała dla kogo żyć. Na froncie mogła przynajmniej służyć dobrej sprawie. Kiedy dwa dni później wyjeżdżała z Newport, wszyscy płakali, machając jej na do widzenia i zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczą.

Po powrocie do Nowego Jorku Annabelle poszła pożegnać się z lekarzami i pielęgniarzami, a także ze swoimi ulubionymi pacjentami, szczególnie dziećmi. Wszystkim było przykro, że odchodzi, nie wyjaśniała jednak, dlaczego. Tylko ordynatorowi powiedziała, że chce zostać ochotniczką w szpitalu polowym we Francji. Pożegnanie było dla niej bardzo bolesne.

Wszystkie jej rzeczy znajdowały się już w przechowalni. Zostały tylko walizki, które ze sobą zabierała, i ich zawartość - proste stroje, które kupiła na podróż, kilka ciepłych płaszczy i żakietów. Udało jej się zmieścić wszystko w trzech dużych kufrach. Na statku postanowiła nie opuszczać kabiny, nie brała więc żadnych sukien wieczorowych. Paszport i rezerwację wyrobiła na panięńskie nazwisko. Ostatniego dnia w Nowym Jorku poszła na długi spacer, mijając po drodze dom rodziców. Stała pod domem długą chwilę, rozmyślając o tym, co straciła. Jeden z dawnych sąsiadów wysiadał z samochodu, zauważył ją i posłał jej złe spojrzenie. Odwrócił się do niej plecami, wszedł po schodach do siebie i zatrzasnął drzwi. Ten nieprzyjemny incydent umocnił ją tylko w postanowieniu. W tym mieście nic jej już nie zostało.

Thomas zawiózł Annabelle do doku Cunarda następnego dnia rano i pomógł jej wnieść trzy walizki na pokład. „Saxonia” była dużym, piętnastoletnim statkiem pasażersko-towarowym, z czterema masztami i wysokim kominem. Przy budowie zwracano uwagę na pojemność, nie na szybkość, miała więc płynąć przez Atlantyk z niezbyt zawrotną prędkością piętnastu węzłów. Nie była luksusowa,

ale wystarczająco wygodna, i przynosiła liniom znaczne zyski dzięki obszernym ładowniom, które mocno ograniczały przestrzeń dla pasażerów. Po wybuchu wojny całkowicie zlikwidowano pierwszą klasę. Statkowi daleko było do transatlantyków, którymi Annabelle podróżowała wcześniej z rodzicami, ale to nie miało dla niej znaczenia. Zarezerwowała jedną z większych kabin drugiej klasy, składającą się ze sporego saloniku i sypialni - dla jednej osoby miejsca było aż nadto.

Dwóch młodych marynarzy odprowadziło ich do kajuty. Thomas uściskał ją serdecznie na pożegnanie. Miał ustawić samochód jej ojca na podpórkach w wynajętym garażu, a bank dostał instrukcje, by sprzedać auto. Thomas szukał już nowej posady, Annabelle nie miała bowiem pojęcia, kiedy wróci.

Stał jeszcze na nabrzeżu i machał do niej, kiedy godzinę później statek powoli odbił od brzegu. Pasażerowie zgromadzeni na pokładzie zachowywali powagę. Wiedzieli, jakim ryzykiem jest przeprawa przez Atlantyck. Płynęli tylko ci, którzy mieli ku temu ważne powody, nikt nie podróżował po oceanie dla przyjemności. Było to zbyt niebezpieczne, odkąd w Europie szalała wojna.

Annabelle stała na pokładzie, póki nie minęli majestatycznej Statuy Wolności. Na widok Ellis Island zabolęło ją serce. W końcu wróciła do kajuty, wyjęła jedną ze swoich książek i pograżyła się w lekturze, starając się nie myśleć, co będzie, jeśli zostaną storpedowani. Po raz pierwszy od czasu, gdy ojciec i brat poszli na dno razem z „Titanikiem”, zdecydowała się na podróż przez ocean. Nerwowo nasłuchiwała stękania kadłuba, zastanawiając się, jak blisko amerykańskich wód terytorialnych mogą krążyć niemieckie łodzie podwodne, i czy ich zaatakują. Wszyscy na pokładzie myśleli o tym samym.

Kolację zjadła sama w saloniku kajuty, a nocą leżała bezsennie na koi, rozmyślając o tym, czy dopłyną bezpiecznie i co czeka ją we Francji. Zamierzała dotrzeć na front, gdzie, jak sądziła, jej umiejętności będą najbardziej potrzebne. Ponieważ Ameryka nie brała udziału w wojnie, nie mogła zgłosić się do służby jako ochotniczka. Wiedziała, że jej kuzyni, Astorowie, finansują szpital polowy, w którym pracowała już jako wolontariuszka jedna z panien Vanderbilt, ale gdy rozeszła się wiadomość o jej rozwodzie, nie odważyła się z nimi skontaktować. Musi sama radzić sobie we Francji. Zamierzała rozejrzeć się w sytuacji, kiedy będzie na miejscu.

W szpitalu, który był celem jej podróży, zamierzała robić wszystko, do czego zostanie skierowana. Była skłonna podjąć się najbardziej niewdzięcznych zadań. Słyszała, że okopy i szpitale pełne są rannych, była więc pewna, że znajdzie się dla niej coś do roboty, byle tylko udało jej się przetrwać podróż.

Nauczyła się wiele od lekarzy i pielęgniarek na Ellis Island i codziennie studiowała podręczniki. Nawet gdyby pozwolili jej tylko jeździć ambulansem, wiedziała, że będzie robić coś bardziej pożytecznego niż ukrywanie się w Nowym Jorku przed spojrzeciami znajomych, z których świata została wykluczona.

Choć Josiah działał w dobrej wierze, rozwód zniszczył cały szacunek, jakim się cieszyła, jej reputację, godność i wszelką możliwość rozpoczęcia życia na nowo. Nie przewidział tego. Została skazana za zbrodnię, która nigdy nie będzie jej wybaczona, a wyrok jest dożywotni, jej wina oczywista dla wszystkich. Ona zaś pod żadnym pozorem, nigdy, nie wyjawiałaby jego tajemnicy. Za bardzo go kochała, by mu to zrobić, zresztą to, co ukrywał, było bardziej gorszące niż fakt ich rozwodu. Ujawnienie długoletniego romansu z Henrym i tego, że obaj byli chorzy na syfilis, zniszczyłoby mu życie. Nie mogła tego zrobić. Nadal kochała go i zamierzała zabrać jego sekret do grobu. A on, choć nie chciał jej krzywdy, dla własnego dobra poświęcił jej życie.

Z ulgą myślała o Francji, gdzie nikt jej nie znał. Z początku nie wiedziała, co powiedzieć, że jest wdową czy też że nigdy nie była zamężna. Gdyby jednak natknęła się na kogoś ze znajomych Josiaha, co mogło się zdarzyć również w Europie, wszyscy dowiedzieliby się, że jej mąż żyje i dodatkowo uznano by ją za kłamczuchę. Uznała, że będzie się podawać za kobietę niezamężną. Tak było prościej. Znow stała się Annabelle Worthington, jakby dwa lata z Josiahem nigdy się nie wydarzyły, choć przecież tak nie było i choć kochała go tak bardzo. Na tyle mocno, by wybaczyć mu słabości, którym nie był winien, i chorobę, która w końcu miała go zabić.

Być może zginie we Francji - dumiała pierwszej nocy, gdy statek kołysał się łagodnie na falach, podążając ostrożnie przez Atlantyk - i nie będzie musiała przeżywać kolejnej straty, kolejnej żałoby. Wiedziała, że mimo rozwodu śmierć Josiaha znow rozkrwawiłaby jej serce. Chciała żyć tylko z nim, rodzić mu dzieci. Hortie nie wiedziała, jakie ma szczęście, że ma normalnego męża i gromadkę maluchów. Annabelle nie miała ani jednego, ani drugiego. Została wygna-

na z kraju, opuszczona przez wszystkich. Poza odejściem Josiaha zachowanie Hortie zraniło ją najboleśniej. Dla Annabelle oznaczało to, że została na świecie sama. To przerażająca myśl dla młodej kobiety, chronionej przez całe życie najpierw przez rodziców, potem przez męża. Teraz wszyscy oni zniknęli, razem z jej dobrym imieniem. Na zawsze miała nosić piętno cudzołóżnicy. Myśląc o tym, płakała cicho w poduszkę.

Już pierwszej nocy statek napotkał kłopoty. Podwojono wachty, by wypatrywać min. Nie dało się przewidzieć, kiedy się pojawią ani jak blisko lądu odważą się podpłynąć niemieckie okręty podwodne. Po godzinie od opuszczenia doku przeprowadzono próbny alarm. Każdy dowiedział się, do której łodzi ratunkowej jest przypisany, kamizelki ratunkowe wisiały w kabinach w widocznym miejscu. W czasach pokoju kamizelki przechowywano bardziej dyskretnie, ale od zatopienia „Lusitani” w maju linie Cunarda wołały nie ryzykować. Przestrzegano wszelkich możliwych środków bezpieczeństwa, co dodatkowo wzmagało napięcie pasażerów.

Annabelle nie rozmawiała z nikim. Przejrzała listę podróżnych i przekonała się, że na pokładzie jest dwoje znajomych jej rodziców. Biorąc pod uwagę skandal, jaki wywołał w Nowym Jorku jej rozwód, nie miała najmniejszej ochoty ich widzieć i narażać się na afronty z ich strony. Wolała spędzać większość dnia w kajucie i dopiero o zachodzie słońca, kiedy wszyscy przebierali się do kolacji, wychodziła na spacer po pokładzie. Kolacje jadała sama w saloniku. Mimo książek, które zabrała ze sobą, żeby czymś zająć myśli, nie mogła zapomnieć o śmierci ojca i brata, a opowieści o zatonięciu „Lusitani” jeszcze bardziej działały na jej wyobraźnię. Była niespokojna, niewiele spała, ale długie godziny bezsenności wykorzystywała na naukę.

Stewardesa, która dbała o jej pokoje, próbowała bez powodzenia zachęcić ją do wyjścia na kolację do jadalni. Drugiego wieczoru podróży kapitan zaprosił ją nawet do swojego stolika. Był to zaszczyt, z którego większość pasażerów skorzystałaby skwapliwie, ale Annabelle odesłała mu grzeczny liścik z odmową i wyjaśnieniem, że nie czuje się dobrze. Tego dnia morze było trochę wzburzone, wymówka była więc wiarygodna - gdyby podróżowała statkiem po raz pierwszy, z pewnością dostałaby choroby morskiej. Ale nie była to prawda. Przez całą drogę czuła się doskonale.

Steward i stewardesa przydzieleni do jej obsługi zastanawiali się, czy ich pasażerka nie dochodzi do siebie po jakiejś tragedii. Była piękna i młoda, ale dziwnie posepna, i oczywiście nie dało się nie zauważyć żałoby, którą nosiła po matce. Zastanawiali się, czy jest wdową, czy też może straciła dziecko. Jasne było, że spotkało ją coś złego. Wyglądała jak romantyczna, tragiczna bohaterka, gdy oglądała zachód słońca podczas swoich wieczornych spacerów. Stała, patrząc w morze, i rozmyślała o Josiahu, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy. O Henrym starała się nie myśleć. Nie chciała go nienawidzić. Czasem, kiedy wracała do kajuty, wyglądało, jakby płakała. Nosiła szerokie kapelusze i woalkę, by ukryć twarz. Nie miała ochoty, by ktokolwiek ją rozpoznał czy choćby się jej przyglądał. Usuwała się ze świata, zostawiała za sobą ochronny kokon, w którym kiedyś czuła się tak dobrze, i tę swoją dawną osobę, którą była dotąd. Pozbawiała się wszystkiego co bezpieczne i znajome, by poświęcić się służbie innym. I tylko tego chciała.

Boleśnie odczuwała to, że nie licząc letniej rezydencji w Newport, nie ma domu. Niemal wszystko, co posiadała, zostało oddane na przechowanie, reszta mieściła się w trzech walizkach, z których każdą była w stanie przenieść sama. Nie zabrała dużego pojedynczego kufra, co w przekonaniu stewardesy było niezwykle dla kobiety z jej sfery. Bo mimo braku futer, biżuterii i wieczorowych sukien, z samego sposobu mówienia i zachowania, z wykwinnych manier i obejścia łatwo było pojąć, że należy do wyższych sfer. Młoda stewardesa, dla której Annabelle zawsze była miła, żałowała jej ogromnie, widząc codziennie smutek w jej oczach. Były niemal w tym samym wieku.

Czwartego dnia podróży, gdy zbliżyli się już do Europy, statek zwolnił tak bardzo, iż ledwie przemieszczał się naprzód. Oficer wachtowy zauważył coś podejrzanego i niepokoił się, że w pobliżu może krążyć U-Boot. Wszyscy pasażerowie byli niespokojni, niektórzy założyli nawet kamizelki, choć nie rozległ się alarm.

Annabelle po raz pierwszy wyszła na pokład w biały dzień, by sprawdzić, co się dzieje. Jeden z oficerów wyjaśnił jej wszystko, gdy zapytała. Zdumiał się jej urodą, choć twarz miała ukrytą pod kapeluszem i woalką. Przyszło mu do głowy, że może to jakaś znana osobistość - na przykład słynna aktorka, podróżująca incognito.

Nosiła elegancki czarny kostium, a kiedy zdjęła jedną z rękawiczek, zauważył, jak piękne są jej dłonie. Gdy uspokoił ją, że nie dzieje się nic złego, pospacerowała po po-

kładzie, trzymając się z dala od innych pasażerów, którzy w małych grupkach rozmawiali i grali w karty, i wróciła do swojej kajuty.

Młody oficer zapukał do niej tego samego popołudnia; otworzyła mu drzwi zaskoczona. W rękach trzymała książkę, długie, jasne włosy spływały jej na ramiona. Wyglądała jak dziewczynka, co tylko podkreślało jej urodę. Zdjęła żakiet i teraz pozostała w czarnej bluzce i długiej czarnej spódnicy. Podobnie jak stewardesa, oficer podejrzewał, że to młoda wdowa, ale nie wiedział, dlaczego płynie do Europy. Wyjaśnił, że przyszedł sprawdzić, czy nie niepokoi się za bardzo, bo statek wciąż płynął bardzo powoli ze względu na niebezpieczeństwo. Zapewniła go ze wstydliwym uśmiechem, że wszystko w porządku. Oficer zerknął na książkę, ciekaw jej lektury, i zdumiał się, widząc tytuł. Była to rozprawa medyczna doktora Rudolpha Virchowa, a na stoliku za nią leżały książki doktorów Pasteura i Claude'a Bernarda, medycznych autorytetów tamtych czasów.

- Studiuje pani medycynę? - spytał. Była to bardzo niezwykła lektura w rękach młodej kobiety; przyszło mu do głowy, że może jest pielęgniarką, ale to mu się wydało mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę jej status społeczny.

- Tak... nie, właściwie nie - odparła zawstydzona. - Po prostu lubię czytać książki o medycynie. To takie moje hobby.

- Mój brat jest lekarzem - powiedział dumnie młody oficer. - Z nas dwóch to on jest tym mądrzejszym. A mama jest pielęgniarką. - Ociągał się, szukając pretekstów do rozmowy. Była w niej jakaś tajemnica, a powód jej podróży do Francji ciekawił go niezmiernie. Może miała tam rodzinę. Ostatnimi czasy coraz mniej kobiet przeprawiło się przez Atlantyk. - Jeśli będę mógł cokolwiek dla pani zrobić, panno Worthington, proszę zwracać się do mnie bez wahania.

Annabelle drgnęła, słysząc swoje panińskie nazwisko po raz pierwszy od dwóch lat. Zdążyła już od niego odwyknąć. To było jak powrót do dzieciństwa, jak podróż w czasie. A taka była dumna, że jest panią Millbank. Smuciło ją, że nosi znów nazwisko Worthington, jakby nie zasługiwała na nazwisko Josiaha - ale tak się umówili. Mógł zastrzec w sądzie, że pozwala jej nosić jego nazwisko, uznali jednak oboje, że lepiej będzie, jeśli wróci do panińskiego. Łatwiej było zaczynać nowe życie z czystą kartą.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała uprzejmie. Oficer skłonił się, a ona wróciła do książki i wyszła z kajuty dopiero po zmroku.

Nie mogła się doczekać dnia, kiedy dopłyną do wybrzeży Francji. Nieustanne zamknięcie w kabinie sprawiało, że podróż strasznie się dłużyła. Dzisiejsze wytracenie szybkości kosztowało ich cały dzień podróży, ale wszyscy byli zgodni co do tego, że lepiej płynąć powoli i dotrzeć bezpiecznie, nawet jeśli oznaczało to opóźnienie.

Następnego dnia poranna wachta spostrzegła pole minowe w oddali, na sterburcie. Tym razem zawyły syreny. Pasażerów sprowadzono na pokład, by załoga mogła wyjaśnić, co się dzieje. Wszyscy mieli na sobie kamizelki ratunkowe i dostali polecenie, by nie zdejmować ich przez cały dzień.

Było ciepło i słonecznie, wiała lekka bryza. Annabelle wyszła z kajuty bez kapelusza i woalki, z włosami szeszanymi gładko na plecy. Miała na sobie czarną lnianą suknię. Ten sam oficer, z którym rozmawiała wczoraj, podszedł do niej z uśmiechem.

- Nie ma się czego bać - powiedział. - To tylko środki ostrożności. Trzymamy się z dala od kłopotów. Nasi ludzie są bardzo bystrzy, natychmiast zauważyli miny. Annabelle odetchnęła z ulgą, choć sytuacja była niepokojąca. Nie miała wcale ochoty na zwierzenia, ale wyznanie wymknęło jej się niemal bezwiednie.

- Moi rodzice i brat płynęli na „Titanicu” - powiedziała cicho, drżącym głosem.

- Przykro mi to słyszeć - odparł łagodnie. - Nam nic takiego się nie przydarzy.

Proszę się nie martwić. Kapitan czuwa nad wszystkim.

Bliskość pola minowego oznaczała kolejny dzień podróży w żółwym tempie, przez kolejne dwa dni, gdy „Saxonia” zbliżała się do Francji, musieli być jeszcze bardziej ostrożni.

Ostatecznie podróż trwała siedem dni. Dopłynęli do Hawru o szóstej rano i statek zacumował u nabrzeża, gdy większość pasażerów jeszcze spała. Śniadanie miało zostać podane o siódmej, by wysiadający pasażerowie zdążyli na pociąg o dziewiątej. „Saxonia” płynęła dalej, do Liverpoolu, port w Southampton był zajęty przez wojsko. Hawr był pierwszym przystankiem, gdyż pola minowe zmusiły statek do znacznego zejścia z kursu.

Młody oficer dostrzegł Annabelle na pokładzie, całkowicie ubraną. Była podekscytowana i mimo wczesnej pory nie wyglądała na zaspaną. Przez całą podróż nie widział jej w tak dobrym humorze.

Pomyślał, że może przez siedem dni rejsu po prostu się bała, tym bardziej że jej krewni znajdowali się na pokładzie „Titanica”. Zagrożenie minami i niemieckimi łodziami podwodnymi wszystkich wytrącało z równowagi, wszyscy też odczuwali ulgę, że szczęśliwie dotarli do Francji.

- Wybiera się pani do Paryża? - zapytał uprzejmie. Widać było, że młoda Amerykanka z radością schodzi ze statku. Oficer zastanawiał się, czy nie ma narzeczonego we Francji. Kiwnęła głową, uśmiechając się radośnie w porannym słońcu. Nosila kapelusz bez woalki, mógł więc patrzeć wprost w jej błękitne oczy.

- Tak. Ale nie zabawię tam długo - odparła. Zaskoczyło go to, nikt w tych czasach nie pływał do Europy na krótkie wakacje, podróż przez Atlantyk była zbyt ryzykowna.

- Wraca pani?

- Nie, skądże znowu. Chcę się zgłosić jako ochotniczka do szpitala na północ od Paryża, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od linii frontu.

- To odważna decyzja. - Oficer był zdumiony. Przyfrontowy szpital to istna jatka, a ona była taka młoda i ładna, że po prostu nie mógł jej sobie wyobrazić w takich warunkach. Ona jednak wyglądała na uradowaną tą perspektywą. Zrozumiał, po co jej były wszystkie te medyczne książki. - Czy będzie tam pani bezpieczna? - spytał zaniepokojony, a ona uśmiechnęła się.

- Wystarczająco bezpieczna. - Wolałaby być na samym froncie, ale powiedziano jej, że do polowych szpitali przyjmowano wyłącznie przeszkolony personel medyczny i wojskowy. Szpital w Abbaye de Royaumont był nietypowy, miała więc nadzieję znaleźć tam dla siebie miejsce.

- Pojedzie tam pani już dzisiaj? - spytał z ciekawością, ale ona pokręciła głową.

- Chcę spędzić noc w Paryżu i jutro poszukać jakiegoś środka transportu. - Szpital znajdował się ponad trzydzieści kilometrów na północ od Paryża i nie bardzo wiedziała, w jaki sposób ma się tam dostać.

- Pani jest bardzo dzielna, decydując się na samotną podróż - powiedział z podziwem, trafnie domyślając się, że przez całe życie ktoś otaczał ją opieką i że nie przywykła troszczyć się sama o siebie.

Młody oficer musiał wrócić do swoich obowiązków, a Annabelle zeszła do kajuty, by pozamykać walizki. O siódmej była już gotowa.

Podziękowała stewardesie za miłą obsługę, wręczyła jej spory napiwek w kopercie i zeszła do głównej mesy na śniadanie. Ten jedyny raz spożywała posiłek wraz z innymi. Ale pasażerowie byli zbyt zaaferowani, by zwracać na nią uwagę. Żegnali się z nowymi znajomymi i skwapliwie korzystali z okazji, by najeść się porządnie przed zejściem z pokładu.

Annabelle zeszła na ląd jedna z pierwszych. Pożegnała się z młodym oficerem, który przyszedł ją odprowadzić i życzyć szczęścia. Wsiadając do prywatnego przedziału, który zarezerwowano dla niej w pociągu, wiedziała, że to ostatni luksus, z jakiego korzysta. Jutro, przy odrobinie szczęścia, będzie już ciężko pracować w opactwie.

Sama poradziła sobie z walizkami i znalazła taksówkę na Gare du Nord w Paryżu. Lunch zjadła w pociągu, nie była więc głodna i pojechała prosto do Hotel de Hollande w dziewiątej dzielnicy niedaleko Montmartre'u, gdzie miała zarezerwowany pokój. Po drodze widziała policjantów w niebieskich czapkach, przeważnie w grupkach po czterech, patrolujących miasto na rowerach.

Zlikwidowano wszystkie kawiarniane ogródki. Miasto bardzo się zmieniło od czasu, kiedy była tutaj z rodzicami. Ostatni raz widziała Paryż jako szesnastoletnia dziewczyna. W mieście panowała napięta atmosfera, na ulicach prawie nie widywało się mężczyzn - większość powołano do wojska, walczyli teraz na froncie. Ale Paryż wciąż był tak samo uroczy, jak zapamiętała. W słońcu pięknego, jesiennego dnia Place de la Concorde i Champs Elysees wyglądały równie majestatycznie, jak zawsze.

W końcu taksówka zajechała przed hotel. Recepcjonista - dość leciwy, w czym nie było nic dziwnego - zaprowadził ją do numeru na parterze. Pokój był mały, ale ładny i słoneczny, okna wychodziły na hotelowy ogród, gdzie wystawiono krzesła i stoliki i gdzie kilka osób jadło lunch. Annabelle zapytała portiera o dojazd do Asnieres. Chciała od razu wiedzieć, czy uda jej się znaleźć jakiś pojazd i kierowcę, który zawiózłby jąna miejsce. Rozmawiała ze starszkiem po francusku - mówiła płynnie w języku, którego nauczyła się od guwernantki. Domowa edukacja okazała się bardzo przydatna.

- A po co pani chce tam jechać? - zapytał portier, marszcząc brwi z dezaprobatą. Jak na jego gust Asnieres-sur-Oise znajdowało się o wiele za blisko frontu, ale Annabelle miała o tym przeciwne zdanie. Dyskretnie, by nie wydać się wulgarną, zaproponowała sowitą zapłatę dla kierowcy. Planowała podróż tylko w jedną stronę, oczy-

wiecie pod warunkiem, że pozwalają zostać w szpitalu, co wcale nie było pewne. Była jednak dobrej myśli, a poza tym miała w torebce list polecający od lekarza z Ellis Island.

- Jadę do opactwa - wyjaśniła.

- To już nie jest opactwo - poinformował ją starszek. - To szpital, prowadzony przez same kobiety.

- Wiem. - Uśmiechnęła się do niego. - Właśnie dlatego tam jadę.

- Pani jest pielęgniarką? - zdziwił się portier. Uważał, że hotel jest zbyt elegancki dla pielęgniarki, ale ta reżymowa osoba nawet w swoim prostym ubraniu wyglądała na damę.

- Nie, jestem tylko pomocą medyczną, robię wszystko, co mi każą - odparła skromnie. Uśmiechnął się zdziwiony.

- Przyjechała pani pomagać naszym rannym chłopcom? - Tym razem przytaknęła skwapliwie. - Dobra z pani kobieta.

- Dziękuję - odparła cicho. W Nowym Jorku i w Newport nikt chyba nie przyznałby mu racji.

Wieczorem portier przysłał jej kolację do pokoju wraz z butelką wina, którą oszczędzał dla siebie na specjalną okazję. Powiedział też, że prosił swojego siostrzeńca, by zawiózł ją rano do Asnières. Siostrzeniec rok wcześniej został ranny na froncie i stracił kilka palców, starszek zapewnił jednak Annabelle, że jest dobrym kierowcą, i przeproszał z góry, że będzie musiała jechać ciężarówką, bo tylko taki pojazd mieli do dyspozycji. Annabelle zapewniła go, że nic nie szkodzi.

Tej nocy z trudem zdołała zasnąć. Nie wiedziała, co czeka ją następnego dnia, nie była nawet pewna, czy ją przyjmą. Mogła się tylko modlić, by tak było.

Rozdział 14

Annabelle i siostrzeniec portiera, Jean-Luc, wyruszyli następnego ranka o szóstej, gdy nad Paryżem wstawało słońce. Zapowiadał się przepiękny dzień. Jean-Luc powiedział Annabelle, że poprzedniego dnia rozpoczęła się i wciąż trwa straszliwa bitwa w Szampanii. Wyjaśnił, że to już druga bitwa w tej okolicy i dotąd zginęło i odniosło w nich rany sto dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi. Annabelle słuchała w milczeniu, przerażona. Ta liczba wprost nie mieściła się w głowie.

Ale właśnie po to tu przyjechała, by ratować żołnierzy - a przynajmniej nieść im pociechę i ulgę. Była gotowa do pracy. Miała na sobie lekką czarną suknię, mocne buty i pończochy; w walizkach wszystkie swoje medyczne książki, a w podręcznej torbie szpitalny fartuch. Tak samo ubierała się do pracy na Ellis Island - może z wyjątkiem czarnych sukien, które teraz nosiła ze względu na żałobę.

Dotarcie bocznymi drogami do szpitala zajęło im trzy godziny. Drogi były w fatalnym stanie, pełne dziur i kolein. Nikt nie miał czasu ich naprawiać, zresztą nie było komu. Wszyscy sprawni mężczyźni służyli w wojsku; w domach pozostali tylko starcy, kobiety, dzieci i ranni, których odesłano z frontu. Annabelle nie przeszkadzała niewygodna jazda trzęsącą się ciężarówką Jean-Luca, którą, jak wyjaśnił, zwykle dowoził drób. Uśmiechnęła się, widząc pióra przyklepione do walizek. Gdy zerknęła na dłonie, by upewnić się, że ma dość krótko przycięte paznokcie, dostrzegła na palcu jaśniejszy pasek po obrączce. Poczła ukłucie w sercu. Zdjęła ją w sierpniu, ale wciąż odczuwała jej brak. Zostawiła obrączkę w bankowym sejfie razem z pierścionkiem zaręczynowym, którego Josiah nie chciał wziąć z powrotem. Teraz nie miała czasu o tym myśleć.

Kilka minut po dziewiątej dojechali do Abbaye de Royaumont

-trzynastowiecznego opactwa, trochę zaniedbanego w ciężkich czasach wojny. Była to piękna budowla, ozdobiona arkadami, ze stawem na tyłach. Panowała tu gorączkowa bieganina. Pielęgniarki wozily po dziedzińcu ludzi w wózkach inwalidzkich, inne spieszyły do obowiązków w różnych częściach budynku, z ambulansów prowadzonych przez kobiety wynoszono żołnierzy na noszach. Nosze również dźwigały kobiety. Personel był wyłącznie żeński - jedynymi mężczyznami, jakich dostrzegła Annabelle, byli ranni. Po kilku minutach zobaczyła lekarza w spodniach, wbiegającego do szpitala. Był prawdziwym rodzykiem w tym wielkim babińcu.

Nie bardzo wiedziała, dokąd ma iść. Jean-Luc spytał, czy ma na nią poczekać.

- Tak, jeśli to nie sprawi panu kłopotu - odparła. Zaniepokoiła się, że jeśli nie przyjmą jej w szpitalu, nie będzie wiedziała, co ze sobą zrobić. Chciała zostać we Francji, ale gdyby nie potrzebowali jej tutaj, zawsze mogła pojechać do Anglii i zgłosić się do któregoś z tamtejszych szpitali. Na pewno nie zamierzała wracać do domu - może nawet nigdy. Nie chciała o tym teraz myśleć. - Muszę porozmawiać z kimś z kierownictwa i dowiedzieć się, czy mogę tu zostać. - Gdyby okazało się, że zostaje, będzie musiała poszukać jakiegoś noclegu, choć zgodziłaby się spać nawet w baraku czy garażu, gdyby nie było innej możliwości.

Ruszyła przez dziedziniec, przyglądając się drogowskazom kierującym do różnych części szpitala. Zobaczyła strzałkę z napisem „Administracja”, wskazującą pomieszczenia biurowe pod arkadami.

W administracji rząd kobiet za kontuarem zajmował się papierkową robotą, odbierając listy zamówień od kierowców ambulansów. Rejestrowano tu także wszystkich przyjmowanych pacjentów, co w szpitalach polowych nie zawsze było przestrzegane. Tutaj, mimo atmosfery pośpiechu, kładziono nacisk na organizację i porządek. Kobiety za kontuarem były w większości Francuzkami, ale Annabelle słyszała też angielski akcent. Kierowcami ambulansów były wyłącznie młode Francuzki, miejscowe dziewczyny, wyszkolone w opactwie. Niektóre nie wyglądały na więcej niż szesnaście lat. Dwudziestodwuletnia Annabelle była starsza od wielu z ochotniczek i choć na to nie wyglądała, z pewnością była dość dojrzała, by poradzić sobie z każdym zadaniem, jakie by jej powierzono. Miała też o wiele większe doświadczenie niż wolontariuszki.

- Czy jest tu ktoś, kto przyjmuje ochotników? - zapytała po francusku.
- Tak, ja - odparła uśmiechnięta kobieta mniej więcej w jej wieku. Nosiła strój pielęgniarki, ale pracowała w recepcji. Jak wszyscy tutaj, pracowała na dwa etaty. Czasami kierowcy ambulansów, lekarze i siostry na salach operacyjnych byli na nogach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Robili wszystko, a mimo to atmosfera była tu wręcz wesoła, wszyscy zdawali się tryskać energią. - No to co pani potrafi? - zapytała kobieta, lustrując ją od stóp do głów. Annabelle już wcześniej założyła fartuch, by wyglądać bardziej wiarygodnie. W poważnej czarnej sukni wyglądała jak skrzyżowanie pielęgniarki i zakonnicy, choć nie była ani jedną, ani drugą.
- Mam tu list - powiedziała nerwowo, wyciągając go z torby. Bała się, że ją odrzucą. A jeśli przyjmowali tu tylko wykwalifikowane pielęgniarki? - Pracuję jako ochotniczka w szpitalach od szesnastego roku życia. Przez ostatnie dwa lata pracowałam na Ellis Island, z imigrantami, i nabrałam sporego doświadczenia z chorobami zakaźnymi. Przedtem pracowałam w Nowojorskim Szpitalu Ortopedycznym. Myślę, że tamtejsze przypadki najbardziej przypominały to, czym tutaj się zajmujecie - dorzuciła pełna nadziei.
- Jakież szkoły? - zapytała pielęgniarka, czytając list polecający. Lekarz z Ellis Island wychwalał ją pod niebiosa, twierdząc, że to najlepsza niewykszkolona asystentka, z jaką miał do czynienia, lepsza od większości pielęgniarek i nawet od niektórych lekarzy. Annabelle sama się czerwieniła, gdy czytała ten list.
- Właściwie nie - przyznała. Nie chciała okłamywać tych ludzi i udawać mądrzejszej, niż była. - Czytałam wiele książek z dziedziny medycyny, szczególnie o chorobach zakaźnych, chirurgii ortopedycznej i ranach zakażonych gangreną. - Pielęgniarka kiwała głową, przyglądając jej się z uwagą. Spodobała jej się ta dziewczyna. Najwyraźniej paliła się do pracy, jakby miało to dla niej osobiste znaczenie.
- Bardzo pochlebny list - stwierdziła z podziwem. - Rozumiem, że jest pani Amerykanką? - Annabelle kiwnęła głową. Jej rozmówczyni była Brytyjką, ale mówiła po francusku bez śladu akcentu.
- Tak - odparła Annabelle. - Przyjechałam wczoraj.
- A właściwie dlaczego? - zainteresowała się pielęgniarka. Annabelle wahała się przez chwilę, ale w końcu odparła ze wstydliwym uśmiechem, rumieniąc się:

- Ze względu na was. Usłyszałam o tym szpitalu od doktora z Ellis Island, który napisał mi list polecający. Wasza placówka wydawała mi się wspaniała, pomyślałam więc, że może przyda się wam pomoc. Będę robić wszystko, do czego mnie przydzielicie. Mogę wynosić baseny, odpady z sali operacyjnej, cokolwiek.

- Umie pani prowadzić auto?

- Jeszcze nie - odparła Annabelle zawstydzona. Zawsze woził ją szofer. - Ale mogę się nauczyć.

- Bierzemy panią- powiedziała bez ceregieli młoda Brytyjka. Z takim listem polecającym nie było sensu bawić się w dalsze procedury, zresztą widać było od razu, że dziewczyna się nada.

Annabelle uśmiechnęła się radośnie. Po to tu przyjechała. Warto było się narażać na długą, niebezpieczną podróż, mimo pól minowych, łodzi podwodnych i własnych lęków.

- Proszę się zgłosić o jedenastej na oddział C. - Zostało jej ledwie dwadzieścia minut.

- Nie potrzebuję uniformu? - zapytała Annabelle rozpromieniona.

- Wystarczy to, co ma pani na sobie - odparła kobieta, zerkając na jej fartuch.

Nagle coś sobie przypomniała. - Ma pani zakwaterowanie? To znaczy, czy ma pani gdzie mieszkać?

- Jeszcze nie. Czy mogłabym dostać tutaj jakieś miejsce? Mogę spać gdziekolwiek, nawet na podłodze, jeśli to konieczne.

- Proszę tego nie mówić nikomu innemu - ostrzegła ją z uśmiechem pielęgniarka - bo wezmą panią za słowo i na pewno znajdzie się ktoś chętny na pani miejsce.

Łóżka to tutaj luksus. Większość posłań jest wspólna, wymieniamy się z osobami, które pracują w innych godzinach. Jest jeszcze kilka wolnych miejsc w dawnych celach zakonnich, w klasztorze jest też wspólne dormitorium. Na pani miejscu zajęłabym którąś z cel albo popytała, czy ktoś nie zechce przyjąć pani do siebie. Po prostu proszę tam pójść i poszukać. Ktoś na pewno panią przygarnie.

Wy tłumaczyła jej, w którym budynku znajdują się cele. Annabelle poszła odszukać Jean-Luca. Wyprawa zakończyła się sukcesem, przyjęli ją do pracy.

Ledwie mogła uwierzyć we własne szczęście. Znalazła młodego Francuza.

Jean-Luc stał przy swojej ciężarówce, zarówno po to, by Annabelle mogła go znaleźć, jak i dla ochrony samochodu. Pojazdy były dobrem deficytowym i bał się, że ktoś zabierze mu auto i przerobi na ambulans.

- Zostaje pani? - zapytał.

- Tak, przyjęli mnie - odparła Annabelle z ulgą. - Zaczynam pracę za dwadzieścia minut, a muszę jeszcze znaleźć sobie pokój. - Sięgnęła na tył ciężarówki, otrzepała pióra z walizek i ściągnęła je na ziemię. Jean-Luc zaofiarował się, że zanieś je na miejsce, ale uznała, że lepiej będzie, jeśli zrobi to sama. Podziękowała mu jeszcze raz. Pieniądze dostał od niej przed wyjazdem. Jean-Luc uściskał ją serdecznie, ucałował w oba policzki i życzył szczęścia. W końcu wsiadł do ciężarówki i odjechał.

Annabelle wróciła do opactwa, dźwigając walizki, i odnalazła budynek, który wskazała jej pielęgniarka. Znajdowały się tam całe szeregi starych, ciemnych, małych, wilgotnych i zatechłych. Wyglądały na okropnie niewygodne. W każdej z nich na podłodze leżał wygnieciony materac z kocem, tylko na nielicznych posłaniach była pościel, i Annabelle domyślała się słusznie, że mieszkające tu kobiety zaopatrzyły się w nią własnym sumptem. Jedna wspólna łazienka obsługiwała pięćdziesiąt cel, ale Annabelle cieszyła się, że budynek w ogóle jest skanalizowany. Zakonnice najwyraźniej nie żyły w luksusie, ani w XIII wieku, ani później. Opactwo zostało wykupione od zakonu pod koniec XIX wieku, i znajdowało się w prywatnych rękach, kiedy Elsie Inglis przejęła je i zmieniła w szpital. Przepiękna stara budowla, choć w nie najlepszym stanie, świetnie nadawała się na szpital.

Annabelle rozglądała się niepewnie, gdy nagle z jednej z cel wyszła młoda kobieta, wysoka i chuda, o jasnej cerze, z czarnymi włosami i bardzo angielską urodą. Nosiła strój pielęgniarki. Uśmiechnęła się na widok nowo przybyłej, tak jakby obie zapalały do siebie sympatią.

- To raczej nie jest hotel Claridge - powiedziała z akcentem z wyższych sfer, który Annabelle natychmiast wychwyciła. Brunetka też wyczuła w Annabelle kogoś ze swojej klasy. Raczej to wyczuły, niż zobaczyły, żadna z nich nie miała zamiaru afiszować się ze swoim pochodzeniem. Przyjechały ciężko pracować i były szczęśliwe, że znalazło się dla nich miejsce. - Pewnie szukasz pokoju - powiedziała dziewczyna. - Jestem Edwina Sussex. Wiesz już, na której jesteś zmianie? - Annabelle również się przedstawiła, i wyjaśniła, że jeszcze nic nie wie.

- Nie mam pojęcia, co każą mi robić. Mam się zgłosić na oddział C za dziesięć minut.

- No proszę. To jeden z oddziałów chirurgicznych. Nie jesteś skłonna do obrzydzenia, mam nadzieję? - Annabelle pokręciła głową. Edwina wyjaśniła jej, że dzieli celę z dwiema dziewczynami, ale wskazała sąsiednie drzwi, mówiąc, że kobieta, która tu mieszkała, pojechała poprzedniego dnia do domu zająć się chorą matką. Żadna z wolontariuszek nie była tak daleko od domu jak Annabelle. Angielki bez problemu mogły jeździć do siebie i wracać w razie potrzeby. Choć przeprawa przez kanał nie należała do łatwych, nie była jednak tak niebezpieczna jak podróż przez Atlantyk. Annabelle wyjaśniła, że poprzedniego dnia przyплыnęła z Ameryki.

- Odważna jesteś - powiedziała Edwina z podziwem. Ustaliły, że są dokładnie w tym samym wieku, Edwina pochwaliła się też, że jest zaręczona z chłopakiem, który walczy na włoskiej granicy. Nie widziała go od pół roku. Słuchając jej paplaniny, Annabelle wstawiła walizki do sąsiedniej celi. Pokoik był równie mały, ciemny i paskudny jak pozostałe, ale jej to nie obchodziło. Edwina powiedziała zresztą, że do pokoju przychodzi się tylko spać.

Annabelle zostawiła walizki i pognąła z powrotem na dół, by odszukać oddział C. Tak jak powiedziała Edwina, była to chirurgia. W wielkiej sali, która wyglądała na dawną kaplicę, stało około stu łóżek. Nie było ogrzewania i chorzy leżeli przykryci kocami, by nie marznąć. Wielu żołnierzom brakowało kończyn, urwanych wybuchami lub amputowanych przez chirurgów. Jęczeli i płakali, niektórzy półprzytomni z gorączki. Gdy szła przez salę, szukając siostry oddziałowej, do której miała się zgłosić, wielu z nich chwyciło ją za suknię. Za salą znajdowały się dwa pomieszczenia. Tam operowano. Co chwilę dobiegały z nich krzyki i gdyby Annabelle nie pracowała przez ostatnie sześć lat jako wolontariuszka, pewnie zemdlaby w progu. Ale ona przeszła spokojnie przez halę, mijając dziesiątki łóżek.

Znalazła w końcu siostrę oddziałową, wychodzącą z jednej z sal operacyjnych. Kobieta wyglądała na przemęczoną; w rękach niosła miskę z amputowaną dłonią. Gdy Annabelle powiedziała, że zgłasza się do pracy, podała jej miskę i wyjaśniła, gdzie ma się pozbyć zawartości. Annabelle nawet się nie skrzywiła. Po powrocie oddziałowa dała jej zatrudnienie na kolejne dziesięć godzin. Annabelle pracowała

bez chwili przerwy. Był to jej chrzest bojowy, a gdy dobiegł końca, przekonała się, że zdobyła sobie szacunek oddziałowej.

- Nadasz się - powiedziała kobieta z chłodnym uśmiechem. Później ktoś wyjaśnił Annabelle, że oddziałowa pracowała z samą doktor Inglis, która teraz przebywała w rodzinnej Szkocji i planowała otwarcie kolejnego szpitala we Francji.

Późnym wieczorem Annabelle wróciła do swojej celi. Była zbyt zmęczona, by rozpakować walizki czy choćby się rozebrać. Położyła się na materacu, naciągnęła na siebie koc i pięć minut później spała jak kamień, z wyrazem spokoju na twarzy. Jej modlitwy zostały wysłuchane. Znalazła swój dom.

Rozdział 15

Annabelle nigdy nie była tak zmęczona jak przez te pierwsze dni w Abbaye de Royaumont, gdy napływały transporty rannych z drugiej bitwy w Szampanii. Asystowała przy operacjach, wycierała krew, wynosiła amputowane kończyny, opróżniała baseny, trzymała za rękę umierających i obmywała rannych płonących z gorączki. Nic, co widziała przedtem, nie mogło się z tym równać. Nigdy w życiu nie pracowała tak ciężko, ale przecież właśnie tego pragnęła. Czuła się pożyteczna i każdego dnia uczyła się czegoś nowego.

Prawie nie widywała Edwiny. Pracowały w różnych częściach szpitala i na różnych zmianach. Gdy od czasu do czasu wpadały na siebie w łazience albo mijaly się w korytarzu między oddziałami, machały do siebie i szły dalej swoją drogą. Annabelle nie miała czasu na zawieranie znajomości - zbyt wiele było pracy, w szpitalu leżały setki rannych i umierających żołnierzy. Zajęte były wszystkie łóżka, niektórych musieli położyć na materacach na podłodze.

Któregoś popołudnia znalazła chwilę, by przesłać do banku w Nowym Jorku wiadomość o tym, że dotarła bezpiecznie na miejsce i że wszystko jest w porządku - nie było nikogo, kto by to za nią zrobił, ani nikogo, kto zatroszczyłby się o jej los. Pracowała w Asnieres zaledwie od dwóch tygodni, ale czuła się tak, jakby spędziła tu rok. Sprzymierzone wojska angielskie i francuskie wylądowały w Salonikach, siły państw centralnych: niemieckie, angielskie i bułgarskie, wyparły serbską armię z Bałkanów. W okopach Francji ginęli żołnierze. Front, przebiegający pięćdziesiąt kilometrów od szpitala, prawie nie ruszał się z miejsca, choć straty w ludziach nie zmniejszały się. W kościołach leżących bliżej linii frontu urządzono lazarety

polowe, ale jak najwięcej rannych starano się przewozić do opactwa w Asnieres, gdzie mieli lepszą opiekę. Annabelle nauczyła się mnóstwo na temat chirurgii, choć zajmowała się wszystkim, od dyzenterii po stopę okopową, a także licznymi przypadkami cholery. Bała się, ale i cieszyła, że może pomóc.

Któregoś z rzadkich wolnych poranków koleżanka z dormitorium nauczyła ją prowadzić jedną z ciężarówek, używanych do przewozu rannych. Nie różniły się zbyt od pojazdu Jean-Luca. Z początku Annabelle nie potrafiła jej uruchomić, lecz szybko pojęła, na czym to polega.

Przydzielano ją do sal operacyjnych częściej niż inne ochotniczki, ponieważ była dokładna, uważna, staranna i skrupulatnie wypełniała polecenia. Kilko lekarzy zwróciło na nią uwagę i pochwaliło przed siostrą oddziałową, która miała o niej jak najlepsze zdanie. Uważała, że ta wolontariuszka byłaby wspaniałą pielęgniarką, i namawiała ją, by po wojnie ukończyła szkołę pielęgniarską. Naczelnym chirurg uważał jednak, że stać ją na więcej. Którejś nocy, po ostatniej operacji, został chwilę, by z nią porozmawiać. Annabelle sprzątała i szorowała salę. Nie wyglądała nawet na zmęczoną. Był to wyjątkowo trudny dzień, ale Annabelle nie ustawała ani na chwilę.

- Chyba lubi pani tę pracę - powiedział chirurg, wycierając ręce w zakrwawiony fartuch. Annabelle nie wyglądała lepiej od niego; nie zauważyła nawet, że na twarzy ma smugę krwi. Doktor podał jej szmatkę; podziękowała mu z uśmiechem. Był francuskim chirurgiem z Paryża, jednym z niewielu mężczyzn, zatrudnionych w szpitalu. Elsie Inglis zamierzała zatrudniać wyłącznie kobiety, ale czyniono wyjątki ze względu na brak rąk do pracy. Napływało tylu rannych, że każdy lekarz był witany z radością.

- To prawda - odparła Annabelle, odkładając szmatkę do kosza z brudną bielizną, po którą miały przyjść dziewczęta z pralni. Niektóre prześcieradła nadawały się tylko do wyrzucenia. - Zawsze ją kochałam. Żal mi, że ludzie tak cierpią. Wojna jest straszna. - Doktor przytaknął skinieniem głowy. Był już po pięćdziesiątce, lecz i on nie widział dotąd podobnej jatki.

- Siostra oddziałowa uważa, że powinna pani iść do szkoły pielęgniarskiej - zaczął ostrożnie, gdy wychodzili z sali operacyjnej. Widział jej młodość i urodę, ale w tej dziewczynie było coś więcej. Wszyscy od początku zauważyli jej umiejętności. Lekarz, który

napisał jej list polecający, nie przesadzał, przeciwnie, była nawet lepsza, niż wynikało z jego pochwał. - Czy to by pani odpowiadało? - zapytał. Przez ostatnie dwa tygodnie francuski Annabelle jeszcze się poprawił i teraz mógł z nią rozmawiać bez najmniejszego trudu.

Annabelle zastanawiała się przez chwilę. Nie była już żoną Josia-ha, a rodzice nie żyli. Mogła robić to, na co miała ochotę - nie musiała się przed nikim tłumaczyć. Tak, gdyby tylko chciała, mogłaby pójść do szkoły pielęgniarstwa, ale jej odpowiedź zaskoczyła nie tylko doktora.

- Wolałabym być lekarką - odparła niemal szeptem, bojąc się, że ją wyśmieje. To prawda, że doktor Inglis, założycielka szpitala, jest kobietą, lecz kobiety na studiach medycznych nadal były rzadkością. Wciąż uważano to za coś niezwykłego.

Chirurg pokiwał głową.

- Też o tym pomyślałem. Uważam, że powinna to pani zrobić. Ma pani talent. To widać od razu. - Przed wojną przez wiele lat wykładał na Faculté de Médecine i miał do czynienia z mężczyznami mniej zdolnymi od niej. - Czy mogę pani jakoś pomóc?

- Nie wiem - odparła zdumiona. Nigdy dotąd nie śmiała myśleć o tym jak o realnej możliwości, a ten miły człowiek poważnie proponował pomoc. Łzy napłynęły jej do oczu. - Czy to możliwe?

- Oczywiście. Wszystko jest możliwe, jeśli człowiek bardzo chce i jest skłonny pracować, żeby to osiągnąć. Przypuszczam, że pani spełnia te warunki. Proszę o tym pomyśleć, porozmawiamy w stosowniejszej chwili.

Chirurg nazywał się doktor Hugues de Bré. Ich drogi nie skrzyżowały się przez kolejny miesiąc. Annabelle słyszała, że na jakiś czas przeniósł się do jednego z lazaretów blisko linii frontu, ale wrócił do opactwa w listopadzie. Uśmiechnął się, gdy tylko zobaczył Annabelle, i polecił jej samodzielnie podać pacjentowi chloroform. Gdy delikatnie i sprawnie uspiła krzyczącego żołnierza, zastąpiła ją młoda lekarka. Tego wieczoru doktor de Bré przed wyjściem przyszedł z nią porozmawiać.

- Myślała pani o naszym planie? Bo mnie przysłała do głowy jeszcze jedna sprawa - powiedział ostrożnie. - Studia medyczne są drogie. Czy może pani sobie na nie pozwolić? - Domyślał się, że tak, ale niczego nie chciał zakładać z góry.

Zastanawiał się nawet,

jak uzyskać dla niej stypendium, nie byłoby to proste dla cudzoziemki.

- Tym nie musi się pan martwić - odparła wymijająco.

- Może więc chciałaby pani pojechać do szkoły doktor Inglis w Szkocji? - zapytał, ale Annabelle pokręciła głową.

- Wolałabym zostać we Francji. - W Szkocji mogłaby mówić po angielsku, wiedziała jednak, że poradzi sobie z francuskim, a perspektywa wielu lat ponurej szkockiej pogody wcale jej się nie uśmiechała.

- Tu, we Francji mógłbym pani pomóc. Myślałem o pewnej uczelni, którą zawsze lubiłem, na południu, niedaleko Nicei. Nie powinna pani czekać, aż skończy się wojna. Teraz łatwiej będzie się pani dostać na studia. Wielu młodych mężczyzn poszło na front i konkurencja jest mniejsza. Przyjmą panią z otwartymi ramionami. Za pani pozwoleniem chciałbym napisać do dziekana i przekonać się, co na to powie.

Annabelle uśmiechnęła się do niego, zdumiona i wdzięczna. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Sześć miesięcy temu była mężatką, spragnioną dzieci, żyła w bezpiecznym świecie Newport i Nowego Jorku. Teraz znalazła się sama we Francji i rozmawiała o studiach medycznych. Wszystko w jej życiu się zmieniło. Josiah siedział z Henrym w Meksyku, a ona mogła sama spełnić swoje marzenia. Nikt jej tego nie zabroni. Smucił ją tylko fakt, że nie miała o tym z kim porozmawiać, poza, oczywiście doktorem de Bre.

Do szpitala wciąż napływali ranni z frontu; wraz z nadejściem jesieni więcej ludzi umierało od zakażeń, ran i dyzenterii. Do świąt zostały dwa tygodnie i po raz pierwszy Annabelle poczuła tęsknotę za domem. Pomyśleć, że zaledwie rok temu spędziła je z matką.

Któregoś ponurego ranka, gdy straciła dwóch pacjentów, doktor de Bre wyrwał ją ze smutnych rozmyślań. Powiedział jej, że dostał list z uczelni w Nicei. Zrobił uroczystą minę, a Annabelle wstrzymała oddech, czekając na to, co powie.

- Dziekan odpisał, że za moją rekomendacją przyjmie panią radością. Wezmą panią na okres próbny na pierwszy semestr i jeśli dobrze pani sobie poradzi, zostanie pani przyjęta jako pełnoprawna studentka. - Uśmiechnął się, widząc jej minę. - Dziekan chciałby, żeby zaczęła pani piętnastego stycznia, jeśli to pani odpowiada.

- Naprawdę? - Omal nie rzuciła mu się w ramiona. Tak bardzo przypominała w tej chwili małą dziewczynkę, że doktor roześmiał się głośno. Była to dla niego prawdziwa przyjemność, pomoc tej utalentowanej młodej damie. Jego zdaniem świat potrzebował takich lekarzy. I choć była bardzo przydatna w szpitalu, uważał, że o wiele ważniejsze jest to, by jak najszybciej skończyła studia. Jako lekarka jeszcze lepiej spełniałaby swoje obowiązki wobec chorych.

- Nie żartuję. Zastanawiam się tylko, czy pani mówiła poważnie. - Nie był wcale pewien, czy Annabelle skorzysta z okazji, a i ona nie była tego pewna. List do dziekana był raczej próbą sprawdzenia, czy w ogóle istnieje taka możliwość. Nie spodziewała się, że wszystko pójdzie tak łatwo i tak szybko. Ale uczelnia potrzebowała studentów, a dziekan, mając rekomendację doktora de Bre, był pewien, że nowa uczennica okaże się warta zachodu. Doktor wiedział zaś, że Annabelle nie zawiedzie nadziei, jakie w niej pokładał.

- Mój Boże - szepnęła, gdy wyszli z oddziału, w zimne, nocne powietrze. - Mój Boże... muszę tam jechać! - To było jak spełnienie snów. Nigdy nie śmiała nawet marzyć, że coś takiego wydarzy się naprawdę, a teraz było w zasięgu ręki. Nie będzie już w samotności ślęczeć nad książkami, biedząc się nad ich zrozumieniem. Będzie studiować i zostanie lekarzem, tak jak zawsze chciała. Doktor de Bre dał jej najwspanialszy podarunek. Nie wiedząc, jak mu dziękować, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w policzek.

- Będzie pani świetną lekarką, moja droga. Proszę mnie odwiedzić, kiedy ta wojna już się skończy i życie wróci do normy. Jeśli kiedykolwiek to nastąpi - dodał. Trudno było w to wierzyć, liczba ofiar w Europie sięgnęła trzech milionów. Zbyt wielu ludzi oddało życie, a nic nie zostało rozwiązane. Wszystkie kraje europejskie walczyły po obu stronach konfliktu, a Ameryka wciąż nie chciała się do niego mieszać.

Annabelle wiedziała, że z bólem opuści opactwo. Była tutaj potrzebna, ale doktor de Bre miał rację - to doskonały moment na podjęcie studiów. W czasach pokoju, kiedy o miejsce stara się więcej mężczyzn, uczelnia zapewne nie byłaby skłonna, by ją przyjąć. Dziekan napisał, że w przyszłym semestrze Annabelle będzie jedyną kobietą, choć uczelnia wykształciła kilka absolwentek. Studia trwały sześć lat - pierwszy rok spędzi głównie w salach wykładowych, pięć kolejnych - na wykładach i praktykach w pobliskim szpitalu, pracując

z pacjentami. Uczelnia miała umowę zjedną z najlepszych klinik w mieście. Nicea była miastem mniejszym i bardziej prowincjonalnym niż Paryż, a więc i bezpieczniejszym dla samotnej kobiety. Doktor powiedział jej, że szkoła ma swoją bursę i że Annabelle dostanie duży pokój tylko dla siebie, jako że będzie jedyną kobietą na roku. De Bre zaproponował, by po studiach wróciła do Paryża i współpracowała z nim. Wierzył w nią tak bardzo, że Annabelle po prostu nie miała wyjścia - musiała udowodnić, że się nie myli.

Doktor de Bre obiecał zawiadomić w jej imieniu szkołę, że przyjmuje oferowane miejsce. Przed pierwszym styczniem powinna wysłać zaliczkę, resztę czesnego za pierwszy rok nauki mogła zapłacić już po przyjeździe.

Tego wieczoru wracała do celi jak na skrzydłach, pełna radosnych myśli i planów. Od tego wszystkiego kręciło jej się w głowie i przez większość nocy nie mogła zasnąć z podniecenia. Przypomniała sobie, jak pewnego dnia wyznała Josiahowi, że chciałaby przeprowadzić sekcję zwłok - teraz wreszcie będzie miała taką możliwość i nikt nie może jej tego zabronić. W opactwie nauczyła się już bardzo wiele

o anatomii, szczególnie przy doktorze de Bre, który zawsze starał się pokazać jej jak najwięcej, jeśli przypadek nie był zbyt poważny. Już samo patrzenie, jak operuje, było dla niej zaszczytem.

Nie mówiła nikomu o swoich planach. Dopiero dzień przed świętami pochwaliła się siostrze oddziałowej, która była wprawdzie zdumiona, ale uznała to za doskonały pomysł.

- A ja myślałam, że będziesz pielęgniarką - powiedziała z uśmiechem. - Nigdy nie przypuszczałam, że chcesz zostać lekarką. Ale właściwie dlaczego nie? Doktor Inglis jest znakomitym lekarzem, może i ty będziesz taka któregoś dnia. - Była dumna, jakby sama na to wpadła. - To bardzo zacnie ze strony doktora de Bre. Pochwalam ten plan z całego serca.

Annabelle spędziła w szpitalu trzy miesiące i sprawdziła się pod każdym względem. Nie nawiązała bliższych znajomości, pracowała bowiem cały czas, nawet gdy nie musiała. Ale było tylu rannych i mnóstwo pracy. Od czasu do czasu, w razie potrzeby, prowadziła nawet ambulans. Chętnie robiła wszystko, co było do zrobienia. Jeździła niemal pod linię frontu, by zabrać ludzi ze szpitali polowych, i przywoziła ich do opactwa. Huk dział przerażał ją i wciąż przypominał, jak blisko toczą się walki. Annabelle czuła się trochę winna,

że zostawia frontowy szpital, by spokojnie studiować w Nicei, ale nie potrafiła się oprzeć tak ekscytującej perspektywie. Martwiła się, że gdy skończy szkołę, będzie już miała dwadzieścia osiem lat, ale przecież musiała się tyle nauczyć. Nie wyobrażała sobie, jak można zmieścić całą wiedzę w sześciu latach studiów.

Rankiem w Boże Narodzenie przed celą wpadła na Edwinę. Uściskały się i Annabelle powiedziała, że wyjeżdża za trzy tygodnie. Edwina była zawiedziona.

- Tak mi przykro. Chciałam spędzić z tobą trochę więcej czasu i porozmawiać, ale jakoś nigdy się nie złożyło, a teraz wyjeżdżasz. - Miała nadzieję, że się zaprzyjaźnią, żadna z nich jednak nie miała na to czasu. Annabelle pomyślała o Hortie i o ich ostatnim spotkaniu - o tym, jak poczuła się zdradzona. Hortie stanowczo zbyt pochopnie odwróciła się od swojej przyjaciółki, zbyt chętnie usłuchała Jamesa, który zabronił jej się z nią spotykać. Przecież między innymi dlatego Annabelle wyjechała do Francji. Straciła wiele bliskich osób, ale postępowanie Hortie było kroplą, która przepełniła czarę. Wspominając przyjaciółkę, spojrzała na Edwinę z pełnym żalu uśmiechem.

- Może będę mogła tu przyjeżdżać, kiedy dadzą nam wolne. Nie wiem, czy na studiach medycznych są wakacje, ale chyba na pewno tak jest - powiedziała z nadzieją. Bardzo chciała ich wszystkich jeszcze kiedyś zobaczyć. Naprawdę niezwykle ciężko było wyjeżdżać. Przeżyła tu trzy szczęśliwe miesiące - o ile można być szczęśliwym wśród tylu cierpiących ludzi - a ich braterska więź była wspaniała.

- Będiesz studiować medycynę? - Edwina osłupiała. O niczym nie miała pojęcia.

- Doktor de Bre wszystko zorganizował - odparła Annabelle z błyszczącymi oczami. Z każdym dniem była coraz bardziej podekscytowana. - Nigdy nie przypuszczałam, że mi się to uda.

- A co na to twoja rodzina? - zapytała Edwina. Po twarzy Annabelle przepłynął cień, niezrozumiały dla młodej Angielki. - Nie mają nic przeciwko twojemu pobytowi na linii frontu? - Gdyby front się przesunął i te tereny zostały opanowane przez wroga, wszyscy mogli trafić do niewoli. Starali się o tym nie myśleć, ale zagrożenie było realne. Rodzice Edwiny bardzo się denerwowali, że wbrew ich woli uparła się tu przyjechać. Obaj jej bracia walczyli na wojnie i ona też chciała brać w niej udział.

- Nie mam rodziny - odparła cicho Annabelle. - Straciłam wszystkich. Matka zmarła rok temu, a ojciec i brat zginęli na „Ti-tanicu”. - Nie wspomniała o Josiahu, którego też straciła, ale skoro nikt nie wiedział, że była kiedyś mężatką, nie umiałaby tego wyjaśnić. Zresztą wcale nie chciała. Z tą stratą będzie się borykać sama do końca życia.

- Tak mi przykro - powiedziała Edwina. - Nie wiedziałam. - Żadna z dziewcząt nie miała czasu opowiadać o sobie. Wspólny kubek herbaty od czasu do czasu czy przelotne powitanie to był jedyny kontakt. W innych okolicznościach być może ich znajomość przekształciłaby się w przyjaźń, tu jednak pielęgniarki i wolontariuszki pracowały do upadłego, a potem szły spać na materacach w ciasnych celach zakonnich. Najbardziej ekscytującą rozrywką był ukradkowy papieros, wypalany wśród chichotów, po pracy. Annabelle też spróbowała tytoniu ot tak, dla towarzystwa, ale niezbyt przypadł jej do gustu.

Rozmawiały jeszcze chwilę. Edwina życzyła jej wesołych świąt i powodzenia na uczelni. Obiecały sobie spędzić kilka minut razem albo spotkać się w jadalni przed wyjazdem Annabelle, ale żadna z nich nie wiedziała, czy się to uda. W końcu odeszły do swoich zajęć, każda na inny oddział. Boże Narodzenie było po prostu kolejnym dniem opieki nad chorymi i rannymi. Nie było wspólnej kolacji, kołęd, prezentów. Na froncie tego dnia wstrzymano ogień, ale o szóstej wieczorem Niemcy zerwali zawieszenie broni i znów niekończącym się strumieniem napłynęły transporty rannych żołnierzy.

Annabelle cieszyła się, że tego dnia ma tyle pracy. Nie miała czasu rozmyślać o ludziach, których kochała i których straciła. Nie pozwalała sobie na wspomnienie ostatniej Wigilii w rodzinnym domu. To było zbyt bolesne. Ale przecież niedługo zacznie nowe życie w Nicei - zmuszała się, by myśleć tylko o tym, ilekroć miała przerwę w pracy, co zdarzało się nieczęsto. Próbowwała sobie wyobrazić studia medyczne, ale od czasu do czasu wizja matki stawała nieproszona przed jej oczami, w uszach rozbrzmiewał dźwięk jej głosu... wracało wspomnienie ostatniego razu, kiedy się widziały... Tej nocy, gdy leżała na swoim materacu, zastanawiała się, co matka powiedziałaby na to wszystko, co wydarzyło się przez ostatni rok. Miała nadzieję, że gdziekolwiek jest teraz Consuela, strzeże jej i będzie dumna, kiedy

Annabelle zostanie lekarką. Matka prawdopodobnie nie pochwaliliby jej decyzji, ale cóż innego jej pozostało? I kto? Zdobycie upragnionego zawodu stanowiło teraz jedyne marzenie Annabelle, jedyną nadzieję na nowe życie.

Rozdział 16

Nikt nie zauważył wyjazdu Annabelle z Abbaye de Royaumont w Asnieres. Dzień wcześniej jeszcze raz poszła podziękować doktorowi de Bre, pożegnała się też z siostrą przełożoną. Poza tym nie miała się z kim żegnać - może tylko z Edwina, z którą rozmawiała kilka minut. Życzyły sobie szczęścia i wyraziły nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkają. W końcu wsiadła do ciężarówki, która zawiozła ją na stację kolejową. Do Nicei miała dojechać pociągiem, co było długim i skomplikowanym przedsięwzięciem. Wszystkie trasy biegnące blisko frontu zamknięto, większość pociągów zarekwirowało wojsko.

Podróż do Nicei zajęła jej cały dzień i całą noc, a gdy w końcu dojechała na miejsce, na stacji znalazła dwie taksówki, prowadzone przez kobiety. Wsiadła do jednej z nich i podała adres uczelni. Szkoła znajdowała się nieopodal miasta, na wzgórzu z widokiem na morze. Urządzono ją w małym château, należącym do rodziny jednego z założycieli szkoły, doktora Graumonta. W zameczku, położonym wśród sielskich ogrodów i sadów, trudno było uwierzyć, że gdzieś na świecie toczy się wojna, że gdzieś istnieją gazy bojowe, porozrywane ciała, umierający żołnierze. To miejsce - najspokojniejsze, jakie Annabelle widziała od czasów wakacji w Newport - było całkowicie odizolowane od prawdziwego świata i pod pewnymi względami bardzo przypominało Newport.

Surowa ochmistrzyni zaprowadziła ją do pokoju, wręczyła pościel, by Annabelle sama zasiała sobie łóżko, i poleciła zejść na ósmą wieczór na kolację. Studenci pierwszego roku zajmowali wspólne dormitorium. Starsi studenci - sami mężczyźni - mieli oddzielne sypialnie. Jako jedyna kobieta Annabelle dostała jedną z nich, wygod-

ny pokój z widokiem na morze. W chateau mieszkało czterdziestu czterech młodych ludzi, którzy z jakiegoś powodu zostali zwolnieni od służby wojskowej: Anglik, Szkot, dwóch Włochów, pozostali byli Francuzami. Tylko Annabelle pochodziła z Ameryki. Powiedziano jej, że po powrocie do Stanów Zjednoczonych będzie musiała zdać egzamin, upoważniający ją do praktyki, ale ona nie wybiegała myślą tak daleko w przyszłość. Najbliższych sześć lat miała spędzić tutaj i miała wrażenie, że to właściwe miejsce. Była tego pewna od pierwszej chwili. I czuła się tu bezpieczna.

Umyła twarz i ręce, włożyła czystą czarną suknię, jedną z ładniejszych, jakie ze sobą przywiozła, i upięła włosy w skromny kok. Schłodna i dopięta na ostatni guzik zeszła na kolację punktualnie o ósmej.

Szkoła zajmowała cały zamek, co pozwoliło rodzinie właścicieli zyskać środki na jego utrzymanie. Co wieczór przed kolacją studenci spotykali się w wielkiej bawialni. Prowadzili ciche rozmowy, głównie o zagadnieniach medycznych.

Wszyscy byli tutaj już od września. Gdy Annabelle weszła do pokoju, poczuła na sobie oczy wszystkich. Po krótkiej chwili zgromadzeni zajęli się swoimi rozmowami, ignorując ją całkowicie. Była zaskoczona chłodnym przyjęciem i do rozpoczęcia kolacji siedziała sama, w milczeniu, nie próbując wtrącać się do ich dyskusji. Widziała, że zerkają na nią ukradkiem, ale nikt nie podszedł, by z nią porozmawiać. Zupełnie jakby nie istniała albo jakby myśleli, że zniknie, jeśli będą udawać, że jej tu nie ma.

Wiekowy lokaj w jeszcze bardziej wiekowym fraku poprosił ich na kolację.

Przeszli grupkami do jadalni i usiedli przy trzech długich stołach, równie starych jak zamek. Wszystko tutaj było zużyte i wytarte, ale roztaczało aurę swoistego dostojeństwa, kojarzącego się ze starą Francją.

Doktor Graumont, dziekan szkoły, przywitał Annabelle i zaprosił ją, by usiadła obok niego. Był niezwykle uprzejmy, kiedy się przedstawiał, ale w czasie kolacji rozmawiał wyłącznie z młodym człowiekiem, siedzącym po jego drugiej stronie, mniej więcej trzydziestoletnim. Dyskutowali o operacji, którą obserwowali tego dnia, i w ogóle nie starali się włączyć Annabelle do rozmowy. Czuła się jak niewidzialny duch.

Pod koniec posiłku doktor Graumont porozmawiał z nią przez chwilę o doktorze de Bre, pytając o jego zdrowie. W zasadzie na tym

się skończyło. Po kolacji życzył jej dobrej nocy i wszyscy rozeszli się do pokoi. Żaden ze studentów nie przedstawił się jej ani nie zapytał o jej nazwisko. Annabelle poszła sama do pokoju i usiadła na łóżku, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. W tej chwili nie była już taka pewna słuszności swojej decyzji. To będzie bardzo długie sześć lat, jeśli nikt w château się do niej nie odezwie. Zapewne nie są zadowoleni z obecności kobiety, postanowili więc ją ignorować. Ale ona nie przyjechała tu po to, żeby prowadzić życie towarzyskie - przyjechała się uczyć. Następnego dnia zeszła do jadalni punktualnie o siódmej, tak jak jej polecono. Choć podano skromne ze względu na wojenne czasy śniadanie, zjadła bardzo niewiele. Studenci znów przyszli i wyszli, nie odzywając się do niej ani słowem. Annabelle sama znalazła salę wykładową. Zajęcia zaczynały się o ósmej. Gdy zaczął się wykład, przypomniała sobie, po co tu przyjechała. Wykładowca mówił o chorobach nerek i pokazywał schematy operacji. Następnego dnia mieli jechać do szpitala w Nicei, by obserwować operację i pracować z pacjentami. Nie mogła się już doczekać.

Podczas lunchu nadal była podekscytowana wykładem i dziękowała w duchu doktorowi de Bre. Zapominając o dotychczasowej nie-uprzejmości kolegów, zaczęła rozmowę z jednym z Anglików. Chłopak popatrzył na nią tak, jakby publicznie zdjął z siebie ubranie.

- Czyżbym powiedziała coś złego? - zapytała niewinnie.

- Nie przypominam sobie, żeby się do pani odezwał - odparł niegrzecznie, mierząc ją lodowatym spojrzeniem, które powiedziało jej wyraźnie, że nie jest zainteresowany jej opiniami.

- Istotnie, ale ja odezwałam się do pana - odparła spokojnie. Słyszała wcześniej, jak mówił, że w jego rodzinie jest wielu lekarzy. Najwyraźniej był bardzo pewny siebie, ale tak jak ona był tylko studentem pierwszego roku, choć sporo od niej starszym. Wspominał jednemu z kolegów, że ukończył Eton, a potem Cambridge, co wyjaśniało jego różnicę wieku. Najwyraźniej uważał się za lepszego od niej i nie miał zamiaru tracić czasu na rozmowę. Fakt, że była taka piękna, również zdawał się nie robić na nim wrażenia. Bardzo starał się być niemiły.

- Nazywam się Annabelle Worthington - ciągnęła uprzejmie, nie mając najmniejszego zamiaru dać się zniechęcić. Marzyła o tym, by zdzielić go talerzem po głowie, ale tylko uśmiechnęła się grzecz-

nie i odwróciła do studenta siedzącego po jej drugiej stronie, by mu się przedstawić. Młodzieniec spojrział na koleżkę naprzeciwko, jakby czekając na wskazówkę, lecz w końcu uśmiechnął się wbrew samemu sobie.

- Jestem Marcel Bobigny - powiedział po francusku. Pozostali spojrzeli na niego jak na zdrajcę i wbili wzrok w talerze.

Gdy Annabelle i Marcel zaczęli rozmowę o porannym wykładzie, inni zamilkli i przez większość lunchu w sali panowała cisza. Annabelle najwyraźniej nie była tu mile widziana, nawet dziekan ją ignorował. W końcu wzięła notes i pióro i poszła na kolejny wykład, dziękując Marcelowi, że zechciał z nią porozmawiać. Młody Francuz skłonił się grzecznie; ale gdy odchodziła z wysoko podniesioną głową, usłyszała, jak jego towarzysze ganią go za to.

- To nie ma znaczenia, że jest piękna - usłyszała szept jednego. - Po co tu przyjechała? - A przecież miała takie samo prawo jak oni studiować tutaj. Zapłaciła chesne i chciała zostać lekarzem równie mocno jak oni, a może nawet mocniej. Najwyraźniej jednak umówili się między sobą, by traktować ją jak intruza.

Taka sytuacja trwała przez miesiąc, podczas którego Annabelle chodziła z nimi na wykłady i trzy razy w tygodniu jeździła do szpitala w Nicei, gdzie również odbywały się wykłady i zajęcia z pacjentami. Widziała, że jest uważnie obserwowana przez profesorów i studentów. Czowała, że jakkolwiek błąd, jakakolwiek mylna opinia zostanie natychmiast użyta przeciwko niej, uważała więc bardzo na to, co mówi. Jak na razie nie popełniła błędów, a dwie prace pisemne na temat chorób nerek i układu moczowego otrzymały najlepsze noty. Właśnie podczas wizyt w szpitalu najmocniej odczuwała niechęć zazdrosnych kolegów. Annabelle miała łagodne, pełne współczucia podejście do chorych, zadawała inteligentne pytania o objawy i sprawiała, że pacjenci ośmielali się przy niej. Woleli rozmawiać z nią-a już na pewno na nią patrzeć, a ci, których odwiedzała więcej niż raz, byli zachwyceni, że widzą ją znowu. Kolegów doprowadzało to do furii.

- Pani stanowczo za bardzo spoufala się z pacjentami - zauważył któregoś dnia Anglik, który z godnym podziwu uporem starał się czynić jej afronty.

- To ciekawe - odparła spokojnie Annabelle. - Bo ja uważam, że jest pan dla nich bardzo niegrzeczny.

- Skąd pani może to wiedzieć? Czy w ogóle była pani wcześniej w szpitalu?
- Przez trzy miesiące pracowałam w przyfrontowym szpitalu w Asnieres, przedtem przez sześć lat jako wolontariuszka w nowojorskich szpitalach, z czego ostatnie dwa na Ellis Island, z imigrantami przyjeżdżającymi do Ameryki. - Anglik nie odezwał się. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale wiadomość o trzech miesiącach w Asnieres zrobiła na nim wrażenie. Słyszał od innych, jak tam było ciężko. Po zajęciach dogonił ją Marcel Bobigny i zapytał, jak wyglądała praca w Abbaye de Royaumont. Była to jej pierwsza prawdziwa rozmowa od miesiąca, i Annabelle ucieszyła się, że wreszcie ma do kogo otworzyć usta.
- Tak, było ciężko - przyznała. - Wszyscy pracowaliśmy po osiemnaście godzin dziennie, czasami dłużej. Personel to same kobiety, w każdym razie takie było pierwotne założenie, ale ostatnio przyjechało z Paryża kilku doktorów. Szpital potrzebuje pomocy.
- Jakie przypadki tam widywałaś? - spytał z zaciekawionym. Uważał, że jego koledzy popełniają błąd, traktując ją tak lekceważąco. Lubił ją. Była wesoła, zgodna, ciężko pracowała i nie zadzierała nosa, jak niektórzy.
- Głównie urwane kończyny, mnóstwo gangreny, rany od wybuchów, poparzenia od gazu, dyzenterię, cholere, w zasadzie wszystko, czego można się spodziewać na froncie. - Powiedziała to zwyczajnie, rzeczowo, nie próbując mu zaimponować.
- Co pozwalali ci robić?
- Czasem podawałam chloroform na salach operacyjnych. Zwykle po prostu sprzątałam po operacjach, ale naczelny chirurg był tak miły, że pokazywał mi różne rzeczy, kiedy akurat byłam w pobliżu. Resztę czasu spędzałam na oddziale chirurgicznym, zajmując się pacjentami, kilka razy prowadziłam też ambulans, kiedy brakowało kierowców.
- Całkiem niezłe jak na kogoś bez medycznego wykształcenia.
- Potrzebowali rąk do pracy. - Skinął głową i stwierdził, że sam chciałby tam być. Annabelle uśmiechnęła się. On jeden był dla niej uprzejmy, a nawet miły. Półtora miesiąca po jej przyjeździe, w lutowy wieczór, w jadalni toczyła się ożywiona dyskusja na temat bitwy pod Verdun, która rozpoczęła się kilka dni wcześniej. Wszyscy słyszeli o ogromnej lic-

bie ofiar po obu stronach. Marcel wciągnął Annabelle do rozmowy, inni zaś byli tak przejęci tematem, że zapomnieli robić naburmuszone miny.

Bitwa pod Verdun stanowiła główny temat rozmów przez ponad dwa tygodnie, a na początku marca rozgorzała piąta bitwa pod Isonzo we Włoszech, przeciw wojskom Austro-Węgier, i zajęła uwagę wszystkich. Ważyły się losy wojny, trudno więc było myśleć

O czymś innym.

Anglik zapytał Annabelle, kiedy właściwie Ameryka zamierza przyłączyć się do wojny. Prezydent Wilson zapewniał, że w ogóle do tego nie dojdzie, ale było tajemnicą poliszynela, że Stany Zjednoczone handlują z obu stronami, za co ściągały na siebie ostrą krytykę. Annabelle też uważała, że to nieuczciwe. Jej zdaniem Stany Zjednoczone powinny zaangażować się i przyjść z pomocą swoim europejskim sojusznikom. Po chwili rozmowa zesła na „Lusitanię”. Wszyscy uważali, że została zatopiona z powodu towarów, jakie przemyciała w ładowniach, co nigdy nie zostało oficjalnie potwierdzone. Ktoś wspomniał o „Titanicu” i Annabelle posmutniała. Rupert, niemiły Anglik, zauważył to.

- To nie był najwspanialszy moment w naszej historii - powiedział z uśmiechem.

- Ani mojej - odparła cicho Annabelle. - Moi rodzice i brat byli na pokładzie. -
Wszyscy przy stole umilkli.

- Mam nadzieję, że wyszli z tego bez szwanku? - zapytał jeden z francuskich studentów. Annabelle pokręciła głową.

- Mama wsiadła do jednej z szalup, ale papa i brat utonęli.

Wszyscy pospiesznie wyrazili jej współczucie, a Marcel dyskretnie skierował rozmowę na inne tory. Lubił ją i czuł, że powinien bronić jej przed kolegami. Ale i reszta powoli zmieniała swój stosunek do niej. Trudno było oprzeć się jej uprzejmości, prostocie

i inteligencji.

Dwa tygodnie później został storpedowany francuski statek pasażerski „Sussex”. Sytuacja na froncie pogarszała się, już niemal cztery miliony żołnierzy straciło życie. Liczba ofiar rosła zastraszająco z każdym dniem. Tragiczne wieści odrywały uwagę od studiów -trudno było rozmawiać o czymkolwiek innym. Ale wszyscy pracowali ciężko. W małej grupie studentów pierwszego roku nie było nikogo, kto lekceważyłby naukę.

Zanim przyszła wiosna, koledzy jakby bezwiednie zaczęli odnosić się do Annabelle bardziej uprzejmie. Coraz chętniej z nią rozmawiali, prowadzili dyskusje, a nawet żartowali. Nauczyli się traktować poważnie jej wypowiedzane cichym głosem, inteligentne pytania, i przyznali, że ma lepsze od nich podejście do pacjentów. Profesorowie również to zauważali, a doktor Graumont dawno napisał list do doktora de Bre, że nie pomylił się w swojej opinii. Zapewnił też, że Annabelle Worthington to celująca studentka i że kiedyś zostanie świetną lekarką. Samej Annabelle, w porównaniu z Abbaye de Ro-yaumont, szpital w Nicei wydawał się niezwykle spokojny, ale i tak był interesujący. Wreszcie spełniło się jej marzenie - uczestniczyła w sekcji zwłok.

W lecie wieści z frontów nadal zajmowały ich uwagę. Pierwszego lipca zaczęła się bitwa nad Sommą, powodując największą jak do tej pory liczbę ofiar w pojedynczym starciu. Nim skończył się dzień, naliczono już sześćdziesiąt tysięcy zabitych i rannych. Liczby te były przerażające. A dalej było tylko gorzej - chwilami trudno im było skupić się na nauce. Śmierć zbierała niewyobrażalne żniwo, a końca wojny, trwającej już dwa lata, nadal nie było widać.

W sierpniu Annabelle starała się nie myśleć o rocznicy ślubu z Josiahem. W tym roku obchodziliby trzecią- a ona przebywała w Europie od jedenastu miesięcy. Trudno w to uwierzyć. Odkąd przyjechała na uczelnię, czas pędził jak rwąca rzeka. Tyle się tu działo, tyle wiedzy musiała przyswoić. Teraz częściej pracowali z pacjentami - w szpitalu spędzali trzy dni w tygodniu. Ranni z frontów trafiali nawet tutaj, gdyż tych, którzy zostali wykluczeni z walki, przenoszono bliżej miejsc ich zamieszkania. Annabelle natknęła się nawet na dwóch żołnierzy, którymi zajmowała się w Asnieres. Ogromnie ucieszyli się na jej widok, a ona zaglądała do nich, kiedy tylko mogła.

Marcel stał się już w tym czasie jej dobrym przyjacielem. Gawędzili co wieczór po kolacji i często uczyli się razem, pozostali studenci w końcu przyjęli ją do swojego grona. Zdobyła sobie ich szacunek i sympatię. Niektórzy nawet śmiali się z tego, jacy byli niemili na początku, a Rupert, nadęty Anglik, który był dla niej najbardziej niegrzeczny, zaprzyjaźnił się z nią, sam nie wiedząc kiedy. Nie popełniała błędów w pracy, poza tym zawsze była dla wszystkich miła. Marcel nazwał ją kiedyś ich dobrą wróżką.

Któregoś dnia, gdy po zajęciach spacerowali po sadzie, spojrzał na nią badawczo i zapytał:

- Czemu tak piękna kobieta jak ty nie ma męża?

Marcel nie próbował się zalecać - wiedziała, że niedawno zaręczył się z pewną dziewczyną z Nicei, długoletnią przyjaciółką jego rodziny. Sam pochodził z Beaulieu, pobliskiego miasteczka, i często jeździł do domu na niedzielę, a czasem nawet w tygodniu. Narzeczona też odwiedzała go na uczelni i Annabelle bardzo ją polubiła.

- Chyba nie da się być i mężatką, i lekarzem, prawda? - odparła wymijająco. Sytuacja kobiet i mężczyzn w tej kwestii bardzo się różniła. Zawód lekarza wymagał od kobiety o wiele więcej wytrwałości i poświęceń.

- Czasem odnoszę wrażenie, że przyjechałaś do Europy ze złamanym sercem. - Był mądrym człowiekiem, widziała to w jego oczach. - Nie jestem pewien, czy naprawdę chodzi ci o poświęcenie życia osobistego dla zawodu. Może raczej boisz się życia osobistego i chowasz się za medycyną. Moim zdaniem mogłabyś mieć jedno i drugie - dodał, patrząc jej w oczy.

Długo nie odpowiadała. Ugryzła jabłko, by zyskać na czasie. W maju skończyła dwadzieścia trzy lata. Była piękna i pełna życia, ale bała się, że znów zostanie skrzywdzona. Marcel miał rację. Dobrze ją znał.

- Pod przykrywką radości i uśmiechów - ciągnął - kryje się smutek i nie sądzę, by chodziło o śmierć rodziców. Kobiety wyglądają tak tylko wtedy, kiedy jakiś mężczyzna złamie im serce. - Martwił się, że przeżyła zawód. Bardziej niż ktokolwiek zasługiwała na dobrego, kochającego męża.

- Powinieneś zostać wróżką, nie lekarzem - zażartowała. Marcel wiedział jednak, że ma rację, choć Annabelle tego nie przyznała. Nie miała zamiaru mówić mu, że jest rozwódką. Nie przyznałaby się do tego nikomu, nawet przyjacielowi. Za bardzo się wstydziła.

Miesiąc wcześniej dostała list z Ameryki, w którym zawiadamiano ją, że nadeszło ostateczne orzeczenie rozwodu. Ona i Josiah nie byli już mężem i żoną. W ciągu ostatniego roku dostała od niego tylko jeden list, na Boże Narodzenie. Pisał, że obaj z Henrym nadal są w Meksyku. Nie miała pojęcia, czy ciągle jeszcze tam mieszka i czy czuje się dobrze. Z jego listu wynikało, że obaj z Henrym są już bardzo chorzy. Odpisała mu, ale on nie odpowiedział.

- Mam rację? - Marcel nie dawał za wygraną. Lubił ją i chciałby dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Nie opowiadała o swoim dzieciństwie ani w ogóle o przeszłości. Zupełnie jakby jej nie miała. Pragnęła tylko czystej karty i nowego początku. Ilekroć z nią rozmawiał, czuł, że w jej życiu kryją się jakieś tajemnice.

- To nie ma znaczenia. Teraz jestem tutaj, a to, czy moje serce jest złamane, czy nie, nie ma tu nic do rzeczy.

- Myślisz, że kiedykolwiek wrócisz do Ameryki?

Umilkła, zastanawiając się nad jego pytaniem, i odpowiedziała szczerze:

- Nie wiem. Nie mam tam niczego z wyjątkiem letniego domu na Rhode Island. - Służący wciąż tam mieszkali, troszcząc się o dom, w nadziei że Annabelle kiedyś wróci. Ona też od czasu do czasu pisała do Blanche. - Moi krewni nie żyją. Nie mam po co wracać.

- Na pewno masz przyjaciół - powiedział Marcel, patrząc na nią ze smutkiem. Przecież nie mogła być całkiem sama. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś tak ciepły, łagodny i dobry nie ma przyjaciół. - Wychowałaś się wśród ludzi. Oni na pewno wciąż tam są. - Jego słowa przywiodły jej na myśl Hortie. Pokręciła głową. Nie miała przyjaciół. Josiah postarał się o to, mimo najlepszych intencji. Był naiwny, myśląc, że wyświadcza jej przysługę. Osiągnął tylko tyle, że stała się wy-gnańcem z własnego świata. Jedynym jej przyjacielem był Marcel.

- Nie. Wszystko w moim życiu się zmieniło. Dlatego tu przyjechałam. - Ale nawet ona nie była pewna, czy zostanie w Europie. Nie miała swojego miejsca na świecie, przez następne pięć lat jej jedynym życiem były studia, a domem uczelnia i Nicea. Ludzie, z którymi studiowała, to jej jedyni przyjaciele.

- Cieszę się, że tu trafiłaś - odparł, nie chcąc otwierać starych ran.

- Ja też. - Uśmiechnęła się do niego i powoli wrócili do chateau. Marcel dziwił się, że żaden z kolegów nie jest nią zainteresowany. Annabelle otoczyła się murem, na którym widniał napis: „Nie podchodźcie za blisko”. Wyczuwał, że to ona trzyma wszystkich na dystans, ale nie miał pojęcia, dlaczego tak jest, i uważał, że to wielka szkoda - w jego pojęciu po prostu marnowała czas. Miał nadzieję, że znajdzie kiedyś dobrego męża, na jakiego zasługiwała.

To było długie, gorące lato, wypełnione nauką i praktykami w szpitalu. W sierpniu studenci dostali dwa tygodnie wakacji, by móc

odwiedzić rodziny czy po prostu odpocząć od nauki. Annabelle została w chateau, nie miała dokąd jechać. Chodziła na długie spacery, czasem robiła zakupy w Nicei, choć w sklepach nie było towarów z powodu wojny. Kupiła trochę ubrań, by uzupełnić garderobę. Miała właściwie same czarne stroje, a żałoba po matce dobiegła końca. Któregoś dnia, gdy udało jej się pożyczyć szkolną ciężarówkę, pojechała do starożytnego miasteczka Antibes. Zwiedzając okolicę, znalazła przepiękny, jedenasto wieczny kościół i długo stała na wzgórzu nad miastem, podziwiając widok. To było urocze popołudnie.

Zatrzymała się na kolację w małej kafejce, a wieczorem wróciła do szkoły. Nawet doktor Graumont wyjechał. Została w chateau sama, tylko z dwiema pokojówkami. Spędziła tak dwa spokojne tygodnie, ale ucieszyła się, gdy koledzy wrócili z wakacji. Wszyscy świetnie się bawili, tylko Rupert był zdruzgotany - jego brat zginął na wojnie. Wielu z nich straciło braci, kuzynów, przyjaciół, co boleśnie przypominało o okrutnej zawierusze, niszczącej Europę. Wojna zdawała się nie mieć końca.

We wrześniu wrócili do zajęć, bitwa nad Sommą trwała już od ponad dwóch miesięcy. Liczba ofiar rosła z dnia na dzień. Gdy walki skończyły się w połowie listopada, wszyscy poczuli ulgę. Przez dziesięć dni po zakończeniu bitwy panował spokój. Ostateczna liczba zabitych i rannych przekroczyła milion. Po dziesięciu spokojnych dniach Niemcy po raz pierwszy zaatakowali Anglię z powietrza. Wojna pokazała nowe oblicze, które przeraziło świat. Nim przyszły święta, wiadomości z frontu mocno podkopały morale na uczelni. Kolejnych dwóch studentów straciło braci, a pod koniec miesiąca doktor Graumont zebrał wszystkich w głównej sali, by odczytać im list od rządu francuskiego. Było to wezwanie do całego przeszkolonego personelu medycznego, by stawił się do pomocy na froncie. Potrzebowały ich lazarety w całej Francji. Dziekan umilkł po przeczytaniu listu i w końcu oznajmił, że decyzja należy do nich. Powiedział, że uczelnia udzieli urlopu każdemu chętnemu bez wpływu na wyniki w nauce i że po skończeniu wojny zostaną przyjęci. Już od miesiąca dostawali listy z prośbami o pomoc ze szpitali, w tym również z kolejnej placówki założonej przez Elsie Inglis, tym razem w Villers-Cotterets, na północny wschód od Paryża, o wiele bliżej frontu niż Asnieres. W tym szpitalu również personel stanowiły kobiety i Annabelle zostałaby tam przyjęta z otwartymi ramionami.

Studenci rozmawiali o tym przy kolacji, dyskusja była mocno ożywiona. Do rana połowa z nich podjęła decyzję o wyjeździe - jeden po drugim szli powiadomić o tym doktora Graumonta. Zamierzali wyjechać w ciągu kilku najbliższych dni. Zima była wyjątkowo sroga i ludzie na frontach umierali nie tylko od ran, ale też z chorób i odmrożeń. Trudno było oprzeć się błaganiom o pomoc. Ostatecznie wyjechali wszyscy z wyjątkiem czterech studentów.

Annabelle zdecydowała się już pierwszego dnia. Było jej żal przerywać naukę, ale czuła, że nie ma wyboru. Pozostanie w Nicei wydawało jej się egoistyczne.

- Pani też nas opuszcza? - spytał doktor Graumont ze smutnym uśmiechem, ale nie był zaskoczony. W ciągu ostatniego roku ogromnie ją polubił i nabrał dla niej szacunku. Był pewien, że kiedyś będzie świetną lekarką, i pod wieloma względami już nią była.

- Muszę jechać - powiedziała z zalem. Opuszczała szkołę z prawdziwą przykrością. - Ale wrócę.

- Mam nadzieję - odparł poważnie. - Dokąd pani jedzie?

- Do szpitala doktor Inglis w Villers-Cotterets, jeśli zechcą mnie przyjąć. -

Wszyscy studenci mogli być sanitariuszami, a jako sanitariuszka Annabelle mogła robić dużo więcej niż w Asnieres i wiedziała, że będzie bardziej przydatna.

- Proszę na siebie uważać, Annabelle. Będziemy tu na panią czekać - zapewnił dziekan.

- Dziękuję - odparła i uściskała go serdecznie. Wieczorem spakowała walizki.

Dwie z nich zostawiała w château; zamierzała zabrać ze sobą tylko jedną.

Nie tylko ona wyjeżdżała następnego dnia. Studenci żegnali się, życzyli sobie szczęścia i obiecywali wrócić na uczelnię, gdy wojna się skończy. Ich pożegnanie z Annabelle było pełne braterskiej serdeczności - wszyscy koledzy prosili, by uważała na siebie. Ona też martwiła się o nich.

Marcel odprowadził ją na stację, sam wyjeżdżał po południu. Annabelle sama niosła małą walizkę. Tak bardzo była mu wdzięczna, że od początku okazywał jej życzliwość.

- Dbaj o siebie - powiedział, ściskając ją i całując w oba policzki. - Mam nadzieję, że niedługo wszyscy tu wrócimy - dodał z przejęciem.

- Ja też. - Machała mu z pociągu, póki nie zniknął jej z oczu. Nie wiedziała, że widzi go po raz ostatni. Dwa tygodnie później prowadzony przez niego ambulans wjechał na minę. Był pierwszą ofiarą spośród studentów doktora Graumonta. Annabelle straciła kolejną bliską osobę.

Rozdział 17

Szpital Elsie Inglis w Villers-Cotterets leżał mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów za linią frontu. Jeśli uważnie nadstawiało się ucha, można było usłyszeć dudnienie dział w oddali. Nowa placówka była o wiele większa niż ta w Asnieres. Zgodnie z intencją doktor Inglis prowadziły ją kobiety. Annabelle była jedną z trzech Amerykanek, większość personelu stanowiły Francuzki, Angielki i przedstawicielki kilku innych państw sprzymierzonych. Tym razem miała normalny pokój, który - choć mały - dzieliła z inną osobą. Pacjentami byli wyłącznie żołnierze dowożeni z pola walki.

Karetki prowadzone przez kobiety kursowały nieustannie na linię frontu, gdzie wyciągano z okopów okaleczonych, zmasakrowanych, umierających ludzi. W każdym ambulansie jeździły sanitariuszki, posiadające wystarczające umiejętności, by ogromnym wysiłkiem utrzymywać przy życiu przewożonych rannych. Jeśli stan żołnierzy nie pozwalał na transport, zostawiano ich w lazaretach, pozakładanych w pobliżu okopów, ale gdy tylko było to możliwe, przywożono rannych do szpitala w Villers-Cotterets, gdzie można było ich operować i otoczyć lepszą opieką.

Annabelle, mająca za sobą rok studiów medycznych i lata ochotniczej pracy w szpitalach, również została przydzielona do załogi karetki i nosiła oficjalny uniform sanitariuszki. Pracowała po osiemnaście godzin dziennie - tłukła się po wiejskich drogach tam i z powrotem, niejednokrotnie trzymając rannych w ramionach, kiedy już nic innego nie mogła dla nich zrobić. Walczyła dzielnie o ich życie za pomocą wszelkich materiałów, jakie miała pod ręką, i metod, których zdążyła się nauczyć. Czasami jednak, mimo jej

wysiłeków, żołnierze byli zbyt okaleczeni, by przetrwać transport, i umierali w drodze.

Przyjechała do Villers-Cotterets w Nowy Rok, tu po prostu zwykły dzień pracy. Wojna pochłonęła do tej pory ponad sześć milionów istnień ludzkich. Przez dwa i pół roku, od kiedy zaczęły się działania wojenne, Europa została zdziesiątkowana - kwiat młodzieży ginał w paszczy potwora, który pożerał chłopców tysiącami. Annabelle miała czasem wrażenie, że próbuje wyczerpać ocean naparstkiem. Było tyle ciał do opatrzenia, tyle dusz, które nigdy nie otrząsną się z tego, co przeżyły. Personel medyczny też z trudem znosił potworność frontu - pod koniec dnia dziewczęta były wykończone i przybite. Ale choćby było nie wiadomo jak ciężko, choć chwilami całkowicie upadała na duchu, Annabelle coraz mocniej utwierdzała się w postanowieniu, by zostać lekarką. Kochała tę pracę i wykonywała ją dobrze. W styczniu prezydent Wilson spróbował doprowadzić do zakończenia wojny, wykorzystując neutralną pozycję Stanów Zjednoczonych. Zachęcał aliantów, by zaczęli wreszcie dążyć do zawarcia pokoju. Jego wysiłki okazały się bezowocne, ale on nie zmienił stanowiska. Nie chciał angażować Ameryki w wojnę. Nikt w Europie nie rozumiał, dlaczego Amerykanie nie przyłączają się do sił sprzymierzonych, ale w styczniu 1917 roku mało kto wierzył, że taki stan rzeczy potrwa długo. Nie mylono się.

Pierwszego lutego Niemcy wznowili bezwzględne ataki łodzi podwodnych. Dwa dni później Stany Zjednoczone zerwały stosunki dyplomatyczne z Rzeszą. W ciągu trzech tygodni prezydent poprosił o zgodę Kongresu na uzbrojenie amerykańskiej floty handlowej na wypadek ataków niemieckich U-Bootów. Kongres odrzucił prośbę, ale 12 marca Wilson wydał dekret, pozwalający uzbroić statki. Osiem dni później, 20 marca, jego gabinet wojenny jednomyślnie zagłosował za wypowiedzeniem wojny Niemcom.

Drugiego kwietnia prezydent wygłosił mowę, powiadamiając Kongres o tym fakcie, cztery dni później, szóstego kwietnia, Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Rzeszy Niemieckiej. Ameryka w końcu przyłączyła się do wojny i zrobiła to w samą porę, gdyż słabnące armie sprzymierzone w Europie rozpaczliwie potrzebowały pomocy. W ciągu następnych tygodni i miesięcy amerykańscy chłopcy mieli opuszczać domy - żegnać się z rodzinami, żonami,

dziewczynami - i jechać na szkolenie. Po dwóch miesiącach mieli zostać przetrzuceni przez ocean. W ojczyźnie wszystko zmieniło się niemal z dnia na dzień.

- Najwyższy czas - powiedziała do Annabelle jedna z Amerykanek, pracujących w Villers-Cotterets, gdy spotkały się w stołówce. Obie pracowały tego dnia już od dziewiętnastu godzin. Obie Amerykanki poza Annabelle były pielęgniarkami. - Byłaś przed wojną w szkole pielęgniarskiej? - spytała kobieta, widząc uniform sanitariuszki. Była ładną, zielonooką i rudowłosą dziewczyną z Alabamy i mówiła z rozwlekłym południowym akcentem. Na imię miała Georgianna i wychowywała się w bogatej plantatorskiej rodzinie, co tutaj nie miało żadnego znaczenia, podobnie jak wytworne wychowanie Annabelle w nowojorskiej rezydencji. Swojemu pochodzeniu Annabelle zawdzięczała teraz wyłącznie przyzwoitą edukację, dobre maniery i znajomość francuskiego. Reszta się nie liczyła.

- Przez ostatni rok studiowałam medycynę w Nicei - odparła Annabelle, popijając z kubka cienką zupkę. Kuchnia starała się jak najlepiej rozdzielić racje żywnościowe, by nakarmić i personel, i pacjentów. W rezultacie żadna z nich od dawna nie jadła przyzwoitego posiłku, ale nie myślały o tym. Annabelle bardzo schudła przez te cztery miesiące od przyjazdu. Ledwie mogła uwierzyć, że jest już 1917 rok, kwiecień, i że przebywa we Francji od dziewiętnastu miesięcy.

Georgiannie zaimponowały medyczne studia Annabelle, rozmawiały o tym jeszcze przez chwilę, choć obie padały z nóg ze zmęczenia. Georgianna przyznała ze śmiechem, że przez dwa lata spędzone tutaj nauczyła się tylko ryszotkowej francuszczyzny. Annabelle słyszała już o niej i wiedziała, że jest dobrą pielęgniarką. Nigdy w życiu nie poznała tylu sumiennych, kompetentnych i oddanych pracy osób, które dawały z siebie wszystko.

- Sądzisz, że wrócisz na studia? - zapytała. Annabelle pokiwała głową, zamyślona.

- Mam taką nadzieję. - Nie, nic jej powstrzyma. Chyba tylko śmierć.

- A do domu? - Georgianna nie wyobrażała sobie, że miałyby zostać w Europie.

Miała rodzinę w Alabamie, trzy młodsze siostry i brata. Annabelle nie chciała wracać do Nowego Jorku. Nie czekało jej tam nic, z wyjątkiem bólu i kary za cudze grzechy.

- Raczej nie. Właściwie niczego tam nie zostawiłam. - Ostatnio sporo o tym myślała i już się zdecydowała. Przed nią było jeszcze pięć lat studiów, potem chciała jechać do Paryża i tam pracować, przy odrobinie szczęścia z doktorem de Bre. Nie chciała mieć nic wspólnego z Nowym Jorkiem, zresztą w Stanach musiałaby się uczyć kolejny rok, by zdać egzamin. Była niemal pewna, że jej życie po tamtej stronie Atlantyku jest już przeszłością. Jedyna przyszłość, jaką widziała przed sobą, czekała ją w Europie. To był całkiem nowy rozdział - tu nikt nie znał jej historii, nie wiedział o wstydlivej sprawie rozwodu. We Francji wszyscy znajomi uważali ją za pannę. Za kilka tygodni skończy dwadzieścia cztery lata i któregoś dnia, jeśli będzie ciężko pracować i szczęście nie odwróci się od niej, zostanie lekarką. W Nowym Jorku byłaby już zawsze kobietą zhańbioną, choć nie było w tym jej winy.

Po kolacji Annabelle i Georgianna rozeszły się do swoich baraków, obiecując sobie, że pogawędzą w wolnej chwili - ale przecież nawet gdy dostawały wolne, nigdy z niego nie korzystały. Annabelle nie miała wolnego dnia, odkąd tu przyjechała.

Trzecia bitwa w Szampanii skończyła się pod koniec kwietnia sromotną porażką Francuzów. Szpital zalała nowa fala pacjentów. Annabelle bez wytchnienia dowoziła żołnierzy z frontu. Jedynym jaśniejszym punktem było zwycięstwo Kanadyjczyków w bitwie o wzgórze Vimy. Na początku maja doszło do wybuchów buntu w szeregach francuskich. Docierały też nowe wieści o rewolucji w Rosji - car abdykował w marcu. Ale wszystko, co działo się dalej niż w okopach pod Villers-Cotterets, wydawało się odległe i nierzeczywiste. W szpitalu było zbyt wiele pracy, by przejmować się czymkolwiek innym.

Annabelle zapomniała o swoich urodzinach. Jeden dzień zlewał się z następnym, nie liczyła dat. Dopiero tydzień później, kiedy zobaczyła gazetę, którą ktoś przywiózł z Paryża, zorientowała się, że skończyła dwadzieścia cztery lata.

Miesiąc później, w czerwcu, wszyscy z radością przyjęli wiadomość, że we Francji wylądowały pierwsze oddziały amerykańskie.

W połowie lipca amerykański batalion przybył do Villers-Cotterets i rozbił obóz za rogatekami miasta. Po tygodniu dołączyli do nich Brytyjczycy. Jedni i drudzy przygotowywali się do ofensywy pod Ypres. Kręcący się wszędzie amerykańscy i angielscy żołnierze

bardzo ożywili okolicę. Beztrąsko uwodzili miejscowe kobiety, a żandarmeria wojskowa nieustannie wyciągała ich z barów i zgarniała z ulic, by odstawić do obozu. To dostarczało przynajmniej trochę rozrywki, a żołnierze, choć niesforni, potrafili być sympatyczni. Któregoś dnia w drodze z pobliskiego lazaretu jej ambulans minął grupkę Amerykanów, idących poboczem w towarzystwie kilku bardzo młodych Francuzek. Annabelle nie była w nastroju, by przekomarzać się z żołnierzami, bo po drodze umarł im ranny, którego wiozły do Villers-Cotterets, ale gdy auto mijalo grupę, żołnierze zaczęli coś krzyczeć i machać, widząc dwie ładne kobiety w szoferce. Annabelle ogarnęło nagle bolesne pragnienie, by posłuchać amerykańskiego akcentu. Odmachała im z uśmiechem. Jeden z chłopców zaczął biec obok karetki i nie zdołała się powstrzymać, by nie powiedzieć mu: „cześć”.
- Jesteś Amerykanką? - zapytał zdumiony. Francuzka siedząca za kierownicą zatrzymała samochód. Żołnierz wydał jej się miły.

- Tak - odparła Annabelle ze znużeniem.

- Kiedy tu przyjechałaś? Myślałem, że pielęgniarki przyplyną dopiero w przyszłym miesiącu. - Istotnie, zorganizowanie kobiecej służby ochotniczej zajęło więcej czasu niż mobilizacja poborowych.

Roześmiała się. Żołnierz mówił z bostońskim akcentem i musiała przyznać, że miło było go usłyszeć. Zapachniało domem.

- Jestem tu już dwa lata - odparła z uśmiechem. - To wyście się spóźnili.

- E tam. Kopniakami wygonimy szkopów tam, skąd przyszli. Najlepsze zostawili nam na koniec. - Wyglądał jak mały chłopiec, naprawdę nim był. Typowy bostoński Irlandczyk. Przypomniały jej się wizyty w Bostonie i wakacje w Newport. Nagle ogarnęła ją bolesna tęsknota, bodaj drugi raz przez te dwadzieścia dwa miesiące. Nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio się tak czuła. - Skąd jesteś? - zapytał. Jeden z jego kolegów gawędził już w najlepsze z Francuzką za kierownicą, ale musiały jechać dalej. Nie mogły stać tutaj i zagadywać żołnierzy, skoro w karetce był zmarły. Cóż z tego, że inne dziewczyny robiły gorsze rzeczy. Przychodził moment, kiedy okropności wojny nie szokowały już tak jak na początku.

- Z Nowego Jorku - odparła.

- A ja z Bostonu. - Poczwała alkohol w jego oddechu. Większość z żołnierzy piła na umór, gdy tylko wyrwali się ze swoich kwater.

Cóż, mieli ku temu dobry powód. Pili i bałamucili każdą dziewczynę, jaka weszła im w drogę.

- Poznałam po akcencie - odparła i dała koleżance znak, żeby ruszała. -

Powodzenia - rzuciła do niego i pozostałych.

- Nawzajem! - odparł i odsunął się od auta. Annabelle ogarnęła falą nostalgii za krajem. Chyba nigdy w życiu nie tęskniła tak mocno za domem, za wszystkim, co znajome, czego nie widziała i o czym nie pozwalała sobie myśleć przez dwa lata. Wzdychała, gdy we dwie niosły zmarłego do kostnicy. Miał być pochowany na wzgórzach wraz z niezliczonymi towarzyszami. Rodzina dostawała tylko zawiadomienie. Nie było możliwości, by odsyłać ciała do domów, było ich po prostu zbyt wiele. Prowizoryczne cmentarze pokrywały całą okolicę.

Myślała o Amerykanach, których widziała tego popołudnia, gdy wieczorem po dyżurze wyszła na krótki spacer. Tego dnia nie zdążyła dowieźć z polowego szpitala ani jednego rannego. Wszyscy umarli. Było to przygnębiające i choć zdarzało się często, nadal wytrącało ją z równowagi. Ci chłopcy byli tacy młodzi - często młodszy od niej. Teraz była już starsza od wielu pielęgniarek. W wieku dwudziestu czterech lat, po roku studiów, nie czuła się młodą dziewczyną. Zbyt wiele przeżyła przez ostatnie lata, widziała zbyt wiele bólu.

Szła zamyślona, ze spuszczoną głową, myśląc o swoim dawnym życiu w Ameryce. Wracała już do baraków mieszkalnych. Było po północy, a pracowała od szóstej rano. Zmęczona, nie rozglądała się wokół siebie, przestraszyła się więc, gdy usłyszała, że ktoś woła za nią z brytyjskim akcentem.

- Hej, ślicznotko - powiedział miękko mężczyzna. - Co tu robisz całkiem sama? -

Odwróciła się i zobaczyła angielskiego oficera, idącego tą samą ścieżką. Widać było, że jest pijany, widocznie postanowił wyjść z baru bez swoich kompanów. Był przystojny, mniej więcej w jej wieku i wyglądał świetnie w eleganckim mundurze. Annabelle nie przeraziła się, tym bardziej że był oficerem. Przez ostatnie dwa lata widywała mnóstwo pijanych mężczyzn i zawsze potrafiła utrzymać ich na dystans.

- Chyba potrzebuje pan taksówki - powiedziała rzeczowo, ze zmęczonym uśmiechem. - Proszę iść tam. - Wskazała mu jeden z budynków administracji, która często zajmowała się podobnymi sprawami. Pijanych oficerów widywało się stale, była wojna. Codziennie

zdarzali się żołnierze rozrabiający po nocy. - Ktoś podwiezie pana do obozu. - Wiedziała, że nikt nie będzie go o nic pytał. Szeregowym zmywano czasem głowę, ale oficerowie zawsze byli traktowani z szacunkiem należnym ich randze. Poznała po dystynkcjach, że to porucznik, akcent świadczył o tym, że pochodzi z dobrej rodziny. Co oczywiście nie zmieniało faktu, że zataczał się jak każdy pijany.

Chwiał się na nogach, patrząc na nią.

- Nie chcę wracać do obozu - powiedział krnąbrnie. - Wolałbym iść z tobą. Może wpadniemy na drinka? A w ogóle to kim ty jesteś? Pielęgniarką? - Patrzył na nią z góry, wyniośle, choć ledwie mógł skupić wzrok.

- Jestem sanitariuszką, a pan z pewnością będzie potrzebował pomocy medycznej, jeśli się pan nie położy.

- Świetny pomysł. Położymy się razem.

- To nie wchodzi w grę. - Patrzyła na niego chłodno, zastanawiając się, czy pójść, nie troszcząc się o niego. Do baraków było niedaleko. O tej porze wszyscy spali już w kwaterach, nie licząc tych, którzy mieli nocny dyżur w ambulansach i szpitalu.

- Za kogo ty się uważasz? - Skoczył naprzód, żeby ją złapać, ale cofnęła się. Oficer potknął się i omal nie upadł. Gdy odzyskał równowagę, był zły. - Jesteś nikim, ot co. - Jego twarz zrobiła się nagle zła. - Mój ojciec to hrabia Winshire. A ja jestem wicehrabią- powiedział z dumą, choć bełkotliwie.

- Miło mi pana poznać, wasza lordowska mość - odparła grzecznie. - Powinien pan wracać do obozu, zanim zrobi pan sobie krzywdę. Ja idę do baraku. Dobranoc.

- Suka! - wypluł jadowite słowo, gdy ominęła go spokojnie. Rozmowa trwała już zbyt długo i Annabelle nie miała ochoty jej kontynuować. Oficer był pijany i robił się coraz bardziej niemiły. Nie bała się go, miała już do czynienia z gorszymi, ale wolała nie kusić złego. Zanim jednak zdążyła się oddalić, on chwycił ją, obrócił i otoczył ramionami, próbując pocałować. Odepchnęła go i zaczęła się szamotać, ale był zadziwiająco silny jak na pijanego.

- Proszę przestać! - powiedziała głośno. Ale przestraszyła ją siła jego ramion. Nagle zrozumiała, że chce ją obezwładnić. Jedną ręką nakrył jej usta, drugą chwycił mocno i zaciągnął w ciemną wnękę pod drzwiami baraku. W pobliżu nie było nikogo, a on tak mocno przyciskał

dłoń do jej ust, że nie mogła krzyżeć. Ugryzła go w palce, ale to go nie zniechęciło. Walczyła jak kocica, gdy przewrócił ją na ziemię, położył się na niej i przycisnął całym ciężarem. Uderzyła o ziemię tak mocno, że zabrakło jej tchu. Wolną ręką zadarł jej spódnice i zaczął ściągać bieliznę. Annabelle nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Szamotała się z całych sił, ale była tylko drobną kobietą, a on wysokim, potężnym mężczyzną, kierowanym gniewem, alkoholem i nagłą żądzą, by mieć ją za wszelką cenę. Rozzłościła go, odrzucając jego awanse, i teraz chciał ją za to ukarać. Widziała furie w jego oczach, gdy coraz brutalniej przyciskał ją do ziemi. Ani na chwilę nie odsłonił jej ust, wydawała więc tylko stłumione, gardłowe dźwięki, których nikt nie mógł usłyszeć.

Noc była spokojna i cicha, dochodziły do niej tylko śmiechy kobiet i pijackie pokrzykiwania mężczyzn, wychodzących z barów. Nikt nie mógł usłyszeć jej jęków. Oficer rozpiął spodnie i poczuła jego twardość na swoim ciele. Jej mąż nie potrafił się do tego zmusić, obcy pijak brał ją siłą. Robiła wszystko, by to udaremnić - bez skutku. Kolanem rozsunął jej nogi i nagle znalazł się w niej - poruszał się gwałtownie i stękał, a ona próbowała z nim walczyć, ale przyciskał ją do ziemi i każdym pchnięciem zanurzał się coraz głębiej. Krzywiła się z bólu i uderzała plecami o schodek, na który ją przewrócił. Chwilę później było po wszystkim. Ulżył sobie z krzykiem, a potem odepchnął ją od siebie z taką siłą, że leżała w bramie jak skulona szmaciana lalka. Nie była już w stanie krzyżeć ani w ogóle wydać z siebie dźwięku. Za bardzo się bała. Powoli uklękła, wymiotowała i stłumiła szloch. Oficer też wstał, zapiął spodnie i spojrzał na nią z pogardą.

- Jeśli komukolwiek o tym powiesz, wrócę tu i zabiję. Znajdę cię. A moje słowo będzie się liczyć bardziej niż twoje.

Wiedziała, że to prawda. Był oficerem, na dodatek wicehrabią. Cokolwiek by powiedziała czy zrobiła, nikt nie odważyłby się go oskarżyć, a co dopiero ukarać za gwałt. Dla niego to nie miało znaczenia, ona straciła cnotę, którą zachowała mimo dwóch lat małżeństwa z ukochanym człowiekiem. Wziął ją i wyrzucił jak śmiecia - bo tak właśnie się czuła. Odszedł, a ona obciągnęła spódnice i długą chwilę leżała na progu, szlochając. Wreszcie podniosła się, ale zakreśliło jej się w głowie. Gdy ją gwałcił, uderzył jej głową kamienny stopień.

Oszołomiona powlokła się do baraku, po drodze zatrzymując się, by zwymiotować jeszcze raz. Cieszyła się, że nikt jej nie widział. Miała ochotę ukryć się gdzieś i umrzeć. Wiedziała, że nigdy nie zapomni jego twarzy i okrutnych oczu, gdy ją brał. Niemal wczołgała się po schodkach do baraku i poszła do łazienki, która, ku jej uldze, okazała się pusta. Obmyła się najlepiej jak mogła - na nogach i spódnicy miała krew, bo przecież była dziewicą. Oficer nawet tego nie zauważył, dla niego była kolejną dziwką, którą wziął po wesołym wieczorze w szynku. Czują między nogami okropny, pulsujący ból, bolały ją plecy i głowa, stłuczone o kamienny stopień. Ale wszystko to było niczym w porównaniu z bólem w jej sercu. Miał rację. Nawet gdyby próbowała o tym komukolwiek powiedzieć, nikt by jej nie słuchał ani nie przejął się jej losem. Dziewczyny codziennie oskarżały żołnierzy o gwałt i nikt nic nie robił w tej sprawie. Jeśli upierały się, by pójść z tym do władz albo przed trybunał wojenny, kończyły zhańbione i upokorzone, bo nikt im nie wierzył. Wmawiano im, że są dziwkami, które zachęcały napastników. A gdyby o takie przestępstwo oskarżyła angielskiego lorda, zostałyby wyśmiana przez każdą oficjalną instancję. Była wojna i sanitariuszka zgwałcona przez brytyjskiego oficera nie obchodziła nikogo. Teraz mogła się tylko modlić, by nie okazało się, że jest w ciąży. Nie wyobrażała sobie takiego okrucieństwa losu. Wczołgując się do łóżka, przeżywała wciąż od nowa to, co ją spotkało. Leżała bezsennie, szlochając i myśląc o Josiahu. Tak bardzo pragnęła żyć z nim i rodzić jego dzieci, a dostała drania, który zmienił akt miłości w karykaturę i zgwałcił ją. I nie mogła zrobić absolutnie nic - tylko spróbować zapomnieć.

Rozdział 18

We wrześniu Niemcy uzyskali znaczącą przewagę nad Rosjanami. W Villers-Cotterets Annabelle wymiotowała każdego dnia. Stało się to, czego się obawiała najbardziej. Od lipca nie miała menstruacji i wiedziała, że jest w ciąży. Nie miała pojęcia, co robić. Nie mogła nikomu nic powiedzieć ani powstrzymać tego, co się z nią działo. Plecy, głowa i intymne części ciała goiły się tygodniami, ale skutki tego, co zrobił gwałciciel, miały pozostać z nią już na zawsze. Zastanawiała się, czy nie poszukać znachorki, ale nie wiedziała, kogo o to zapytać, poza tym wiedziała, jakie to niebezpieczne. Odkąd pracowała w szpitalu, dwie pielęgniarki zmarły z powodu aborcji. Ona nie odważyłaby się na to. Wolałaby się chyba zabić, lecz i na to nie miała dość odwagi. Nie chciała urodzić tego dziecka. Z jej obliczeń wynikało, że nastąpi to pod koniec kwietnia. Gdy tylko ciąża zacznie być widoczna, będzie musiała opuścić szpital, na szczęście na razie nie było nic widać. Pracowała ciężiej niż kiedykolwiek - dźwigała nosze i ciężki ekwipunek, tłukła się ambulansem po wyboistych drogach i modliła się, by natura sama załatwiła sprawę. W miarę upływu czasu stawało się jednak coraz bardziej oczywiste, że nie poroni. Gdy jej talia zaczęła się poszerzać, wykradła płócienne bandaże z chirurgii i krepowała się nimi mocno. Ledwie mogła oddychać, ale była gotowa pracować tak długo, jak to tylko możliwe. Nie wiedziała, co ze sobą pocznie po odejściu ze szpitala.

Na Boże Narodzenie wciąż jeszcze nic nie było widać, lecz czasami czuła, jak dziecko porusza się w jej łonie. Powtarzała sobie, że ma wszelkie powody, by go nienawidzić, ale nie potrafiła. To dziecko było równie niewinne jak ona, nawet jeśli nienawidziła jego ojca.

Zastanawiała się, czy nie powinna zawiadomić go o tym, co się stało, i zmusić do przyjęcia odpowiedzialności, ale zapewne wyparłby się wszystkiego. Kto wie, ile kobiet zgwałcił? Była tylko śmieciem, który przepłynął obok niego w morzu wojny. Potraktowałby i ją, i dziecko równie brutalnie jak wtedy. Nie miała kogo poprosić o pomoc - była tylko kobietą noszącą nieślubne dziecko w wojennych czasach i nikt nie przejąłby się ani przez chwilę tym, że została zgwałcona.

W styczniu wciąż pracowała. Była w szóstym miesiącu, rosnący brzuch zasłaniała fartuchem. Nie było widać wypukłości, bo wciąż ciasno się bandażowała, w dodatku ze zmartwienia i z powodu braków w zaopatrzeniu jadła bardzo niewiele. Nie przytyła ani kilograma - przeciwnie, straciła trochę na wadze. Od lipca była w głębokiej depresji. I wciąż nie powiedziała nikomu o niczym.

W pewien zimny deszczowy dzień pod koniec miesiąca, gdy po południu zastępowała koleżankę na oddziale chirurgicznym, usłyszała rozmowę dwóch żołnierzy, sierżanta i oficera. Obaj byli Anglikami, obaj stracili nogi podczas bitwy. Annabelle stanęła jak wryta, gdy usłyszała, że wspominają o jakimś Harrym. Nie wiedziała, dlaczego - mogło przecież chodzić o kogokolwiek, po chwili jednak oficer powiedział, jaka to wielka strata, że zginął Harry Winshire. Mówili, jakim był wspaniałym człowiekiem i jak bardzo będzie im go brakować. Chciała odwrócić się i wykrzyknąć, że nie był wspaniałym człowiekiem, lecz potworem. Potykając się, wybiegła z oddziału na dziedziniec, roztrzęsiona z trudem chwytając zimne powietrze. Czowała się, jakby ktoś trzymał ją za gardło. Zgwałcił ją, a teraz jeszcze zginął. Jej dziecko nie będzie miało ojca. Ale czy kiedykolwiek go miało? Prawdopodobnie tak było lepiej, zasłużył sobie na to. Myśl o ciąży jej sytuacji znów spadła na nią jak grom, ogarnęło ją takie przerażenie, że zachwiała się i zemdlała, padając w błoto. Podbiegły dwie pielęgniarki. Jeden z chirurgów, który akurat wychodził z budynku, zatrzymał się i ukląkł przy niej. W szpitalu wszyscy nieustannie bali się cholery, ale kiedy lekarz i pielęgniarki dotknęli jej, przekonali się, że nie ma gorączki. Podejrzewali, że to z przepracowania, zbyt małej ilości snu i jedzenia - na tę chorobę cierpieli tu wszyscy.

Doktor pomógł wnieść Annabelle do środka. Gdy położyli ją na wózku, odzyskała przytomność. Była przemoczona, włosy kleiły się jej do czoła, fartuch oblepiał brzuch. Przeprosiła za kłopot i próbowała wstać i odejść, ale gdy tylko się podniosła, znów zemdlała. Tym

razem lekarz wepchnął wózek do niewielkiego gabinetu i zamknął drzwi.

Nie znał jej dobrze, ale często ją widywał. Spytał cicho, czy nie ma dyzenterii, lecz ona upierała się, że nic jej nie jest. Wyjaśniła, że pracuje od świtu i że nic nie jadła od wczoraj. Próbowwała uśmiechnąć się do niego, nie dał się jednak oszukać. Jej twarz miała ten sam kolor co fartuch. Zapytał ją o nazwisko.

- Panno Worthington, wydaje mi się, że cierpi pani na coś, co nazywamy wyczerpaniem frontowym. Może powinna pani wziąć urlop na kilka dni, żeby dojść do siebie. - Nikt z nich nie brał urlopu od miesięcy, ale Annabelle wiedziała, że jej dni w szpitalu są policzone. Brzuch rósł coraz szybciej, coraz trudniej było go ukryć, choćby nie wiadomo jak go ścisnęła. - Czy nie powiedziała mi pani jeszcze czegoś o swoim zdrowiu? - spytał doktor z troską. Ostatnią rzeczą, jakiej tutaj chcieli, był personel medyczny roznoszący choroby zakaźne czy umierający z przepracowania i ukrywanych dolegliwości. Wszyscy byli tak oddani pracy, że wiele pielęgniarek i lekarek ukrywało chorobę. Doktor obawiał się, że w jej przypadku jest tak samo. Wyglądała okropnie.

Pokręciła głową, lecz w jej oczach zabłyśły łzy.

- Nie, czuję się całkiem dobrze - powtórzyła uparcie.

- Tak dobrze, że zemdląła pani dwa razy - odparł łagodnie. Czuł, że jest coś jeszcze, ale ona nie chciała mu powiedzieć. Wyglądała na niedożywioną, tak jak wszyscy. Poprosił, by się położyła, żeby mógł ją zbadać. Gdy spełniła polecenie, dostrzegł niewielką wypukłość brzucha i spojrzał jej w oczy. Delikatnie położył na brzuchu dłoń i wyczuł to, co od tak dawna ukrywała. Już wiedział, z czym ma do czynienia. Nie jej jedynej jakiś żołnierz zostawił pamiątkę po wojennych czasach. Gdy doktor podniósł wzrok, Annabelle rozplakała się.

- Wydaje mi się, że o to właśnie chodzi - powiedział, kiedy usiadła, wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos. Wyglądała na zażenowaną i nieszczęśliwą. - Kiedy pani spodziewa się urodzić?

Omam nie udławiła się własnymi słowami. Chciała mu wyjaśnić, jak do tego doszło, ale nie odważyła się. Prawda była tak okropna, że ani on, ani nikt inny z pewnością by jej nie uwierzył. Wszyscy obwinialiby ją, była tego pewna, widziała, jak traktowane są inne dziewczyny. Niektóre twierdziły, że zostały zgwałcone, choć naprawdę miały po prostu romans. Dlaczego miałyby uwierzyć właśnie jej?

Nie

dość, że musiała strzec sekretu Josiaha, by chronić jego dobre imię -na dodatek teraz dźwigała tajemnicę wicehrabiego Winshire. I tylko ona płaciła za to wszystko.

- W kwietniu - odparła z rozpaczą.

- Długo udało się pani utrzymać to w sekrecie. - Rozpiął jej fartuch, pasek spódnicy i uniósł bluzkę. Był przerażony, gdy zobaczył, jak mocno się zabandażowała. Musiała robić to od miesięcy. - To cud, że może pani oddychać. - Bandaż był ciaśniej szy niż gorset, torturował i matkę, i dziecko.

- Nie mogę - odparła przez łzy.

- Niedługo będzie pani musiała przerwać pracę - powiedział, ale przecież sama dobrze o tym wiedziała. - A ojciec? - zapytał z troską.

- Nie żyje - szepnęła. - Właśnie się dowiedziałam. - Nie powiedziała mu, że nienawidzi Harry'ego i że cieszy się, iż zginął. Zasłużył sobie na to. Doktor byłby zbulwersowany tym wyznaniem.

- Rozumiem. Pojedzie pani do domu?

- Nie mogę - odparła. Nie oczekiwano jej w Nowym Jorku i Newport, a gdyby pojawiła się w ciąży, byłaby skończona na zawsze.

- Musi pani znaleźć jakiś dach nad głową. Chce pani, żebym pomógł jej znaleźć rodzinę, u której będzie się pani mogła zatrzymać? Może mogłaby pani pomagać im przy dzieciach.

Annabelle pokręciła głową. Ostatnio myślała o tym intensywnie. Na uczelnię nie mogła wrócić, przynajmniej na razie. Jedynym miejscem, jakie przyszło jej do głowy, było Antibes - miasteczko, które zwiedzała poprzedniego lata. Gdyby znalazła mały domek w okolicy, może nawet niedaleko starego kościoła, który tak jej się podobał, mogłaby ukryć się tam, póki dziecko nie przyjdzie na świat, a potem wrócić albo na front, albo do szkoły. Właściwie trudno wyobrazić sobie, by mogła przywieźć dziecko tutaj. Nie wiedziała jeszcze, jak to wszystko urządzi, ale odrzuciła pomoc doktora. Chciała decydować sama. Zresztą lekarz nie wiedział, że samodzielnie rozporządza znacznym majątkiem i stać ją na wynajęcie czy nawet kupienie domu.

- Dziękuję, poradzę sobie - odparła ze smutkiem. Doktor pomógł jej zejść z wózka.

- Proszę nie czekać zbyt długo - poradził. Był zdumiony, że udało jej się ukrywać ciążę przez sześć miesięcy.

- Nie będę - obiecała. - Dziękuję - powtórzyła ze łzami w oczach. Poklepał ją po ramieniu, by dodać jej otuchy, i razem wy-

szli z pokoju. Dwie pielęgniarki czekały pod drzwiami, chcąc się dowiedzieć, co z Annabelle.

- Nic jej nie jest - powiedział doktor z uśmiechem. - Wszystkie pracujecie za ciężko. Powiedziałem, że musi sobie wziąć trochę urlopu, zanim zarazi się cholera i wywoła tu epidemię. - Uśmiechnął się, posłał Annabelle znaczące spojrzenie i odszedł. Kobiety odprowadziły ją do pokoju. Na resztę popołudnia wzięła sobie wolne.

Leżała na łóżku, rozmyślając. Doktor miał rację, niedługo musi odejść. Zanim wszyscy się dowiedzą, a ona znów zostanie zhańbiona nie ze swojej winy.

Annabelle udało się zostać w Villers-Cotterêts do pierwszego lutego. Tego dnia z żalem oznajmiła, że odchodzi. Powiedziała przełożonej, że wraca na uczelnię w Nicei, nikt nie mógł mieć jej tego za złe. Spędziła w szpitalu czternaście miesięcy. Wyjeżdżając, czuła się jak zdrajczynie, ale nie miała innego wyjścia.

Był to dla niej smutny dzień, opuszczała szpital i ludzi, z którymi pracowała.

Podróż kolejną do Nicei zajęła jej dwa dni z powodu objazdów i długich godzin oczekiwania na wielu stacjach, gdy pociąg przepuszczał wojskowe transporty z zaopatrzeniem dla frontu.

W Nicei pierwsze kroki skierowała do małego sklepu jubilerskiego i kupiła złotą obrączkę ślubną. Gdy wsuwała ją na palec, jubiler pogratulował jej. Był miłym starszkiem i życzył jej szczęścia. Wyszła ze sklepu, płacząc. Wymyśliła historyjkę, że jest wdową po żołnierzu, który zginął pod Ypres. Nie było powodu, by ktokolwiek miał jej nie uwierzyć. Wyglądała na przyzwoitą osobę, kraj pełen był wdów, wiele dzieci rodziło się po śmierci ojców. Annabelle była kolejną drobiną w morzu ofiar i tragedii, spowodowanych wojną.

Zameldowała się w małym hoteliku w Nicei i kupiła sobie kilka czarnych sukien w dużym rozmiarze. Ze zdumieniem stwierdziła, jak duży ma brzuch, kiedy go nie bandażuje. Daleko jej było do Hortie, ale było widać jak na dłoni, że spodziewa się dziecka. Teraz nie miała już powodu tego ukrywać. Z obrączką na palcu i w czarnej wdowiej sukni wyglądała na porządną kobietę, którą przecież była, a smutek w jej oczach nie był udawany.

Chętnie odwiedziłaby doktora Graumonta w château, ale czuła, że nie mogłaby z nim rozmawiać. Postanowiła, że zjawi się później, z dzieckiem i opowieścią o mężczyźnie, którego poślubiła i który

zginął na wojnie. W tej chwili wszystko było jeszcze zbyt świeże. Nie czuła się gotowa spojrzeć w oczy nikomu znajomemu, dopóki nie urodzi dziecka. Poza tym nie bardzo wiedziała, jak wytłumaczy fakt, że nie zmieniła nazwiska. O tym jednak pomyśli później; teraz musiała znaleźć jakiś dach nad głową. Któregoś dnia wybrała się do Antibes i małego kościółka, który tak ją zachwycił. Była to kaplica żeglarzy, z której rozciągał się widok na port i Alpy Nadmorskie. Wychodząc z kościoła, zapytała stróżkę, czy nie słyszała o wolnych domach w okolicy, najlepiej do wynajęcia. Kobieta zaprzeczyła, ale nagle pochyliła głowę, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Jest jedna rodzina, która mieszkała tu przed wojną - powiedziała z południowym akcentem. Francuski Annabelle był już tak płynny, że nikt nie odgadłby, że nie pochodzi z Paryża czy któregoś z północnych miast Francji. - Wrócili do siebie, do Lyonu, obaj ich synowie zginęli. Nie byli tutaj od tamtej pory i chyba już nie wrócą. Ich chłopcy kochali ten dom. Rodzicom pewnie pękłyby serca. - Wytłumaczyła Annabelle, dokąd ma iść. Dom znajdował się w niewielkiej odległości od kościoła - mała, ładna willa, wyglądająca na letnią rezydencję. Staruszek zajmujący się ogrodem pokiwał głową, gdy Annabelle zapytała, czy jest możliwość wynajęcia domu. Odparł, że tak mu się wydaje, i obiecał napisać w jej imieniu do właścicieli. Powiedział, że w domu zostały wszystkie meble, ale Annabelle zapewniła go, że jej to nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, było jej to nawet na rękę.

Widział, że oczekuje dziecka - był to już siódmy miesiąc. Wyjaśniła, że jest wdową. Powiedziała, że chętnie wynajmie dom do końca roku, jeśli właściciele się zgodzą. Chciała wrócić na uczelnię na jesienny semestr, najpóźniej w styczniu. We wrześniu dziecko będzie miało pięć miesięcy - wtedy mogłaby podjąć studia, jeśli tylko znajdzie nianię. Może nawet mogłaby dojeżdżać, gdyby udało jej się zdobyć jakiś pojazd. Zostawiła ogrodnikowi swój adres w hotelu, a on obiecał, że porozumie się z nią, kiedy tylko będzie miał jakieś wieści od właścicieli. Miała nadzieję, że wzbudziła w nim współczucie i że staruszek namówi pracodawców, by wynajęli jej dom.

Wracając do Nicei, postanowiła, że jeśli nie znajdzie innego wyjścia, zostanie w hotelu. Nie było to idealne miejsce dla dziecka, ale pensjonat był czysty i porządny. Wolałaby mieszkać w domu, w ostateczności jednak zostanie tu.

Przez następnych kilka tygodni codziennie chodziła na spacery po mieście i po plaży, jadła tak dobrze, jak się dało, i sypiała długo, by nabrać sił. W szpitalu, w którym niegdyś miała praktyki, znalazła lekarza i opowiedziała mu zmyśloną historyjkę o tym, że jest wdową po żołnierzu. Doktor był pełen współczucia i nie protestował, gdy oznajmiła, że nie chce rodzić w szpitalu. Wołała nie ryzykować, że natknie się na kogoś ze znajomych. Doktor nie pytał o przyczyny i obiecał, że odbierze poród w domu.

Któregoś marcowego dnia po powrocie ze spaceru zastała wiadomość od Gastona, ogrodnika z Antibes. Prosił, by go odwiedziła, pojechała więc. Miał dla niej dobre wiadomości. Właściciele byli pełni zrozumienia dla jej sytuacji i z radością zgodzili się wynająć dom. Byliby nawet skłonni go sprzedać, ale nie podjęli jeszcze decyzji. Tak jak podejrzewał Gaston, willa przypominała im o zmarłych synach i powrót tutaj byłby dla nich zbyt bolesny. Na razie chcieli wynająć go na pół roku, o reszcie mieli zadecydować później. Staruszek oprowadził ją po willi i Annabelle była zachwycona tym, co zobaczyła. Była tu główna sypialnia, nie za duża i nie za mała, i dwie mniejsze, tuż obok. Trzy pokoje miały wspólną łazienkę, co zupełnie jej nie przeszkadzało. Łazienka, choć staromodna, była wyłożona kafelkami i miała ogromną wannę, która bardzo jej się spodobała. Na dole znajdowały się salon, jadalnia i ogromna, częściowo przeszklona weranda. Był to idealny dom dla samotnej kobiety z dzieckiem, znalazłoby się też miejsce dla dziewczyny do pomocy, gdyby potrzebowała opieki dla dziecka. Ale na razie chciała zostać sama.

Napisała do właścicieli, że zgadza się na warunki i że zleci swojemu bankowi przelew. Gaston też był zadowolony, że w domu znów zacznie toczyć się życie. Jego żona chętnie przyjdzie posprzątać. Mogła nawet pomagać przy dziecku. Annabelle podziękowała mu i wróciła do Nicei. Tego samego popołudnia poszła do banku, przedstawiła się kierownikowi i poprosiła, by zatelegrafował do Nowego Jorku i podał jej nowy adres. Musieli wiedzieć, dokąd przesyłać pieniądze, skoro zamknęła konto w Villers-Cotterets. Nie tłumaczyła, dlaczego jest w Nicei ani że spodziewa się dziecka. O tym nikt w Nowym Jorku nie musiał wiedzieć.

Była ciekawa, ile dzieci zdążyła urodzić Hortie od czasu jej wyjazdu. Nic nie mogła poradzić na to, że tęskniła za dawną przyjaciółką. Hortie zraniła ją boleśnie, ale zrobiła to ze słabości. Annabelle nadal

interesowała się jej losem, choć już nigdy nie będą przyjaciółkami. Nawet gdyby wróciła kiedyś do Ameryki, zbyt wiele wydarzyło się od ich ostatniego spotkania. Wprowadziła się do domu na Cap d'Antibes czwartego kwietnia. Doktor stwierdził, że dziecko urodzi się niedługo, choć nie potrafił określić dokładnego terminu. Annabelle była już naprawdę gruba -codziennie odbywała powolne spacerunki po wzgórzach i chodziła do kaplicy, by podziwiać widok roztaczający się z jej progu, a nocami czytała swoje stare medyczne książki. Florine, żona Gastona, sprzątała dom i od czasu do czasu gotowała.

Annabelle żywiła mieszane uczucia co do dziecka. Bała się, że ilekroć na nie spojrzy, będzie przypominać sobie przemoc i ból, które doprowadziły do jego poczęcia. Ale tak chciało przeznaczenie. Zastanawiała się, czy nie powiadomić rodziny wicehrabiego, nie była im jednak nic winna, a jeśli byli równie niegodziwi jak gwałciciel, nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Ona i dziecko mieli siebie i nie potrzebowali nikogo innego.

W trzecim tygodniu kwietnia wybrała się na długi spacer. Zajrzała do kościoła, jak to miała w zwyczaju, i ciężko usiadła na ławce przed wejściem, by podziwiać krajobraz. Chwilę wcześniej zapaliła świeczkę w intencji matki i pomodliła się za Josiaha. Nie miała od niego żadnych wieści od ponad dwóch lat i nie wiedziała, czy są jeszcze z Henrym w Meksyku, czy też wrócili do Nowego Jorku. Uwolnił ją od siebie i nie utrzymywał z nią kontaktu. Chciał, by zaczęła nowe życie, ale pewnie nawet nie podejrzewał, jak ciężko jej żyć i co musiała wycierpieć.

Powoli wracała do domu w ciepłym słońcu popołudnia, rozmyślając - o Josiahu, o Fłortie, o matce, ojcu i Robercie. Niemal czuła ich wszystkich obok siebie. Po powrocie poszła do sypialni i położyła się. Florine już wyszła. Annabelle zdrzemnęła się i ku swemu zaskoczeniu zbudziła się dopiero po północy, czując skurcz w plecach. Podbrzusze przeszył kłujący ból i natychmiast zrozumiała, co się dzieje. Nie było nikogo, kto mógłby sprowadzić doktora, nie miała telefonu, ale nie bała się. Była pewna, że poród to prosta sprawa i że poradzi sobie sama. Gdy jednak bóle stawały się coraz mocniejsze -jej pewność zniknęła. Uważała, że to niewyobrażalne okrucieństwo. Cierpiała, poczynając i teraz znów musi cierpieć, wydając na świat dziecko, które nie miało ojca i którego nie pragnęła. Przez te wszyst-

kie lata, kiedy pragnęła urodzić dziecko Josiaha, nie przyszło jej do głowy, że zazna macierzyństwa w taki sposób.

Wiła się przy każdym skurczu, ściskając w dłoniach pościel. Gdy o świcie ujrzała wschodzące słońce, krwawiła już mocno. Bóle były potworne, czuła się, jakby miała umrzeć. Przypomniała sobie opowieści Hortie i jej ciężkie porody.

Zaczynała wpadać w panikę, gdy w drzwiach sypialni pojawiła się Florine, która od progu usłyszała jej krzyki i przybiegła na górę. Annabelle leżała na łóżku z przerażeniem w oczach, niezdolna wypowiedzieć słowa z bólu, który nie ustawał przez całą noc. Rodziła już od ośmiu godzin.

Florine delikatnie zdjęła z niej kołdrę i rozłożyła pod nią stare prześcieradła.

Przemawiała łagodnie i uspokajająco, powiedziała, że wszystko idzie dobrze.

Spojrzała Annabelle między nogi i stwierdziła, że widzi główkę dziecka.

- Nie obchodzi mnie to - odparła żałośnie Annabelle. - Niech już ze mnie wyjdzie... - krzyknęła, gdy dziecko przesunęło się odrobinę naprzód, i znów cofnęło. Florine pobiegła na dół poszukać Gastona. Kazała mu natychmiast sprowadzić lekarza. Jej zdaniem wszystko szło, jak trzeba. Widziała już niejednego poród i wiedziała, że wszystko może trwać jeszcze długo. Najgorsze było jeszcze przed młodą panią, a fragment główki dziecka, który zobaczyła, był nie większy od monety.

Annabelle płakała, gdy Florine obmywała jej czoło kompresami z wody lawendowej. W końcu nie mogła znieść nawet tego. Nie chciała, by ktokolwiek jej dotykał, krzyczała z bólu. Zdawało się, że minęły wieki, nim w końcu pojawił się doktor. Oderwano go od innego porodu, kobiety, która rodziła bliźnięta. Do drugiej po południu, kiedy zjawiał się u Annabelle, nic nie posunęło się naprzód, tylko bóle stawały się coraz silniejsze.

Umył ręce i zbadał położnicę. Był bardzo zadowolony.

- Świetnie nam idzie - powiedział, dodając otuchy pacjentce, która krzyczała przy każdym skurczu. - Do kolacji dziecko się urodzi. - Annabelle spojrzała na niego z przerażeniem. Nie zniesie tych katuszy ani minuty dłużej. Lekarz poprosił Florine, by uniosła pacjentkę wyżej na poduszkach i podparła jej stopy. Annabelle walczyła z nimi z całych sił i wołała matkę, doktor jednak przemówił do niej surowo i powiedział, że musi wziąć się do roboty. Główka dziecka była coraz lepiej widoczna. Kazał Annabelle przecć, raz za razem,

w końcu padła na poduszki, zbyt wyczerpana, by zdobyć się na jeszcze jeden wysiłek, ale on powiedział, że ma przeć jeszcze mocniej i nie ustawać.

Poczerwieniała z wysiłku i w końcu główka dziecka przepchnęła się na zewnątrz. Ukazała się pomarszczona twarzyczka. Annabelle krzyknęła i spojrzała w dół, na dziecko wychodzące z jej łona.

Sprężyła się z całych sił, aż w końcu w pokoju rozległ się cienki, zawodzący płacz. Jasne oczka patrzyły na nich z maleńkiej buzi. Annabelle śmiała się i płakała, Florine aż pisnęła z radości. Dziecko wywijalo rączkami i nóżkami w płataninie pępowiny, którą doktor szybko przeciął. Florine owinęła je w kocyk i podała matce. Była to dziewczynka.

- Och... jest taka śliczna!... - powiedziała Annabelle, a łzy płynęły jej po policzkach. Mała istotka była wprost doskonała. Miała śliczne, drobne rysy, zgrabne rączki i nóżki, maleńkie stopki i dłonie. Doktor trafnie ocenił czas rozwiązania, nastąpiło kilka minut po szóstej. Stwierdził też, że to szybki poród jak na pierwsze dziecko. Annabelle nie mogła oderwać oczu od córeczki i przemawiała do niej, gdy doktor kończył swoje zabiegi. Florine miała później umyć młodą panią - na razie okryli ją kocem. Z nieskończoną czułością Annabelle przystawiła maleństwo do piersi, jak nakazywał jej instynkt macierzyński. Mały aniołek w jej ramionach był jedyną bliską istotą, jaką miała na świecie, wartą każdej chwili bólu, który teraz zdawał się zupełnie nieważny.

- Jak ją pani nazwie? - zapytał doktor, patrząc na obie z uśmiechem. Młoda wdowa teraz miała przynajmniej to maleństwo.

- Consuela - odparła cicho Annabelle. - Po mojej mamie. - Pochyliła się i ucałowała główkę córeczki.

Rozdział 19

Dziewczynka była naprawdę doskonała. Zdrowa, radosna, grzeczna jak mały aniołek, który spadł na ziemię i wylądował w ramionach mamy. Annabelle nie spodziewała się, że tak bardzo ją pokocha. Wszelkie skojarzenia z mężczyzną, który ją spłodził, zniknęły w chwili porodu. Consuela była jej dzieckiem i nikogo innego.

W lipcu Annabelle wybrała się w odwiedziny do doktora Grau-monta. Właśnie zaczęła się druga bitwa nad Marną. Śmierć zbierała coraz straszniejsze żniwo, ale teraz, gdy na świecie pojawiła się mała Consuela, Annabelle nie chciała wrócić na front. Nie mogła zabrać jej ze sobą, narażając na choroby, a nie chciała rozstawać się z dzieckiem na długo. Choć czuła się winna, że nie pomaga tam, gdzie jest najbardziej potrzebna, wiedziała, iż jej miejsce jest teraz przy dziecku. Florine zaofiarowała się, że weźmie małą do siebie, gdyby Annabelle chciała iść na wojnę, ale ona nie wyobrażała sobie, że mogłaby zostawić maleństwo choćby na godzinę, a co dopiero na całe miesiące. Postanowiła więc, że na razie zostanie w Antibes. Nadal pragnęła studiować i miała nadzieję, że wciąż czeka ją możliwość powrotu na uczelnię. Idąc do doktora Graumonta, opracowała swoją historyjkę w każdym szczególe. Powiedziała, że krótko po przybyciu do Villers-Cotterets wyszła za brytyjskiego oficera. Trzymali to w tajemnicy, póki nie będą mogli pojechać do Anglii i osobiście powiadomić jego rodziny, ale nim zdążyli to zrobić, jej mąż zginął. Ponieważ nikt nie wiedział o ślubie, postanowiła pozostać przy panieńskim nazwisku, szczególnie że jej własna rodzina nie miała innych potomków, a ona pragnęła, by nazwisko Worthington nie wygasło. W ten sposób uhonorowała swoich rodziców. Było to

nadzwyczaj naiwne, ale dziekan najwidoczniej jej uwierzył, a może po prostu chciał uwierzyć we wszystko, co mu powiedziała. Uznał, że dziewczynka jest śliczna, i zgodził się, by Annabelle zajęła mały domek na terenie uczelni, gdy wróci we wrześniu na jesienny semestr. Obecnie w château przebywało dziewięciu studentów, a trzech nowych miało zacząć we wrześniu. Dziekan ze smutkiem powiadomił ją o śmierci siedmiu jej dawnych kolegów. Cieszył się, że widzi Annabelle całą i zdrową i jeszcze piękniejszą po porodzie. Teraz wyglądała bardziej kobieco - tej wiosny skończyła dwadzieścia pięć lat. Była gotowa podjąć studia na nowo i nie zrażał jej fakt, że dostanie dyplom lekarski w wieku lat trzydziestu. Do rozpoczęcia semestru zostało już tylko sześć tygodni.

Postanowiła zatrzymać dom w Antibes, by móc jeździć tam, kiedy tylko będzie miała czas. Ale potrzebowała kogoś do opieki nad Consuelą, gdy ona sama będzie się uczyć, zatrudniła więc młodą Francuzkę, Brigitte, która miała z nimi zamieszkać. Wszystkie trzy miały wprowadzić się do domku, który doktor Graumont wynajął jej za symboliczną opłatą.

W wyznaczonym dniu we wrześniu Annabelle, mała Consuela i Brigitte przyjechały do château. Zagospodarowały się w domku, a nazajutrz Annabelle zaczęła zajęcia. Była bardziej podekscytowana niż na początku i szczęśliwsza niż kiedykolwiek, że może tu być. Miała przy sobie Consuelę, którą kochała całym sercem, przy tym znów mogła z pełnym zaangażowaniem zająć się studiami. Praca w nicejskim szpitalu stała się dla niej łatwiejsza. Z tym wszystkim, czego nauczyła się w Villers-Cotterets, czuła o wiele mądrzejsza niż przed wyjazdem.

Pod koniec wojny rozszalała się przerażająca epidemia grypy, która dziesiątkowała cywilów i żołnierzy, bez różnicy. Ludzie marli tysiącami, szczególnie dzieci i starcy.

Pod koniec września francuskie i amerykańskie oddziały rozpoczęły atak na departament Meuse-Argonne. W ciągu kilku dni siły dowodzone przez generała Douglasa Haiga przebiły się szturmem przez Linie Hindenburga. Sześć dni później Austria i Niemcy poprosiły Amerykę o rozejm, a brytyjskie, amerykańskie i francuskie wojska nieubłaganie kruszyły opór wroga, przechylając szalę zwycięstwa na swoją stronę. Walki trwały jeszcze przez pięć tygodni, Annabelle i jej koledzy nie rozmawiali o niczym innym.

W końcu, jedenastego listopada o jedenastej rano, walki ustały. Wojna, która niszczyła Europę przez ponad cztery lata i kosztowała życie jedenaście milionów ludzi, skończyła się.

Annabelle słuchała nowin z dzieckiem w ramionach, a po jej policzkach płynęły łzy.

Rozdział 20

Ludzie rozpoczęli wreszcie normalne życie. Żołnierze powracali do rodzinnych miast i wsi, żenili się z kobietami, które zostawili, albo z tymi, które poznali w wojennych czasach. Brali się do swoich zajęć, zawodów sprzed wojny. Wszędzie na ulicach widywało się inwalidów i rannych - o kulach, w wózkach, z protezami i bez. Chwilami wydawało się, że połowa mężczyzn w Europie jest okaleczona, ale przynajmniej byli żywi. Tych, którzy nie wrócili, oplakiwano. Annabelle często myślała o swoich kolegach, którzy nie wrócili z wojny. Każdego dnia tęskniła za Marcelem, a nawet za Rupertem, który tak bezlitośnie dręczył ją przez pierwsze miesiące w château, a potem stał się prawdziwym przyjacielem.

Wciąż zjawiali się nowi studenci - do wiosny w château uczyło się już sześćdziesięciu młodych ludzi gorliwych, pragnących służyć światu. Annabelle była nadal jedyną kobietą. Wszyscy pokochali Consuełę, która pierwsze urodziny obchodziła w towarzystwie sześćdziesięciu studentów medycyny, a następnego dnia postawiła swój pierwszy krok. Była oczkiem w głowie wszystkim, zdobyła serce nawet surowego doktora Graumonta. Gdy ukończyła siedemnaście miesięcy, jej mama rozpoczęła trzeci rok studiów. Annabelle uważała, by trzymać ją z dala od nieznanym, wciąż bowiem szalała epidemia grypy hiszpanki, na którą zmarło już kilka milionów ludzi.

Uczelnia okazała się idealnym domem dla Annabelle i Consue-li, a sześćdziesięciu kochających wujków korzystało z każdej okazji, by rozpieszczać małą. Przynosili jej drobne prezenty, bawili się z nią, któryś z nich zawsze trzymał ją na rękach albo huśtał na kolanie. Miała tu szczęśliwe dzieciństwo.

Annabelle musiała w końcu zrezygnować z wynajmowania domu w Antibes, gdyż właściciele zdecydowali się go sprzedać. Ze smutkiem żegnała się z Gastonem i Florine, ale Brigitte została z nimi, domek przy uczelni pomieścił trzy kobiety. Czasami, patrząc, jak wspaniale rozwija się Consuela, Annabelle zastanawiała się nad nawiązaniem kontaktu z rodziną wicehrabiego. Teraz, gdy wiedziała już, jak to jest mieć dziecko, myślała, że może jego rodzice chcieliby mieć ostatnią pamiątkę po synu w osobie jego córki. Ale nie potrafiła się na to zdobyć. Nie chciała z nikim dzielić się Consuelą. Mała była podobna do niej jak dwie krople wody, jakby nikt poza matką nie przyczynił się do jej narodzin. Wszyscy, którzy ją widzieli, powtarzali, że jest jak miniaturka Annabelle.

Lata studiów minęły jak z bicza strzelił. W tym samym miesiącu, kiedy dostała dyplom uczelni doktora Graumonta, Annabelle skończyła trzydzieści lat, a miesiąc wcześniej Consuela obchodziła piąte urodziny. Opuszczając uczelnię i domek, w którym mieszkały, Annabelle znów poczuła się tak, jakby opuszczała dom - radość mieszała się ze smutkiem.

Postanowiła pojechać do Paryża i złożyła propozycję współpracy szpitalowi Hôtel-Dieu de Paris, położonemu niedaleko Notre Dame na île de la Cité. Był to najstarszy szpital w mieście. Zamierzała też otworzyć gabinet internistyczny. Zawsze miała nadzieję, że będzie pracować z doktorem de Bré, ale on zmarł ubiegłej wiosny. Ostatnia nić łącząca ją z Ameryką została przecięta wiele miesięcy wcześniej. W marcu otrzymała list od prezesa banku ojca, powiadamiający

o tym, że Josiah zmarł w lutym w Meksyku, a Henry Orson wkrótce po nim. Prezes, który osobiście zajmował się jej sprawami, uznał, iż pewnie chciałaby o tym wiedzieć. Załączył też list, który Josiah zostawił dla niej. Dożył zaledwie czterdziestu dziewięciu lat.

Wiadomość o jego śmierci i list wywołały falę wspomnień i smutku. Minęło osiem lat od ich rozstania i jej przyjazdu do Europy, a siedem od rozwodu. List był czuły i nostalgiczny. Josiah pisał go w przededniu śmierci. Donosił, że był szczęśliwy z Henrym, ale zawsze myślał o niej z miłością, żałował krzywdy, jaką jej wyrządził, i miał nadzieję, że i ona znalazła szczęście i że któregoś dnia mu wybaczy. Czytając to, miała wrażenie, że świat, w którym się wychowała i w którym żyła z Josiahem, nie istnieje już od dawna. Nie czuła żadnego związku z tamtymi miejscami. Jej życie było tutaj, we

Francji. Miała dziecko i ukochany zawód. Wszystkie mosty zostały dawno spalone. Jedyne, co jej zostało, był dom w Newport, który stał pusty od ośmiu lat i którym wciąż opiekowali się wierni służący jej rodziców. Wątpiła, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy, ale nie chciała go sprzedać - nie było zresztą takiej potrzeby. Rodzice zostawili jej aż wystarczające środki do życia: i ona, i Consuela miały zapewnioną przyszłość. Któregoś dnia zapewne zbierze się na odwagę i sprzeda starą letnią „chatkę”, ale jeszcze nie teraz. Nie mogła się na to zdobyć, tak jak na napisanie do rodziców wicehrabiego. Ona i Consuela czuły się dobrze same we własnym świecie.

Z bólem opuszczała uczelnię i przyjaciół, jakich tu zyskała. Koledzy, którzy razem z nią otrzymali dyplom, także rozjeżdżali się po różnych częściach Francji. Wielu zostało na południu, z tymi, którzy wybierali się do Paryża, niewiele ją łączyło. Przez wszystkie lata spędzone w Europie nie związała się z nikim. Była zbyt zajęta pracą, studiami i córką, by myśleć o miłości. W jej życiu nie pojawiło się miejsce na nic innego, poza pracą i córką, i taki stan jej odpowiadał. Josiah złamał jej serce, a ojciec Consueli dopełnił dzieła zniszczenia. Nie pragnęła żadnego mężczyzny - ani nikogo innego prócz córki.

W czerwcu Annabelle i Consuela wyjechały do Paryża, zabierając ze sobą Brigitte, zachwyconą, że jedzie do stolicy. Annabelle od lat nie była w Paryżu i zdumiała się, widząc, jak pełne życia jest teraz miasto. Wsiadły na Gare de Lyon i taksówką pojechały do hotelu na lewym brzegu, gdzie Annabelle zarezerwowała pokoje. Był to mały hotelik, który polecił jej doktor Graumont - odpowiedni dla dwóch kobiet i dziecka. Dziekan ostrzegł ją przed niebezpieczeństwami czyhającymi w Paryżu. Annabelle zauważyła, że kierowca taksówki jest Rosjaninem o bardzo dystyngowanym wyglądzie. Po zwycięstwie bolszewików i zamordowaniu cara i jego rodziny, wielu dobrze urodzonych Rosjan mieszkało w Paryżu, mając się najróżniejszych zajęć. Niektórzy z nich prowadzili taksówki.

Z dreszczem radości zameldowała się w hotelu jako *docteur* Worthington. Cieszyła się jak dziecko. Nadal była młoda i równie piękna jak po przyjeździe do Europy, a kiedy bawiła się z Consuela, sama wyglądała jak dziewczynka. Pod tą młodością i pogodą kryła się jednak odpowiedzialna, poważna kobieta, której inni mogli zaufać i powierzyć swoje zdrowie i życie. Jej podejście do pacjentów budziło zazdrość kolegów na studiach i zyskało szacunek wszystkich

profesorów. Doktor Graumont wiedział, że Annabelle będzie świetną lekarką i przyniesie chlubę jego szkole.

Tymczasem wprowadziły się do hotelu, doktor Graumont miał dosłać ich rzeczy później, gdy już znajdą stałe miejsce zamieszkania. Annabelle chciała mieć dom, w którym mogłaby założyć gabinet i przyjmować pacjentów.

Następnego dnia po przyjeździe poszła do szpitala Hôtel-Dieu de Paris, by dowiedzieć się, czy uzyskała zgodę na umieszczanie tam swoich pacjentów.

Brigitte zabrała Consuelę do Ogrodu Luksemburskiego. Dziewczynka klasnęła radośnie w dłonie, gdy po powrocie do hotelu znów zobaczyła mamę.

- Widziałyśmy wielbłąda, mamusiu! - zawołała i po swoim opisała zwierzę, ku uciechu Brigitte i Annabelle. - Chciałam na nim pojeździć, ale mi nie pozwolili. - Zrobiła nadęsaną minkę, ale w następnej chwili śmiała się już radośnie. Ze swoimi jasnymi włoskami i śliczną buzią była doprawdy urocza.

Dzięki rekomendacjom doktora Graumonta szpital zgodził się przyjmować jej pacjentów. Był to dla Annabelle ważny krok. By to uczcić, zabrała Consuelę i Brigitte na kolację do Hôtel Meurice, a taksówkarz - kolejny Rosjanin - obwiózł je po całym Paryżu, by mogły obejrzeć miasto nocą. Wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Annabelle przyjechała tu w czasie wojny, ze złamanym sercem, wygnana przez złe języki z Nowego Jorku. Tak właśnie wyobrażała sobie początek nowego życia, na które tak ciężko pracowała.

Wróciły do hotelu o dziesiątej. Consuela zasnęła w taksówce i Annabelle wniosła ją na górę. Gdy już ułożyła ją w łóżku, poszła do siebie i wyjrzała przez okno na nocny Paryż. Od lat nie czuła się tak młoda i pełna energii. Nie mogła się już doczekać, kiedy zacznie pracę, ale najpierw musiała znaleźć dom.

Przez następne trzy tygodnie oglądała domy - miała wrażenie, że widziała już chyba wszystkie kamienice w Paryżu, na prawym i lewym brzegu. Brigitte zabierała Consuelę kolejno do wszystkich parków - Bagatelle, Ogrodu Luksemburskiego, Lasku Bulońskiego, mała przejechała się na każdej bodaj karuzeli w mieście. Co wieczór we trzy wychodziły na kolację. Annabelle od lat nie bawiła się tak dobrze i odkrywała całkiem nowe oblicze dorosłego życia.

W czasie, gdy nie oglądała domów, kupowała sobie nową garderobę, odpowiednią dla lekarki, ale i modną, bo przecież została teraz

paryżanką. Przypomniało jej się, jak biegała po sklepach z matką, kupując wyprawę ślubną, i opowiedziała o tym Consueli. Dziewczynka uwielbiała słuchać opowieści o babci, dziadku i wujku Robercie. Dawało jej to poczucie przynależności do kogoś więcej niż tylko matka, a Annabelle zawsze bolało serce, że nie może stworzyć jej rodziny z prawdziwego zdarzenia. Miały jednak siebie, powtarzała córce, i nie potrzebowały nikogo więcej. Consuela odpowiadała z powagą, że potrzebują jednak psa. Każdy w Paryżu miał psa. Annabelle obiecała, że gdy tylko znajdą dom, sprawią sobie pieska. Były to szczęśliwe dni, bo i Brigitte doskonale się bawiła, flirtując z jednym z chłopców hotelowych. Była śliczną dziewczyną i właśnie skończyła dwadzieścia jeden lat.

Pod koniec lipca Annabelle zaczęła odczuwać zniechęcenie. Nie znalazła domu, gdyż te, które oglądała, były albo za małe, albo za duże, nie miały też odpowiedniego miejsca na gabinet. Wydawało jej się, że nigdy nie znajdzie tego, na czym jej zależało. W końcu wypatrzyła idealny dom w wąskiej uliczce w szesnastej dzielnicy, małą, elegancką kamieniczkę z ogródkiem od frontu i większym z tyłu, i z oficynką z osobnym wejściem, gdzie mogłaby przyjmować pacjentów. Nieruchomość, wystawiona na sprzedaż przez bank, była w doskonałym stanie, Annabelle podobał się też jej szacowny wygląd. Niedaleko znajdował się niewielki park, gdzie Consuela mogłaby się bawić z innymi dziećmi. Annabelle natychmiast złożyła ofertę kupna, zgodziła się na cenę wywoławczą, ustaloną przez bank i pod koniec sierpnia stała się właścicielką posesji. Już przed sfinalizowaniem transakcji zamówiła meble, bieliznę domową, porcelanę. Kupiła urocze, zabytkowe sprzęty do pokoju Consueli, ładne wyposażenie do własnej sypialni i kilka prostych mebli dla Brigitte. Gabinetowi nadała stateczny wygląd, a przez cały wrzesień uzupełniała medyczne wyposażenie, potrzebne do prowadzenia praktyki. W drukarni zamówiła papeterię firmową, zatrudniła też sekretarkę medyczną, kobietę, która podobnie jak ona pracowała w Abbaye de Royaumont, choć Annabelle nigdy jej nie spotkała. Helene była cichą, starszą panią; pracowała u kilku lekarzy przed wojną i z radością zgodziła się pomóc Annabelle w rozwijaniu praktyki.

Na początku października Annabelle mogła już otworzyć gabinet. Urządzenie go trwało dłużej, niż się spodziewała, ale chciała,

by wszystko było jak należy. Drżącymi rękami zawiesiła tabliczkę na drzwiach i zaczęła czekać, co się wydarzy. Potrzebowała jednej, jedynej osoby, która weszłaby przez te drzwi. Potem wiadomość rozniosłaby się już pocztą pantoflową. Gdyby żył doktor de Bré, mógłby kierować do niej pacjentów, ale teraz nie mogła na to liczyć. Doktor Graumont napisał do kilku znajomych lekarzy z prośbą, by podesłali jej kilka osób, ale jak dotąd jego prośba nie przyniosła efektu.

Przez pierwsze trzy tygodnie nie wydarzyło się absolutnie nic. Annabelle i Hélène siedziały, patrząc na siebie. Annabelle codziennie wracała do głównej części domu, by zjeść lunch z Consuelą. W końcu na początku listopada w gabinecie pojawiła się kobieta ze skrzywionym nadgarstkiem i mężczyzna z paskudnie rozharatanym palcem. Od tej pory, jak za sprawą czarów, do poczekalni zaczął napływać stały strumień chorych. Każdy pacjent polecał ję kolejnemu. Nie były to trudne przypadki - raczej drobiazgi, które nie sprawiały jej żadnego kłopotu, ale dzięki powadze, kompetencji i delikatności zyskała sympatię chorych. Wielu z nich rezygnowało ze swoich poprzednich lekarzy i przysyłało znajomych, przyprowadzało dzieci, by szukać jej porady przy mniejszych i większych dolegliwościach. Od stycznia już bez przerwy poczekalnię wypełniali pacjenci, a Annabelle robiła to, czego uczyła się przez lata, i cieszyła się każdą minutą. Zawsze pamiętała, by dziękować kolegom po fachu za skierowanych do niej pacjentów, i z szacunkiem traktowała ich poprzednie diagnozy, by nie wyszli na ignorantów - choć niejednemu by się należało. Była skrupulatna, fachowa i miała właściwe podejście do chorych. Mimo urody i młodości lekarki każdy widział, że traktuje swój zawód poważnie. Pacjenci ufali jej bez reszty.

W lutym skierowała do szpitala syna jednej z pacjentek. Dwunastoletni chłopiec miał ostre zapalenie płuc. Annabelle odwiedzała go dwa razy dziennie i w pewnym momencie bała się nawet o jego życie, ale chłopak doszedł jakoś do siebie, a matka nie wiedziała, jak jej dziękować. Annabelle wypróbowała kilka nowych metod, które stosowano w Villers-Cotterêts, lecząc żołnierzy, i zawsze starała się łączyć stare i nowe metody. Wieczorami nadal czytała z zapalem, by dowiedzieć się wszystkiego o najnowszych badaniach, i ta otwartość na nowe idee doskonale służyła jej w pracy. Studiowała od deski do deski medyczne czasopisma, często do późnej nocy, tuląc do siebie śpiącą Consuelę, która twierdziła, że też chce być lekarką. Inne

dziewczynki chciały być pielęgniarkami, ale w rodzinie Annabelle zawsze stawiano poprzeczkę wysoko. Annabelle zadawała sobie pytanie, co na to wszystko powiedziała jej matka. Wiedziała, że nie takiego życia dla niej pragnęła, miała jednak nadzieję, że i tak byłaby z niej dumna. Consuela z pewnością byłaby zdruzgotana jej rozwodem, Annabelle nie potrafiła też odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Josiah rozwiódłby się z nią, gdyby matka żyła. Ale to wszystko było już przeszłością. A zresztą, jaki sens miałoby życie z nim, skoro kochał Henry'ego? Od początku stała na straconej pozycji. Nie czuła goryczy, lecz robiło jej się smutno na myśl o tym. Ilekroć o tym myślała, czuła ból, i podejrzewała, że będzie nosić go w sobie już zawsze.

Tylko mała Consuela nigdy jej nie zasmuciła. Była najszcześliwszym, najradośniejszym i najzabawniejszym dzieckiem na świecie, i uwielbiała swoją mamę. Uważała, że cały świat kręci się wokół niej, a Annabelle wymyśliła dla niej postać wspaniałego ojca, by mała nie czuła się gorsza od innych dzieci. Powiedziała jej, że tatuś był Anglikiem, cudownym człowiekiem z miłej rodziny, i że zginął bohaterską śmiercią na wojnie, zanim się urodziła. Jak na razie małej nie przyszło do głowy pytać, czemu nigdy nie poznała rodziny ojca. Wiedziała, że wszyscy krewni mamy nie żyją, ale Annabelle nie twierdziła, że Harry Winshire nie miał nikogo. Na szczęście Consuela nie pytała o to - słuchała tylko chętnie opowieści o tacie. W końcu któregoś dnia przy obiedzie zapytała, czy druga babcia, ta z Anglii, mogłaby ją kiedyś odwiedzić. Annabelle patrzyła na nią, zaskoczona tym pytaniem, i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że nadejdzie taki dzień, i nie była na to przygotowana. Consuela miała sześć lat, była bystra. Wszystkie koleżanki z parku miały babcie, dlaczego więc jej babcia ich nie odwiedza?

- Cóż... mieszka w Anglii. Nie rozmawiałam z nią od bardzo dawna... prawdę mówiąc... -nie znośiła okłamywać własnego dziecka - ... nigdy. Nie znam jej. Twój tatuś i ja zakochaliśmy się w sobie i wzięliśmy ślub w czasie wojny, a potem on zginął, nigdy więc nie miałam okazji poznać jego rodziny. - Płatała się pod czujnym wzrokiem dziecka.

- Nie chce mnie zobaczyć? - spytała Consuela i Annabelle popadła w czarną rozpacz. Sama nawarzyła tego piwa. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, poza tym że dziadkowie w ogóle nie wiedzą o jej

istnieniu. Ale nie chciała być zmuszana do kontaktów z nimi. Był to dla niej prawdziwy dylemat.

- Na pewno bardzo chciałyby cię poznać, jeśli tylko będzie mogła... to znaczy, jeśli nie jest chora, na przykład... wiesz, może być bardzo stara. - W końcu westchnęła i z ciężkim sercem obiecała: -Napiszę do niej i zobaczymy, co odpowie.

- Dobrze. - Consuela uśmiechnęła się do niej promiennie, a Annabelle, schodząc do swojego gabinetu, przeklinała w duchu Harry'ego Winshire'a, tak jak nie robiła tego od lat.

Rozdział 2 1

Zgodnie z obietnicą Annabelle zabrała się do pisania listu do lady Winshire. Nie miała pojęcia, od czego zacząć i o czym w ogóle pisać. Wyznanie prosto z mostu, że Harry zgwałcił ją, czego owocem jest nieślubna córka, nie wydawało jej się najlepszym początkiem, i zapewne lady Winshire również nie przypadłoby do gustu. Ale nie chciała jej okłamywać. W końcu podała niezwykle ogólnikową wersję wydarzeń. Nie miała ochoty poznawać tej kobiety ani doprowadzić do jej spotkania z Consuelą, ale chciała przynajmniej móc powiedzieć swojemu dziecku, że próbowała.

Napisała, że ona i Harry spotkali się w czasie wojny w Villers--Cotterets, w szpitalu, gdzie pracowała. To nie było kłamstwem, choć napisanie, że powalił ją na kamienne schodki i zgwałcił, byłoby o wiele uczciwsze. Dodała, że nie znali się zbyt dobrze i nie byli przyjaciółmi, co również było prawdą. Wydarzył się niefortunny wypadek, w wyniku którego na świat przyszło dziecko - urocza dziewczynka, która ma już sześć lat. Napisała, że nie kontaktowała się z nimi wcześniej, bo niczego od nich nie chce. Wyjaśniła, że jest Amerykanką, że przyjechała do Francji jako ochotniczka, a jej spotkanie z Harrym i ciąża były jednym z opłakanych skutków tej strasznej wojny - ale jej córeczka jest kochaną istotką i ostatnio zapytała o swoją babcię ze strony taty. Bez ogródek pisała, że dla niej również jest to niezręczna sytuacja, ale nie chce okłamywać dziecka bardziej, niż robiła to do tej pory. Mała wierzy, że jej rodzice wzięli ślub, co oczywiście nie jest prawdą. Zasugerowała, by lady Winshire - jeśli jest skłonna zdobyć się na taki gest - napisała do Consueli list albo choćby pocztówkę, może nawet przysłała swoje zdjęcie, jeśli to nie

kłopot. Na tym ich znajomość może się zakończyć. Podpisała się „dr Annabelle Worthington”, by ta kobieta wiedziała, że ma do czynienia z osobą szanowaną - choć oczywiście nie miało to żadnego znaczenia. To syn hrabiny nie był godny szacunku i powinien trafić do więzienia, ale tak się złożyło, że spłodził najbardziej urocze dziecko na ziemi, i Annabelle nie potrafiła go za to nienawidzić. Poniekąd była mu nawet wdzięczna - choć nie był jej najszcześniejszym wspomnieniem. Wysłała list i zupełnie o nim zapomniała. Przez cały maj miała pełne ręce roboty, poczekalnia pękała w szwach. Nie dostała odpowiedzi od lady Winshire, a i Consuela na razie zapomniała chyba o całej sprawie. Tej zimy zaczęła chodzić do szkoły, dzięki czemu Brigitte miała trochę czasu, by pomóc w gabinecie. Annabelle wróciła właśnie ze szpitala, gdzie odwiedzała pacjenta. Hélène powiedziała jej, że czeka na nią jakaś kobieta - siedzi w poczekalni już dwie godziny i nie chce powiedzieć, o co chodzi. Annabelle pomyślała, że może przyszła z jakąś wstydliwą dolegliwością. Włożyła fartuch, usiadła za biurkiem i poprosiła Helene, by wpuściła pacjentkę. Dwie minuty później Helene wprowadziła matronę imponujących rozmiarów. Dama ta była postawną kobietą o gromkim głosie, w ogromnym kapeluszu i z sześcioma sznurami wielkich pereł na szyi. W dłoni trzymała laskę ze srebrną główką i wyglądała tak, jakby miała zamiar kogoś uderzyć, gdy stanowczym krokiem wkroczyła do gabinetu. Annabelle wstała, by się przywitać, z trudem powstrzymywała uśmiech. Kobieta zignorowała jej wyciągniętą dłoń i spioru-nowała ją wzrokiem. Nie wyglądała na chorą i Annabelle nie miała pojęcia, po co właściwie przyszła. Ale jej gość przeszedł prosto do rzeczy. - Co to za nonsens, że podobno mam wnuczkę? - powiedziała surowo po angielsku. - Mój syn nie miał dzieci, żadnych zobowiązań, żadnych liczących się kobiet, w chwili gdy zginął. Ale skoro pani twierdzi, że ma z nim dziecko, czemu czekała pani aż sześć lat, by mi o tym powiedzieć? - Mówiąc to, usiadła na krześle po drugiej stronie biurka, nie przestając mierzyć Annabelle morderczym spojrzeniem. Przypominała swojego syna i Annabelle nie było już do śmiechu, kiedy zrozumiała, o co chodzi. Zamiast odpisać na list, matka Harry'ego przyjechała osobiście i wpadła tu jak burza.

- Czekałam sześć lat - odparła chłodno - ponieważ w ogóle nie chciałam się z panią kontaktować. - Potrafiła być równie bezpośrednia jak jej gość. Lady Winshire wyglądała na siedemdziesiąt lat. Harry byłby teraz pewnie po trzydziestce, tamtej nocy, gdy ją zgwałcił, oceniła go mniej więcej na równolatka. - Napisałam do pani, bo moja córka smuciła się, że nie ma babci. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nigdy pani nie poznałam. Tłumaczyłam jej, że jej ojciec i ja byliśmy małżeństwem tylko niedługo, że była wojna i że zginął na froncie, nie miałam więc kiedy poznać jego rodziny. Dla mnie to też bardzo niezręczna sytuacja.

- A byliście małżeństwem? - spytała z oburzeniem lady Winshire. Annabelle pokręciła głową.

- Nie, nie byliśmy. Spotkałam go tylko raz. - Takie wyznanie zapewne nie najlepiej o niej świadczyło, ale nie miała ochoty mówić matce, choćby najbardziej niemiłej, że jej syn był gwałcicielem. Uważała, że i hrabina, i Consuela mają prawo zachować złudzenia, postanowiła więc nie burzyć wyobrażeń lady Winshire, nawet własnym kosztem. - Wolałabym, żeby córka dalej wierzyła, że byliśmy po ślubie. Chciałabym dać jej przynajmniej tyle.

- Czy wtedy też była pani lekarką? - zapytała lady Winshire z nagłą ciekawością.

- Nie. Byłam sanitariuszką w korpusie ambulansów.

- Jak go pani poznała? - Coś w jej oczach złagodniało. Straciła na wojnie dwóch synów, ból i smutek nie były jej obce.

- To nieważne - odparła cicho Annabelle, żałując, że w ogóle do niej pisała. - Właściwie nie znaleźmy się. Córka jest owocem wypadku.

- Jakiego rodzaju wypadku? - Była jak pies, który chwycił kość, a Annabelle była właśnie tą kością.

Annabelle westchnęła, zanim zebrała się na odpowiedź. Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

- Za dużo wypił.

Lady Winshire nie wyglądała na zaskoczoną.

- Jak zwykle. Harry zawsze pił za dużo, a kiedy pił, robił różne głupie rzeczy. -

Spojrzała na Annabelle uważnie. - Jak głupio postąpił z panią?

Annabelle uśmiechnęła się. Może jego matka myśli, że ona chce ją szantażować.

Postanowiła ją uspokoić.

- Niczego od pani nie chcę.

- Nie o to chodzi. Jeśli to prawda, mam prawo wiedzieć, co zbroił mój syn.

- Po co? Jakie to ma teraz znaczenie? - spytała Annabelle cicho i z godnością.

- Pani jest bardzo wielkoduszną osobą - powiedziała spokojnie hrabina, sadwiąc się wygodniej. Wyglądało na to, że nie zamierza się nigdzie ruszać, póki nie pozna prawdy. - Ale ja znałam mojego syna. Edward, ten drugi, był niemal święty. Harry to diabeł wcielony. Uroczy jako dziecko, nieokiełznany jako dorosły. Czasami bardzo nieokiełznany. Nie poprawiało mu się, kiedy pił. Sądziłam, że znam już wszystkie historie na jego temat. - Westchnęła ciężko. - Chciałam przyjechać i porozmawiać z panią, bo nikt nigdy nie powiedział mi, że miał dziecko. Nie zaufałam pani od razu, myślałam, że czegoś pani chce. Ale zobaczyłam, że jest pani uczciwą kobietą. Teraz pani traktuje mnie równie nieufnie, jak ja panią. - Uśmiechnęła się cierpko i pogłaskała perły. - Wahałam się, czy przyjechać - wyznała. - Nie chciałam wchodzić w zażyłość z jakąś okropną, wulgarną osobą, która urodziła bękarta i teraz udaje, że spłodził go mój syn. Ale widzę, że pani tego nie chce i że pani spotkanie z moim synem, oględnie mówiąc, było nieprzyjemne. Nie chciałabym, by mój widok budził złe wspomnienie.

- Dziękuję - powiedziała Annabelle, doceniając to, co właśnie usłyszała. Ośłupiała, słysząc kolejne słowa lady Winshire.

- Czy on panią zgwałcił? - spytała hrabina. Najwyraźniej dobrze znała syna. Przez długą chwilę w gabinecie panowała pełna napięcia cisza, w końcu Annabelle skinęła głową, żałując, że jednak musi wyznać prawdę.

- Tak.

- Przykro mi - powiedziała hrabina o wiele łagodniej. - Nie pierwszy raz to słyszę - ciągnęła tonem, pełnym matczynego żalu. - Nie wiem, co zrobiłam źle. - Ze smutkiem w oczach spojrzała na Annabelle. - I co teraz? Bałam się tego, co tu zastanę, ale nie mogłam się oprzeć chęci ujżenia wnuczki, gdyby naprawdę się nią okazała. Mój mąż zmarł wiosną na zapalenie płuc. Obaj moi synowie nie żyją, żaden z nich nie był żonaty i nie miał dzieci. I nagle zjawia się pani. - Miała łzy w oczach i Annabelle współczuła jej szczerze.

- Chce pani poznać Consuelę? - spytała. - Ale uprzedzam, że nie jest do niego podobna. Wygląda tak jak ja.

- To wielkie błogosławieństwo - odparła z uśmiechem hrabina. Wstała z pewną trudnością, podpierając się laską.

Annabelle wstała również, wyszła zza biurka i wyprowadziła lady Winshire z gabinetu. Powiedziała Hèlène, że idą do domu. Na szczęście miała akurat przerwę. Przeszły przez ogródek do głównej części domu. Annabelle wiedziała, że Consuela na pewno wróciła już ze szkoły. Otworzyła drzwi kluczem. Lady Winshire rozejrzała się po holu.

- Ma pani ładny dom - stwierdziła uprzejmie. Annabelle najwyraźniej miała dobry gust i nie była nuworyszką.

- Dziękuję - odparła Annabelle. Wprowadziła ją do salonu i pobiegła na górę po córkę. Powiedziała jej, że mają gości i że chciałyby, by Consuela zeszła się przywitać. Ale nie powiedziała nic więcej.

Zeszły na dół, rozmawiając z ożywieniem i trzymając się za ręce. U stóp schodów Consuela uśmiechnęła się wstydliwie, dygnęła i podeszła, by podać obcej pani rękę. Dziecko najwyraźniej było grzeczne i dobrze wychowane. Lady Winshire spojrzała na Annabelle z aprobatą.

- Jak się masz, Consuelo - powiedziała do dziewczynki, która podziwiała jej wielki kapelusz i sznury pereł.

- Ma pani bardzo ładny kapelusz - stwierdziła w końcu, nie mogąc oderwać od niego oczu. Hrabina uśmiechnęła się.

- To bardzo miło z twojej strony. Jest trochę śmieszny i stary, ale go lubię. A ty jesteś śliczną dziewczynką. - Nigdy nie miała wnuczki i od lat nie rozmawiała z żadnym dzieckiem. - Przyjechałam aż z Anglii, żeby się z tobą zobaczyć. Wiesz, kim jestem? - zapytała łagodnie. Consuela pokręciła głową. - Jestem babcią, którą chciałaś poznać. Mamą twojego papy.

Consuela spojrzała przez ramię na matkę, a potem znów na babcię.

- Przykro mi, że nie poznałyśmy się wcześniej. Obiecuję to nadrobić - powiedziała uroczyście lady Winshire. Nigdy nie widziała równie uroczego i dobrze wychowanego dziecka. - Przywiozłam ze sobą trochę zdjęć twojego tatusia, z czasów, kiedy sam był małym chłopcem. Chciałabyś je obejrzeć? - Consuela pokiwała głową i usiadła na kanapie obok gościa. Lady Winshire wyciągnęła z torby plik starych fotografii, a Annabelle wyszła po cichu, by poprosić Brigitte o herbatę.

Lady Winshire została u nich ponad godzinę, a kiedy Consuela wróciła z Brigitte na górę, pogratulowała Annabelle wychowania tak uroczej córeczki.

- Rzeczywiście, jest wspaniała - przyznała Annabelle.

- Mój syn nie wiedział, jakie miał szczęście, że spotkał kogoś takiego jak pani i zostawił na świecie to słodkie maleństwo. - Patrzyła na Annabelle z wdzięcznością i współczuciem. Zakochała się we wnuczce od pierwszego wejrzenia, bo też trudno było się w niej nie zakochać. Annabelle już nie żałowała, że hrabina przyjechała osobiście, zamiast odpisać. To był wspaniały prezent dla jej córki. - Przykro mi, że tak źle panią potraktował. Miał też w sobie sporo uroku, szkoda, że nie poznała go pani z tej lepszej strony. Z początku pewnie musiało być pani bardzo ciężko. Annabelle skinęła głową.

- Zostałam w szpitalu tak długo, jak się dało, a potem wyjechałam do Antibes. Tam urodziła się Consuela.

- A pani rodzina? - Hrabinie wydawało się dziwne, że Annabelle pracuje w Paryżu zamiast w Ameryce, choć dziecko z pewnością skomplikowało jej życie.

- Moi krewni nie żyją - odparła Annabelle. - Zmarli wszyscy, zanim tu przyjechałam. Jesteśmy tylko ja i Consuela. - Lady Winshire też nie miała nikogo, ale teraz, choć poznały się w tak dziwnych okolicznościach, nie czuła się już sama. W końcu wstała i ujęła dłoń Annabelle.

- Dziękuję pani za ten niezwykły dar - powiedziała ze łzami w oczach. - Consuela jest małą cząstką Harry'ego, która pozwoli mi go dobrze wspominać, a do tego wspaniałą osobką. - To mówiąc, objęła Annabelle i ucałowała ją w policzek. Annabelle pomogła jej zejść po schodkach do samochodu, w którym czekał szofer. Nagle hrabina wydała jej się jeszcze starsza.

Lady Winshire uśmiechnęła się do niej i przed odjazdem delikatnie wsunęła coś w jej dłoń.

- To dla ciebie, moja droga. Należy ci się chociaż ten drobiazg. - Annabelle próbowała się opierać, nie patrząc nawet, co dostała, ale hrabina nalegała.

Uściśnęły się jeszcze raz. Annabelle czuła, że ma nową przyjaciółkę, kogoś w rodzaju kochanej, ekscentrycznej starej ciotki. Cieszyła się, że do niej napisała. Zyskały na tym wszystkie.

Pomachała za odjeżdżającym samochodem i dopiero gdy zniknął jej z oczu, spojrzała na to, co trzyma w dłoni. Wyczuła dotykiem, że to pierścionek, ale nie spodziewała się ujrzeć czegoś takiego. Był to przepiękny, ogromny szmaragd w antycznej, wysadzanej brylantami oprawie. Wyglądał jak pierścionki, które nosiła jej własna babka, teraz schowane bezpiecznie w sejfie nowojorskiego banku. Wsunęła go na palec, na którym nosiła kupioną przez siebie obrączkę. Była głęboko wzruszona. Pomyślała, że któregoś dnia przekaze klejnot Con-sueli, ale na razie chciała nosić go sama. Wracając do gabinetu, rozmyślała o babci, która pojawiła się nagle w ich życiu. Ona i Consuela nie były już same na świecie.

Rozdział 22

Tego lata w Paryżu wybuchła niegroźna epidemia grypy z powodu upału, jak uważali niektórzy, i Annabelle skierowała kilku pacjentów do szpitala. Odwiedzała ich dwa razy dziennie, ale miała nadzieję, że w sierpniu uda jej się wyjechać z Consuelą i Brigitte na wakacje. Nie mogła się zdecydować, czy pojedą do Dordogne, do Bretanii czy gdzieś na południe Francji. Jak się okazało, nie pojechały w żadne z tych miejsc, chorych przybywało. W końcu udało im się na kilka dni wyrwać do Deauville na normandzkim wybrzeżu, kiedy wszyscy pacjenci wyszli już ze szpitala.

Po powrocie Annabelle musiała znowu skierować dwie osoby na oddział z zapaleniem płuc. Któregoś popołudnia wychodziła ze szpitala później niż zwykle. Rozmyślała o pacjentce - starsza kobieta nie rokowała dobrze. Zastanawiała się, czy któraś z nowych metod nie okazałaby się skuteczna, gdy nagle na schodach przed wejściem wpadła na kogoś, kto właśnie wchodził do szpitala. Zderzyli się z taką siłą, że omal nie upadła. Nieznajomy chwycił ją szybko, zanim się przewróciła.

- Najmocniej przepraszam - powiedziała pospiesznie. - Nie patrzyłam, gdzie idę.
- Ja też. - Był równie skruszony jak ona i miał olśniewający uśmiech. - Odwiedzała pani kogoś? - Annabelle roześmiała się.
- Nie, jestem lekarzem - odparła. Dobrze chociaż, że nie wziął jej za pielęgniarkę.
- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności - odparł również z uśmiechem. - Ja też.
Czemu nigdy wcześniej nie miałem szczęścia na panią wpaść? - Był czarujący, a Annabelle odwykła od przekomarzania

się z mężczyznami. Już od lat chowała się za swoją pozycją lekarki, wdowy i matki Consueli. Mężczyźni nigdy z nianie flirtowali, ale ten wydawał się wesoły, skłonny do żartów, a na dodatek bardzo przystojny. - Jaką ma pani specjalizację? - zapytał z ciekawością, zupełnie niespeszony faktem, że nie zostali sobie formalnie przedstawieni. Powiedział, że nazywa się Antoine de St. Gris, ona też się przedstawiła. Nie chciał uwierzyć, że jest Amerykanką, słysząc, jak świetnie mówi po francusku.

- Jestem internistką - odparła, trochę speszona tą rozmową z obcym mężczyzną.

- A ja chirurgiem ortopedą - pochwalił się. Annabelle wiedziała, że większość ortopedów jest mocno zadufana w sobie. Tylko na froncie pokornieli, podobnie jak wszyscy, widząc, jak niewiele mogli zdziałać w morzu niedoli.

Sprowadził ją na sam dół, by dopilnować, żeby się nie przewróciła, jak stwierdził, i odprowadził do samochodu, który prowadziła sama.

- Czy będę miał szczęście jeszcze się z panią zobaczyć? - zapytał z filuternym błyskiem w oku. Annabelle roześmiała się.

- Zgłoszę się do pana, kiedy złamię nogę.

- Proszę nie czekać do tak niefortunnego wypadku albo ja będę musiał nabawić się zapalenia płuc i zgłosić do pani. A to by była wielka szkoda. Wolałbym spotkać się z panią, kiedy oboje jesteśmy zdrowi. - Pomachał jej, gdy odjeżdżała, i wbiegł lekko po schodach do szpitala. Wesoła pogawędka z mężczyzną była dla Annabelle jasnym punktem dnia. Tak rzadko ktoś z nią flirtował - właściwie nigdy. Spędziła spokojny wieczór, czytając Consueli, i w końcu położyła ją spać.

Następnego dnia, gdy badała pacjenta, Hélène powiedziała jej, że w poczekalni czeka jakiś doktor i żąda, by przyjęła go natychmiast. Twierdził, że chce z nią skonsultować pewien przypadek. Annabelle skończyła badanie pacjenta i zdumiona wyszła z gabinetu. W poczekalni Antoine de St. Gris w eleganckim granatowym palcie robił straszne zamieszanie i zabawiał pacjentów, z których większość śmiała się wesoło.

Poprosiła go do gabinetu.

- Co pan tu robi? - zapytała z zażenowanym uśmiechem. Miło jej było znów go zobaczyć, ale była zajęta. - Przyjmuję pacjentów.

- Wydaje mi się, że przeziębilem się wczoraj wieczorem. Bardzo boii mnie gardło.
 - Wystawił język. Annabelle roześmiała się. Zachowywał się okropnie, ale przy tym był uroczy.
 - Wygląda całkiem dobrze.
 - A jak tam pani noga? - zapytał.
 - Noga? Dobrze. Czemu pan pyta?
 - Bo wygląda na złamaną. Niech spojrzę. - Wykonał gest, jakby chciał sięgnąć do rąbka jej spódnicy. Annabelle cofnęła się ze śmiechem.
 - Doktorze, muszę pana prosić, żeby pan wyszedł. Mam pacjentów.
 - Świetnie. Skoro jest pani taka niedobra, to proszę się ze mną umówić na kolację dziś wieczorem.
 - Ale... ja nie... nie mogę...
 - Nie umie pani nawet wymyślić przyzwoitej wymówki - rzucił drwiąco. - Przyjdę po panią o ósmej. - To powiedziawszy, wrócił do poczekalni, pomachał pacjentom i wyszedł. Jego zachowanie było właściwie oburzające, a mimo to, a może właśnie dlatego, nie sposób było się na niego gniewać.
 - Kto to był? - spytała Hélène z niechęcią, nim poprosiła następnego pacjenta.
 - Ortopeda.
 - To wszystko wyjaśnia- burknęła Hélène, ale zauważyła wręcz pensjonarski rumieniec na twarzy swojej pracodawczyni. Nigdy przedtem nie widziała u niej takiego wyrazu twarzy. - Wariat -stwierdziła i dodała wbrew sobie: - Ale przystojny, nie przeczę. Spotka się pani z nim jeszcze?
- Annabelle zarumieniła się.
- Dziś wieczorem. Idziemy na kolację.
 - Proszę na niego uważać - ostrzegła Hélène.
 - Obiecuję - zapewniła ją Annabelle i zajęła się chorymi.
- Po siódmej zamknęła gabinet i wróciła do domu. Consuela śmiała się wesoło w kąpielni pod opieką Brigitte. Annabelle spojrzała na zegarek i stwierdziła, że ma niecałą godzinę, by przebrać się do kolacji z ekscentrycznym doktorem de St. Gris. Pocałowała Consuelę, która spytała, czy wieczorem mama zagra z nią w karty.
- Nie mogę - powiedziała Annabelle przepraszająco. - Wychodzę.

- Naprawdę? - To było niezwykle wydarzenie. Prawdę mówiąc, coś takiego zdarzało się bardzo rzadko, gdy Annabelle wychodziła na spotkanie w sprawach zawodowych albo na konferencję kobiet lekarek. Poza tym nie bywała nigdzie i nie prowadziła życia towarzyskiego, od kiedy przed dziewięciu laty wyjechała z Nowego Jorku. Gdy więc oznajmiła, że wychodzi, jej słowa miały efekt gromu z jasnego nieba. - A dokąd?

- Na kolację z jednym takim doktorem - odparła niewinnie Annabelle.

- Aha. Ale dokąd? - Consuela chciała wiedzieć wszystko, a jej mama czuła się odrobinę zawstydzona.

- Jeszcze nie wiem. Ma po mnie przyjść o ósmej.

- Tak? A jak wygląda?

- Zwyczajnie - odparła wymijająco Annabelle. Nie mogła przecież tłumaczyć dziecku, że jest przystojny i czarujący. Wyszła z łazienki i poszła się przebrać. Był ciepły wieczór, włożyła więc białą, lnianą suknię, którą kupiła w Deauville, do tego śliczny kapelusz, nabyty w tym samym sklepie. Czuła się dziwnie w tym stroju, ale nie co dzień zapraszano ją na kolację i nie mogła założyć codziennego ubrania, które nosiła w pracy.

Antoine de St. Gris zjawił się punktualnie o ósmej. Brigitte otworzyła mu drzwi i zaprowadziła do salonu, a Consuela, korzystając z okazji, że nikt jej nie pilnuje, zbiegła w podskokach na dół w koszuli nocnej i szlafroku. Weszła do salonu i uśmiechnęła się do gościa, choć Brigitte bezskutecznie próbowała zagonić ją z powrotem na piętro.

- Dobry wieczór - powiedziała wesoło. - To pan jest tym doktorem, który idzie na kolację z mamą? - Brakowało jej dwóch przednich zębów, przez co wyglądała szczególnie zabawnie.

- Tak jest. Co się stało z twoimi zębami? - zapytał Antoine, przyglądając jej się z uśmiechem.

- Zgubiłam je - odparła dumnie.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział poważnie. - Mam nadzieję, że szybko je znajdziesz. Dorastanie bez zębów może być bardzo uciążliwe. Nigdy na przykład nie mogłabyś jeść jabłek.

Consuela roześmiała się.

- Nie, nie znajdę ich. Zabrała je wróżka, a zamiast nich zostawiła mi cukierek. Niedługo będę miała nowe. Już je czuję... widzi

pan? - Zadarła zabawnie głowę i pokazała mu białe rąbki wyglądające z dziąseł.

- Co za ulga - powiedział z uśmiechem. Annabelle, która w tej chwili weszła do pokoju, ujrzała swoją córkę gawędzącą w najlepsze z doktorem.

- Widzę, że się poznaliście - powiedziała nieco nerwowo.

- Nieoficjalnie - wyznał gość i elegancko skłonił się Consueli. - Antoine de St. Gris - powiedział uroczyście. - Czuję się zaszczycony, mogąc panią poznać, szczególnie teraz, kiedy wiem, że będzie pani miała nowe zęby. - Consuela znów zachichotała.

Annabelle przedstawiła córkę, która dygnęła grzecznie. - Gotowa? - Antoine spojrział na Annabelle, a ona skinęła głową. Pocałowała Consuelę, kazała jej iść na górę i kłaść się spać. Kolację dziewczynka jadła przed kąpielą. Consuela wbiegła po schodach, machając na pożegnanie gościowi, a Annabelle wyszła z nim z domu.

- Przepraszam - powiedział poważnie Antoine, prowadząc ją do pięknego niebieskiego ballota, stojącego przed wejściem. Był to bardzo elegancki, sportowy kabriolet, który idealnie pasował do właściciela. Wszystko w nim było eleganckie, świadczyło o poczuciu stylu i pewności siebie. - W ogóle nie powinienem pani nigdzie zabierać. Moje serce należy do innej. Właśnie zakochałem się w pani córce. To najbardziej urocze dziecko, jakie widziałem w życiu.

Annabelle uśmiechnęła się.

- Umie pan rozmawiać z dziećmi.

- Byłem jednym z nich, dawno temu. Moja mama twierdzi, że nigdy nie dorosłem.

- Annabelle rozumiała ją doskonale, ale właśnie ten chłopięcy urok czynił go tak pociągającym. Dawała mu jakieś trzydzieści pięć, czyli raptem o cztery więcej, niż miała ona sama. Byli prawie rówieśnikami, ale Annabelle zachowywała się z powagą i rezerwą, podczas gdy on był przystojnym, uroczym wesółkiem. Podobała jej się ta jego pogoda i poczucie humoru. Pacjenci w poczekalni też byli nim zachwyceni - podobnie jak i jego podopieczni.

Gawędzili swobodnie w drodze do Maxima. Annabelle nigdy tam nie była, choć wiedziała, że to jedna z najlepszych restauracji w Paryżu i bodaj najmodniejsza.

Antoine natomiast był tam dobrze znany. Szef sali przywitał się z nim, a sam Antoine pozdrowił kilka osób przy stolikach i z dumą przedstawił im Annabelle, czy raczej doktor Worthington, jak ją

nazywał. Annabelle zawsze czuła się dumna, słysząc ten tytuł. Zasłużyła sobie na niego ciężką pracą.

Antoine wskazał dania, które mogły przypaść jej do gustu, i zamówił butelkę szampana. Rzadko pijała alkohol, ale szampan sprawił, że wieczór wydawał się bardziej uroczysty. Nie była na kolacji z mężczyzną od dziesięciu lat. Tutaj, we Francji, jej życie wyglądało zupełnie inaczej. Przyfrontowy szpital, studia, Consuela - i oto nagle siedziała z Antoine'em na kolacji u Maxima. To była przyjemna niespodzianka.

- Od jak dawna jest pani wdową? - zapytał przy kolacji.

- Od narodzin Consueli - odparła Annabelle.

- To długo, jak na samotne życie, oczywiście zakładając, że była pani przez ten czas sama. - Pozwolił sobie na to wścibstwo, bo była niezwykłą kobietą: piękną, pełną godności, najwyraźniej z dobrej rodziny, a do tego lekarką. Nigdy nie spotkał nikogo takiego.

- Tak - przyznała. Naprawdę była samotna o wiele dłużej. Dziewięć lat, od rozvodu z Josiahem, ale tego nie mogła mu powiedzieć.

- Pani małżeństwo nie trwało chyba długo - powiedział.

- Kilka miesięcy. Mąż zginął na froncie niedługo po ślubie. Poznaliśmy się w Villers-Cotterets, pracowałam tam w szpitalu, założonym przez Elsie Inglis.

- Była pani już wtedy lekarką? - spytał zdziwiony, bo musiałyby być o wiele starsza, niż wyglądała. Wydawała mu się bardzo młoda.

- Nie. Tylko sanitariuszką. Przerwałam studia, by tam pracować. A przedtem pracowałam w Abbaye de Royaumont w Asnieres. Po narodzinach Consueli wróciłam na uczelnię.

- Jest pani bardzo przedsiębiorczą kobietą i odważną - zauważył z podziwem. Kolacja była świetna. Antoine zamówił homara, a Annabelle jadła delikatne danie z cielęciny.

- Dlaczego chciała pani zostać lekarką?

- Pewnie z tych samych powodów, co i pan. Od dziecka fascynowały mnie nauki przyrodnicze i medycyna. Ale nigdy nie przypuszczałam, że będę miała szansę realizować swoje marzenia. A pan?

- Mój ojciec i obaj bracia są lekarzami. Mama też powinna. Mówi nam wszystkim, co robimy źle. I wstyd przyznać, czasem ma rację. - Roześmiał się. - Od lat pomaga ojcu w gabinecie. Dlaczego otworzyła pani praktykę tutaj, a nie w Stanach? - Nie mógł wręcz

uwierzyć, że Annabelle nie jest Francuzką. Mówiła po francusku, jakby się tu urodziła. Nigdy by nie podejrzewał, że jest Amerykanką.

- Nie wiem. Tutaj wydarzyło się wszystko, dzięki czemu zostałam lekarką. Przyjechałam pomagać żołnierzom, a potem tak jakoś mi się życie ułożyło. Jeden z chirurgów w Asnières pomógł mi dostać się na uczelnię w Nicei. Nie mogłabym tego zrobić, gdyby żyli moi rodzice. Mama nie była zachwycona moimi zainteresowaniami. Uważała, że prędzej czy później czymś się zarażę. W Nowym Jorku pracowałam z imigrantami.

- Mam więc szczęście, że przyjechała pani tutaj. Czy kiedykolwiek zamierza pani wrócić do Stanów?

Pokręciła głową.

- Nie mam tam nikogo. Nikt z moich bliskich nie żyje.

- To smutne - powiedział ze współczuciem. - Ja jestem bardzo zżyty z rodziną. Bez nich czułbym się zupełnie zagubiony. Jesteśmy trochę jak pierwotne plemię. Annabelle spodobało się to wyznanie. Wydawał się ciepły i przyjacielski, a jeśli wszyscy jego krewni byli równie zabawni jak on, musieli stanowić wesołą gromadkę.

- A rodzina męża? Widuje ich pani?

- Bardzo rzadko. Mieszkają w Anglii. A niedawno odwiedziła nas babcia Consueli. Bardzo miła osoba. - Nie powiedziała mu, że podczas tej wizyty widziały się po raz pierwszy w życiu.

Tak wielu spraw ze swojej przeszłości nie mogła mu zdradzić: tego, że jej prawdziwy mąż zostawił ją dla mężczyzny. Że rozwiódł się z nią z tego powodu. Tego, że została zgwałcona i nigdy nie poślubiła ojca Consueli. Przedstawiła mu łagodniejszą wersję. Najgorsze, że płaciła za grzechy, których nie popełniła - i miała za nie płacić do końca życia. Antoine, niefrasobliwy i wyrozumiały, może nie byłby zgorszony prawdą. W każdym razie chciała w to wierzyć. Ale i tak nie chciała mu o niej mówić. Opowiedziała historię przyzwoitej kobiety i nie miał powodów podejrzewać, że jest inaczej. Wszystko, co powiedziała, było wiarygodne, a jej wygląd i tryb życia świadczyły wyłącznie na jej korzyść.

Podczas kolacji Antoine wyznał, że nigdy nie był żonaty. Specjalizacja w chirurgii ortopedycznej zatrzymała go długie lata na studiach - skończył paryski Faculté de Médecine, a umiejętności praktycznych nabywał w szpitalu Pitié-Salpêtrière.

Wojna na jakiś czas

i jemu przerwała studia. Niby mimochodem wymknęło mu się, że został dwukrotnie odznaczony. Choć robił wrażenie beztroskiego, budził szacunek i sam najwyraźniej miał podobne zdanie o Annabelle. A ona, rozmawiając z nim, nabierała przekonania, że jest darem zesłanym jej przez niebiosy. Dziękowała losowi, że doktor de St. Gris potrafił ją na schodach szpitala, inaczej nigdy by go nie poznała. A on wydawał się równie zadowolony.

Odwiózł ją po kolacji do domu i zapytał, kiedy znów się zobaczą. Nie miała innych zobowiązań z wyjątkiem kolacji i wieczorów z Consuela, obiecał więc, że zadzwoni następnego dnia i ustalą jakiś plan. Ku jej zdziwieniu dotrzymał słowa. Siedziała właśnie przy biurku, uzupełniając karty pacjentów, gdy Hélène powiedziała, że doktor de St. Gris jest na linii. Zaprosił ją na kolację w najbliższą sobotę - za dwa dni. Zapytał też, czy w niedzielę ona i Consuela nie zechciałyby przyjść na lunch do domu jego rodziców, gdzie mieli też być jego dwaj bracia z żonami i dziećmi. Było to bardzo kuszące zaproszenie. Antoine pojawił się niespodziewanie w jej życiu i od razu wniósł w nie mnóstwo radości.

Wieczorem wspomniała Consueli o zaproszeniu. Mała była zachwycona. Uważała, że rozmowa o zębach była bardzo zabawna. Spojrzała na matkę i dodała, że jej zdaniem doktor Antoine jest bardzo miły. Annabelle zgadzała się z nią całkowicie. W sobotę Antoine zabrał ją na kolację do La Tour d'Argent, lokalu jeszcze bardziej eleganckiego niż Maxim. Annabelle włożyła prostą, ale świetnie skrojoną czarną suknię i szmaragdowy pierścionek od lady Winshire. Nie miała we Francji innej biżuterii, ale i tak wyglądała szykownie, uroda zdobiła ją lepiej od klejnotów. Spędzili razem cudowny wieczór, rozmawiając niemal do północy o wojnie, chirurgii, medycynie i nowym porządku w Europie. Antoine był interesującym i wesołym towarzyszem.

Równie miło upłynęła niedziela, którą spędziła z nim i jego rodziną. Jak się okazało, dom jego rodziców leżał niedaleko jej domu. Bracia zachowywali się zabawnie jak on, ich żony okazały się urocze, a dzieci mniej więcej w tym samym wieku, co Consuela. Wszyscy mówili o medycynie, co ogromnie podobało się Annabelle. Matka Antoine'a przypominała dobrotliwego tyrana w spódnicy, który rządził nimi wszystkimi. Często besztła Antoine'a, wytykając mu, że jeszcze się nie ożenił. Annabelle chyba przypadła jej do gustu; pani

de St. Gris nie chciała wprost wierzyć, że nowa znajoma syna nie jest Francuzką i że wychowała się w Nowym Jorku. Kolejno brała na kolana wszystkie dzieci, łącznie z Consuelą, a potem wygoniła je do ogrodu, żeby się pobawiły. Gdy Antoine odwoził Annabelle i Consu-elę do domu, obie były zmęczone, ale i zachwycone dniem.

- Dziękuję, że cierpliwie znosiła pani moją mamę - powiedział z uśmiechem. - Zwykle nie zabieram znajomych do domu na niedzielny obiad. Większość kobiet uciekłaby z krzykiem.

- Mnie się podobała - odparła Annabelle i mówiła to szczerze. Tęskniła za bliskimi, a i Consueli dobrze zrobiło, że zobaczyła prawdziwą rodzinę z ciociami, wujkami, kuzynami i dziadkami, których brakowało w jej życiu. Dziewczynka zachwycała się każdą minutą, jeszcze bardziej niż jej matka. - Dziękuję, że nas pan zaprosił.

- Powtórzymy to - obiecał. - Zadzwoń do pani i umówimy się na jakieś kolacje w przyszłym tygodniu. - Nie na kolację. Na kolacje. Nagle Antoine stał się ważną postacią w jej życiu i musiała przyznać, że czuje się przy nim szczęśliwa. A jego rodzina to dodatkowy podarek od losu.

Zadzwoił we wtorek i zaprosił ją na kolację na piątek, zaproponował też sobotni lunch w La Cascade, jednej z najstarszych restauracji w Paryżu, a także na niedzielny obiad z jego rodziną, jeśli tylko jest skłonna znieść to jeszcze raz. Poczula się oszołomiona.

Każda z ich randek była doskonała. Zarówno wytworna piątkowa kolacja w Ritzu, jak i lunch w La Cascade, wystawny i relaksujący, po którym spacerowali po ogrodach Bagatelle i podziwiali pawie. Gdy Antoine odwiózł ją do domu, zaprosiła go, by został na wczesną kolację, którą we dwie z Consuelą jadały zwykle w kuchni. Po kolacji grał w karty z Consuelą. Mała piszczała z radości, kiedy go pokonała, co, jak podejrzewała Annabelle, było trochę zaplanowane.

Niedziela z krewnymi przebiegła jeszcze lepiej niż poprzednia. Rodzina stanowiła przykład francuskiej burżuazji, ze wszystkimi jej opiniami, poglądami politycznymi, niepisanymi zasadami i etykietą, i solidnymi wartościami. Annabelle cieszyło to - tak jak oni była tradycjonalistką.

Przed obiadem z przyjemnością gawędziła o dzieciach z brato-wymi Antoine'a. Po obiedzie o medycynie z jego braćmi, z których jeden był chirurgiem w Asnieres, choć nigdy się nie spotkali, bo kiedy jego tam posłano, ona już studiowała. Mieli mnóstwo wspólnych

tematów i na pierwszy rzut oka było widać, że Annabelle doskonale do nich pasuje.

Na kolejny weekend Antoine zaprosił ją i Consuelę do Deauville. Zarezerwował oczywiście oddzielne pokoje, by nie budzić żadnych wątpliwości co do przyzwoitego charakteru wycieczki. Consuela ogromnie się cieszyła, podobnie jak i Annabelle. Zatrzymali się w dobrym hotelu, spacerowali wspólnie po molo, zbierali muszelki, zaglądali do wszystkich sklepików i jedli przepyszne owoce morza. Annabelle nie wiedziała, jak mu dziękować, kiedy wrócili. Consuela poszła z Brigitte na górę, senna po długiej jeździe, a oni stali przez chwilę w ogródku. Antoine spojrział na nią czule, delikatnie dotknął jej twarzy swoimi palcami chirurga, w końcu pocałował ją i objął.

- Kocham cię, Annabelle - powiedział miękko, sam jakby zdumiony własnymi słowami. Była poruszona tym wyznaniem, ale odczuwała to samo. Nigdy nie знаła nikogo tak cudownego jak on, tak dobrego dla niej i dla jej córki. Nie żywiła takich uczuć do nikogo, nawet do Josiaha, który był dla niej bardziej przyjacielem niż mężem. Spotkanie Antoine'a było jak grom z jasnego nieba i zakochała się w nim tak samo, jak on w niej. I wszystko stało się tak szybko. Kiedy pocałował ją jeszcze raz, poczuł, że drży.

- Nie bój się, najdroższa - powiedział uspokajająco. - Teraz już rozumiem, dlaczego nigdy się nie ożeniłem - dodał, spoglądając na nią z uśmiechem. Był najszcześniejszym mężczyzną na ziemi, a ona najszcześniejszą kobietą. - Czekałem na ciebie - szepnął i objął ją mocniej.

- Ja też - szepnęła, topniejąc w jego ramionach. Czowała się kompletnie, całkowicie bezpieczna. Znała go krótko, ale wiedziała jedno, ufała w jedno: że nigdy jej nie skrzywdzi. Nigdy w życiu niczego nie była tak pewna.

Rozdział 23

Kolejne tygodnie i miesiące z Antoine'em spędziła jak we śnie. Razem z Consuelą spotykała się z nim w weekendy. Pozwolił jej obserwować kilka swoich operacji. A ona wysłała do niego na konsultacje paru swoich pacjentów. Szanowała jego umiejętności i sądy, czasem bardziej niż własne. Zapraszał ją do najlepszych paryskich restauracji i dansingów. Choć robiło się coraz chłodniej, często spacerowali po parku. W ogrodach Wersalu chodzili, trzymając się za ręce i całowali, gdy spadł pierwszy śnieg. Każda spędzona wspólnie chwila wydawała się jej magiczna - żaden mężczyzna nie był dla niej tak czuły i kochający, nawet Josiah. Jej związek z Antoine'em wydawał się bardziej dojrzały, bardziej romantyczny, w dodatku łączył ich wspólny zawód. Antoine okazywał jej zainteresowanie i troskę, pojawiał się zawsze z kwiatami, Consueli podarował najładniejszą lalkę, jaką widziała w życiu. Sam już nie wiedział, jak je rozpieszczać. W każdą niedzielę odwiedzali jego rodzinę. Annabelle czuła się tak, jakby obie z Consuelą już do niej weszły, hołubione na wszelkie sposoby. Przygotowała dla niego prawdziwą amerykańską kolację z okazji Dnia Dziękczynienia i wyjaśniła mu znaczenie tego święta, którego idea wydała mu się bardzo wzruszająca. Wigilię jadły z jego rodziną i od wszystkich dostały prezenty. Annabelle też wybrała podarek dla każdego - kaszmirowy szal dla jego matki, eleganckie złote pióra dla obydwu braci, rzadkie pierwsze wydanie książki o chirurgii dla ojca, ładne sweterki dla obu bratowych i zabawki dla wszystkich dzieci. A oni byli równie hojni dla niej i dla Consueli.

W Boże Narodzenie zaprosiła wszystkich do siebie, by zrewanżować się za niedziele, które obie z Consuelą spędziły u nich. Antoine nie oświadczył jej się jeszcze oficjalnie, ale było oczywiste, że uważa ich związek za trwały. Snuł już plany przyszłych wakacji. A Hélène nieustannie żartowała z Annabelle.

- Słyszę dzwony weselne! - powiedziała kiedyś z uśmiechem. Uznała, że jednak lubi doktora de St. Gris i że jest to odpowiedni mąż dla Annabelle, która najwyraźniej była w siódmym niebie.

W sylwestra zabrał ją na dancing do hotelu de Crillon. O północy pocałował ją czule i spojrzał jej w oczy. Nagle bez ostrzeżenia ukląkł przed nią z błagalną miną. Annabelle w białej satynowej sukni wyszywanej srebrem i perełkami patrzyła, zdumiona, gdy przemówił z powagą, głosem pełnym wzruszenia.

- Annabelle, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? - Nie spodziewała się, że ktoś kiedykolwiek poprosi o jej rękę. Ze łzami w oczach skinęła głową i powiedziała „tak”. Antoine wstał i porwał ją w ramiona, ludzie wokół nich zaczęli wiwatować. Wszędzie, gdzie chodzili, stanowili najpiękniejszą parę - urodziwi, utalentowani, inteligentni, elegancy i godni szacunku. We wszystkim się zgadzali, a Antoine zawsze był kochający i czuły.

W Nowy Rok ogłosili swoje zaręczyny. Matka Antoine'a rozpląkała się i ucałowała ich oboje, potem wszyscy napili się szampana. Wieczorem oznajmili nowinę Consueli. Po ślubie Antoine miał się wprowadzić do ich domu.

Rozmawiali już nawet o dzieciach. On pragnął ich gorąco, podobnie jak Annabelle, a ona wiedziała, że tym razem wszystko będzie jak trzeba - nie będzie już sama. Na takie właśnie małżeństwo zasługiwała od początku, choć złośliwy los poskąpił jej go do tej pory. Tym razem wszystko toczyło się gładko. Nie spali jeszcze ze sobą, ale Antoine był tak zmysłowy i namiętny, że nie martwiła się o to. Gnębiło ją tylko to, że nie wiedział o jej przeszłości. Nie mówiła mu o Josiahu, o ich małżeństwie, przyczynie rozvodu ani o powodach, dla których opuściła Nowy Jork. Nie wiedział nic o okolicznościach poczęcia Consueli, o gwałcie w Villers-Cotterêts i o Har-rym Winshire. Z początku nie widziała powodu, by go wtajemniczać w swoje sekrety. Gdy zbliżyli się do siebie, wiedziała już, że powinna wyznać mu prawdę, i chciała tego, ale nigdy nie nadarzyła się odpo-

wiednia okazja. Teraz, gdy się jej oświadczył, a ona go przyjęła, jakoś niezręcznie było tłumaczyć mu to wszystko - czuła, że jest na to za późno. Ale jako kobieta honoru uważała, że jest mu to winna. Prawdopodobnie nigdy by się o niczym nie dowiedział, czuła jednak, że powinien wiedzieć o jej małżeństwie i o tym, że została zgwałcona. Nie mógł też podejrzewać, że pomijając gwałt, całe życie pozostała dziewicą. Miała trzydzieści jeden lat, dwa lata małżeństwa za sobą i nigdy nie kochała się z mężczyzną - bo brutalnego aktu na kamiennych schodkach nie można było nazwać miłością. Annabelle chciała, by o tym wiedział; dla niej było to ważne. To, co przeżyła, czego doświadczyła, stanowiło jej część, i choć obie historie były przerażające, nie miała wątpliwości, że Antoine przyjmie je wyrozumiale.

Dzień po Nowym Roku rozmawiali o ślubie. Antoine żenił się po raz pierwszy i miał liczne grono przyjaciół, chciał więc hucznego wesela. Annabelle wolałaby skromną uroczystość, jako że oficjalnie była wdową. Miała niewielu znajomych i żadnej rodziny oprócz Consueli. Ale chciała go uszczęśliwić i dać mu wszystko, czego by pragnął.

Zjedli lunch w Le Pré Catalan w Lasku Bulońskim, rozmawiając o liście gości, o tym, gdzie urządzać wesele i ile dzieci chcieliby mieć. Po posiłku poszli na spacer. Dzień był rześki i pogodny. Nagle Annabelle poczuła, że lepszego momentu nie będzie, czy jej się to podoba, czy nie. Nie mogli rozmawiać o szczegółach wesela i planować dzieci, skoro on nie znał jej przeszłości. Wiedziała, że to niczego między nimi nie zmieni, ale uczciwość nakazywała jej powiedzieć mu o wszystkim.

Szli kawałek w milczeniu, w końcu Annabelle spojrzała na niego z powagą.

- Muszę ci powiedzieć o kilku sprawach - zaczęła cicho. Czuła ucisk w żołądku, ale bardzo chciała mieć to już za sobą.

- A o czym? - zapytał z uśmiechem. Był nadal najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

- O mojej przeszłości.

- A tak, oczywiście. Żeby zapłacić za studia, pracowałam jako tancerka w Folies Bergère. Czy tak?

- Niezupełnie. - Uśmiechnęła się. Miło było wiedzieć, że będzie ją rozśmieszał do końca życia.

Mijali ławkę i Annabelle zaproponowała, by usiedli. Antoine objął ją ramieniem i przygarnął blisko do siebie. Uwielbiała, kiedy to robił. Po raz pierwszy od lat czuła się kochana, chroniona i bezpieczna.

- Zataiłam przed tobą kilka faktów - powiedziała szczerze. - Nie jestem pewna, czy są ważne, ale uważam, że powinieneś o nich wiedzieć. - Westchnęła głęboko. To było trudniejsze, niż się spodziewała. - Byłam już kiedyś mężatką.

Antoine uśmiechnął się szeroko.

- Tak, kochana, wiem.

- To nie było tak, jak myślisz, i nie wiesz, kim był mój mąż.

- Jesteś bardzo tajemnicza.

- Moje małżeństwo było dość tajemnicze, przynajmniej dla mnie. Kiedy miałam dziewiętnaście lat, wyszłam za Josiaha Millbana-ka. W Nowym Jorku. Pracował w banku mojego ojca. Kiedy teraz

o tym myślę, podejrzewam, że po prostu zrobiło mu się mnie żal, gdy mój ojciec i brat zginęli. Był dla mnie bardziej przyjacielem niż mężem, o dziewiętnaście lat starszym ode mnie. Rok po śmierci ojca

1 brata poprosił mnie o rękę. Pochodził z bardzo szanowanej rodziny. Wtedy to wszystko wydawało się jak najbardziej słuszne. Pobraliśmy się i nic się nie wydarzyło. - Westchnęła, nie bardzo wiedząc, jak to ująć. - No, nigdy się nie kochaliśmy. Myślałam, że to ze mną jest coś nie tak. Nigdy do niczego nie doszło, zawsze mnie zbywał. Mówił, że mamy mnóstwo czasu.

Antoine nie odzywał się słowem. Annabelle miała łzy w oczach na wspomnienie swojego zawodu i bólu, choć minęło już tyle lat.

- Dwa lata po ślubie wyznał mi, że jest zakochany w mężczyźnie, swoim bliskim przyjacielem, który często bywał w naszym domu. Sądził, iż będzie mógł prowadzić podwójne życie, ale okazało się, że nie mógł. Nigdy niczego nie podejrzewałam. Josiah powiedział, że kocha Henry'ego od dwudziestu lat i że musi mnie opuścić. Zamierzali razem wyjechać do Meksyku. Do podjęcia decyzji skłoniło go odkrycie, że obaj mają syfilis. Nie widziałam go potem nigdy więcej. Niedawno zmarł. Na szczęście nie zaraziłam się, bo nigdy nie doszło między nami do zbliżenia. Gdy skończyło się nasze małżeństwo, byłam dziewicą, tak jak na jego początku. Prawdę mówiąc, chciałam pozostać jego żoną. Kochałam go i byłam skłonna poświęcić dla nie-

go własne życie i przyszłość. Ale on odmówił. Powiedział, że zwraca mi wolność, bo jest mi to winien, i że zasłużyłam na coś lepszego. Na prawdziwego męża, na dzieci i wszystko to, co mi przyrzekał, a czego nie potrafił dać. - Płakała. - To on wystąpił o rozwód, ja nie chciałam. Uważał, że tak będzie dla mnie najlepiej. W Nowym Jorku jedyną podstawą do rozwodu jest zdrada i rozwiódł się ze mną pod takim pretekstem. Ktoś sprzedał tę historię do gazet i z dnia na dzień stałam się pariasem. Nikt nie chciał ze mną rozmawiać, nawet moja najlepsza przyjaciółka. Gdybym została, zostałabym zbojkotowana przez wszystkich nowojorskich znajomych. Byłam wyrzutkiem, kobietą zhańbioną. Wyjechałam do Francji, czułam, że nie mam innego wyjścia. W ten sposób trafiłam do Abbaye de Royaumont.

- A potem wyszłaś za mąż drugi raz? - Na twarzy Antoine'a malowało się osłupienie; nic innego nie mogła z niej wyczytać.

Pokręciła głową.

- Nie, nie wyszłam. Nigdy nie związałam się z żadnym mężczyzną, zbyt zdruzgotana tym, co spotkało mnie w Nowym Jorku. Po prostu pracowałam, dzień i noc. Nigdy nie spójrzałam na innego mężczyznę.

- A Consuela to niepokalane poczęcie? - zapytał skołowany.

- Coś w tym rodzaju - przyznała. Znowu zaczerpnęła powietrza. - Zostałam zgwałcona w Villers-Cotterets przez pijanego brytyjskiego oficera, który, jak się okazało, pochodził z arystokratycznej rodziny, choć był jej bardzo, bardzo czarną owcą. Widziałam go tylko przez kilka minut, nigdy więcej. Zginął niedługo potem. Okazało się, że jestem w ciąży. Niemal do siódmego miesiąca pracowałam, bandażując brzuch. - Bolesne szczegóły z trudem przechodziły jej przez gardło. Ale nie miała już wyboru. Kiedy Antoine dowie się wszystkiego, nigdy więcej nie będzie miała przed nim tajemnic. Zresztą właściwie powiedziała już wszystko. - Nigdy nie byłam jego żoną. Nawet go nie znałam. Wiedziałam tylko, jak się nazywa. Dopiero w tym roku skontaktowałam się z jego rodziną. Jego matka przyjechała nas odwiedzić i okazała się bardzo miła dla nas obu. Podobno on już wcześniej robił takie rzeczy. Nie była zaskoczona. - Zwróciła ku niemu twarz zalaną łzami. - No widzisz, byłam zameżna, ale nie z nim. Zasadniczo rzecz biorąc, Consuela jest nieślubnym dzieckiem. Nosi moje nazwisko. A ja nie jestem wdową, tylko rozwódką,

po małżeństwie z zupełnie innym mężczyzną. To wszystko. - Odetchnęła z ulgą.
- To wszystko? - zapytał Antoine dziwnym tonem. - Nie siedziałaś w więzieniu ani nie zabiłaś człowieka?

Annabelle uśmiechnęła się lekko, słysząc to pytanie, i pokręciła głową.

- Nie. - Spojrzała na niego z miłością i otarła oczy. To trudne wyznanie, ale cieszyła się, że to zrobiła. Chciała być z nim całkowicie uczciwa. Antoine zerwał się z ławki i zaczął chodzić tam i z powrotem. Wyglądał na zdenerwowanego czy wręcz oszołomionego. Bo też jej opowieść mogła wywołać wstrząs - przyznała w duchu Annabelle.

- Czy dobrze zrozumiałem? Byłaś żoną człowieka, który miał syfilis, ale twierdzisz, że nie spałaś z nim?

- Tak - potwierdziła słabym głosem. Nie podobał jej się wcale jego ton.

- Rozwiódł się z tobą, zarzucając ci zdradę, której, jak twierdzisz, nigdy się nie dopuściłaś, choć on z tobą nie sypiał. Zostałaś odrzucona przez towarzystwo w Nowym Jorku z powodu cudzołóstwa, którego nie popełniłaś, ale które stało się pretekstem do rozwodu, bo ty nie chciałaś się z nim rozwieść, chociaż zdradzał cię z mężczyzną. Po rozwodzie uciekłaś. A gdy znalazłaś się tutaj, zaszłaś w ciążę w wyniku gwałtu, jak twierdzisz, dokonanego przez obcego mężczyznę. Nie byłaś jego żoną i nie widziałaś go nigdy więcej. Urodziłaś jego dziecko, udając wdowę, by ukryć fakt, że jesteś rozwódką, odrzuconą przez męża za zdradę. A teraz przyprowadzasz swojego bękarta do domu moich rodziców i pozwalasz mu bawić się z moimi bratankami, udając wdowę przed moimi rodzicami i przede mną. Na litość boską, Annabelle, czy cokolwiek, co powiedziałaś mi od początku naszej znajomości, było prawdą? W dodatku twierdzisz, że nie licząc tego rzekomego gwałtu, w którego wyniku urodziłaś bękarta, właściwie jesteś dziewicą. Uważasz mnie za głupca? - Jego oczy płonęły, słowa wbijały się w jej serce jak nóż. Nigdy w życiu nie widziała nikogo tak wzburzonego. Rozplakała się, skulona żałością na ławce, a on chodził koło niej z coraz większą furją. Nie śmiała nawet wyciągnąć ręki, dotknąć go - wyglądał, jakby mógł ją uderzyć. A to, co mówił, było jak uderzenie.

- Musisz przyznać - powiedział lodowato - że trudno w to wszystko uwierzyć. W twoją rzekomą niewinność, skoro, jak podejrzewam, zdradzałaś męża i prawdopodobnie masz syfilis. Chwała Bogu, że z tobą nie spałem. Kiedy zamierzałaś zdradzić mi swój mały sekret? W Nowym Jorku potraktowano cię jak dziwkę, którą zapewne byłaś, urodziłaś bękarta komuś, kto, jak twierdzisz, pochodził z arystokratycznej rodziny. Mam uwierzyć, że ta rodzina cię lubi? Od początku do końca postępowałaś jak ladacznica. I oszczędź mi historyjek o swoim dziewictwie. Biorąc pod uwagę ryzyko syfilisu, nie mam zamiaru tego sprawdzać. Nawet gdyby ją pobił, nie zadałby jej takiego bólu. Trzęsąc się cała, podniosła się, by spojrzeć mu w twarz. Potwierdziło się to, czego obawiała się najbardziej: jest napiętnowana z powodu cudzych grzechów i nikt nigdy nie uwierzy w jej niewinność, nawet człowiek, który twierdził, że ją kocha.

- Wszystko, co usłyszałaś, jest prawdą - powiedziała. - Od początku do końca. I nie waż się nazywać mojej córki bękartem. To nie jej wina, że zostałam zgwałcona, ani nie moja. Mogłam usunąć ciążę, ale za bardzo się bałam, postanowiłam więc urodzić dziecko mimo wszystko i ukrywać jego pochodzenie najlepiej, jak umiałam, żeby ludzie nie mówili o niej tego, co właśnie powiedziałaś. Syfilis może być zaraźliwy, ale brak legalnego ojca nie. Nie musisz się martwić, że twoi bratankowie się zarażą. Nie ma żadnego ryzyka.

Rozgniewały ją okrutne słowa.

- Nie mogę tego samego powiedzieć o tobie! - warknął ze złością, ciskając wzrokiem gromy. - Jak śmiałaś myśleć, że zdołasz wpakować mnie w małżeństwo, udając wdowę i trzymając przede mną w tajemnicy wszystko, począwszy od syfilisu, przez cudzołóstwo, po bękarta? Jak mogłaś przedstawić się mojej rodzinie jako osoba szanowana? A teraz próbujesz mnie przekonać, że te oburzające kłamstwa są prawdą. Miej przynajmniej dość odwagi, by przyznać się do tego, kim jesteś. - Szalał z wściekłości. Czuł, że zawiodła jego zaufanie, że zbrukała świętość jego rodziny. To, co mu powiedziała, było niewyobrażalne. Nie uwierzył w ani jedno słowo i był oburzony na sposób, w jaki próbowała teraz oczyścić się z winy.

- A kimże jestem twoim zdaniem, Antoine? Dziwką? Twierdziłaś, że mnie kochasz. Gdzie się podziało zaufanie, wiara we mnie?

Nie musiałam ci nic mówić. Pewnie nigdy byś się nie dowiedział. Ale chciałam powiedzieć ci prawdę, bo cię kocham, i masz prawo wiedzieć o mnie wszystko. To, co mnie spotkało, stało się z winy innych. Zapłaciłam za to wysoką cenę. Zostawił mnie mąż, którego kochałam. Moje małżeństwo okazało się oszustwem. Zostałam wygnana z jedyne go świata, jaki znałam. Straciłam bliskich i przyjechałam tutaj jako dwudziestodwuletnia dziewczyna. Dziewictwa pozbawił mnie gwałcieciel. Urodziłam dziecko, którego nie chciałam, całkiem sama. Co jeszcze musiałoby mnie spotkać, żebyś okazał mi odrobinę współczucia i wiary?

- Jesteś kobietą lekkich obyczajów i oszustką, Annabelle. Masz to wypisane na twarzy.

- Dlaczego nie widziałeś tego wcześniej? - wykrztusiła przez łzy. Krzyczeli na siebie, ale dookoła w Lasku Bulońskim nie było nikogo.

- Nie widziałem, bo jesteś mistrzynią oszustwa. W życiu nie widziałem tak dobrej aktorki. Przekonałaś mnie. Zatrzymałaś moją rodzinę i zbrukałaś wszystko, co było mi drogie - odparł z emfazą. Jego słowa bolały jak okrutne razy. - Nie mam ci nic więcej do powiedzenia - dodał, odsuwając się od niej jak od węża. - Wracam do domu i nie zamierzam cię odwozić. Może złapiesz jakiegoś żołnierza czy marynarza i zabawisz się w drodze powrotnej. Ja nie dotknąłbym cię nawet czubkiem buta. - Odwrócił się i odszedł pospiesznie, a ona, roztrzęsiona, patrzyła za nim i nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Po chwili usłyszała odjeżdżający samochód. Powoli wyszła z Lasku Bulońskiego. Czowała, jakby świat zawalił jej się na głowę i wiedziała, że już nigdy nikomu nie zaufa. Nie mogła zaufać Hortie ani Antoine'owi. Nikomu. Od tej pory jej tajemnice na zawsze pozostaną tajemnicami. Ona i Consuela nie potrzebują nikogo. Omal nie wpadła pod samochód, kiedy dotarła na ulicę.

Zatrzymała taksówkę i podała szoferowi adres. Przemarznięta do kości, szlochając bez opamiętania, wsiadła do auta. Miły Rosjanin, który ją wiozł, zapytał w końcu, czy może jej jakoś pomóc, ale ona pokręciła tylko głową. Antoine właśnie jej udowodnił, że nie ma na świecie czegoś takiego jak miłość czy wybaczenie. To, co zostało z jej serca, leżało strzaskane u jej stóp. A pomyśl, że Consuela mogłaby skazić czyjąkolwiek rodzinę, doprowadzał ją do mdłości.

Kiedy dojechali pod dom w szesnastej dzielnicy, miły, stary Rosjanin nie chciał przyjąć od niej pieniędzy. Pokręcił tylko głową i wsunął je jej z powrotem w rękę.

- Nie może być aż tak źle - powiedział. Sam przeżył przecież niejedno.
- Owszem, może - odparła, dusząc się od łez. Podziękowała i wbiegła do domu.

Rozdział 24

Przez następne trzy dni błąkała się po domu jak duch. Odwołała umówionych pacjentów, nie chodziła do gabinetu, powiedziała, że jest chora. I była. Miała złamane serce - Antoine podeptał je i zniszczył tę wiarę w ludzi, jaka jej jeszcze pozostała. Gdyby rzucił w nią kamieniem albo ją opluł, nie zadałby jej tyle bólu, ile zdołał to zrobić słowami.

Brigitte zaprowadziła Consuełę do szkoły i do parku - im też powiedziała, że nie czuje się dobrze. Tylko Hélène jej nie uwierzyła. Wyczuwała, że stało się coś strasznego, i bała się, że Antoine ma w tym swój udział.

Annabelle leżała w łóżku, rozpamiętując to, co się stało, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Nie chciało jej się wstawać i otwierać, a Brigitte nie było w domu. Nie miała ochoty widzieć nikogo, szczególnie Antoine'a. Po tym, co od niego usłyszała, nie miała mu już nic do powiedzenia. Nie zadzwonił do niej, od kiedy zostawił ją w parku, a i ona nie zamierzała już nigdy z nim rozmawiać. Wątpiła zresztą, by kiedykolwiek szukał z nią kontaktu.

Dzwonek nie milkł przez dobre dziesięć minut, w końcu więc włożyła szlafrok i zeszła na dół. Może to coś pilnego, może ktoś z sąsiedztwa potrzebował lekarza. Otworzyła drzwi, nie wyjrzawszy nawet przez szybkę, i zdumiała się, widząc przed sobą Antoine'a. Przez sekundę oboje nie wiedzieli, co powiedzieć.

- Czy mogę wejść? - spytał. Zawahała się, niepewna, czy chce go przyjmować w swoim domu, ale w końcu z ociąganiem odsunęła się na bok. Bez pośpiechu zamknęła za nim drzwi. Nie poprosiła go, żeby usiadł. Stała, patrząc wyczekująco.

- Czy moglibyśmy usiąść i porozmawiać? - zapytał z wahaniem. Nie wiedziała, o co może chodzić. Na szczęście nie dał jej jeszcze pierścionka, nie miała mu czego zwracać.

- Wolałabym nie - odparła głucho. - Chyba powiedziałeś aż za wiele. Nie ma sensu niczego dodawać.

Zdumiał go wyraz jej oczu. Wyglądała tak, jakby coś w niej umarło.

- Annabelle, wiem, że zareagowałem zbyt gwałtownie. Ale to, co mi powiedziałaś, było trudne do przełknięcia. Miałaś męża, o którym mi nie powiedziałaś, masz nieślubne dziecko. Skłamałaś, że jesteś wdową. Chyba zasłużyłem na coś więcej. Miałaś kontakt ze śmiertelną chorobą, którą mogłaś mnie zarazić po ślubie. - To, co mówił, dowodziło, że nie uwierzył w ani jedno jej słowo. Znow przyszedł dręczyć jej zmaltretowane serce.

- Mówiłam ci już, że nie mogłam się zarazić. Gdyby było inaczej, nigdy nie poszłabym z tobą na kolację. Nie ryzykowałabym, że się w tobie zakocham. Bo kocham cię, Antoine. A raczej kochałam. Mówiłam ci, że Josiah nigdy mnie nie tknął.

- Trudno w to uwierzyć. Byłaś jego żoną przez dwa lata.

- Sypiał ze swoim przyjacielem - odparła znużonym głosem. - Już ci to tłumaczyłam. Ale nie warto było ci o niczym mówić.

- Wolałabyś okłamywać mnie dalej, tak jak to robiłaś od początku? Przypominam, że małżeństwo zawarte w wyniku oszustwa to przestępstwo.

- Dlatego ci powiedziałam. Chodzi o to, że niepotrzebnie się na to narażałam. W ogóle nie powinnam się z tobą wiązać.

- Jak możesz tak mówić? Przecież cię kocham - oznajmił dramatycznie. Ale ona nie dała się już na to złapać.

- Nie wierzę, biorąc pod uwagę to wszystko, co od ciebie usłyszałam. Kochanej osoby nie traktuje się w ten sposób.

- Byłem zdenerwowany. - Nie odpowiedziała; odwróciła tylko wzrok. Nie podszedł do niej, i na szczęście, bo bała się, że mogłaby go uderzyć. Miała ochotę go zamordować.

- To, co powiedziałeś o Consueli, jest niewybaczalne. Nigdy więcej nie pozwolę ci się z nią widzieć. To nie jej wina, że jest nieślubnym dzieckiem. I nie moja, choć to ja postanowiłam ją urodzić. To wina pijanego szaleńca, który powalił mnie na ziemię i wziął przemocą.

A ty masz mi to za złe, zamiast mi uwierzyć. - W jej oczach zobaczył ból i chłód.

- Właśnie dlatego przyszedłem z tobą porozmawiać. Przemyślałem to - powiedział ostrożnie. - Przyznaję, że nie tego się spodziewałem i nie tego szukałem w swojej przyszłej żonie. Ale kocham cię. Jestem skłonny przymknąć oczy i wybaczyć ci twoje dawne błędy. Chcę tylko jednego: żebyś zrobiła badanie na syfilis i udowodniła mi, że nie jesteś chora.

- To nie będzie konieczne - powiedziała, otwierając drzwi. Zadrżała w zimnym wietrze styczniowego popołudnia. - Nie musisz mi wybaczać ani moich, ani niczyich innych błędów, ani nawet przymykać na nie oczy. Consuela nie skazi twoich bratanków ani rodzinnych spotkań, bo jej tam nie będzie. A ja nie muszę robić żadnego badania, bo nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

- To znaczy, że jesteś chora - powiedział.

- Pozwól sobie przypomnieć, powiedziałeś mi, że nie dotknąłbyś mnie nawet czubkiem buta. Pamiętam to doskonale. Pamiętam wszystko, co powiedziałeś. Ty może jesteś skłonny mi wybaczyć, ale ja nigdy nie wybaczę tobie.

- Jak śmiesz, po tym wszystkim, co masz na sumieniu? - Nagle znów się rozszłościł.

- Masz szczęście, że w ogóle chcę się zadawać z kobietą, która miała męża syfilityka, nieślubne dziecko i Bóg wie ilu kochanków od tamtej pory! Miała ochotę uderzyć go w twarz, ale nie był tego wart. Już nie.

- Słyszałam wszystko, co powiedziałeś, Antoine. I nie zapomnę. Wynoś się z mojego domu.

Nie wierzył własnym uszom.

- Chyba żartujesz. Kto inny cię zechce po tym, co zrobiłaś? - Stał, pałając świętym oburzeniem, elegancki i przystojny. Ale jej nie podobał się już ten obcy mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze.

- Może nikt - odparła. - Prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodzi. Byłam sama, odkąd prawie dziesięć lat temu zostawił mnie mąż. Mam Consuelę, „bękartą”, jak ją nazywasz. I nie potrzebuję nikogo innego. A już z pewnością nie ciebie. - Wskazała mu otwarte drzwi. - Dziękuję za pańską wielkoduszną ofertę, doktorze, ale z przyjemnością odmawiam. Proszę wyjść. - Wyprostowała się i dostrzegł w jej oczach, że jest śmiertelnie poważna. Nadal nie mieściło mu się to w głowie.

Stał o krok od niej i patrzył na nią z góry, z pogardą.

- Jesteś głupia. Nikt cię nigdy nie zechce, kiedy pozna prawdę.

- Nie zamierzam więcej dopuścić do takiej sytuacji. Udzieliłeś mi cennej lekcji, za którą dziękuję. Przykro mi, że oboje doznaliśmy rozczarowania, bo nie potrafiłeś uwierzyć, że mówię prawdę.

- Powiedziałem, że jestem gotów ci wybaczyć, a przynajmniej tolerować, jeśli poddasz się badaniu, o które proszę. Przyznaję, że to jedyne godziwe wyjście z sytuacji.

- Nic z tego, co mówisz, nie jest godziwe. Wszystko, co mnie spotkało, było jedną wielką niegodziwością, i teraz, i przedtem. Nie chcę być tolerowana. Chcę być kochana. Wydawało mi się, że jestem, ale najwyraźniej oboje popełniliśmy pomyłkę.

Antoine pokręcił z niedowierzaniem głową i wyszedł, nie mówiąc więcej ani słowa. Annabelle zamknęła za nim drzwi i oparła się

o nie, drząc na całym ciele. Żaden mężczyzna nie był dla niej tak dobry na początku i tak okrutny na końcu.

Usiadła w salonie i zapatrzyła się w przestrzeń. Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Jak mógł jej wmawiać, że jest jakąś ladacznicą, skoro mąż się z nią rozwiódł? Jak mógł nie uwierzyć, że została zgwałcona? I jak mógł mówić tak wstrętne rzeczy o Consueli?

Siedziała tak, aż Brigitte i Consuela wróciły z parku. Consuela usiadła jej na kolanach, zmartwiona, że mama jest chora, i objęła rączkami jej szyję. Annabelle nie potrzebowała niczego więcej. Córka była jedyną osobą, której mogła zaufać.

- Kocham cię, mamusiu - powiedziała Consuela, a Annabelle łzy napłynęły do oczu.

- Ja ciebie też, skarbie - odparła, tuląc dziecko do siebie.

I choć wciąż czuła się źle, następnego dnia wróciła do pracy. Musiała żyć dalej.

Antoine pokazał, jak małoduszni potrafią być ludzie

I jak źle osądzają innych. Pierwszą lekcję dostała w Nowym Jorku, gdzie wszyscy podejrzewali ją o najgorsze. Antoine zawiódł jej zaufanie i raz na zawsze zniszczył jej wiarę w ludzi.

Hélène martwiła się o nią przez całe tygodnie. Annabelle nie spotkała się więcej z Antoine'em. Uznał ją za idiotkę, skoro nie chciała, by ją „tolerował” i „wybaczył” jej grzechy, których nie popełniła. Stanowczo zbyt skwapliwie uwierzył we własne najgorsze wyobrażenia.

Żyła dalej, zajmując się pacjentami i córką, i starała się zapomnieć o mężczyznach. Przez kilka miesięcy chodziła smutna, ale w marcu

czuła się już lepiej. Zaczęła nawet znów się uśmiechać i spędzała niedzielne popołudnia w parku z Consuelą. Mała była z początku zawiedziona, że nie chodzą już na niedzielne obiady do państwa de St. Gris, gdzie świetnie się bawiła z bratankami Antoine'a. Matka wyjaśniła jej, że ona i Antoine uznali, iż popełnili błąd i że już się nie przyjaźnią. Za każdym razem, gdy myślała o tym, co powiedział o Consue-li - że ich skaziła i nie jest ich warta - przypominała sobie, dlaczego jest sama i zamierzała zostać sama na zawsze.

Rozdział 25

Wczesną wiosną Annabelle dostała dwa listy. Oba dały jej temat do przemyśleń. Pierwszy list był od lady Winshire, która zapraszała ją i Consuelę, by przyjechały do niej z wizytą na kilka dni. Pisała, że jej zdaniem będzie to z pożytkiem dla Consueli, gdy zobaczy, skąd pochodzi i jak żyje druga połowa jej rodziny - to wszystko jest przecież częścią jej historii. Hrabina miała nadzieję, że przybędą jak najszybciej. Annabelle nie była pewna, czy to dobry pomysł. Harry Winshire stanowił jedno z jej gorszych wspomnień, ale to, co napisała jego matka, było prawdą. Nie chodziło o Harry'ego, ale o Consuelę i babcię, którą wreszcie poznała. Annabelle była pewna, że takie odwiedziny sprawiłyby córce ogromną radość. Drugi list był od prezesa banku jej ojca, który nadal zajmował się jej sprawami. Zgodnie z dyspozycją przysyłał jej pieniądze, żeby miała z czego żyć we Francji, ale główna część jej majątku wciąż była w Stanach. Prezes pytał, po raz pierwszy przez ten cały czas, co ma zamiar zrobić z domem w Newport. Nie była tam od lat, ale jakoś nie miała serca się z nim rozstać. Zbyt wiele wspomnień łączyło ją z tym domem. Mimo to nie potrafiła sobie wyobrazić, że tam pojedzie, choćby na krótko. Poza tym było to także dziedzictwo Consue-li - jej o wiele ważniejsza część niż posiadłości lady Winshire, skoro Harry nigdy tak naprawdę nie pojawił się w ich życiu.

Prezes pisał, że dostał bardzo rozsądną ofertę kupna domu. Blanche, William i kilkoro innych służących utrzymywali go w dobrym stanie, lecz stracili już nadzieję, że kiedykolwiek zobaczą Annabelle. Ona sama skłonna była przyznać im rację. Przez wszystkie te lata tęskniła czasem, ale wiedziała, jakie czekają ją nieprzyjemności, jeśli tam zajrzy

choćby tylko z wizytą. Nie miała też nikogo, z kim chciałyby się zobaczyć. Bała się, że odwiedziny w Newport otworzą na nowo stare rany, odnowią ból po stracie bliskich i po wszystkim, co zostało jej odebrane. Nie chciała znów przeżywać bólu, nie czuła się jednak gotowa, by sprzedać dom, choć prezes banku miał rację: oferta była naprawdę korzystna. Po prostu nie wiedziała, co robić.

Postanowiła najpierw zająć się propozycją lady Winshire. Tego wieczoru powiedziała o niej Consueli. Dziewczynka nie posiadała się z radości i oznajmiła, że chce jechać. Prawdę mówiąc, Annabelle też miała na to ochotę. Uważała, że dobrze im zrobi, jeśli wyrwą się z miasta na kilka dni. Consuela błagała, żeby znów pojechały do Deauville, ale Annabelle nie chciała tam wracać po gorzkim rozczarowaniu, jakim okazał się związek z Antoine'em. Odnosiła wrażenie, że każde miejsce, w którym kiedyś była, zostało skażone złymi wspomnieniami, i że nieustannie ucieka przed demonami przeszłości.

Następnego dnia odpisała lady Winshire, że z radością przyjmuje jej zaproszenie. Hrabina odpowiedziała natychmiast, podając kilka możliwości terminów wizyty. Ostatecznie zdecydowały się na weekend, kiedy Consuela miała obchodzić siódme urodziny. Miały nadzieję, że do tego czasu zrobi się trochę cieplej. Annabelle poprosiła Hélène, by zarezerwowała bilety i zaplanowała podróż. Miały jechać pociągiem do Calais, przepłynąć przez kanał do Dover, gdzie będzie już czekał ktoś przysłany przez lady Winshire. Z Dover do jej posiadłości były zaledwie dwie godziny jazdy.

Kiedy nadszedł umówiony termin, Consuela była tak podekscytowana, że ledwie mogła usiedzieć na miejscu. Brigitte została w Paryżu, chciała spędzić trochę czasu ze swoim nowym kawalerem. Annabelle i Consuela usadowiły się w przedziale pierwszej klasy, zarezerwowanym przez Hélène. Była to największa przygoda, jaką dziewczynka przeżywała, nie licząc przyjazdu do Paryża przed dwoma laty i wycieczki do Deauville. Nie rozmawiały już o Antoine. Consuela zrozumiała instynktownie, że ten temat jest dla matki bolesny i nie poruszała go więcej.

Annabelle widziała raz Antoine'a w szpitalu, ale gdy tylko dostrzegła go z daleka, odwróciła się i wbiegła na piętro tylną klatką schodową. Nie chciała nigdy więcej z nim rozmawiać. Potraktował ją zbyt haniebnie.

Pociąg ruszył z Gare du Nord. Consuela przyglądała się wszystkiemu, zafascynowana, a Annabelle uśmiechała się, widząc jej ra-

dość. Zjadły lunch w wagonie restauracyjnym "Jak wielkie damy", jak powiedziała Consuela, a potem podziwiały uciekający krajobraz, aż mała zasnęła w końcu na kolanach matki. Annabelle oparła głowę o siedzenie i pogrążyła się w rozmyślaniach. Ostatnie miesiące nie były łatwe. Antoine zniszczył nie tylko marzenie, które sam jej ofiarował, ale i nadzieję, że jej życie kiedykolwiek będzie wyglądało inaczej.

Czy zawsze już będzie karana za swoją przeszłość? Była ofiarą cudzych decyzji, słabości i kłamstw. Przygnębiała ją myśl, że nigdy nie zdoła oczyścić swojego imienia, że prawda nigdy nie ujrzy światła dziennego. Cokolwiek zrobiła, cokolwiek osiągnęła, cudze grzechy nigdy nie dadzą się wymazać jak tatuaż, którym została naznaczona raz na zawsze. Była dobrą matką, doskonałą lekarką, przywoitą kobietą, a mimo to do końca życia miała nosić piętno. A Consuele skazała na jeszcze gorszą etykietkę. Tylko Antoine śmiał tak ją nazwać - cóż za okrutne określenie dla niewinnego dziecka.

Trzy godziny później dojechały do Calais i wsiadły na statek. Annabelle bardzo niepokoiła się o tę podróż. Ona sama nie miewała kłopotów, ale na kanale La Manche zawsze kołysało i bała się, że Consuela dostanie choroby morskiej. Rzeczywiście, przeprawa była dość burzliwa, ale dziewczynce podobała się bardzo. Im bardziej statek podskakiwał na falach, tym głośniej śmiała się i piszczała z radości. Nim dopłynęły do Dover, Annabelle poczuła mdłości, a Consuela ani myślała chorować. Zbiegła z pokładu, jedną ręką trzymając dłoń matki, w drugiej ściskając ulubioną lalkę.

Zgodnie z umową, szofer lady Winshire i jej stary rolls-royce czekali na przystani. Droga prowadziła przez łagodne pagórki, wśród farm, krów i ogromnych wiejskich posiadłości - od czasu do czasu pojawiał się nawet zamek. Dla Consueli była to wielka przygoda, a teraz, gdy już zsiadły ze statku, Annabelle też rozkoszowała się podróżą.

Żadna z nich nie była jednak przygotowana na ogrom posiadłości Winshire'ów i splendor olbrzymiego domu. Długi podjazd ocieniały prastare, wielkie drzewa, a dzięki pieniądzom lady Winshire, która miała własne środki, niezależne od majątku zmarłego hrabiego, szes-nastowieczny dom był utrzymany w nienagannym stanie. Nawet stajnie były większe i piękniejsze niż większość ludzkich siedzib. Lady Winshire za młodu była wybitną amazonką i nadal utrzymywała

stajnię doskonałych koni, ujeżdżanych codziennie przez pół tuzina stajennych. Lady wyszła na schody, by powitać gości, jeszcze bardziej imponująca niż podczas swojej wizyty w Paryżu - w granatowej sukni, ulubionych perłach i kolejnym gigantycznym kapeluszu. Wymachiwała laską jak mieczem, wskazując na ich walizki i prosząc szofera o dopilnowanie, by zostały odniesione do pokojów. Gdy już uściskała Annabelle i Consuelę, która patrzyła na wszystko okrągłymi ze zdumienia oczami, z szerokim uśmiechem zaprosiła je do środka.

W domu była długa galeria obwieszona rodzinnymi portretami, gigantyczny salon ze wspaniałym żyrandolem, biblioteka z tysiącami cennych starych książek, pokój muzyczny z dwiema harfami i fortepianem, jadalnia ze stołem dość długim, by pomieścić czterdziestu gości na proszonych kolacjach, które tu niegdyś urządzano. Salony zdawały się ciągnąć w nieskończoność, aż wreszcie Annabelle i Consuela dotarły do małej, przytulnej bawialni, gdzie gospodyni lubiła siadywać przy oknie i patrzeć na ogrody. Oglądając te wszystkie wspaniałości, Annabelle nie mogła wprost uwierzyć, że ktoś wychowany w takim otoczeniu mógł zgwałcić kobietę i grozić jej śmiercią. Na kominku w bawialni stały zdjęcia obu młodych lordów Winshire.

Po herbacie, do której podano babeczki z bitą śmietaną i dżemem, hrabina poleciła jednej z pokojówek, by pokazała Consueli stajnię. Kazała nawet przyprowadzić kucyka, gdyby dziewczynka miała ochotę pojeździć. Gdy Consuela wyszła z pokojówką, by obejrzeć kucyka, Annabelle podziękowała lady Winshire za jej dobroć i miłe powitanie.

- Muszę wam sporo wynagrodzić - powiedziała z prostotą stara dama. Annabelle uśmiechnęła się. Nie uważała jej za odpowiedzialną za występki syna. Zresztą jak można było to uznać za występki, skoro jego owocem była Consuela? Powiedziała to lady Winshire, która z kolei podziękowała jej za wielkoduszność i dodała, że choć kochała swojego syna, jej zdaniem nie zasłużył sobie na taką córkę. Wyznała ze smutkiem, że był dziki i rozpuszczony.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, a gdy wyszły do ogrodu, pojawił się jeden ze stajennych z Consuelą na kucyku. Mała była w siódmym niebie. Doskonale się bawiła u babci, którą poznała tak nie-

dawno. Lady Winshire spytała Annabelle, czy i ona miałyby ochotę pojeździć konno. Annabelle odparła, że nie robiła tego od lat, ale może spróbuje nazajutrz rano. Wszelkie przyjemności zniknęły z jej życia, odkąd wyjechała ze Stanów, pomyślała więc, że miło byłoby znów pojeździć konno. W młodości robiła to często, głównie latem, w Newport.

Gdy Consuela ze stajennym oddalili się, Annabelle wspomniała, że zastanawia się nad sprzedażą domu w Newport.

- Dlaczego miałybyś go sprzedawać? - spytała starsza pani z dezaprobatą. -

Mówiłaś, że należał do twojej rodziny od pokoleń. Powinnaś go zachować, to część twojej historii.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek tam wrócę. Nie byłam w Ameryce od dziesięciu lat. Dom stoi bez pożytku, niekochany i pusty, mieszka w nim piątka służących.

- Powinnaś wrócić - oznajmiła stanowczo lady Winshire. - To również część historii Consueli, jej korzenie. Ma do nich prawo... twoich, naszych, wszystko to stanowi o tym, kim jest i kim stanie się kiedyś. - Wszystkie te tradycje nie pomogły Harry'emu stać się dobrym człowiekiem, pomyślała Annabelle, ale nie powiedziała tego jego matce, która sama doskonale o tym wiedziała. - Nie możesz uciec od tego, kim jesteś, Annabelle. Nie możesz temu zaprzeczać. A Consuela powinna zobaczyć, gdzie się wychowałaś. Powinnaś kiedyś ją tam zabrać.

- Ta część mojego życia jest już zamknięta - stwierdziła Annabelle z uporem. Lady Winshire pokręciła głową.

- Dla Consueli życie dopiero się zaczyna. Potrzebuje czegoś więcej niż Paryż, tak jak i ty. Potrzebuje mojej i twojej historii; musimy połączyć je i ofiarować jej jak wielobarwny bukiet.

- Dostałam bardzo dobrą ofertę. Zawsze zresztą mogę kupić jakąś nieruchomość we Francji. - Dziwne, że dotąd tego nie robiła, zadowolając się skromnym domkiem w szesnastej dzielnicy. Nie miała siedziby na wsi, a musiała przyznać, widząc Consuelę, że wieś dobrze jej robi.

- Podejrzewam, że i tak możesz sobie na to pozwolić. - Hrabina miała rację. Annabelle odziedziczyła ogromny majątek po ojcu i tylko nieznacznie mniejszy po matce, a nie wydała z tego prawie nic. Taka fortuna nie pasowała do stylu życia skromnej lekarki, od dziesięciu lat Annabelle robiła wszystko, by się z nią nie afiszować.

Dobrze to o niej świadczyło, chociaż teraz, mając prawie trzydzieści dwa lata, dojrzała już do tego, by się nią cieszyć. Hrabina spojrzała na nią z uśmiechem. - Mam nadzieję, że często będziecie wpadać do mnie z wizytą. Zdarza mi się jeszcze jeździć do Londynu, ale większość czasu spędzam tutaj. - Była jeszcze jedna kwestia, którą chciała poruszyć, dopóki Consueli nie było z nimi. Nie wiedziała, czy nie za wcześnie na taką propozycję, ale ostatnio sporo o tym myślała. - Zastanawiałam się poważnie nad sytuacją Consueli. Ty i jej ojciec nie byliście małżeństwem. Może się to okazać sporym obciążeniem za kilka lat, gdy będzie starsza. Nie możesz okłamywać jej w nieskończoność, poza tym ktoś mógłby kiedyś odgadnąć prawdę. Rozmawiałam z moimi prawnikami. Nie ma sensu, żebym ją adoptowała, bo przecież ma matkę. Harry nie może ożenić się z tobą pośmiertnie. Ale mogę oficjalnie ją uznać, co poprawiłoby trochę jej sytuację, i mogłaby dodać nasze nazwisko do twojego. Oczywiście, jeśli się zgodzisz - powiedziała ostrożnie. Nie chciała obrazić kobiety, która tak dzielnie dźwigała na swoich barkach całą odpowiedzialność za dziecko. Annabelle uśmiechnęła się. Sama ostatnio zauważyła ten problem, kiedy Antoine nazwał Consuelę bękartem. Wspomnienie jego obelg wciąż było bolesne.

- Uważam, że to wspomniały pomysł - powiedziała z wdzięcznością. - Któregoś dnia może jej to ułatwić życie.

- Nie miałabyś nic przeciwko temu? - Lady Winshire spojrzała na nią z nadzieją.

- Bardzo bym tego chciała. - Nazwisko Winshire kojarzyło jej się teraz wyłącznie z hrabiną, a nie z jej nikczemnym synem. - Nazywałaby się Consuela Worthington-Winshire, czy na odwrót, jak pani woli.

- Worthington-Winshire brzmi bardzo dobrze. Poproszę adwokatów o sporządzenie dokumentów, kiedy tylko uznasz za stosowne. - Rozpromieniona patrzyła na Annabelle, która uściskała ją serdecznie.

- Jest pani dla nas bardzo dobra - powiedziała Annabelle z wdzięcznością.

- Czemu miałabym nie być? - odparła hrabina z udawaną szorstkością. - Jesteś dzielną kobietą, wspaniałą matką. Wbrew wszystkiemu zdołałaś zostać lekarką. I to niezłą, jak słyszałam. - Jej włas-

ny lekarz sprawdził to dyskretnie przez swoich znajomych we Francji. - Doszłaś do siebie po tym, co zrobił ci mój syn, i nie masz tego za złe swojemu dziecku ani nawet mnie. Podejrzewam, że i jemu nie masz tego za złe, nie wiem, czy ja na twoim miejscu potrafiłabym być tak wielkoduszna. Jesteś szanowana, odpowiedzialna, skromna, pracowita. W czasie wojny harowałaś jak wół, bez wsparcia rodziny. Wszystkiego dokonałaś sama, bez niczyjej pomocy. Byłaś dość odważna, by urodzić nieślubne dziecko i zapewnić jemu i sobie dobre życie. Nie wiem, czego mogłabym w tobie nie lubić czy nie cenić. Prawdę mówiąc, jesteś naprawdę niezwykłą osobą i jestem dumna, że cię znam.

Annabelle łzy napłynęły do oczu. Te słowa stanowiły antidotum na wszystkie obelgi Antoine'a.

- Szkoda, że ja tego tak nie widzę - odparła ze smutkiem. - Dostrzegam jedynie swoje błędy. A moi znajomi, z wyjątkiem pani, zauważają wyłącznie łatki, które przypięli mi inni. - Wyznała hrabinie, że rozwiodła się przed wyjazdem ze Stanów, i wyjaśniła, dlaczego. Ale lady Winshire nabrała dla niej tylko jeszcze większego podziwu.

- To rzeczywiście niezwykła historia - powiedziała po chwili milczenia. Niełatwo było ją zbulwersować, historia małżeństwa z Josiahem wzbudziła w niej tylko współczucie. - Twój mąż był głupcem, jeśli przypuszczał, że mu się uda.

- Wierzył w to, dopiero potem przekonał się, że nie zdoła zaprzeczyć własnej naturze. A przyjaciel zawsze był pod ręką. To pewnie utrudniało mu sprawę.

- Ludzie są czasem tacy głupi - powiedziała hrabina, kręcąc głową. - Jeszcze większą głupotą była wiara w to, że rozwód nie zrujnuje ci reputacji. To dobrze, że chciał cię uwolnić od siebie, ale rozwodząc się pod pretekstem cudzołóstwa, rzucił cię wilkom na pożarcie. Równie dobrze mógł cię publicznie spalić na stosie. Naprawdę, mężczyźni potrafią czasem być głupi i samolubni. Domyślam się, że niełatwo byłoby ci to naprawić. - Annabelle pokręciła głową. - Musisz więc powtarzać sobie, że cię to nie obchodzi. Wiesz, jaka jest prawda, i tylko to się liczy.

- Co nie przeszkodzi ludziom zatrzaskiwać mi drzwi przed nosem - odparła smętnie Annabelle. -1 obrażać Consuełę.

- Naprawdę obchodzą cię ci ludzie? - zapytała lady Winshire. -Jeśli są dość podli, by robić to tobie i jej, nie są godni żadnej z was.

Gdy Annabelle opowiedziała jej o swoim doświadczeniu z An-toine'em, hrabina była oburzona.

- Jak śmiał mówić ci takie rzeczy? Nie ma niczego bardziej ograniczonego, małostkowego i złośliwego niż tak zwana burżuazja, przekonana o własnej doskonałości. On by cię unieszczęśliwił, moja droga. Miałaś rację, że nie przyjął go z powrotem. Nie był cię wart. - Annabelle uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Nie mogła się nie zgodzić. Było jej smutno, że spotkało ją coś takiego, ale gdy przekonała się już, kim jest Antoine, nie tęskniła za nim. Żałowała tylko marzeń o wspólnym życiu, ale widocznie nie było jej to pisane. To iluzja, piękny sen, który Antoine przemienił w koszmar ohydnyimi słowami i podejrzeniami. Zbyt chętnie uwierzył w najgorsze, nie bacząc, czy to prawda.

Consuela wpadła w podskokach do pokoju, zachwycona jazdą na kucyku. W jeszcze większy zachwyt wpadła, kiedy zobaczyła swój pokój. Była to wielka, słoneczna komnata, udekorowana kwiecistymi jedwabiami i perkalem. Przylegała do pokoju matki, który wyglądał podobnie. Wieczorem, przy kolacji, Annabelle i lady Winshire powiedziały jej o nowym, podwójnym nazwisku.

- Trochę trudno to wymówić - stwierdziła praktycznie. Matka i babka wybuchnęły śmiechem.

- Przyzwyczaj się - powiedziała Annabelle. Była naprawdę wdzięczna lady Winshire za prawne uznanie jej dziecka. Może dzięki temu już nikt nigdy nie nazwie jej bękartem.

Po kolacji grały w karty, w końcu wszystkie poszły spać. Consuela zasypiała na siedząco, oparta o matkę. Zasnęła w łóżku Annabelle, a następnego ranka, gdy tylko się ubrała, ruszyła prosto do stajni.

Annabelle i hrabina gawędziły przez cały dzień. Miały wiele wspólnych tematów, od polityki, przez medycynę, po najnowsze powieści. Lady Winshire była inteligentna i bardzo odczytana. Ich rozmowy przypominały Annabelle pogawędki z matką. A wczorajsze słowa hrabiny - że nie powinna przejmować się etykietkami, niesłusznie przylepianymi jej przez innych - dały jej do myślenia. Starsza dama przez cały weekend przypominała jej, że powinna być z siebie dumna i Annabelle po raz pierwszy od lat nie czuła się jak parias, którym była od wyjazdu z Nowego Jorku.

Ostatniego dnia, gdy jadły lunch w ogrodzie, okazało się, że babcia ma niespodziankę dla Consueli. Gdy na deser podano urodzino-

wy tort, lady Winshire przywołała jednego ze stajennych. Służący trzymał w rękach pudło na kapelusz, przewiązane różową wstążką. I Consuela, i Annabelle sądziły, że dziewczynka dostanie kapelusz do jazdy konnej, by móc go nosić, kiedy znów przyjedzie w odwiedziny do babci. Ale nagle Annabelle spostrzegła, że pudło porusza się, i zaczęła się domyślać, co jest w środku. Consuela rozwiązała wstążkę i ostrożnie zdjęła pokrywę. Z pudła wychylił się mały czarny pyszczek i w jej ramiona wskoczył piesek - czarno-brązowy mopsik, podobny do psów hrabiny. Consuela była tak ucieszona, że zabrakło jej słów. Odwróciła się do babci i zarzuciła jej ręce na szyję.

- Dziękuję! Jest śliczny! Jak mam mu dać na imię?

- Jak chcesz. I zdaje się, że to suczka. - Lady Winshire uśmiechała się promiennie. Ta wnuczka, którą poznała tak niedawno, wniosła mnóstwo radości w jej życie. Smutno im było się rozstawać, gdy Consuela i Annabelle wsiadły do auta, które miało je odwieźć do Dover. Hrabina kazała im obiecać, że niedługo znów ją odwiedzą. Consuela jeszcze raz podziękowała za bezimienną suczkę, ale już cieszyła się perspektywą czekającej ją podróży. A lady Winshire dyskretnie przypomniała Annabelle, że przyśle jej dokumenty w sprawie Consueli, kiedy tylko będą gotowe.

Gdy odjeżdżały, machała im od drzwi. Consuela bawiła się ze szczeniakiem przez całą drogę do Paryża. Powiedziała mamie, że to najlepsze urodziny, jakie miała w życiu. Annabelle też miała się z czego cieszyć.

Po powrocie do domu napisała do swoich pełnomocników, by nie sprzedawali domu w Newport, a gdy następnego dnia spotkała się z Hélène w gabinecie, poprosiła ją, by zarezerwowała jej przejazd statkiem do Nowego Jorku na czerwiec i powrót w lipcu. Wzięła sobie do serca wszystkie rady lady Winshire.

Rozdział 26

W trzecim tygodniu czerwca Annabelle, Consuela i Brigitte wypłynęły do Ameryki na „Mauretanię”. Był to ten sam statek, na którym jej rodzice i Robert wyruszyli w ostatnią pechową podróż do Europy. Bolało to Annabelle, ale starała się nie myśleć o tym w słoneczny, ciepły dzień.

„Mauretania” była jednym z największych i najbardziej luksusowych statków świata. Annabelle płynęła już na jej pokładzie szesnaście lat temu, z rodzicami, wiedziała więc, czego może się spodziewać. Ci, którzy często pokonywali Atlantyk, uwielbiali ten statek ze względu na jego przestronne kabiny, nawet w drugiej klasie, one zaś miały zarezerwowane dwie największe kabiny pierwszej klasy, sąsiadujące ze sobą.

Consuela nie posiadała się z radości, za to Brigitte bała się przeprawy przez Atlantyk. Jeden z jej dalekich krewnych płynął trzecią klasą „Titanica” i zginął, gdy statek poszedł na dno. Gdy tylko weszły na pokład, zaczęła płakać i żegnać się znakiem krzyża, opowiadając o katastrofie, co zirytowało Annabelle. Nie chciała, by niania przestraszyła Consuelę i przypominała małej, w jaki sposób zginęli jej dziadek i wujek. Brigitte mówiła o wszystkim, co słyszała i czytała na ten temat, nie szczędząc im szczegółów, łącznie z krzykami ludzi, umierających w wodzie.

- Czy to prawda, mamusiu? - Dziewczynka patrzyła na nią ze zdumieniem. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że tak wielki statek mógłby zatonać. Znała wprawdzie tę historię, choć nie ze szczegółami.

- Czasami tak się zdarza, ale bardzo rzadko. To było bardzo, bardzo dawno temu i od tamtej pory mnóstwo statków przepłynęło

ocean bez kłopotów. Ten pływa bezpiecznie już od osiemnastu lat, a w czasie tej podróży na naszej drodze nie będzie gór lodowych. Popatrz, jaki mamy piękny, ciepły dzień i jaki wielki jest statek. Obiecuję ci, że nic nam się nie stanie. - Posłała Brigitte ostrzegawcze spojrzenie.

- „Titanic” był jeszcze większy... a zapomniała pani o „Lusi-tanii”? - Nie dawała za wygraną Brigitte. Annabelle miała ochotę ją udusić.

- Co to jest Lucypani? - zapytała Consuela, nie potrafiąc powtórzyć trudnej nazwy.

- Brigitte jest po prostu przerażona i plecie głupstwa. Obiecuję ci, że będziemy miały fantastyczną podróż. W Nowym Jorku będziemy się świetnie bawić i odwiedzimy mój stary dom w Newport. -Prawdę mówiąc, była równie zdenerwowana jak Brigitte, choć z zupełnie innych powodów. Nie martwiła się tym, że statek pójdzie na dno, szczególnie że panował już pokój. Denerwowała się, bo była to jej pierwsza wizyta w Nowym Jorku od dziesięciu lat, i niepokoiła się, co tam zastanie. Bała się stawić czoło wszystkim złym wspomnieniom, które tam zostawiła. Ale zgadzała się z lady Winshire - to były korzenie Consueli. Jej córka miała prawo poznać je i dowiedzieć się czegoś więcej o amerykańskiej rodzinie, tak jak poznała jej angielską część. A ona sama nie mogła się wечно ukrywać. Wiele czasu potrzebowała, by wrócić. Wojna była doskonałą wymówką, następnie studia medyczne. Ale wojna skończyła się niemal siedem lat temu i tyle samo lat miała Consuela. Minęło wystarczająco dużo czasu i Annabelle dojrzała do tej podróży, z pewnością jednak nie miała ochoty wysłuchiwać koszmarnych opowieści o katastrofie „Titanica” i powiedziała to Brigitte jasno i wyraźnie, gdy Consuela zostawiła je na chwilę i poszła pogłaskać czyjegoś psa. Na pokładzie kręciło się sporo dzieci, z którymi Consuela mogła się bawić.

By zająć czymś myśli Brigitte, Annabelle poleciła jej rozpakować walizki, sama zaś wybrała się z Consuela na wycieczkę po statku. Pokazała jej basen, imponującą jadalnię, sale gier i klatki dla psów na niższym pokładzie. Suczkę zostawiły w domu z Helene, która ją uwielbiała. Consuela nazwałają Coco.

Gdy statek wypływał z portu, wszystkie trzy stały na pokładzie i patrzyły, jak Francja znika powoli za rufą. Consuela koniecznie

chciała zagrać w pokładowego hokeja*, Annabelle obiecała jej więc, że pójdą zagrać po południu. Wieczorem obie jadły kolację we wspaniałej jadalni. Ten rejs był zupełnie inny niż podróż przed dziesięcioma laty, kiedy płynęła do Europy, prawie nie opuszczając kajuty i nie wiedząc, co ją czeka u celu. Wtedy chciała tylko uciec od ludzi, którzy w Nowym Jorku skazali ją na towarzyską banicję. A teraz, po dziesięciu latach, nareszcie wracała.

Trzeciego dnia podróży Annabelle zobaczyła starsze małżeństwo, stojące niedaleko planszy do hokeja, w towarzystwie młodszej pary - najwyraźniej ich dorosłych dzieci. Patrzyli na nią, ale udała, że ich nie poznaje. Minęła ich, przytrzymując Consuelę za rękę. Rozpoczęła ożywioną rozmowę z córką, by nie witać się z ludźmi, których poznała od razu. Byli to znajomi jej rodziców. Gdy ich mijała, usłyszała, jak starsza kobieta mówi do męża półgłosem:

- ...żona Josiaha Millbanka... nie pamiętasz... córka Arthura Worthingtona... jakiś okropny skandal... miała romans i rozwiódł się z nią... uciekła z tym drugim do Francji...

A więc tak mówili o niej, pomyślała z drzeniem serca. I wciąż to pamiętali. Ciekawe, czy wszyscy. To naprawdę dożywotni wyrok, bez możliwości zwolnienia warunkowego czy ulaskawienia. Na zawsze miała pozostać cudzołożnicą.

Myśleli, że wyjechała do Francji z mężczyzną. Miała ochotę uciec i schować się w kabinie, ale nagle przypomniała sobie, co powiedziała lady Winshire. „Trzymaj głowę wysoko, Annabelle. Jesteś dobrą kobietą. Oni cię nie obchodzą”. Słyszając w głowie echo jej słów, zrozumiała, że hrabina nie do końca miała rację. Obchodzili ją, nie chciała być pariasem, nienawidziła opinii, jaką o niej mieli. Cudzołożnica... Przecież nie była cudzołożnicą. Była wierną mężowi, dobrą kobietą, i wtedy, i teraz. Nic się nie zmieniło, rozwód nie zrobił z niej ladacznicy. A po tylu latach, co im do tego, dlaczego i z kim wyjechała do Europy? Nikt z nich nie stał wtedy przy niej, nie wsparł jej, nie pocieszył, nie współczuł, że straciła bliskich. Jej życie mogłoby być inne, gdyby oni byli inni. Tyle że wtedy nie wyjechałaby do Francji, nie zostałaby lekarką i nie miałaby Consueli. Ostatecznie więc to ona wygrała.

*** Shuffleboard (ang.) - gra pokładowa, polegająca na popychaniu obciążonych krążków za pomocą łopatek na długich drzewcach (przyp. tłum.).**

Wracając od psich klitek, gdzie odwiedziły słodkiego czarnego mopsa, znów minęła tych ludzi. Tym razem Annabelle spojrzała kobiecie prosto w oczy i skłoniła głowę. Miała na sobie szykowny kloszowy kapelusz, pasujący do popielatego jedwabnego kostiumu, który kupiła sobie na podróż. Wyglądała bardzo modnie, nie jak Amerykanka, ale jak Francuzka. Kobieta ruszyła ku niej z szerokim, fałszywym uśmiechem i słowami wylewnego powitania.

- Na Boga, Annabelle, czy to ty? Po tylu latach! Jak się miewasz? I jaka śliczna dziewczynka! Na pewno twoja córeczka, jest taka podobna do ciebie... czy twój mąż jest na pokładzie?

- Nie - odparła Annabelle, uprzejmie podając rękę kobiecie i jej mężowi. - Jestem wdową. A to moja córka, Consuela Worthington--Winshire. - Consuela dygnęła grzecznie, w ślicznej sukience, którą dziś wybrała, w białych rękawiczkach i kapelusiku.

- Ach... jak miło... dałaś jej imię po matce. To była cudowna kobieta. Nadal mieszkasz we Francji?

- Tak, w Paryżu - odparła chłodno Annabelle.

- Nie odwiedzasz Nowego Jorku? Nie widzieliśmy cię tam od wielu lat.

- Nie, jadę tam po raz pierwszy od czasu wyjazdu. - Przez takich dwulicowych ludzi jak wy, miała ochotę dodać, którzy wiecznie podsycają plotki i nie pozwalają nikomu o niczym zapomnieć.

- Aż trudno uwierzyć. A twoja chatka w Newport?

- Wybieramy się tam na kilka tygodni. Chcę ją pokazać Consueli. - Spojrzała na córkę z uśmiechem. - Mamy też mnóstwo do obejrzenia w Nowym Jorku.

Ta znajoma rodziców przynajmniej się do niej odezwała. To już coś, jakaś poprawa. Dziesięć lat temu nie zrobiłaby tego, odwróciłaby się plecami. Teraz udawała miłą, cokolwiek o niej myślała czy mówiła.

- Może zobaczymy się w Newport - powiedziała kobieta, ciekawym wzrokiem obrzucając drogi kostium i kapelusz Annabelle, i ładną sukienkę Consueli. - Czym się zajmujesz w Paryżu? - zapytała, nie mogąc powstrzymać wścibstwa.

Najwyraźniej chciała poznać jak najwięcej szczegółów z życia Annabelle, by móc o niej plotkować po powrocie do kraju. Miała to wypisane na twarzy. Zauważyła też piękny szmaragd lady Winshire i obrączkę, którą Annabelle kupiła sobie sama i którą nadal nosiła.

- Jestem lekarką - odparła Annabelle, uśmiechając się i znów wspominając słowa hrabiny. Tym razem omal nie parsknęła śmiechem. Ci ludzie byli tacy mali i tak nieważni, żałośni - jak śmiecia-rze, szukający błyskotek wśród odpadków, by móc pokazać je innym, sprzedać za dobre imię porządnych ludzi, wartych dziesięciu takich jak oni.

- Doprawdy? To nadzwyczajne! - Kobiecie omal oczy nie wypadły z głowy. - Jak tego dokonałaś?

Annabelle uśmiechnęła się łaskawie.

- Po śmierci męża wstąpiłam na uczelnię we Francji.

- Czy on też był lekarzem?

- Nie - odparła. - Ojciec Consueli był wicehrabią Winshire. Zginął w czasie wojny, pod Ypres. - Wszystko to było prawdą. Nie skłamała, mówiąc o ojcu Consueli. A zresztą to nie była sprawa tej kobiety. Fakt, że nie była żonatego wicehrabiego, w niczym nie umniejszał jej osiągnięć i dobra, które zdziałała na świecie.

- Och - prychnęła kobieta. Wicehrabia zaimponował jej o wiele bardziej, niż chciała się przyznać sama przed sobą. Ledwie mogła się doczekać, kiedy Annabelle odejdzie, by móc powiedzieć o tym córce, która grała w pokładowego hokeja ze znajomymi.

Annabelle i Consuela pożegnały się i poszły dalej swoją drogą.

- Kto to był? - spytała zaciekawiona dziewczynka.

- Znajomi moich rodziców z Nowego Jorku - odparła Annabelle. Od lat nie czuła się tak dobrze. Antoine zadał jej bolesny cios, ci, którzy byli przed nim, też zrobili swoje. Ale nagle wszystko zaczynało tracić znaczenie.

- Ma złe oczy - stwierdziła Consuela, a Annabelle roześmiała się.

- To prawda. I zły język. Kiedyś znałam wiele takich osób.

- Czy wszyscy w Nowym Jorku są tacy? - zatroskała się nagle Consuela.

- Mam nadzieję, że nie - odparła wesoło Annabelle. - Ale nie jedziemy tam dla nich, tylko dla nas. - Nie miała już ochoty chować się przed nimi. Nowy Jork i Newport nie są prywatną własnością plotkarzy. Miała teraz swój świat, swoje życie w Paryżu, pacjentów, praktykę, dziecko. Brakowało jej tylko mężczyzny, ale jeśli miała być upokarzana i „tolerowana” przez kogoś takiego jak Antoine, kogoś,

kto jej nie szanował i nie wierzył w jej niewinność, wołała być sama. Radziła sobie doskonale.

Podróż upłynęła bez przygód. Annabelle i Consuela codziennie jadły kolację w głównej jadalni, ale gdy któregoś wieczoru kapitan zaprosił je do swojego stołu, Annabelle odmówiła grzecznie. Wołała jadać z córką niż wśród takich głupców i hipokrytów jak znajomi rodziców, których spotkała na pokładzie.

Statek, ciągnięty przez holowniki, wpływał do nowojorskiego portu. Annabelle ścisnęło się gardło na widok Statuy Wolności, stojącej dumnie z uniesioną pochodnią. Była to wzruszająca chwila, jakby statua czekała specjalnie na nie. Annabelle wskazała córce Ellis Island i opowiedziała o swojej pracy, zanim została lekarką. Wtedy wydawało jej się to tylko marzeniem, niemożliwym do spełnienia.

- Dlaczego, mamó? Czemu nie mogłaś tutaj leczyć ludzi? - Dla Consueli zawód matki był najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Sama też chciała być lekarką.

- Wtedy kobiety rzadko zostawały lekarzami. I nadal tak jest. Ludzie uważają, że powinny mieć mężów, rodzić dzieci i siedzieć w domu.

- A nie można robić jednego i drugiego? - spytała Consuela zdziwiona.

- Chyba można - odparła Annabelle, znów spoglądając na statwę, która miała przypominać wszystkim, że światło wolności nigdy nie gaśnie. Nawet gdy zamknęło się oczy, ona wciąż tam stała, oświetlając drogę wszystkim, kobietom i mężczyznom, biednym i bogatym. Wolność należy do wszystkich - teraz również do Annabelle.

Consuela myślała intensywnie.

- Gdybyśmy miały męża, na przykład Antoine'a albo kogoś takiego, przestałabyś być lekarką?

- Nie, nie przestałabym. - Nie powiedziała nic na wzmiankę o Antoine, który nazwał jej dziecko bękartem. Wiedziała, że nigdy mu tego nie wybaczy, tak jak nie potrafiła wybaczyć jego innych podłych słów.

Zeszły z pokładu i przeszły przez kontrolę celną. Dwie taksówki zawiozły je wraz z walizami do hotelu Plaža. Z hotelu roztaczał się uroczy widok na park. Było stąd niedaleko do dawnej rezydencji Worthingtonów. Annabelle dziwiła się zmianom w Nowym Jorku,

nowym budynkiem, i tym, jak bardzo są zatłoczone ulice. Consueli podobało się wszystko. Po obiedzie wyruszyły zwiedzać miasto.

Najpierw poszły do starego domu. Annabelle musiała go zobaczyć. Był w dobrym stanie, choć okiennice były zamknięte i wyglądał na pusty. Podejrzewała, że nowi właściciele wyjechali na lato. Długo patrzyła na dom, trzymając Consuelę za rękę.

- Tu mieszkałam, kiedy byłam małą dziewczynką. - Miała już powiedzieć: „dopóki nie wyszłam za mąż”, ale ugryzła się w język. Nigdy nie opowiedziała Consueli o Josiahu, choć wiedziała, że któregoś dnia musi to zrobić.

- Musiało ci być bardzo smutno, kiedy zginęli twój tatuś i brat -powiedziała z powagą Consuela, jakby stały nad ich grobem, bo też w pewnym sensie ten dom nim był. I grobem matki Annabelle, która tu zmarła.

- Twoja babcia, Consuela, też tu mieszkała.

- A była miła? Annabelle uśmiechnęła się.

- Bardzo. I piękna tak jak ty. Była wspaniałą, serdeczną mamą, którą bardzo kochałam.

- Na pewno za nią tęsknisz - powiedziała cicho Consuela.

- Tak. - Annabelle przypomniała sobie ranek, kiedy dowiedziała się o zatonięciu „Titanica”, i dzień, gdy umarła jej matka. Ale miała też radosne wspomnienia, dzieciństwo, kiedy wszystko było takie proste. Wiodła cudowne życie, wśród ludzi, którzy chronili ją od wszelkiej krzywdy. Ale zapłaciła wysoką cenę za to wszystko.

Odeszły powoli. Annabelle chciała pokazać Consueli inne ważne dla niej miejsca.

Opowiedziała jej o balu debutantek. Odwiedziły też bank, gdzie Annabelle przedstawiła córkę prezesowi i kilku pracownikom, których jeszcze знаła.

Consuela dygała grzecznie i ścisnęła podane jej ręce. Późnym popołudniem wróciły do oranżerii w hotelu Plaza na podwieczorek. Było to bardzo imponujące miejsce, pełne szykownych pań w ekstrawaganckich kapeluszach i biżuterii, gawędzących przy podwieczorku pod ogromną szklaną kopułą.

Consuela była zachwycona Nowym Jorkiem, a Annabelle czuła się tu lepiej, niż się spodziewała. Miło było tu wrócić i świetnie się bawiła, pokazując wszystko córce. Lady Winshire miała rację - to były jej korzenie, a dla Consueli ważne było, by zobaczyła, gdzie wychowała się matka. Zostały w hotelu przez tydzień.

Annabelle nie

spotkała nikogo znajomego, ale też nie szukała spotkań. Pod koniec tygodnia nie mogła się już doczekać wyjazdu do Newport. Wiedziała, że Consuela pokocha to miejsce, tak jak ona je kochała, gdy była dzieckiem. Tamtejsze życie towarzyskie miało swój urok, ale ocean i plaża miały w sobie o wiele więcej magii niż „chatki”, tak ważne dla ich właścicieli.

Wymeldowały się z hotelu i pociągiem wyruszyły do Bostonu. Kamerdyner rodziców, William, przyjechał po nie na stację starym samochodem, który wciąż trzymano w Newport. Staruszek rozplakał się na widok Annabelle, i skłonił się, witając Consuele, na której ogromne wrażenie wywarł jego wiek i szacunek, jaki jej okazywał. Widząc jego łzy, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Annabelle też miała mokre oczy. Służący wiedzieli o Consueli z listów Annabelle, ale nie bardzo się domyślali, kim był ojciec dziewczynki i kiedy panienka wyszła za mąż. Z listów wnioskowali, że zginął wkrótce po ślubie. William popatrzył z czułością na Consuele, ocierając oczy.

- Wygląda zupełnie jak panienka w jej wieku. I jest trochę podobna do pani Consueli. - Pomógł im wsiąść do samochodu i ruszyli w siedmiogodzinną podróż do Newport. Consuela pytała o wszystko, co widziała po drodze, a William chętnie służył objaśnieniami. I tu wiele się zmieniło, stwierdziła Annabelle, choć nie dotyczyło to samego Newport. Kurort wyglądał równie szacownie, jak zawsze. Consuela patrzyła szeroko otwartymi ze zdumienia oczami na „chatkę” i wielki teren, który ją otaczał. Była to ogromna posiadłość, utrzymana w doskonałym stanie.

- Jest prawie tak duża jak dom babci w Anglii - stwierdziła Consuela, zdjęta nabożnym podziwem. Jej matka uśmiechnęła się. Dom wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała, i nagle poczuła się, jakby wróciło jej dzieciństwo.

- No nie. Dom babci jest o wiele większy. Ale ja spędzałam tu wspaniałe wakacje.

- Z wyjątkiem tych ostatnich. Przypomniał jej się Josiah i bolesny koniec ich małżeństwa. Ale też jego radosny początek, kiedy była taka młoda i pełna nadziei. Teraz miała trzydzieści dwa lata i całe jej życie się zmieniło, ale tutaj nadal czuła się jak w domu.

Gdy samochód się zatrzymał, Blanche i reszta służących wybiegli z domu. Blanche mocno posunęła się w latach. Przytuliła Annabelle,

nie mogąc powstrzymać łez, uściskała też Consuełę. Tak jak William, zauważyła jej podobieństwo do matki.

- I na dodatek jest pani lekarką! - Blanche nie mogła w to uwierzyć. Jeszcze trudniej było jej uwierzyć w to, że młoda pani w końcu wróciła do domu. Myśleli, że nigdy jej już nie zobaczą, i bali się śmiertelnie, że zechce sprzedać dom. To był też ich dom i zachowali go w doskonałym stanie - dla niej. Wyglądał, jakby wyjechała wczoraj, a nie dziesięć lat temu. Ale wszystkie te lata, gdy znów ujrzała dom, zniknęły, jakby to, co stało się od jej wyjazdu, nigdy się nie wydarzyło. Annabelle zajęła jeden z pokoi dla gości, a Brigitte i Consuela oddała swój dawny pokój dziecienny, by dziewczynka mogła się pobawić jej starymi zabawkami. Wiedziała, że mała większość czasu i tak będzie spędzać na powietrzu, tak jak ona w jej wieku. Nie mogła się doczekać, kiedy zabierze Consuełę nad morze. Annabelle opowiedziała córce, że właśnie tu nauczyła się pływać, tak jak Consuela w Nicei i w Antibes.

- Tutaj jest zimniej szta woda - stwierdziła dziewczynka, ale i tak jej się podobało. Uwielbiała zabawy w falach i spaceru po plaży.

Gdy przed wieczorem wróciły do domu, Annabelle zostawiła córkę pod opieką Brigitte. Chciała pójść na samotny spacer. Niektórymi wspomnieniami nie chciała dzielić się z córką. Wychodziła właśnie z domu, kiedy Consuela zbiegła na dół, by się do niej przyłączyć. Annabelle nie miała serca jej powiedzieć, że musi zostać w domu. Mała była tutaj taka szczęśliwa - odkrywała świat swojej matki, tak inny od tego, w którym żyły teraz, w małym, wygodnym domku w szesnastej dzielnicy. Wszystko tutaj wydawało jej się ogromne.

Dom, który Annabelle chciała obejrzeć, znajdował się niedaleko. Kiedy dotarły na miejsce, zobaczyły przerośnięte drzewa, zamknięte okiennice. Sam dom też był zaniedbany. Blanche mówiła, że został sprzedany dwa lata temu, ale wyglądało na to, że nikt tu nie mieszka i że od dziesięciu lat w dawnym domu Josiaha, gdzie spędzała wakacje jako mężatka, i gdzie jej mąż i Henry ukrywali się ze swoją miłością- ale nie myślała o tym teraz - nie pojawił się nikt. Myślała tylko o Josiahu. Consuela widziała, że i ten dom jest ważny dla matki, choć wyglądał smutno.

- Znałaś ludzi, którzy tutaj mieszkali?

- Tak - odparła cicho Annabelle. Czula niemal bliskość Josiaha i miała nadzieję, że odnalazł spokój. Wybaczyła mu już dawno. Postąpił najlepiej jak umiał i kochał ją na swój sposób. A ona kochała jego. Zawiódł ją i zdradził, ale nie czuła bólu, jaki wciąż palił ją na wspomnienie Antoine'a. Blizny po ranach zadanych przez Josiaha zniknęły dawno temu.

- Wszyscy umarli? - zapytała ze smutkiem Consuela. Na to wyglądało, sądząc po kondycji domu i zarośniętego ogrodu.

- Tak, córeczko.

- Przyjaźniłaś się z nimi? - Consuela była ciekawa, dlaczego matka jest taka zamyślona i poruszona widokiem domu. Annabelle wahała się. Może właśnie przyszedł już czas? Nie chciała w nieskończoność kłamać. Wystarczyło już kłamstw, że była żoną ojca Consueli, o nim też zamierzała powiedzieć kiedyś córce prawdę - nie o tym, że ją zgwałcił, ale że nie byli małżeństwem. Teraz, kiedy lady Winshire uznała Consuelę za wnuczkę, ten fakt nie był już tak istotny, choć wciąż trudny do wytłumaczenia.

- Ten dom należał do człowieka, który nazywał się Josiah Millbank - powiedziała cicho. Przez furtkę weszły do zarośniętego ogrodu. - Byłam jego żoną. Wzięliśmy ślub tutaj, w Newport, kiedy miałam dziewiętnaście lat. - Consuela spojrzała na nią ze zdumieniem. Usiadły na starym pniu drzewa. - Był moim mężem przez dwa lata. Bardzo go kochałam. - Chciała, by jej córka wiedziała, że to małżeństwo nie było tylko porażką.

- Co się z nim stało? - spytała Consuela cichutko. Tylu ludzi z przeszłości matki nie żyło. Odeszli wszyscy.

- Rozchorował się i uznał, że nie chce już być moim mężem. Uważał, że to byłoby nie w porządku wobec mnie, bo był bardzo chory. Wyjechał do Meksyku i rozwiódł się ze mną. To znaczy, że zakończył nasze małżeństwo.

- A ty nie chciałaś z nim być, chociaż był taki chory? Nie chciałaś się nim opiekować? - Dziewczynka była wstrząśnięta. Annabelle pokiwała z uśmiechem głową.

- Chciałam. Ale on tego nie chciał. Uważał, że tak będzie dla mnie lepiej, bo byłam bardzo młoda. On był o wiele starszy ode mnie, mógłby być moim ojcem. Uważał, że powinnam wyjść za kogoś innego, kto nie jest chory, i mieć dużo dzieci.

- Za kogoś takiego, jak mój tatuś - stwierdziła z dumą Consuela, ale znów spochmurniała. - Ale on też umarł. - To wszystko było bardzo smutne i dziewczynka, choć miała dopiero siedem lat, zaczęła rozumieć, przez co przeszła jej mama. A jednak przetrwała to wszystko, cała i zdrowa, i nawet została lekarką.

- Josiah rozwiódł się ze mną i wyjechał do Meksyku. - Nie powiedziała jej o Henrym. Nie musiała o tym wiedzieć. - Wszyscy tutaj byli bardzo zgorzeleni. Myśleli, że porzucił mnie, bo zrobiłam coś złego. Nie powiedział nikomu, że jest chory, i ja też nie mówiłam. Ludzie naprawdę myśleli, że zrobiłam coś strasznego. Wyjechałam do Francji, żeby pracować w szpitalu w czasie wojny. Tam poznałam twojego ojca i urodziłaś się ty. I będziemy żyły długo i szczęśliwie - zakończyła z uśmiechem, biorąc Consuela za rękę. Była to ocenzurowana wersja wydarzeń, ale Consuela nie potrzebowała wiedzieć więcej. Annabelle poczuła ulgę. Jej małżeństwo z Josiahem przestało być tajemnicą. To dobrze. Nie chciała okłamywać córki w nieskończoność. I postąpiła lojalnie wobec Josiaha, opowiadając jego historię. Zawsze starała się być wobec niego w porządku.

- Dlaczego wszyscy byli dla ciebie tacy niedobrzy, kiedy on wyjechał? - Consueli wydawało się to okropnie niesprawiedliwe.

- Bo niczego nie rozumieli. Nie wiedzieli, co się wydarzyło naprawdę. Opowiadali o tym różne niemiłe rzeczy i o mnie też.

- Dlaczego nie powiedziałaś im, jak było naprawdę? - Tego Consuela zupełnie nie umiała pojąć.

- Bo on nie chciał. Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że jest chory. - Ani dlaczego był chory. Nie mówiąc już o Henrym Orsonie.

- Moim zdaniem postąpił bardzo niemądrze - stwierdziła Consuela, zerkając przez ramię na pusty dom.

- Tak, masz trochę racji.

- Widziałaś go jeszcze kiedyś? Annabelle pokręciła głową.

- Nie. Zmarł w Meksyku. Ja byłam już wtedy we Francji.

- A czy teraz ludzie znają prawdę? - spytała Consuela, której ta historia nie dawała spokoju. Nie podobało jej się to, że wszyscy byli niedobrzy dla jej mamy. Musiała być wtedy bardzo smutna. Nawet teraz, kiedy o tym mówiła, była smutna.

- Nie, nie wiedzą. To wszystko było dawno temu - odparła Annabelle.

- Dziękuję, że mi powiedziałaś, mamusiu - powiedziała Consuela z dumą.
- Zawsze chciałam ci o tym powiedzieć; czekałam tylko, aż będziesz starsza.
- Bardzo mi przykro, że byli dla ciebie tacy niedobrzy - dodała dziewczynka cicho.
- Mam nadzieję, że teraz tak już nie będzie.
- Teraz to nieważne, bo mam ciebie - uspokoiła ją Annabelle. I to była prawda. Nie potrzebowała nikogo prócz Consueli.

Wróciły do domu i przez kolejne trzy tygodnie śmiały się, pływały i robiły to wszystko, co Annabelle robiła jako dziecko, dorastając w tym cudownym miejscu. Pod koniec pobytu Annabelle zabrała Consuele na lunch do Country Club w Newport, choć zwykle unikały takich „dorosłych” wyjść. Annabelle starała się omijać miejsca, gdzie mogłaby spotkać dawnych znajomych. Zwykle spędzały czas w posiadłości, która była dość duża, by urządzać sobie dalekie spacery. Ten jeden raz postanowiły wyjść do ludzi, co wymagało od Annabelle niemałej odwagi.

Gdy wychodziły po lunchu, Annabelle dostrzegła tęgą kobietę, wchodzącą do restauracji. Dama wyglądała na zirytowaną, była czerwona na twarzy i miała przekrzywiony kapelusz. Ciągnęła za sobą nianię i szóstkę dzieci, a na rękach niosła siódme, najmniejsze. Beształa właśnie jedno ze starszych, a niemowlę płakało wniebogłosy. Dopiero kiedy znalazły się kilka kroków od siebie, Annabelle poznała swoją dawną przyjaciółkę, Hortie. Obie stanęły jak wryte.

- O Boże... a co ty tutaj robisz? - spytała Hortie takim tonem, jakby Annabelle nie miała prawa tu przebywać. Natychmiast spróbowała zatuszować ten nietakt nerwowym uśmiechem. Consuela patrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami. Hortie nawet jej nie zauważyła - wpatrywała się tylko w jej matkę, jakby zobaczyła ducha.

- Przyjechałam z córką odwiedzić stare kąty - odparła Annabelle z uśmiechem. Zrobiło jej się żal Hortie. - Widzę, że fabryka dzieci działa - zażartowała. Hortie wzniosła oczy do góry i jęknęła. Przez chwilę wyglądała jak tamta dawna przyjaciółka, którą Annabelle kochała i której nigdy nie opuściłaby w biedzie.

- Znowu jesteś mężatką? - spytała z ciekawością, spoglądając na Consuele.
- Nie, wdową.

- I lekarką- wtrąciła z dumą Consuela. Obie kobiety roześmiały się.
- To prawda? - Hortie spojrzała na Annabelle z podziwem. Wiedziała, że jej przyjaciółka od dziecka marzyła o medycynie.
- Tak, mieszkamy w Paryżu.
- Słyszałam o tym. Podobno byłeś też bohaterką wojenną. Annabelle roześmiała się.
- Ależ skąd. Jeździłam ambulansami do lazaretów i zwoziłam rannych. Nie było w tym nic bohaterskiego.
- A ja sądzę, że było. - Gromadka dzieci kłębiła się wokół nóg Hortie, niania bez wielkiego sukcesu usiłowała je skarcić. Hortie ani słowem nie przeprosiła jej za swoją zdradę ani nie powiedziała, że tęskni, ale Annabelle widziała to w jej oczach. - Długo tu zostaniesz? - spytała żałośnie.
- Jeszcze kilka dni.

Ale Hortie nie zaprosiła jej do siebie ani nie obiecała, że wpadnie do Worthingtonów. Wiedziała, że James nigdy jej na to nie pozwoli. Uważał, że Annabelle mogłaby mieć na nią zły wpływ. Rozwódki i cudzołżnice nie miały wstępu do jego domu, choć o nim samym opowiadano gorszące rzeczy. Annabelle chciała powiedzieć Hortie, że za nią tęskniła, ale się nie odważyła. Było za późno, by uratować tę przyjaźń. Widok Hortie zasmucił ją. Dawna przyjaciółka, zaniedbana, zmęczona i zgnębiona, nie starzała się ładnie. Śliczna dziewczyna zniknęła bez śladu, ustępując miejsca matronie w średnim wieku ze stadkiem dzieci - zupełnie obcej kobiecie. Annabelle wiedziała, że zawsze będzie tęsknić za dawną Hortie. Pożegnały się, ale nie pocałowały, jak dawniej. Annabelle, zamysłona, wyszła z restauracji.

Consuela nie odzywała się, dopóki nie wsiadły do samochodu. Gdyjechały już do domu, zapytała cicho:

- To jedna z tych osób, które mówiły o tobie brzydkie rzeczy?
- Tak. Była moją najlepszą przyjaciółką, ale przestała nią być, kiedy Josiah mnie zostawił. Ludzie robią czasem niemądre rzeczy -odparła matka z uśmiechem. - W twoim wieku byłyśmy jak siostry i jeszcze długo potem też.
- Jest brzydka - oznajmiła Consuela, marszcząc brwi. Była zła na tych wszystkich ludzi. -1 gruba. - Annabelle roześmiała się.

- Jako młoda dziewczyna była bardzo ładna. Ale potem urodziła dużo dzieci.
- One też są brzydkie i strasznie hałasują- stwierdziła z dezaprobatą Consuela i przytuliła się do matki.
- Masz rację - przyznała Annabelle. Hortie nigdy nie panowała nad dziećmi, nawet kiedy miała jedno, a potem dwoje. Najwyraźniej od tamtej pory James dbał, by cały czas była w ciąży.

Poza tym spotkaniem pobyt w Newport był taki, jak sobie wymarzyły. Prawdziwy powrót do domu sprawił, że serce Annabelle wreszcie odtajało. Gdy pakowały się do wyjazdu, Consuela spytała, czy mogą tu jeszcze przyjechać. Annabelle myślała o tym samym i cieszyła się, że nie sprzedała domu. Okazało się, że lady Winshire miała rację, jak w wielu innych sprawach. Annabelle nigdy nie zdejmowała szmaragdowego pierścionka. Był to dla niej cenny dar, od jedynej przyjaciółki.

- Chyba miło byłoby przyjeżdżać tu każdego lata na kilka tygodni. Może nawet na miesiąc. Co ty na to? - spytała córkę, gdy Brigitte zapinała walizki podopiecznej.

- Bardzo bym chciała - odparła rozpromieniona Consuela. Annabelle też tego pragnęła. Dzięki temu utrzyma z krajem więź, która kiedyś może się okazać ważna dla jej córki. Wszystkie rany goją się z czasem. Nawet jeśli ludzie wciąż o niej plotkowali i pamiętali o skandalu sprzed lat, była pewna, że w końcu zapomną, jeśli zobaczą, że chodzi z podniesioną głową. A przynajmniej wstrętne etykietki zbledną na tyle, że nikomu nie będzie chciało się ich czytać. Teraz zresztą nie miało to już dla niej znaczenia. Miała nowe życie, dom, zawód i ukochane dziecko. Ale czuła, że odzyskała coś, co zabrano jej dawno temu: dobre wspomnienia z dawnego życia, za którym kiedyś tak tęskniła.

William odwiózł je do Bostonu, gdzie wsiadły do pociągu do Nowego Jorku. Tym razem miały tam spędzić tylko dwa dni i zrobić kilka rzeczy, na które zabrakło im czasu po przyjeździe.

- Proszę dbać o siebie, panienko Annabelle - powiedział William, który znów miał łzy w oczach. - Wróci pani do nas niedługo? - Widzieli, że dobrze jej w domu.

Chwilami biegając z Consuela po plaży czy ogrodzie, znów wyglądała jak młoda dziewczyna.

- Za rok, latem. Obiecuję. - Pożegnanie z Blanche też było łzawe. Jej także Annabelle złożyła tę samą obietnicę.

William uściskał obie i machał im z peronu, dopóki mogły go widzieć.
W końcu usadowiły się w przedziale. Czekala je długa podróż do Nowego Jorku.
Pobyt w Newport był cudowny i Annabelle nie marzyła nawet, że sprawi córce taką przyjemność.

Rozdział 27

Ostatnie dwa dni w Nowym Jorku były męczące, ale wesołe. Annabelle zabrała Consuelę do teatru na musical, który dziewczynce niezwykle się podobał. Jadły kolacje u Sardiego i w hotelu Waldorf Astoria, jak wielkie damy. Opłynęły promem Manhattan i Annabelle znów pokazała córce Ellis Island, opowiadając jej więcej o szpitalu. A ostatniego popołudnia raz jeszcze poszły na spacer do starego domu, żeby się z nim pożegnać. Annabelle długo stała przed bramą, oddając hołd wszystkim, którzy tu mieszkali - nawet tej niewinnej części siebie, którą utraciła bezpowrotnie. Nie miała już nic wspólnego z tą dziewczyną.

Odeszły w milczeniu, trzymając się za ręce. Consuela dowiedziała się podczas tej podróży mnóstwo o swojej mamie, o dziadkach, wuju Robercie i jej dawnych znajomych. Nie spodobała się jej przyjaciółka z Newport, ta z gromadką dzieci. Consuela miała jej za złe, że okazała się niedobra dla mamy i że mama była przez nią smutna. I żałowała tego pana, który umarł w Meksyku. Mama musiała bardzo go kochać.

Tym razem Brigitte była spokojniejsza, gdy wsiadały na pokład „Mauretanii”. Statek był tak luksusowy, że pozbyła się niemal swoich obaw. Annabelle czuła się trochę dziwnie, kiedy mijali pirsy linii White Star i Cunarda. Stanął jej przed oczami poranek sprzed dziesięciu lat, kiedy przyjechała tu po matkę, ocalałą z katastrofy „Titanica”. Nie chciała mówić o tym Consueli, a już na pewno nie Brigitte.

Gdy Statua Wolności znów przepłynęła za burtą, Annabelle poczuła, że zostawia tu kawałek serca. Od dawna nie czuła się tak mocno związana z ojczyzną i pocieszała się, że wrócą tutaj za rok. Consuela

mówiła o tym bez przerwy, gdy były w Nowym Jorku. Spodobał jej się bardzo dom w Newport i nie mogła się doczekać, kiedy znów w nim zamieszka.

Tym razem na statku nie było nikogo znajomego; Annabelle sprawdziła listę pasażerów, choć i tak by się tym nie przejęła. Nie miała się już czego bać. Przeżyła wizytę w Nowym Jorku i Newport bez szwanku i nie miała żadnych tajemnic przed córką. Nawet gdyby ludzie dowiedzieli się o jej przeszłości, co mogli jej zrobić? Nie byli w stanie odebrać jej domu, pracy ani dziecka, mogli tylko szeptać za jej plecami, a to już raz przetrwała. Nawet bolesna zdrada Hortie straciła znaczenie, gdy Annabelle zobaczyła przyjaciółkę. Wszyscy, którzy kiedyś ją skrzywdzili, odeszli z jej życia. Nie mieli nic do ofiarowania i niczego nie mogli jej odebrać. Miała własne i dobre życie.

Tak jak poprzednio, Annabelle i Consuela poszły obejrzeć psie klatki. Tym razem nie było żadnego mopsa, za to kilka pekińczyków i pudli. Consuela tęskniła za Coco i nie mogła się doczekać, kiedy znów ją zobaczy. Matka obiecała jej weekend w Deauville. Nawet to, co zrobił Antoine, zbladło podczas tej podróży. Był podłym, ograniczonym człowiekiem, żyjącym w swoim ciasnym świecie, wśród ludzi o równie ciasnych umysłach. Dla niej nie było tam miejsca, tak jak dla niego - w jej świecie.

Zatrzymały się przy relingu, by popatrzeć na morze. Długie, jasne włosy Consueli powiewały na wietrze, kapelusz Annabelle sfrunął jej z głowy i potoczył się po pokładzie. Popędziły za nim, śmiejąc się na cały głos. W końcu kapelusz zatrzymał się u stóp mężczyzny, który podniósł go i podał im z uśmiechem, patrząc na włosy Annabelle, równie jasne jak włosy jej córki, i jej opaloną słońcem Rhode Island twarz.

- Dziękuję - powiedziała Annabelle zadyszana, uśmiechając się jak mała dziewczynka. Założyła go z powrotem, ale trochę krzywo.

- Uwaga, znów go zwieje - ostrzegł mężczyzna. Przytaknęła i ruszyła dalej, ale Consuela zaczęła rozmowę z nieznajomym.

- Mój dziadek i wujek zginęli na „Titanicu” - zagaiła. Mężczyzna spojrzał na nią poważnie.

- Bardzo przykro mi to słyszeć. Podobnie jak moi dziadkowie. Może nawet się znali. - Była to intrygująca myśl. - Ale to było bardzo dawno temu. Chyba zanim się urodziłaś.

- Mam siedem lat - odparła. - A imię dostałam po mamie mojej mamy. Ona też nie żyje.

Nieznajomy pan starał się nie uśmiechać, prowadząc z nią tę dziwną rozmowę; wyglądało na to, że rodzina dziewczynki została zdziesiątkowana.

- Mój ojciec też nie żyje - dodała rezerwowo. - Zginął na wojnie, zanim się urodziłam.

- Consuelo! - skarciła ją Annabelle. Nigdy dotąd nie słyszała, by jej córka tak rozmawiała z obcymi, i miała nadzieję, że nie robi tego często. - Przepraszam - zwróciła się do mężczyzny, który złapał jej kapelusz. - Nie miałyśmy zamiaru podawać panu listy ofiar w naszej rodzinie - dodała z uśmiechem, który nieznajomy skwapliwie odwzajemnił.

- Widocznie zgadłaś, że jestem dziennikarzem - powiedział do Consueli.

- A kto to jest? - Dziewczynka była bardzo zainteresowana.

- Pisuję do gazet, a właściwie redaguję jedną z nich. Paryską edycję „International Herald Tribune”. Ale pewnie jesteś za młoda, żeby to czytać.

- Moja mama jest lekarką. - Consuela podtrzymywała samodzielnie rozmowę, ale jej mama najwyraźniej oniemiała.

- Naprawdę? - spytał uprzejmie. Przedstawił się jako Callam McAffrey, powiedział też, że pochodzi z Bostonu, a teraz mieszka w Paryżu.

Annabelle również się przedstawiła, a Consuela dodała z własnej inicjatywy, że i one mieszkają w Paryżu, w szesnastej dzielnicy. Pan McAffrey wyjaśnił, że mieszka na rue de l'Université, na lewym brzegu, niedaleko École des Beaux-Arts. Annabelle dobrze znała tę okolicę.

Zaprosił je obie na podwieczorek, ale Annabelle powiedziała, że muszą wracać do kabiny, by przebrać się do kolacji. Uśmiechał się, patrząc, jak odchodzą. Uważał, że dziewczynka jest urocza, a jej mama bardzo ładna. Nie tak wyobrażał sobie lekarki. Kilka lat temu robił wywiad z Elsie Inglis, której Annabelle zupełnie nie przypominała, oględnie mówiąc. Bawiła go swoboda, z jaką jej córeczka udzielała informacji o rodzinie.

Wieczorem widział je w jadalni, nie podszedł jednak. Nie chciał być natrętny.

Następnego dnia zauważył Annabelle, spacerującą samotnie

po pokładzie. Consuela poszła popływać z Brigitte. Tym razem Annabelle miała kapelusz ze wstążką zawiązaną pod brodą.

- Widzę, że dziś solidnie zakotwiczyła pani kapelusz - powiedział z uśmiechem, przystając obok niej przy relingu. Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Teraz jest bardziej wietrznie niż miesiąc temu, kiedy płynęliśmy w tamtą stronę.

- Był już koniec lipca.

- Uwielbiam te rejsy - stwierdził. - Pozwalają mi złapać oddech między dwoma światami. Miło czasem oderwać się od pracy. Przez cały miesiąc była pani w Nowym Jorku? - spytał.

- Nie, kilka tygodni spędziłyśmy w Newport. Uśmiechnął się.

- Ja siedziałem na Cape Cod. Staram się pobyć tam każdego lata. To mój powrót do szczenięcych lat.

- Moja córka była w Ameryce po raz pierwszy.

- I jak jej się podobało?

- Ogromnie. Chce tam wracać co roku. - Z niewiadomych powodów Annabelle zdradziła swój sekret. - Ja nie byłam tam od dziesięciu lat.

- W Newport? - Nie zdziwił się szczególnie.

- Nie, w Stanach. Popatrzył na nią zaskoczony.

- To bardzo długo. - Wysoki szczupły mężczyzna o szpakowatych włosach, brązowych oczach i ładnie ukształtowanych rysach, miał mniej więcej czterdziestkę. Był raczej typem intelektualisty niż dandysa, choć wyglądał bardzo przyjemnie. I był miłym rozmówcą. - Musiała pani być bardzo zajęta, skoro tak długo nie odwiedzała pani domu. Albo bardzo zła - dodał, jak przystało na wścibskiego dziennikarza.

Annabelle roześmiała się.

- Ułożyłam sobie życie we Francji. Przyjechałam jako ochotniczka do przyfrontowego szpitala i już nie wróciłam. Chyba nawet nie tęskniłam. Ale muszę przyznać, że miło było zobaczyć dom i pokazać córce stare kąty.

- Jest pani wdową? - spytał. Miał prawo tak pomyśleć, skoro Consuela powiedziała, że jej ojciec nie żyje. Annabelle chciała kiwnąć głową, ale powstrzymała się. Była zmęczona kłamstwami, szczególnie tymi, których nie musiała wypowiadać. Miała dość wiecznej obrony przed złymi językami.

- Nie, rozwódką. - Nie wydawał się wstrząśnięty; miał tylko zdziwioną minę. Dla niektórych byłoby to szokujące wyznanie, ale on jakoś się tym nie przejął.

- Pani córka powiedziała, że jej ojciec zginął.

Annabelle patrzyła na niego długą chwilę. Do licha z rozwagą, pomyślała. Nie miała nic do stracenia. Jeśli on poczuje się zbulwersowany i pójdzie sobie, to trudno. Najwyżej nigdy więcej go nie zobaczy. Przecież nawet go nie zna.

- Nie byłam żoną jej ojca - powiedziała cicho, ale bez wahania. Po raz pierwszy przyznawała się do tego otwarcie. W kręgach, w których się wychowała, byłby to powód do zakończenia rozmowy i ignorowania jej osoby.

Przez chwilę nic nie powiedział. W końcu pokiwał głową i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Jeśli spodziewa się pani, że padnę zemdlony albo wyskoczę za burtę, zamiast z panią rozmawiać, to niestety rozczaruje się pani. Jestem reporterem. Niejedno już słyszałem. I mieszkam we Francji. Tam to raczej powszechna przypadłość, choć Francuzi nie przyznają się do tego, że mają dzieci z cudzymi żonami. - Annabelle roześmiała się. Był ciekaw, czy to właśnie było przyczyną rozwodu. Wyglądała na interesującą kobietę. - Przypuszczam, że to zdarza się częściej, niż podejrzewamy, nawet u nas, w Ameryce. Ludzie kochają się, mają dzieci i nie zawsze biorą ślub. Kimże jestem, żeby ich potępiać, dopóki nikomu nie dzieje się krzywda? - Najwyraźniej był człowiekiem wolnym od uprzedzeń.

- Nie kochałam go - stwierdziła Annabelle. - To długa historia, ale skończyła się dobrze. Consuela to najwspanialszy dar, jaki dostałam od życia. - Jej towarzysz nie pytał już o więcej.

- Jakiego rodzaju jest pani lekarką?

- Dobrą - odparła z uśmiechem i tym razem on się roześmiał.

- To oczywiste. Chodziło mi o specjalizację. - Wiedziała, co miał na myśli, ale ten mały flirt sprawiał jej przyjemność. Callam McAffrey był bardzo miłym rozmówcą otwartym, ciepłym i przyjaznym.

- Jestem internistką.

- Praktykowała pani na froncie? - Wydawała mu się na to za młoda.

- Jako sanitariuszka, po roku studiów medycznych. Ukończyłam je po wojnie. - Ciekawiło go, dlaczego nie otworzyła praktyki w Stanach,

ale nie widział w tym nic niezwykłego. On też kochał Paryż. Prowadził tam o wiele bardziej urozmaicone życie niż w Bostonie czy Nowym Jorku.

- Ja wyjechałem jako korespondent armii brytyjskiej na początku wojny. I od tamtej pory mieszkam w Europie. Przez dwa lata po wojnie byłem w Londynie, a teraz od pięciu mieszkam w Paryżu i chyba nie mógłbym już wrócić do Ameryki. Za dobrze mi w Europie.

- Ja też nie mogłabym wrócić - przyznała Annabelle. Nie miała po co wracać, jej życie toczyło się teraz w Paryżu. W Stanach pozostała jej tylko historia i dom w Newport.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, Annabelle musiała jednak pójść po Consuelę i Brigitte na basen. Wieczorem znów zobaczyły pana McAffreya, wychodząc z jadalni po wczesnej kolacji. On właśnie wchodził. Spytał Annabelle, czy nie wypiłaby z nim drinka wieczorem. Wahala się przez chwilę, czując, że Consuela przygląda się czujnie obojgu, ale w końcu przyjęła zaproszenie. Umówili się w Verandah Cafe o wpół do dziesiątej. Consuela o tej porze już smacznie spała, Annabelle była więc wolna.

- Podobasz mu się - stwierdziła rzeczowo Consuela, gdy wracały do siebie. - Jest miły.

Annabelle nie odpowiedziała. Równie miły wydawał się dziewczynce Antoine i pomyliła się. Ale Callam McAffrey był zupełnie innym typem człowieka i mieli ze sobą tyle wspólnego. Zastanawiała się, czemu się nie ożenił; wyjaśnił jej to wieczorem, gdy popijali szampana w Verandah Cafe.

- W czasie wojny, w Anglii, zakochałem się w pewnej pielęgniarce. Zginęła na tydzień przed podpisaniem rozejmu. Mieliśmy się pobrać, ale ona chciała poczekać, aż skończy się wojna. Długo nie mogłem tego przeboleć. Była wyjątkową kobietą. Z arystokratycznej rodziny, ale nikt by tego nie zgadł. Mocno stapała po ziemi i pracowała ciężiej niż ktokolwiek inny. Dobrze nam było ze sobą.

- Nie roztkliwiał się nad sobą, ale to wspomnienie było mu drogie. - Od czasu do czasu odwiedzam jej krewnych.

- Ojciec Consueli był Anglikiem, ale niezbyt miłym człowiekiem. Za to jego matka jest wspaniała. Być może odwiedzimy ją w sierpniu.

- Anglicy potrafią być fantastyczni - przyznał. - Z Francuzami nie zawsze się tak dobrze dogaduję. - Annabelle roześmiała się z nut-

ką goryczy. Antoine jest Francuzem, ale nie wspomniała o nim. - Nie są prostolinijni i często zbyt skomplikowani.

- Muszę się z panem zgodzić, przynajmniej co do niektórych. To wspaniali przyjaciele i koledzy, ale w sprawach sercowych to zupełnie co innego. -

Zrozumiał, że przeżyła zawód miłosny i to zapewne z winy Francuza. Angielski ojciec Consueli też nie był chyba ideałem. Callam odnosił wrażenie, że zawiodła się w życiu zbyt wiele razy. Podobnie jak on, dopóki nie spotkał Fiony. Już dość długo był sam. Nie miał żadnych romansów, w ten sposób jego życie stało się prostsze. Miał na te sprawy taki sam pogląd jak Annabelle.

Przez chwilę rozmawiali o wojnie, o polityce w Stanach, o doświadczeniach dziennikarskich i lekarskich. Annabelle pomyślała, że nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, przynajmniej ma miłego znajomego. W końcu odprowadził ją do kajuty i pożegnał się.

Następnego dnia znów zaprosił ją po kolacji na drinka i znów spędzili razem miły wieczór. Ostatniego dnia podróży Callam grał z nią i z Consuelą w pokładowego hokeja, a Annabelle zaprosiła go, by zjadł kolację przy ich stoliku. Z wielką swobodą gawędził z Consuelą, która opowiedziała mu o swojej suczce i zaprosiła go, żeby przyszedł ją poznać. Annabelle nie protestowała.

Tego wieczoru nagle, ni stąd, ni zowąd, Callam odprowadzając Annabelle do kabiny, stwierdził, że chętnie wpadłby do niej zobaczyć psa. Sam miał labradora. Roześmiała się.

- Może pan przyjść i zobaczyć psa, kiedy tylko pan zechce - powiedziała. - Przy okazji zobaczy pan nas.

- Cóż, interesuje mnie głównie pies - odparł z psotnym błyskiem w oku - ale chyba nie byłoby w tym nic złego, gdybym zobaczył także panie. Oczywiście, jeśli pies nie będzie miał nic przeciwko temu. - Spojrzał ciepło na Annabelle. Dowiedział się o niej bardzo wiele podczas tej podróży; więcej, niż podejrzewała. To był jego zawód. Wyczuwał ból i trudne doświadczenia, przez które przeszła. Kobiety z jej sfery nie opuszczały domów i nie zgłaszały się jako ochotniczki do szpitala frontowego tysiące kilometrów od domu. I nie zostawały na innym kontynencie przez dziesięć lat, zdobywając męski zawód - chyba że w domu spotkało je coś bardzo złego. Miał też przeczucie, że nie mówiła mu wszystkiego. Nie wyglądała na kobietę, która świadomie zdecydowała się na nieślubne dziecko, gdyby tylko mogła tego uniknąć. Najwyraźniej jednak wszystko, co ją spotkało,

obróciła na swoją korzyść. Była dzielną kobietą. Miała to wypisane na twarzy i Callam cieszył się, że ją jeszcze zobaczy.

- Czy mogę zadzwonić do pani po powrocie? - spytał, by zadośćuczynić dobrym manierom. Nie była oschła, ale przestrzegała form. To też mu się w niej podobało. Pod pewnymi względami przypominała Fionę, choć była od niej młodsza i ładniejsza. I w Fio-nie, i teraz w Annabelle najbardziej podobało mu się to, co było wewnątrz. Wyczuwało się w niej zdecydowanie, prawość i zasady moralne, dobre serce i inteligencję. Mężczyzna nie mógł pragnąć niczego więcej i skoro kobieta taka jak Annabelle stanęła mu na drodze, nie miał zamiaru przegapić okazji, by poznać ją lepiej. Nieczęsto spotyka się kogoś takiego. Miał już szczęście poznać jedną taką kobietę i wiedział, że jeśli kiedykolwiek los ześle mu drugą, nie zmarnuje szansy.

- Będziemy w Paryżu - powiedziała Annabelle. - Być może na kilka dni wyjedziemy do Deauville, obiecałam to Consueli. Może też odwiedzimy jej babkę w Anglii. Ale poza tym nigdzie się nie ruszamy. Muszę wrócić do pracy, zanim pacjenci o mnie zapomną. - Nie potrafił sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł o niej zapomnieć. On w każdym razie nie zamierzał tracić jej z oczu.

- Może moglibyśmy się wybrać we trójkę na wycieczkę - zaproponował. - Oczywiście z psem. Nie chciałbym urazić jego uczuć.

Annabelle uśmiechnęła się. I ona cieszyła się na myśl o tym, że zobaczy Callama znów za kilka dni. Prawdę mówiąc, podobało jej się wszystko, co do tej pory w nim dostrzegła: solidność, uczciwość i wyrozumiałość. Doceniała szacunek, jaki jej okazywał, i odwzajemniała go. To był dobry początek - prawdę mówiąc, najlepszy. Jej braterska przyjaźń z Josiahem powinna była dać jej do myślenia, ale wtedy tego nie rozumiała. Ogniste zaloty Antoine'a skrywały zimne serce. Callam był zupełnie innym mężczyzną.

Pożegnali się pod drzwiami jej kajuty. Następnego ranka Annabelle wstała i ubrała się wcześniej, tak jak wtedy, gdy dopływała do Europy dziesięć lat temu, po rozpaczliwej ucieczce z Nowego Jorku. Tym razem nie czuła rozpacz i smutku. Stała przy relingu, podziwiając wschód słońca. W oddali widać było Hawr; za dwie godziny mieli przybić do portu.

I gdy tak patrzyła na ocean, ogarnęło ją poczucie niewypowiedzianej wolności. Nareszcie zrzuciła kajdany. Nie dźwigała już brze-

mienia cudzych opinii, cudzych kłamstw, cudzych grzechów. Była wolną, dzielną kobietą i wiedziała o tym.

Gdy słońce wspięło się już na niebo, usłyszała czyjś głos i odwróciwszy się, ujrzała Callama.

- Miałem przeczucie, że panią tutaj znajdę - powiedział cicho, patrząc jej w oczy.

Uśmiechnęli się do siebie. - Piękny ranek, prawda? - dodał z prostotą.

- Tak, piękny - odparła. Oboje byli dobrymi dzielnymi ludźmi. I czekało ich dobre życie.